

Aleksandra Domańska

Ulica Pogodna

Zgubiła się.

W tej części miasta była chyba po raz pierwszy. Jeszcze za dnia odnalazła, choć nie bez trudu, drogę do starej willi, gdzie na parterze znajdował się prywatny gabinet dentystyczny polecony jej przez znajomych. Potem jednak, gdy go opuszczała, panowały już zupełne ciemności, więc straciła orientację. Co więcej, pogoda, przedtem znośna, teraz zepsuła się na dobre – padał zamarzający kapuśniaczek i wiał nieprzyjemny listopadowy wiatr. Nie pamiętała, czy do przystanku autobusowego powinna pójść w lewo, czy w prawo. Ruszyła w stronę, gdzie przez deszcz i mgłę majaczyły światła miasta. Wokół nie było żywego ducha.

Przy jakimś skrzyżowaniu znów się zawahała. Skręciła w prawo, a potem w lewo. Albo w lewo, a potem w prawo. Po chwili nie wiedziała, gdzie jest i dokąd ma iść. Zachowywała się jak wiatr, który też ciągle zmieniał kierunek.

Zaraz zamienię się w sople lodu – pomyślała, zlewana potężniejącym deszczem i owiewana mroźnym wiatrem.

Gładki dotąd chodnik właśnie się skończył, teraz iść trzeba było dziurawym, pełnym kałuż asfaltem. Światła miasta, ku którym podążała, zdawały się już tylko mirażem.

Raptem tuż przed nią skrzypnęła furka. Odskoczyła jak oparzona, wydając z siebie nieartykułowany dźwięk.

– Kto tu? – usłyszała.

W ciemnościach zamajaczyła sylwetka mężczyzny, który wyszedł zza furki.

– Szukam przystanku autobusowego – rzuciła w mrok.

– Tutaj? – zdziwił się mężczyzna.

– Gdziekolwiek – odpowiedziała.

– Niech pani idzie ze mną, bo tutaj go nie ma.

Mężczyzna ruszył w stronę, z której przyszła. W kierunku przeciwnym niż światła miasta. Poczula niepokój. Sama, w nieznanym miejscu, z nieznanym mężczyzną o nieznanym zamiarach. Musiała jednak komuś zaufać.

Szli chwilę w ciemności. Wiatr nieco przycichł, słysząc więc było chlupotanie nóg po kałużach. Chcąc uniknąć najgłębszych, patrzyła pod nogi. Naraz wydało jej się, że spod jej stóp poderwało się coś czarniejszego od mroku.

Ki diabeł? – pomyślała przestraszona.

I wpadła w kałużę po kostki.

Raptem drzwi mijanego przez nich domku otworzyły się na oścież, wypuszczając ze środka smugę słabego światła.

– Mateusz? – rozległ się tubalny głos.

– Jestem, jestem! – wykrzyknął w odpowiedzi jej przewodnik.

Po chwili z wnętrza wyłonił się jakiś zwalisty kształt, przesłaniając sobą światło, a zaraz potem ciemność przeszył mocny snop światła latarki skierowany w ich stronę. Wędrował przez moment po omacku, aby nagle wydobyć z mroku twarz mężczyzny, z którym szła.

W całkowitej ciemności tylko ta jasna twarz otoczona bladą, mglistą poświatą.

Tak na długi czas zapamiętała Marta Mateusza.

– Nie oślepiaj – poprosił ten, którego imię już знаła.

Światło przemknęło w bok i zahaczyło o jej sylwetkę.

- A to kto? – huknęło wielkie, zwaliste chłopisko z progu swego domku.
- Zgubiłam się – powiedziała.
- Ba, nie pani jedna – padła filozoficznie brzmiąca odpowiedź.
- Odprowadzę tylko panią do przystanku i zaraz wracam – oznajmił Mateusz.

Naraz tuż obok Marty rozległo się krótkie szczeknięcie.

Ki diabeł – pomyślała znowu. – Najpierw był kształt bez głosu, teraz głos bez kształtu.

Tymczasem snop światła latarki zawisł tuż nad jej głową.

– Nie ruszajcie się przez chwilę – poprosił wielkolud – i posłuchajcie tylko, jak śnieg rośnie.

Jak można cokolwiek usłyszeć, gdy ktoś tak dudni – przemknęło jej przez głowę, zanim zapadła całkowita cisza.

Nawet wiatr zastosował się do dyrektyw i zupełnie ucichł. Tyle że ta cisza wydawała się dziwnie gęsta. Jakby się na coś zanosilo. Marta mimowolnie wpatrzyła się w nieruchomy promień światła. W jego blasku iskrzyły się malutkie drobinki.

– Ale to przecież deszcz pada – powiedziała, przerywając ciszę.

– Niech pani cierpliwie poczeka – zadudniło w odpowiedzi i znów na dłużej zapanowało milczenie.

Stali tak bez ruchu i czekali.

A śnieg rósł. Chwilę później deszcz zaczął się przekształcać w małe białe płatki.

Nigdy wcześniej Marta nie zaobserwowała takiej przemiany. A teraz patrzyła w zachwycie na przełom jesieni i zimy oświetlony drgającym w potężnych łapach wielkoluda blaskiem latarki.

Po chwili malutkie jak krople płatki zaczęły ogromnieć. Na to, co się działo, nie można było znaleźć lepszego określenia – śnieg cały czas rósł. Teraz były to już potężne, białe, mokre płaty, przyklejające się do ubrania i wdzierające w każdą jego szczelinę. W okamgnieniu Marta i jej towarzysze zamienili się w masywne białe niedźwiedzie. Nie było ani trochę przyjemniej, ale było piękniej.

– Chodźmy już, podprowadzę panią – usłyszała głos przewodnika.

Ruszyli w ciemność. Najpierw powrócił chodnik, potem doszli do jakiegoś skrzyżowania, a przy nim po chwili wyrosła zadaszona wiata przystanku autobusowego.

– Tu panią zostawię – oznajmił przewodnik.

– Bardzo panu dziękuję – odrzekła uprzejmie.

Mężczyzna odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem. Marta odprowadziła go wzrokiem, a potem spojrzała w głąb ulicy, którą przed chwilą przyszedli. Za sprawą wielkiego, mokrego, chciałoby się powiedzieć, „rosłego” już śniegu przypominała scenę jak z baśni. Białe chodniki, białe dachy, białe drzewa i krzewy, bielą przysypane błoto i kałuże. I absolutna cisza.

– Proszę pana, jak się nazywa ta ulica? – krzyknęła w mrok.

– Pogodna! – usłyszała już z daleka wykrzychaną odpowiedź.

Zanim na dobre odwróciła wzrok od tego urzekającego widoku, znów spostrzegła coś, co przebiegło przez chodnik i ruszyło w głąb ulicy.

Ki diabeł? – pomyślała po raz trzeci, zanim oślepiły ją reflektory zbliżającego się miejskiego autobusu.

On też miał na sobie białą czapę z pierwszego tej zimy śniegu.

A potem wróciła do domu i zajęła się tym, co ostatnio najbardziej ją zaprzętało – odganianiem od siebie smutku. W pracy nie miała do tego głowy, zbyt wiele bowiem się działo. W domu jednak panowała cisza, można więc było spokojnie się tym zajmować, bo smutek lubi ciszę.

Stefan, jej mąż, jak zwykle siedział przy biurku i pracował. Wydawało się, że nie zauważył jej przyjścia, tak samo jak przedtem nie zauważył jej nieobecności. Nie było to może niegrzeczne, lecz nieuważne, i wynikało ze skupienia na innych sprawach.

– Zima przyszła – powiedziała, żeby przerwać ciszę.

Wiedziała, że jeśli ona się nie odezwie, cisza będzie trwać.

Chciała opowiedzieć o swojej przygodzie na ulicy Pogodnej, a zwłaszcza o śniegu wyczarowanym ze słów tajemniczego wielkoluda – określenie, że „śnieg rośnie”, musiałyby się spodobać Stefanowi, który jest poetą. Złękła się jednak, że on tę historię uzna za pretensjonalną, więc zadała bezpieczne pytanie, czy coś zje.

– Chętnie – odpowiedział.

Wypakowała zakupy, które po drodze zdążyła jeszcze zrobić, i zabrała się do przygotowywania kolacji. Jej ambicją było wieczorem podać coś pysznego, choć od pewnego czasu zaczęła tracić zapał. Niegdyś, starając się przypodobać Stefanowi, szybko poznała jego kulinarne upodobania i niepostrzeżenie zaczęła lubić to samo. Przedtem potrawy doprawiała entuzjazmem, teraz zapanowała rutyna i nuda.

I w ogóle coś było nie tak, choć wszystko było w porządku.

A przecież odkąd była ze Stefanem, miała poczucie, że zamieszkała w bajce. Gdy rozpoczynała dorosłe życie, nie mogła marzyć o niczym więcej. Dojrzały, sporo starszy od niej mężczyzna, ceniony poeta, popularny wykładowca akademicki, bywalec salonów, niegdyś mąż pięknych i wykształconych kobiet, po rozstaniach z tamtymi zainteresował się nią – skromną studentką pochodzącą ze wsi. I to jak się zainteresował! Nawet kilka wierszy dla niej napisał, co parokrotnie publicznie podkreślił. I tak ze studentki stała się magistrantką, z magistrantki – kochanką, a z kochanki – żoną. Nic dziwnego zatem, że gotowa była za to uczynić bardzo wiele. Tym bardziej że małżeństwo ze Stefanem rozwiązało wszystkie jej życiowe problemy – zyskała u niego dach nad głową i pracę, również przez niego załatwioną, w dziekanacie ich wydziału, gdzie wprowadziła sortowała tylko jakieś papiery, ale za to miała stałą pensję. Wiedziała, z jakimi przeciwnościami losu zmagają się jej koleżanki ze studiów, nieraz więc, budząc się obok Stefana, szczypała się w policzek, nie wierząc własnemu szczęściu.

A teraz coś było nie tak, choć wszystko było w porządku.

Z rozmyślań, jakie wiodła nad marchewką i selerem, wyrwał ją dźwięk telefonu. Dzwoniła Misia-Monisia, trzynastoletnia córka Stefana z jednego z jego poprzednich małżeństw.

– Opowiesz mi, co dziś było w szkole? – spytała Marta najcieplejszym z tonów.

– Nie, pragnę porozmawiać z tatusiem – odparło kwiecistym stylem i chłodnym tonem dziecko.

Marta nie zawołała Stefana, aby odebrał telefon, tylko jak zwykle zaniósła mu słuchawkę do gabinetu, a potem zamknęła za sobą drzwi, żeby mógł swobodnie porozmawiać.

Wróciła do kuchni i otworzyła wino. Wypiła lampkę.

Wkrótce mogła już zawołać męża na kolację. Jej paplanina o pracy, o koleżankach z dziekanatu, o okropnej szefowej skutecznie wypełniła ciszę.

Potem Stefan poszedł się położyć. Ona zaś została z butelką i ze smutkiem, który chciała w niej utopić.

Wciąż brzmiały jej w uszach słowa rzucone przez Stefana kilka dni wcześniej. „Musisz wreszcie znaleźć sobie coś własnego” – rzekł zniechęcony, bez złych intencji, bo nie w gniewie, ale jakby z irytacją czy znużeniem. Ktoś inny powiedziałby po prostu: „Odczep się ode mnie”, ale nie Stefan, poeta...

Strasznie ją to zabolowało. Podporządkowała swoje życie jego życiu świadomie i ofiarnie, z wdzięczności za to wszystko, co od niego otrzymała – czerpiąc radość z tego, że może być z nim, i bez reszty wpisując się w jego pejzaż. Nie miała dylematów, gdy zrezygnowała z resztek niezależności. Podzielała jego upodobania, przebywała z jego znajomymi, rezygnując z kontaktów z własnymi, jako że Stefana krępowało to, iż są to jego uczniowie.

Co więc miałyby znaczyć „Musisz wreszcie znaleźć sobie coś własnego”? Każda zmiana równałaby się rezygnacji – z małżeństwa, z pracy zarobkowej, z dachu nad głową, towarzyskiego splendoru. Takiej wolności Marta nie pragnęła. A nade wszystko w jej duszy wciąż odzywały się echa dawnego uwielbienia dla mistrza, mentora, przewodnika. Kochała Stefana, jeszcze go kochała...

Wino zadziało i podsunęło jej pewną myśl. Marta udała się do sypialni, gdzie Stefan czytał przed snem, usiadła obok niego i zablafowała.

– Co byś powiedział, gdybym była w ciąży?

– Jak to możliwe? – spytał głupkowato, wyraźnie zaskoczony.

– Czyżbyś nie wiedział, skąd się biorą dzieci? – zażartowała, sama niezbyt rozbawiona.

Rzeczywiście, nieczęsto ostatnio zdarzało im się przyłgnąć do siebie, ale jej potrzeba czułości nocami bywała silniejsza od jego lenistwa.

Marta wiedziała, że ojcostwo to nie jest ulubiona rola Stefana, ale nagle wydało jej się, że apelując do niej o „coś własnego”, może to miał na myśli. A poza tym to był dobry test na temperaturę ich uczuć. Powiało chłodem.

– Żartowałam, oczywiście – bąknęła.

Gdyby była trzeźwa, z pewnością nie wygłupiłaby się tak.

Stefan pogłaskał ją tylko po brzuchu jak weterynarz jałówkę.

Poszła do łazienki. Gdy wróciła, mąż już spał.

* * *

Sytuację dodatkowo komplikował fakt, że nadeszły święta, czas wymuszający rodzinną serdeczność.

Nie było dobrego rozwiązania. O tym, żeby pojechać do rodziny na wieś, nie mogło być mowy. Stefan stanowczo tego sobie nie życzył. Mieli więc w perspektywie Wigilię we dwójkę, bo wprawdzie mąż Marty był zawsze zagorzałym przeciwnikiem poprzedzającego Boże Narodzenie „geszeftu”, ale ona sama – ulegając handlowym hasłom „o magicznym czasie świąt” i czarowi wspomnień z dzieciństwa – nie wyobrażała sobie Wigilii bez jakiegś, choćby drobnej ceremonii. Chciała kogoś zaprosić, żeby nie siedzieli sami, ale nawet mała Misia-Monisia nie mogła albo nie chciała do nich przyjść.

To był smutny dzień. Tym razem, stawiając nakrycie dla nieoczekiwanego gościa, Marta pomyślała, że zaproszenie go do stołu, gdyby się zjawił, byłoby nie tyle uprzejmością wobec niego, ile wybawieniem dla nich.

Stefan uszanował starania żony. Gdy przyszedł wieczór, podzielił się opłatkiem, zjadł, co przygotowała, przyjął prezent, odwzajemnił się nawet, a potem zaczął oglądać telewizję.

A ona, po zmyciu naczyń, usiadła bezradnie. Znow przyszała pora odganiania smutku.

Nie wiedziała, co robić.

Wyszłabym gdzieś – pomyślała.

Wigilia nie jest czasem odwiedzin. Nocny spacer? Ale dokąd? I wtedy przypomniała sobie ulicę Pogodną.

Podeszła do regału, na którym Stefan gromadził mapy wykorzystywane podczas niedzielnych wędrówek wokół miasta. Chwilę potrwało, zanim przypomniała sobie adres willi, w której znajdował się gabinet dentystyczny. Pogodna musiała być gdzieś niedaleko. Zatoczyła palcem krąg wokół tego miejsca. Pogodnej nigdzie na mapie nie było.

Czyżbym aż tak daleko zaszła, szukając drogi? – pomyślała zdziwiona.

Przewróciła mapę na drugą stronę, gdzie w porządku alfabetycznym znajdował się wykaz wszystkich ulic. I tu też takiej nazwy nie znalazła. Nieprawdą więc było to, co usłyszała tamtej nocy od nieznanego Mateusza. Ulica, na której się wtedy błąkała, nie nazywała się „Pogodna”.

Ki diabeł? – pomyślała, przypominając sobie tamte wydarzenia.

I zapragnęła znowu się tam znaleźć. Dziś mogła mieć dobry pretekst.

– Pójdę na pasterkę – zakomunikowała Stefanowi, zastając go już w łóżku.

Nie krył zdumienia jej decyzją, ale nie protestował.

Ubrała się ciepło i ruszyła na przystanek autobusowy. Wkrótce jednak zmieniła plany. Miała ochotę przejść się, nawet jeśli byłby to dłuższy marsz. Na szczęście nikt jej nie ponaglał.

Nikomu nic do tego – pomyślała.

Wieczór był cichy, dość mroźny. Kto żyw, spożywał wieczerzę lub zalegał w głębokim fotelu po spożyciu. Tylko światła miasta było po stokroć więcej niż zwykle, bo pomnożone zostały o szaleństwo dekoracji świątecznych. Wszystko migotało, olśniewało, radowało oczy i kusilo: „Spójrz na mnie!”. Sklepy, urzędy, a nawet prywatne posesje oszałamiały tą świetlną pstrokacizną. Wszędzie pełno szopek elektrycznych i świętych mikołajów na saniach powożonych przez renifery, a w każdym oknie elektryczne, migające gwiazdki. Tak wyglądało śródmieście, podobnie ozdobiono też domy na peryferiach miasta, w okolicach gabinetu dentystycznego.

Zaczęła się rozglądać za ulicą ze wspomnień.

Dziś ta baśniowa ulica powinna tym się wyróżniać, że domki nie będą miały żadnych krzykliwych ozdób – pomyślała. – W przeciwnym razie nie będzie to ulica Pogodna.

Po jakimś czasie, zbliżając się już do granic miasta, znalazła jedną, na tyle ciemną, że mogła spełnić to kryterium. Prawie nieodśnieżona, z kilkoma ledwo żywymi latarniami, z których jedna migotała, jakby nadawała SOS, i z niewielką ilością łagodnych światła w niektórych oknach, co świadczyło o tym, że i tu ludzie czuwają.

Skreśliła. Innego dnia może by się trochę bała, ale dziś uznała, że nawet bandziory siedzą za stołem. Weszła w mrok. Pierwszy raz tego wieczoru mogła dostrzec gwiazdy. Odetchnęła z ulgą i dopiero teraz poczuła niezwykłą świąteczną atmosferę. Nigdy dotąd w Wigilię nie była tak zupełnie sama. Szła niespiesznie, rozglądając się wokół w nadziei, że dostrzeże coś znajomego, co jej przypomni wydarzenia tamtego wieczoru, a także spoglądając ku niebu, jakby tam spodziewała się ujrzeć jakieś znaki.

Nic nie wskazywało na to, że jest to tamta ulica Pogodna. Nic też nie było takie samo jak wtedy. Bo też wtedy prawie nic nie zobaczyła. Tylko deszcz i mgłę, i snopy światła z latarki. I śnieg, który rósł.

Minęła już ostatnie domki, zostawiając za sobą lunę świateł wielkiego miasta. Przed nią otwierała się pusta przestrzeń i majacząca na horyzoncie ciemna ściana lasu. Marta powinna już wracać, ale szła dalej jak zaklęta.

Wtedy w ciemności rozległo się głośnie ujadanie. Idąc, nie spostrzegła znajdującego się trochę w głębi rozległego terenu ogrodzonego metalową siatką, teraz bronionego gorliwie przez dwa potężne rottweilery. To był jakiś plac budowy.

Już chciała zawrócić, gdy nagle psy ucichły. Uspokoił je widok zbliżającego się właściciela.

– Co pani tu robi? – padło pytanie w ciemności.

W głosie starego człowieka, który podszedł do ogrodzenia, słychać było zdziwienie.

A Marcie od razu przypomniało się tamto zdarzenie – wtedy też ktoś wychynął z ciemności, aby się na jej widok zdziwić.

– Przechodziłam – odpowiedziała.

– Ejże, paniusiu! Tutaj? O tej porze? W Wigilię? A może potrzebna pani pomoc? – Głos zmieknął nieco.

– Nie, nie, nie – zaprzeczyła gwałtownie Marta.

W tym momencie pojawiła się jeszcze jedna postać, drobniejsza. Kobieta trzymała psie miski.

– A może chce się pani ogrzać? – dopytywał tymczasem mężczyzna. – Zbłąkany wędrowiec w Wigilię to wielki dar! – dodał.

– Prosimy – powiedziała kobieta.

Jej głos był znacznie młodszy, a śpiewny akcent wskazywał przybyszkę zza wschodniej granicy.

– Ale gdzie się ogrzać? – spytała Marta, rozglądając się dokoła.

– Tam. – Kobieta wyciągnęła rękę, wskazując na ledwo widoczny obiekt.

To były dwa kontenery stojące jeden na drugim. Na dole było ciemno, a na górze, w małym okienku, tliło się leciutkie światełko.

Obecność kobiety ośmieliła Martę. Nabrała ochoty, aby zajrzeć do tego słabo oświetlonego, nieprzytulnego z zewnątrz pomieszczenia.

Nie odmówiła, więc stary człowiek podszedł do furki, wyciągając z kieszeni klucze.

– Psów się nie bać – powiedział, otwierając bramę.

Rzeczywiście, rottweilery, widząc zachowanie swojego pana, z rozjuszonych brytanów zmieniły się w przyjazne pieszczochy.

– Ja tylko na chwilę – zapewniła nieśmiało Marta i weszła przez bramę na plac budowy, a potem schodami do wnętrza na piętrze.

W środku panowały brud, smród i ubóstwo.

– To takie służbowe, kawalerskie pomieszczenie – wyjaśnił mężczyzna, jakby zgadywał, o czym gość myśli.

W końcu zobaczyła jego twarz. Niemłoda, nieładna.

Ot, cieć – pomyślała.

– Napije się pani herbaty? – zapytała tymczasem kobieta, wyłaniając się z mroku.

– Proszę sobie nie robić kłopotu – odparła Marta.

– Żaden kłopot, czajnik jeszcze gorący – odrzekła łamaną polszczyzną i nie pytając, wlała parujący wrzątek do kubka.

Wzrok Marty zaczął powoli przyzwyczajając się do mroku rozświetlanego tylko starym piecykiem z mocno rozgrzaną grzałką w środku i kilkoma świeczkami umieszczonymi w słoikach.

– Proszę siadać – zaproponował mężczyzna, uwalniając krzesło stojące przy stoliku z jakichś szmat.

Usiadła. Dostrzegła resztki wieczerzy. Na plastikowych, jednorazowych talerzykach leżały napoczęte kawałki ryby, jakieś grzybki, niedojedzone pajdy chleba.

– Może pani coś zje? – zapytał mężczyzna.

– Niedawno wstałam od stołu – wyjaśniła.

– Ale wypić za nasze zdrowie się pani zgodzi. – Stary sięgnął po niedopitą butelkę.

– W żadnym razie! – zaprotestowała. – W Wigilię nie piję.

– To nie uchodzi – powiedział stary – odmawiać wszelkiej gościny.

Nalał wódki do plastikowych kubków. Skapitulowała.

– Za Jego narodziny! – mężczyzna wzniosł toast.

Niepodobna było nie wypić.

– Wesołych świąt – bąknęła Marta konwencjonalnie.

Zakrzuszyła się i poczuła, jak ciepło rozlewa się po ciele. Wódka od razu uderzyła jej do głowy. Oboje gospodarze serdecznie się do niej uśmiechnęli.

– Pani patrzy – odezwała się kobieta.

Marta odwróciła się w stronę, którą wskazała gospodyni. A tam, okutane w wielką szmatę, prawie niewidoczne w mdłym świetle, spało niemowlę. Podeszła, pochyliła się nad nim. Gospodarze także się zbliżyli.

Jak on, taki stary, może być ojcem tego dziecka? – przebiegło Marcie przez głowę.

– Natasza przyplątała się zaraz po tym, jak mi żona umarła – wyjaśnił tymczasem szeptem mężczyzna, jakby znów zgadywał jej myśli. – Przyjechała z Ukrainy, szczęścia u nas szukać. I oto jej szczęście – powiedział, wskazując na dziecko. – Spotkałem ją kiedyś, jeszcze z brzuchem, tułającą się tutaj jak – nie przymierzając – pani dzisiaj. No i przygarnąłem. Najpierw sypiała w kontenerze, a potem, jak już urodziła, zaproponowałem, żeby zamieszkała w moim domu. Sprząta, gotuje i jakoś sobie radzimy. A dziś powiedziała, że posiedzi ze mną w robocie – bo ja tu jako stróż pracuję – choć to przecież nie jej święto, bo prawosławna, ale w taki wieczór, powiada, nie powinienem być sam.

Dziecko poruszyło się lekko, zapewne wyczuwając ich obecność. A oni we trójkę pochyłali się nad nim jak bydłeta z ludowych wizerunków szopki betlejemskiej.

W tym momencie rozdzwoniły się dzwony. Martę aż ciarki po plecach przeszły z wrażenia. Wzywano na pasterkę.

– Gdzieś tu niedaleko jest kościół? – spytała.

– Tak – odrzekł stary – ale ja nie mogę iść, a dla niej to nie święto.

– Ja pójdę – oznajmiła Marta i zaczęła się żegnać. – Wspaniale mnie państwo przyjęli.

– Wszystkiego dobrego – bąknął stary, po ojcowsku obejmując Ukrainkę.

Kobieta uśmiechnęła się, a niemowlę wymamrotało coś przez sen.

Kościelne dzwony wskazały Marcie drogę. Dotarła do świątyni nieco spóźniona. A tam tłum. Tyle że bardziej od kadzideł czuć było wewnątrz opary alkoholu, a na twarzach znużonych ludzi malowało się przejedzenie. Nie było podniosłego nastroju. Tego Marta doświadczyła bardziej w kontenerze na placu budowy.

Podczas nabożeństwa rozglądała się trochę, szukając kogoś ze wspomnień. W jednej z naw tyłem do niej stał człowiek wysoki, barczysty, masywniejszy od innych. Może to jego widziała wtedy na Pogodnej?

A że dziś była na tej ulicy, wydawało się niemal pewne...

* * *

A potem był sylwester i bal u przyjaciół Stefana.

Anka i Tadeusz mieli wielki dom i bardzo bankietowe usposobienie. Lubili otaczać się ludźmi. Zaliczali się do tych, którzy tyle są warci, ilu mają przyjaciół. W ich ogromnym salonie bez problemu pomieścić się mogła choćby i setka. I zwykle tylu się tu zbiegało. Bo też było zaszczytem bywać w tym gronie.

„Gdyby miało się bawić tylko siedemdziesiąt osób – zwykła mawiać Anka – tobyśmy się pogubili po kątach”.

I zawsze dbała o to, aby gości było jak najwięcej. Tajemnicą poliszynela było, że gospodarze za sobą nie przepadają i że ich gościnność to obrona przed samotnością we dwoje. Otaczający ich ludzie służyli za tarczę, za którą oni kryli się przed sobą. A goście ochoczo wywiązywali się z tego zadania, świetnie się przy tym bawiąc.

Jednym z magnesów, które przyciągały na te „salony” Anki i Tadeusza, był Stefan, rozsiewający wokół poetycką aurę. Marta lubiła tu z nim bywać, bo jej mąż w tym otoczeniu młodził, piękniał i na nowo zyskiwał ten blask, który tak ją niegdyś oczarował. Zawsze też znajdowała się grupa osób, które traktowały go z atencją, a Stefan brylował. Przyjmował wyrazy zainteresowania i uznania i był wtedy dla Marty wyjątkowo miły. Flirtując z innymi damami, zawsze do niej wracał, podkreślając zażyłość takimi gestami, których na co dzień skąpił. To skradł jej całusa, to objął, a ona przypominała sobie wtedy, jak wielkim szczęściem jest być jego wybranką.

Oczywiście, znaczenie miało też to, że była w tym gronie najmłodsza i najładniejsza. Przyjemnie było łowić zawistne spojrzenia pierwszej z trzech żon Stefana, która również należała do tej socjety.

„Jeszcze cię toleruje?” – zdawało się pytać jej spojrzenie.

Inni też czasem przyglądali się jej jak „trędowatej”, jakby chcieli powiedzieć: „Kimże ty jesteś?” i „Co tu robisz?”. Ale wtedy jej mąż, nieświadom tego wprawdzie, bo zajęty sobą, mimowolnie otaczał ją opieką, obejmując ramieniem. W takich chwilach Marta puchła z dumy.

Tegoroczny bal był podobny do poprzednich, choć jeszcze bardziej wystawny niż zwykle. Stoły ugięły się od jadła, stroje błyszczały, choć Marcie zdawało się, że duch zabawy nieco przygasł. Towarzystwo po czterdziestce, a nawet pod pięćdziesiątkę, dobrze się już znające, z wolna traciło wigor. Marta besztła się za to, że staje się wobec tych

ludzi zbyt krytyczna. Jadła więc, piła, płąsała, a gdy wybiła dwunasta, radośnie wieszala się znajomym na szyjach z życzeniami szczęśliwego Nowego Roku.

A potem jak zwykle nadchodził czas Stefana. Zgodnie z tradycją sylwestrowych bali po północy mąż Marty zamieniał się w poetycką pytię. Zwykł przygotowywać szkic utworu, który miał być swoistą podróżą w przyszłość. Trochę horoskop, wróżba, przepowiednia. Konwencja upoważniała go do przemawiania tonem „pytyjskim” właśnie, czyli niezrozumiałym i tajemniczym. Zadanie ułatwiał spożyty w dużych ilościach alkohol. Niby była to zabawa, ale znajdowali się i tacy, którzy pilnie notowali słowa „wieszczka”. Stefan zasiadał na kanapie, wokół niego gromadziły się lekko rozerotyzowane wielbicielki, które różnymi częściami ciała starały się przylgnąć do jego poetyckiej osoby, a on improwizował.

Tym razem jednak Stefan przedawkował środki odurzające, a jego monolog przerodził się w bełkot. Zwłoki poety złożone zostały na łożu w jednej z sypialni, a następnego ranka przewiezione przez Martę do ich domu, gdzie po południu zmartwychwstały.

* * *

Obecność na balu sylwestrowym zaowocowała zaproszeniem Marty na „sabat czarownic”, organizowany rotacyjnie w domach kilku dam. To były panie dla tego środowiska opiniotwórcze, więc przebywanie w ich gronie świadczyło o dobrej pozycji towarzyskiej, co dla „trędowatej” Marty miało pewne znaczenie. Najważniejsze jednak, że Stefan mógł być zadowolony, skoro żona nie tylko nie przynosi mu wstydu, ale dzięki temu wyróżnieniu współtworzy jego pozycję.

Nigdy więc nie odmawiała, gdy ją zapraszano. Przeciwnie, nieustannie obawiała się, żeby nie wypaść z listy, choć po prawdzie nie lubiła tych spotkań. Miała poczucie, że jest coś lekko perwersyjnego w tym, że zapraszały ją kobiety starsze od niej o kilkanaście lat, o wiele bardziej doświadczone, i bez zahamowań opowiadały o swoim nieudanym życiu, jakby chciały dać jej do zrozumienia, że jej też nie czeka nic lepszego. Z tych spotkań wychodziła zawsze przygnębiona.

Tym razem też miała mieszane uczucia. Chciała pokazać Stefanowi, że jest na towarzyskiej „top liście”, a równocześnie pragnęła przeżyć to szybko i w miarę bezboleśnie.

– Pamiętasz, że idę dziś na sabat? – spytała, chcąc raz jeszcze mu przypomnieć o tym zaszczycie, a równocześnie pochwalić się kreacją, którą wybrała, wiedząc, że panie przywiązują wielką wagę do dbałości o wygląd.

– Tak, tak – odrzekł Stefan roztargnionym tonem, nawet na nią nie patrząc.

Możliwe, że właśnie nawiedziła go muza – pomyślała Marta z lekką irytacją.

Tym razem sabat miał się po raz pierwszy odbyć u Dory, niepracującej żony zamożnego przedsiębiorcy, zajmującego się chyba nieruchomościami. Martę, gdy tam weszła, oszołomił przepych tego miejsca. To był luksusowy apartament urządzony z takim szykiem, że trudno było ukryć podziw. Dora cierpliwie czekała, aż Marcie minie niemy zachwyt, a potem zaprosiła do znajdującego się w środku rozległego salonu stołu, przy którym rezydowały już pozostałe czarownice.

W tle cicho snuły się dźwięki modnych ostatnio w tym gronie pieśni chóralnych à la chorał gregoriański.

Rozmowa się nie kleiła, panie skubały tylko jakieś przekąski, którymi zastawiony był stół. Dopiero gdy Marta zajęła miejsce, gospodyni wyjęła z barku butelkę dobrej whisky i postawiła w centralnym miejscu stołu.

– Ja dziś nie mogę pić – powiedziała – ale wy poprawcie sobie nastrój.

– Ja też nie mogę – odpowiedziała Hanka-malarka.

– I ja dziś nie piję – wyznała Jolka-lekarka, zasłaniając szklaneczkę dłonią.

– Co się dzieje? – spytała Dora, gdy i czwarta biesiadniczka, Rena, pokręciła przecząco głową.

– Dostałam leki od psychiatry. Mam absolutny zakaz picia – wyjaśniła Rena.

Wszyscy w towarzystwie wiedzieli, że w życiu Reny niedobrze się dzieje, nic dziwnego zatem, że nie obeszło się bez pomocy lekarskiej.

– Ja też dostałam prochy – wyznała Hanka-malarka i dodała: – Depresja.

– Ja sobie te prochy sama zapisałam – z lekkim rozbawieniem oznajmiła z kolei Jolka-lekarka.

W tym momencie Dora osunęła się na krzesło, zarykując się ze śmiechu.

– Biorę leki na depresję – wykrztusiła po chwili.

Ponury nastrój minął w jednej chwili. Nikt by nie uwierzył, że cztery rozbawione panie w średnim wieku, zgromadzone przy tym stole, to pacjentki z ciężkimi objawami depresji.

Marta patrzyła na to wszystko bez sympatii.

Jeśli wszystko już masz – pomyślała – to co jeszcze możesz mieć? Depresję.

– W takim razie tylko ty możesz się napić – podsumowała Dora, stawiając przed Martą butelkę whisky – bo ty, mam nadzieję, jeszcze na depresję nie cierpisz.

Marta pokręciła przecząco głową i nie było jasne, czy dlatego, że nie chce pić, czy dlatego, że nie ma depresji.

Od pozostałych czarownic popłynęły skargi. Najwięcej o swoich problemach mówiła Jolka-lekarka, którą mąż, słynny adwokat, notorycznie zdradzał. Rena problemów z mężem już nie miała – porzucił ją bowiem, spierając się teraz paskudnie o majątek, syn zaś stał się narkomanem. Najmniej powodów do stanów depresyjnych miała – jak się zdawało – Hanka-malarka, była bowiem na utrzymaniu zamożnego męża, nie musiała więc nic robić, tylko malować te swoje obrazki. Artystycznej duszy jednak niewiele trzeba, aby cierpieć. Toteż Hanka cierpiała – bo nie widziała dla siebie perspektyw.

Marta słuchała tych wyznań z narastającą udręką. Jakby wszystkie troski tych kobiet spadały na nią. One zaś opowiadały o nich z coraz większą lekkością.

Jestem tu tylko po to, aby odprowadzić te wszystkie smutki jak jakiś kanał ściekowy – pomyślała.

– Najgorsze jest uczucie beznadziei – sentencjonalnym tonem podsumowała Hanka-malarka swoją wypowiedź – bo tak jak jest źle, tak już pozostanie.

– Może być gorzej, może być lepiej, ale nigdy nie będzie tak, jak jest – zaoponowała Jolka-lekarka.

– Nie może już być tak, jak było wcześniej, bo gorzej być nie może – podsumowała porzucona Rena. – Musi więc być inaczej, może lepiej?

Marta naląła sobie whisky, co wzbudziło entuzjazm pozostałych pań.

– A jak tam u ciebie, kochanie? – zwróciła się do Marty jedna z nich, jakby dopiero teraz ją zauważyła.

– Dobrze, spokojnie, bez wstrząsów – odrzekła.

I wybuchła płaczem.

Panie taktownie zamilkły. Osiągnęły zamierzony efekt.

– *No patrz, rozplakało się szczęście*[1] – westchnęła w końcu Hanka-malarka, ze zrozumieniem cytując poetę.

Czarownice zwietrzyły krew – pomyślała Marta, rozpaczliwie próbując powstrzymać płacz.

Ale łzy ciurkiem spływały jej po policzkach.

– Przepraszam – wyszeptała zaskoczona swoją reakcją – jakaś jestem ostatnio...

– ...labilna emocjonalnie. – Jolka-lekarka ze zrozumieniem pokiwała głową, podając jej profesjonalnym gestem chusteczkę higieniczną wyciągniętą z torebki, i nietaktownie zaczęła się zbierać.

Łzy Marty zdawały się znaczyć tyle samo co wszystkie inne dzisiejsze wyznania.

– Gdybyś chciała, kochanie, to mamy bardzo dobrego psychoterapeutę – szepnęła jeszcze, pochylając się nad Martą, porzucona Rena, zanim i ona ruszyła do przedpokoju po płaszczy.

Miało to chyba znaczyć: „Witaj w klubie”.

– Posiedź jeszcze trochę – poprosiła Martę gospodyni, gdy pozostałe panie zgromadziły się już przy drzwiach wyjściowych.

Marcie było to na rękę, bo nie chciała wychodzić razem z tamtymi. Jeszcze przez chwilę za drzwiami słychać było ożywiony szczebiot żegnających się pań cierpiących na depresję, a gdy wszystko ucichło, Dora wręczyła Marcie niedopitą szklaneczkę whisky i zapraszającym gestem wskazała kanapę przed pięknym kominkiem, w którym radośnie buzował ogień.

Zapadło milczenie. Marta nie przepadała za Dorą, bo sprawiała wrażenie wyjątkowo wyniosłej i zarozumiałej. Takim właśnie tonem przemówiła, gdy w końcu przerwała ciszę.

– Wszystkie mamy wrażenie, że Stefan cię tłamsi i że musisz mieć wreszcie w życiu coś własnego.

Coście się wszyscy zmówili? – pomyślała Marta w popłochu, przypominając sobie słowa Stefana, a na głos powiedziała:

– Nie chcę o tym mówić.

– Oczywiście, kochanie, oczywiście... – wyrozumiale zgodziła się Dora.

Znów zapadło milczenie. Tylko drewno buzowało w kominku, dając odrobinę ciepła.

Uwaga gospodyni zaskoczyła Martę, ponieważ to o Dorze właśnie plotkowano jako o nadopiekuńczej żonie i matce. Wiadomo było, że zajmuje się wyłącznie rodziną.

– Nawet nie wiesz, jak rozumiem twoje problemy... – wyznała Dora.

O czym ona mówi? – zdziwiła się Marta, bo przecież nigdy nie skarżyła się na swój los.

Tych kilka łez uronionych dziś z powodu emocjonalnej labilności ma świadczyć o poważnych problemach w jej życiu?

– Muszę się wreszcie stąd wyrwać – oznajmiła raptem Dora, wskazując otoczenie.

Marta aż zachłysnęła się whisky, którą właśnie łyknęła.

– Z ciebie jest takie pocziwe dziecko, trudno więc będzie ci to zrozumieć, ale ja nie mogę już z nimi wytrzymać.

Marta oniemiała ze zdumienia.

– Ksawery budzi we mnie obrzydzenie. Nie mogę go dotknąć, nie jestem w stanie na niego patrzeć – wycedziła Dora lodowatym tonem Królowej Śniegu. – A Paulinka mnie złości. Oboje są teraz na zimowisku.

Zapadła krępująca cisza. Marta pomyślała: Co ty mi przez to chcesz powiedzieć?

– Każdy ma takie momenty w życiu, ale to nie powód, aby rozwalać rodzinę – powiedziała.

– Też tak sądziłam – zgodziła się Dora. – I to od dawna, bo od chwili przyjścia córki na świat. Nie zaznałam radości macierzyństwa. I od tych jedenastu lat opieka nad Paulinką sprawia mi wielki trud. Walczę o zainteresowanie swoim dzieckiem, jak inni walczą o uczucie ukochanego. Nie potrafię jej pokochać. Terapeuci zalecają mi aktywność, zwłaszcza aktywność na rzecz rodziny. Dlatego mam takie piękne mieszkanie. Urządzenie go było formą terapii. A teraz stało się to, co najgorsze – ciągnęła piękna, zadbana, wytworna kobieta, której, zdawać by się mogło, niczego do szczęścia nie brakowało – nie mam już o co walczyć, nie mam już czym się zająć. Pozostaje tylko ten mój brak miłości. Czuję się jak wydrążona od środka. – W oczach Dory pojawiły się łzy. – Trudno sobie wyobrazić, jak bardzo pustka może boleć! – zdążyła jeszcze dodać, zanim rozszlochała się na dobre.

Marta w popłochu zaczęła szukać chusteczek. A gdy znalazła je w łazience, podsunęła Dorze pod rękę opiekuńczym gestem.

– Oni oboje, Ksawery i Paulinka, nie są niczemu winni – podjęła po chwili Dora. – Jedyne, co mogę zrobić, żeby ich dłużej nie ranić, to odejść.

Ta konkluzja rozzłościła Martę. Nie rozumiała logiki wywodów Dory.

– Nie odchodź od nich tylko dlatego, że ich nie kochasz – powiedziała bez przekonania.

– Oczywiście, kochanie, oczywiście – bezwiednie przytaknęła Dora.

Skąd pomysł, żeby to opowiadać akurat mnie? – Ta myśl nie dawała Marcie spokoju.

– Może uda ci się uniknąć moich błędów – powiedziała Dora, jakby usłyszała to pytanie.

Posiedziały jeszcze chwilę w milczeniu. Dora, aby jej dramatyczne i egzaltowane wyznanie mogło elegancko wybrzmieć, ponownie nastawiła smętne pieśni à la chorał gregoriański. Marta spojrzała jej w oczy. Nie było tam już łez. Pokiwała głową, dopiła whisky i podniosła się z kanapy na znak, że na nią już czas.

To jakieś „wampirium” – pomyślała, z ulgą zatrzasnąwszy za sobą drzwi. – Te kobiety, wpierają mi depresję jak ciężę w brzuch.

* * *

Jakby na potwierdzenie tych przypuszczeń już następnego dnia Dora zadzwoniła do Marty z informacją, że udało jej się załatwić nieodległy termin wizyty u znajomej psychoterapeutki. Marta zaprotestowała, tłumacząc, że nie widzi potrzeby, ale Dora upierała się przy swoim.

– To ci nie zaszkodzi, a może pomóc. Potraktuj tę wizytę jako prezent noworoczny ode mnie.

Ta propozycja potwierdzała obiegową opinię o Dorze jako osobie niezwykle uczynnej. Marta wiedziała już teraz, że to jedna z metod zagłuszania wewnętrznej pustki, na którą Dora się uskarżała.

Podziękowała, obiecała, że pójdzie.

– Podjadę z tobą, żebyś się przypadkiem nie rozmyśliła – zaproponowała Dora. – Wiem, jak trudno samemu się zmobilizować w takim stanie ducha.

Ona mnie już zdiagnozowała – pomyślała Marta w popłochu.

Kilka dni później umówiły się o piętnastej pod dziekanatem, bo o tej godzinie Marta kończyła pracę. Perspektywa wizyty w gabinecie psychoterapeutycznym sprawiła, że obowiązki zwykle przez Martę wykonywane mechanicznie tego dnia wprawiły ją w rozdrażnienie. Stosy papierzysek piętrzyły się jeszcze wyżej, mnożyły się właśnie z interesantami, którzy ustawiali się w kolejce, aby wyrazić swe pretensje, nad głową nieustannie szumiało ksero, a wszystko to pod czujnym okiem kostycznej szefowej, która snuła się jak zawsze między biurkami niczym strażnik więzienny. Co prawda, dzięki niej w całym tym bałaganie mógł panować jaki taki porządek, ale działo się to bez jednego uśmiechu, bez jednego miłego słowa, ani dla interesantów, ani dla współpracowników. Relacje w dziekanacie były chłodne i urzędowe. „Cześć” na dzień dobry, „cześć” na do widzenia i ani słowa więcej poza suchymi komunikatami służbowymi.

„Dobrze jest, jak jest” – powtarzała zwykle Marta, mając na myśli etat i stałą pracę, ale dziś atmosfera tego miejsca wyjątkowo dała jej się we znaki, wprawiając ją w przygnębienie.

Punkt piętnasta wymiotło pracowników z dziekanatu. Dora już czekała.

– Marnie wyglądasz – rzuciła na powitanie.

I uśmiechnęła się, jakby miała za chwilę machnąć czarodziejską różdżką i odmienić zły los.

Marta wsiadła do jej auta i pomknęły przez zmrożone ulice. Był piękny dzień, choć słońce powoli zmierzało już ku zachodowi. Dora utrzymywała, że nie zdemolowała jeszcze swojego życia rodzinnego wyłącznie dzięki tej lekarce, do której się właśnie udają.

Wkrótce zatrzymały się przed drzwiami kliniki mieszczącej się w nowoczesnym domu wybudowanym na skraju brzydkiego, starego osiedla z lat siedemdziesiątych.

– Za pół godziny przyjadę po ciebie, to mi wszystko opowiesz – oznajmiła Dora i odjechała do nieodległego centrum handlowego.

Chwilę potem Marta stała przed ślicznie uśmiechniętą recepcjonistką, ściskając w dłoni kartkę, na której widniało nazwisko lekarki.

– Dwieście złotych, bardzo proszę – usłyszała.

– Ile? – spytała Marta zdumiona.

– Tyle u nas kosztuje wizyta. – Recepcjonistka nie przestawała się uśmiechać.

Marta odwróciła się na pięcie, żeby wyjść. Nie miała ochoty dopłacać do tego interesu.

– Przepraszam, zaszło jakieś nieporozumienie – zatrzymał ją głos dziewczyny. – Mam tu dyspozycję przelania pieniędzy na nasze konto.

– Oj, ta Dora! – westchnęła Marta i pomyślała, że nie ma sensu marnować tych pieniędzy.

– Gabinet numer osiem – poinformowała recepcjonistka, ponownie ciepło się uśmiechając.

Pani psycholog już czekała, uśmiechając się równie zachęcająco jak recepcjonistka.

W sterylnie czystym i prawie pustym pomieszczeniu był tylko stół i dwa fotele ustawione naprzeciwko siebie. Mała lampka oświetlała wnętrze chłodnym blaskiem. Na stole zaś leżało otwarte pudełko chusteczek higienicznych.

– Proszę mówić – odezwała się pani psycholog aksamitnym głosem. – Mamy dla siebie całe dwadzieścia pięć minut.

Nie spuszczać wzroku z pacjentki, zdjęła z ręki mały, elegancki zegarek i położyła go na blacie biurka.

– Zaczę od tego – powiedziała Marta zachrypniętym szeptem, speszona aurą tego wnętrza – że na wizyty u pani za dwieście złotych nie będzie mnie stać.

Usta pani psycholog nie przestały się uśmiechać, tylko jej oczy zrobiły się stalowe. Chwilę milczała, jakby taksowała klienta, i spytała:

– A dwudziestoprocentowa zniżka by pani odpowiadała?

Wizyta już na wstępie zaczęła przypominać negocjowanie kontraktu. Pani psycholog musiała jednak dostrzec zaniepokojenie pacjentki, bo zmieniła front.

– Proszę mówić – szepnęła czule, a jej oczy ze stalowych stały się znów współczujące i rozumiejące.

Marta nie chciała mówić, chciała wyjść.

Ale szkoda tej kasy wydanej przez Dorę – pomyślała znowu.

– Czy są myśli samobójcze? – zapytała pani psycholog na dobry początek.

– Nie, jest tylko labilność uczuciowa – wyrecytowała Marta słowa Jolki-lekarki.

Pani psycholog z uznaniem kiwnęła głową, jakby dawała do zrozumienia, że podoba jej się, iż ma do czynienia z pacjentem partnerem, który zna się na rzeczy.

I zapadło milczenie.

– Co pani może dla mnie zrobić? – spytała Marta.

– Wysłuchać panią.

Dwadzieścia pięć minut za dwieście złotych – podsumowała w pamięci Marta i postanowiła skorzystać z okazji.

– Niby wszystko jest w porządku, ale coś jest nie tak – zaczęła.

– Na przykład? – Pani psycholog ciągnęła ją za język.

– Na przykład: kocham męża, ale go nie lubię. – Marta samą siebie zaskoczyła tym wyznaniem. – Cieszę się, że mam pracę, ale jej nie lubię – brnęła dalej z rosnącą odwagą. – Mam przyjaciół, ale ich nie lubię. Bo też nie są to moi przyjaciele, ale przyjaciele męża. Własnych przyjaciół od dawna już nie mam. Wiem, że powinnam coś zmienić, ale nie wiem ani jak, ani na co, ani po co. Czasami aż mnie brzuch boli ze strachu przed życiem.

To brzmiało nieco tragicomicznie, ale w oczach pani psycholog Marta dostrzegła zrozumienie i współczucie. Za dwieście złotych coś się w końcu należało.

– Ale tak jest naprawdę! – powiedziała Marta, jakby tamta chciała przeczyść.

I na dowód popłakała się znowu. Wiadomo, labilność emocjonalna...

Pani psycholog, nie zwlekając, podsunęła jej pudełko z chusteczkami.

Te chusteczki są dziś na wyposażeniu każdej żony modnej – pomyślała Marta, przypominając sobie sabat czarownic u Dory.

I z potężną furią wysmarkała się, z trudem łapiąc oddech. Pani psycholog czekała cierpliwie.

A Marta coraz gorliwiej wchodziła w rolę ofiary.

– Chyba potrzebuję pomocy, bo sama sobie nie umiem pomóc.

– Czego więc pani ode mnie oczekuje? – padło pytanie.

– Jakichś prochów – odrzekła Marta. – Jak kogoś boli głowa, to bierze tabletkę przeciwbólową. A mnie boli dusza...

– Nie jestem entuzjastką pochopnego stosowania farmakologii – wyjaśniła pani psycholog. – Moim zdaniem od objawów ważniejsze są przyczyny.

– To co pani proponuje?

– Terapię, która pozwoliłaby nam lepiej się poznać.

– To znaczy?

– Spotkania, rozmowy...

Zabrzmiało to jak zaproszenie do flirtu. I ten budzący zaufanie uśmiech...

– Jak często? – dopytywała się Marta, czując, że łyzy wzruszenia nad losem wysychają.

– Raz w tygodniu.

– Jak długo?

– Do skutku.

Uśmiech do szczętu zniknął z oblicza terapeutki. Wrócił ton negocjacji.

– A kiedy można się tego skutku spodziewać? – spytała Marta.

– Nigdy nie wiadomo, podobnie jak nie wiadomo, czy pozytywny skutek jest w ogóle możliwy do uzyskania.

– Czyli bez gwarancji?

– Czyli bez gwarancji – potwierdziła pani psycholog.

– Próbuje pani zawrzeć ze mną kontrakt – podsumowała Marta, czując wzbierającą falę wściekłości – ale bez żadnych zobowiązań z pani strony.

– W każdej chwili może się pani wycofać – usłyszała w odpowiedzi.

– To ja zrobię to od razu – oznajmiła Marta, wstając zza biurka.

I wybiegła z gabinetu, trzasnąwszy drzwiami. W holu pożegnał ją ujmujący uśmiech recepcjonistki.

Rozchełstana, niezapięta, z przekrzywioną na głowie czapką, może trochę wyglądając na wariatkę, która bezzwłocznie potrzebuje terapii, sięgnęła do torebki po notes i długopis. Ze zdenerwowania nie umiała bowiem policzyć w myśli, a koniecznie chciała wiedzieć, ile zapłaciłaby za rok takiej kuracji. Tygodni w roku jest pięćdziesiąt dwa, czyli – jak szybko obliczyła na kartce – za możliwość pogadania z panią psycholog musiałaby zapłacić dziesięć tysięcy czterysta złotych. Bez gwarancji.

Wolę to wydać na lody – podsumowała z rozdrażnieniem.

Nie opuszczało jej wspomnienie zawodowego ciepłego uśmiechu i stalowego wzroku pani psycholog.

Jezu! Gdyby ze mną było naprawdę źle, gdybym naprawdę miała myśli samobójcze – pomyślała – to nie otrzymawszy od niej pomocy, z pewnością bym się zabiła. A ona by nawet o tym nie wiedziała, licząc w tym czasie zyski.

Po co mi Dora zafundowała ten cyrk?

Po chwili jednak musiała przyznać, że doświadczone jędze z sabatu szybciej od niej spostrzegły, że przechodzi jej już powoli bałwochwalczy zachwyty nad życiem ze Stefanem i że rodzi się problem, bo w zamian Marta nie ma nic.

„Mieć coś własnego!” – jak echo zaczęło się znów błąkać po jej głowie.

Rozejrzała się, jakby wypatrując instrukcji. Ale była sama na osiedlowym skwerze przed kliniką i nie dostrzegała żadnych wskazówek.

Może po to Dora mi się zwierzyła – pomyślała – aby mnie przestrzec przed perspektywą tej pustki, która nią zawładnęła? Może dlatego zafundowała mi tę psychoterapeutkę?

Pomyślała o przyjaciółce z wdzięcznością, ale spotkać się z nią już nie chciała. Wyciągnęła telefon, zadzwoniła, podziękowała, przeprosiła i wymówiła się od wspólnej włości po centrum handlowym.

A potem ruszyła przed siebie. Po raz kolejny ostatnimi czasy ruszyła przed siebie.

Dopóki droga sama ją prowadziła, Marta szła bez zastanowienia, ale gdy doszła do skrzyżowania ulic, zawahała się.

Może znów pomyślała o Pogodnej. Ale była w zupełnie innej części miasta. Coś innego przykuło jej uwagę. Szyld na drzwiach, który miał kształt strzałki, i napis: „Wyjście ewakuacyjne”.

Nie sposób było nie skorzystać z pouczenia.

Dokąd mnie to doprowadzi? – pomyślała nieco rozbawiona swoją sytuacją.

Doprowadziło do zwady. A to z racji zmroku, który zaczął już zapadać. Idąc naprzeciwko szykownej damy z pieskiem, Marta nie dostrzegła smyczy, która łączyła te dwie istoty. Potknęła się o nią, śnieżną breją zalegającą chodnik ochlapując eleganckie palto właścicielki psa. Pies się rozszczękał, a jego właścicielka rozwrzeszczała.

– Jak to się chodzi! – krzyczała.

– Przepraszam – bąknęła Marta zaskoczona.

– Nie mogłabyś uważać, suko? – warknęła kobieta, otrzepując płaszcz.

– Pani mówi do mnie czy do niej? – zapytała Marta, wskazując psa.

– Żarty jej się trzymają! – mamrotała pod nosem właścicielka psa. – Dziwka jedna!

Marta aż się rozejrzała, czy nieznajoma na pewno ją ma na myśli.

– Ja panią bardzo przepraszam – powtórzyła jeszcze pojednawczym tonem, ale że tamta miotała nadal bluźnierstwa na jej temat, wzięła głęboki oddech i z uśmiechem jak żądło wyszeptała: – Spierdalaj.

Kobietę przytknęło, ale chyba tylko dlatego, że Marta z ust jej wyjęła to określenie.

O Jezus, ale przepełniona złością! – pomyślała, odchodząc. – Chyba była przed chwilą u psychoterapeuty i wydała dwieście złotych za dwudziestopięciominutową wizytę.

Nie poprawiło jej to nastroju. Przeciwnie, naładowało złą energią.

To ma być wyjście ewakuacyjne? – pomyślała z przekąsem.

Szybko nadarzyła się sposobność wzięcia odwetu na nieżyczliwym świecie. Na środku chodnika, tarasując przejście, stał chłopak i czytał afisz zawieszony na słupie ogłoszeniowym. Marta mogła przejść przed jego nosem i na chwilę zasłonić plakat. Była tak rozdrażniona, że uczyniłaby to bez wahania. Ale w ostatniej chwili wykonała mały łuk za jego plecami i nie przeszkodziła w lekturze.

Z naprzeciwka zbliżał się wyglądający na kulturalnego mężczyznę, więc Marta odwróciła się z ciekawością, jak też on postąpi. Mężczyzna przeszedł chłopakowi przed nosem.

To może nic naganego – pomyślała Marta – ale nieuprzejmie.

Marta była z siebie zadowolona, że pomimo scysji z panią z pieskiem opanowała emocje i zachowała się jak trzeba.

I tak w jej skołatanej głowie zrodziła się idea gry w uprzejmość.

Tamta chamka na mnie nawrzeszczała, czyli jeden zero dla niej. Ja nie przeszkodziłam chłopakowi w lekturze, to jeden zero dla mnie. W rezultacie – podsumowała – jeden do jednego.

Spodobała jej się ta idea. Choć od razu uświadomiła sobie, że rozgrywka ma jeden defekt: nieuprzejmość dudni niepohamowanym wrzaskiem, a uprzejmości nie dostrzegł nawet ten, ku któremu była skierowana.

No cóż, ciche to będzie zwycięstwo – pomyślała i ruszyła z zamiarem kontynuowania gry.

Teraz musiała zacząć wyteżać wzrok, aby stworzyć sobie w ogóle szanse na udział w grze, co skutecznie odwiodło ją od ponurych myśli. Szybko zresztą miała się przekonać, że z okazjami wejścia do gry nie będzie większych problemów. Ujrzała bowiem starszego pana o dwóch kulach, który próbował sforsować nieprzyjazne drzwi do apteki.

– Pomogę panu – zaproponowała ochoczo.

– Niech pani wejdzie pierwsza i przytrzyma drzwi – poprosił.

Tak też uczyniła. A gdy tak stała przy nich, a mężczyzna przeciskał się do środka, nawinęła się jeszcze wychodząca otyła kobieta.

– To i ja skorzystam – powiedziała, uśmiechając się nieśmiało.

Dobra nasza – pomyślała Marta, odwzajemniając uśmiech. – Dwa punkty za jednym zamachem. Wynik: trzy do jednego.

Nie chodziło o to, że wcześniej nigdy nie była uprzejma, ale nie tworzyła reguł dla takiego postępowania.

Jak niewiele trzeba, by zapomnieć o psychoterapii i lepiej się poczuć – dodała w duchu na pocieszenie.

I zrelaksowana ruszyła dalej przed siebie.

* * *

W niedzielę wybrali się ze Stefanem na narty. We trójkę, z Misią-Monisią. Marta nigdy nie przepadała za sportami zimowymi, a za nartami w szczególności, bo niepodobna przecież mieć aż tak długich stóp. Jej próby opanowania tej sztuki skończyły się kiedyś blamażem na jakiejś oślej łączce, gdy ku uciesze gawiedzi narty i nogi skrzyły się w jakiś skomplikowany splot jak, nie przymierzając, u disnejowskiego psa Pluto. Nie mogła potem pojąć, co jest czym, a gdy się wyplątała z całej tej awantury, poprzysięgła sobie, że nigdy więcej. Odtąd była tylko kierowcą w wyprawach swego męża albo z jego przyjaciółmi, albo z jego córką. Gdy tamci szusowali po stoku, ona włóczyła się po okolicach.

Tak było też i tym razem. Stefan z Misią-Monisią wykupili karnet, a ona miała zająć się sobą.

Najpierw jednak trzeba było ponad godzinę spędzić wspólnie w samochodzie. A to nie należało do przyjemności. Córka Stefana to dziwne dziecko. Rodzice filolodzy, oboje mają podręcznikową wiedzę na temat poprawności językowej i oboje, a zwłaszcza matka, nieustannie wygłaszają swoje nauki, w wyniku czego Misia-Monisia stała się strasznie przemądrzała. A ponieważ jej matka, zgorszona nowoczesną nowomową nastolatków, ciągle strofuje córkę słowami: „Mów, dziecko, pełnymi zdaniami”, to efekt jest taki, że dziecko te zdania nad miarę przepęlnia, wykonując jakieś stylistyczne koloratury.

Teraz też, gdy jechali w góry, dało się rozpoznać ten styl: „Nawet nie potrafiłbyś sobie wyobrazić, tatusiu, jak ja spragniona jestem przygód” – w pewnej chwili powiedziała dziewczynka, co w tłumaczeniu na normalny język znaczyło, że Misia ma ochotę pojeździć na nartach. Albo: „Zakładam, że wiemy dokładnie, dokąd zmierzamy” – w ten zawołany sposób zwracała się do kierującej samochodem Marty, chcąc tym samym wyrazić nadzieję, że ta zna drogę. Ale czy normalne może być dziecko, które w trzynastej wiosnie życia wie, co to jest oksymoron i że synekdocha jest odmianą metonimii?!... I umie wyrecytować: „Exegi monumentum aere perennius / regalique situ pyramidum altius”!

– A kto napisał – zaproponował teraz tatuś ulubioną zabawę: – *Nicości, weź mnie z sobą!* / – *Prawdy nic nie zmienia: / Ktoś wyrwał moje serce. / Wciąż o tym pamiętam*[2]?

– Leconte de Lisle! – odpowiedziało dziecko bez namysłu.

– Tak, świetnie! – radośnie zawołał ojciec.

To wbrew pozorom była łatwa zagadka. Bo nawet córka Stefana wiedziała, że jej tatuś ma fioła na punkcie parnasizmu w poezji i recytuje ją tak często, jak inni nuca przeboje Perfectu. Zdarzało mu się nawet z tymi strofami układać ją do snu.

Prawda była bowiem taka, że Stefan umiał nawiązać kontakt ze swoim dzieckiem tylko na poziomie „czystej sztuki”, której tenże Leconte de Lisle był teoretykiem. Inaczej w ogóle nie wiedziałby, o czym z nią rozmawiać. A Misia była takim podejściem zachwycona.

Marta pomimo czynionych wysiłków nie miała do tego świata wstępu. Choć przecież też mogła recytować parnasistów, miała na to papiery jako magister filologii. Ale to nie był język konwersacji, lecz tajny szyfr, którym tatuś z córeczką porozumiewali się ze sobą. Tatusiowi to odpowiadało, bo innego języka nie znał, a córeczka czuła się członkiem tego bractwa, którego tatuś był kapłanem.

Martę Misia drażniła, ale równocześnie temu dziecku bardzo współczuła. Z powodu zawilej sytuacji rodzinnej było to bowiem dziecko – żeby znów użyć tego czarującego określenia – labilne emocjonalnie. Żyjąca w ogniu wyniszczających walk, które toczyli ze sobą jej rodzice, otoczona rzeszą innych pań – dwóch macoch i innych cioć, nie mogąc się chyba połapać w całej tej złożonej strukturze rodzinnej, z zapalczywością walczyła o uczucie i zainteresowanie ojca. Nic zatem dziwnego, że mała nie miała ochoty tracić energii na utrzymywanie dobrych relacji z kolejną żoną tatusia, więcej, szczerze jej nie lubiła, skoro Marta w jej ocenie zyskała to, czego jej samej brakowało – wyłączność na Stefana.

Gdy dojechali na miejsce, najpierw trzeba było wyciągnąć auto z jakichś zasp, bruzd śnieżnych i kolein, a następnie stoczyć zawzięte walki o miejsce na parkingu, ale potem, jak każdy szofer dygnitarza, Marta miała wolne.

Wiedziała, co chce w tym czasie zrobić. Zamierzała dotrzeć do kilku reklamowanych w przewodnikach turystycznych atrakcji: świątyni, muzeum, skansenu, ale nade wszystko zainteresowała ją informacja o wiejskim domu, w którym oglądać można ruchomą szopkę. A że nad światem unosiły się jeszcze strzepy świątecznego nastroju, po pobieżnym zwiedzeniu innych miejsc postanowiła wyruszyć na pielgrzymkę tam właśnie.

Bez trudu ją znalazła, bo chata stała niedaleko od deptaku prowadzącego na stok. Stara chałupa w rzędzie innych, tak samo jak one odnowiona, ale niska, przysadzista, z małą sienią i niewiele większą izbą. Ulotka reklamująca miejsce informowała, że

znajdująca się tu szopka jest dziełem samouka, który rozpoczął jej budowę, gdy miał piętnaście lat, a cała praca zajęła mu lat dwadzieścia! W sumie wykonał dwieście pięćdziesiąt figurek, początkowo poruszanych ręcznie, a potem elektrycznie. Martę zdziwiło, że wstęp był wolny. W środku żywego ducha. Pomimo tłumów turystów na ulicy izba, w której znajdowała się szopka, świeciła pustkami.

Całe szczęście – pomyślała Marta.

Gdy weszła, drewniana podłoga zaskrzypiała na powitanie. W izbie panował półmrok. Postaci wielkiej na całą ścianę szopki tkwiły w bezruchu. Jak w każdym teatryku kukielkowym dolna część przesłonięta była fałdami bladego materiału. Tam ukryty był mechanizm. A na górze królował przepych. Po prawej stronie ogromne i bogate miasto, pełne kamienic z wieżycami, po lewej sielska wieś z tłumem zwierząt. A w części środkowej wtulona w pierwszy plan stajenka – Święta Rodzina, Trzej Królowie, pastuszkowie i ich owieczki, a nad nimi aniołowie.

Cały ten misterny świat zamarł, tak jakby Boże Narodzenie trwało nieustannie. Ludziki wszelkich zawodów, zatrzymane w pół kroku i w pół gestu, wyglądały tak, jakby szły, ale nie dotarły do celu wędrówki.

Naraz w tej ciszy zaskrzypiały kroki i zapaliło się światło, a po chwili z mozołem i posapywaniem uruchomił się stary mechanizm – świat szopki ożył. To pani kustosz, która wyszła, aby zrobić sobie herbatę, widząc gościa, z przyjaznym uśmiechem uruchomiła prezentację.

Marta stała jak urzeczona. W wystruganym świecie zaroilo się od spraw. Dziesiątki postaci wykonywały jakieś ruchy, a wszystkiemu towarzyszył przedziwny dźwięk – głuchy chrobot maszynierii wprawiającej wszystko w ruch, a także coś przypominającego odgłos zegarowej kukulki, rytmicznie odmierzającego mijające sekundy. Marta odniosła wrażenie, jakby wraz z tym skomplikowanym mechanizmem ruszył także czas. I teraz ten czas już płynął. W tym dźwięku było też coś z wezwania: „Godzina wybiła!”.

Drewniane ludziki wędrowały. Te z miasta – z prawa do lewa, te ze wsi – z lewa do prawa. A wszyscy zmierzali do centrum, do stajenki.

Wśród ruchomych postaci były też małe figurki zakonników pociągających za sznury bezgłośnych dzwonów. Ich ruch dynamizował opowieść, jakby ponaglali czas. Zwłaszcza że na ścianie miniaturowej wieży miniaturowy zegar wskazywał już godzinę za pięć dwunastą!...

Marta była ogłuszona wrażeniami. Chciała prześledzić drogę każdej postaci, ale po chwili marszu ginęły one w tunelu wiodącym na zaplecze szopki, aby zaraz powrócić i iść znów w tę stronę, gdzie wśród klęczących pasterzy i monarchów rytmicznie poruszała się malutka drewniana kołyska z Dzieciątkiem.

Nagle mechanizm zaciął się i zatrzymał. Skończył się czas prezentacji, ale Marta nie miała zamiaru wychodzić. Rozejrzała się tylko wokół.

Kim był człowiek, który przez dwadzieścia lat tutaj żył, jadł, spał, pracował razem z całą, coraz bardziej rozpychającą się w tej maleńkiej izdebce Historią Świętą? – pomyślała.

Trochę opowiedziała jej o tym pani kustosz, krewna autora, trochę można było przeczytać w drukach reklamujących obiekt, ale tajemnicy życia artysty niepodobna było z tego odgadnąć.

Do izby weszła wycieczka, zrobiło się gwarno, szopka zniknęła za plecami zwiedzających, ale Marta stała dalej, przyglądając się wnętrzu chaty. Zazdrościła temu

człowiekowi, który niegdyś dzień po dniu strugał tu kozikiem w lipowym drewnie postaci święte i nieświęte, tworząc we własnym domu cały świat.

Mechanizm znów zadziałał, żeby kolejnym zwiedzającym zaprezentować to dzieło życia artysty samouka. Ludzie komentowali, wskazywali palcem co zabawniejsze figurki. Marta wraz z nimi znów śledziła ruch postaci.

– Niektórzy wędrują – usłyszała komentarz uczestnika wycieczki – niektórzy kręcą się w kółko.

– Ale ci, którzy wędrują, też kręcą się w kółko – odrzekł ktoś przytomnie, odkrywając zasadę działania szopki.

Samo sedno – pomyślała Marta.

Nagle rozległ się jazgotliwy dźwięk jej komórki, kontrastując z chrobotem na nowo uruchomionego mechanizmu. Dzwonił Stefan. Skończyli już szusować, czas było na obiecaną dziecku pizzę.

– Może byście zajrzeli w to miejsce, w którym jestem. Jest niezwykle – zaproponowała Marta.

– Dziecko jest zmęczone – usłyszała suchy komunikat.

– Ale to naprawdę niedaleko.

Stefan zgodził się w końcu, żeby w tej chałupie się spotkali. Marta wróciła więc do środka, gdzie po wyjściu wycieczki, pędzącej w pośpiechu w następne miejsce, zrobiło się cicho. Mogła więc znów w skupieniu przyglądać się znieruchomiałym postaciom.

– Widzę, że zaciekawiała panią ta praca – zagadnęła ją pani kustosz.

– Tak, bardzo – przyznała Marta.

Wtedy raz jeszcze puściła tylko dla niej całe to nieziemskie widowisko. Jakby tego było mało, rozległ się też dźwięk organów. To pani kustosz grała na instrumencie także zrobionym przez tego utalentowanego wiejskiego artystę. Marta wpadła w zachwyty. Czas płynął, ludzie szli, organy grały.

Zafascynowana przedstawieniem nie spostrzegła, kiedy w izbie pojawił się Stefan z Misią-Monisią. Ochłonęła dopiero wtedy, gdy wszystkie dźwięki umilkły i znowu zrobiło się cicho.

W oczach Stefana dostrzegła chłód pogardy dla ludowego kiczu. Dziecko miało pizzę w oczach.

– Podejdz, Misięńko, na pewno spodoba ci się ta szopka – zachęcała Marta, przywołując dziewczynkę.

Chciała pokazywać zabawną kaczuszkę pływającą w kółko po mikroskopijnym stawie, gromadkę dzieci tańczących „dokoluśka”, maleńki wiatrak, którego skrzydła leniwie się obracały. Jak zawsze starała się dołożyć wszelkich starań, aby zadowolić pasierbicę. Znów bez powodzenia – gdy bowiem odwróciła się w stronę dziewczynki, zobaczyła, że ta wystukuje esemes. Cóż znawczynię parnasistów zafrapować by mogło w jarmarcznym teatryku ruchomej szopki?

* * *

Jedyną teraz rozrywką w życiu Marty stała się gra w uprzejmość.

Ale nie w pracy. Tam wszyscy wszystkim wszystko zawsze mieli za złe, więc gra w uprzejmość mogłaby okazać się zbyt urazowa. Najbezpieczniej było zatem tkwić za gardą i nie dać się znokautować. Zaraz po pracy jednak można już było fundować sobie tę cichą

przyjemność. A że najlepiej się gra, gdy człowiek wyposaży się w dwie rzeczy: dobry nastrój i wolny czas, Marta przestała się spieszyć z powrotami do domu. Snuła się po ulicach i szukała wyzwań. Jeśli nawet nie udało jej się zdobyć punktu w tej rozgrywce, to zastępowała grę w uprzejmość równie relaksującymi, a mniej wymagającymi grami w „miłego dnia”, „dziękuję”, „przepraszam” lub „mogę w czymś pomóc?”. Wymyśliła zasadę: że jak ktoś odpowie dobrem na jej gest i zrewanżuje się uprzejmym tekstem, będzie remis, zwycięstwem zaś będzie, jeśli ktoś obdarowany takim pozdrowieniem stanie jak wryty, zatka go albo zaniemówi. Dodatkowym zyskiem okazało się to, że Marta zaczęła uważniej przyglądać się ludziom, których wcześniej obojętnie mijała. Rozglądając się tak po ludziach i świecie, mimowolnie wypatrywała też jakichś znaków na niebie i ziemi, które by podpowiedziały jej, gdzie szukać odmiany losu. Nie umiała tak sama z siebie z dnia na dzień stać się jego kowalem i znaleźć „czegoś własnego”. Tym kowalem przestawał też być dla jej losu Stefan. Marta powoli zaczęła się uwalniać spod presji narzuconych przez niego, ale też samej sobie powinności.

Jej mąż nie zauważył przemiany. Nie miała ona bowiem żadnych zewnętrznych oznak. Może tylko wieczorem w kuchni Marta szła na kulinarne skrót i mniej nastrojowych świec wypalało się przy kolacjach. Stefan nie przykładał do tego wagi, a ona zaczęła korzystać z dobrodziejstw fast foodów.

W nocy też przestała być napastliwa.

I grała. A ponieważ żadna z prowadzonych potajemnie gier nie miała zastosowania w jej domu i nic nie mogło rozbroić tego poprawnego chłodu, który na dobre zapanował między nią a Stefanem, próbowała ładować akumulator dobrych energii w mieście.

Nie zawsze jednak zwycięstwo przychodziło łatwo, a czasami trzeba też było poznać gorycz porażki. Tak jak wtedy, gdy wyszedłszy z pracy, napotkała niewidomą. Kobieta zmierzała ku schodom prowadzącym do przejścia podziemnego, do którego Marta właśnie się zbliżała.

– Pomogę pani – oznajmiła, bezceremonialnie chwytając ją pod ramię.

– Dobrze – zgodziła się niewidoma, przywykła zapewne do takich propozycji.

Zeszły na dół.

– Ja do tramwaju w stronę dworca – oznajmiła niewidoma.

Marta zawahała się chwilę, nie pamiętając, którą drogą. Kobieta wyczuła niepewność swojej przewodniczki.

– Zaraz tutaj w lewo – wyjaśniła.

– Już wiem! – zawołała Marta po chwili. – Prosto i w prawo.

– Nie! – zaprotestowała jej podopieczna.

– Proszę mi zaufać – powiedziała Marta, prowadząc kobietę we właściwą stronę.

– Dokąd mnie pani prowadzi? – Głos niewidomej stał się nieprzyjazny.

– W dobrą stronę – odrzekła najcieplej, jak umiała.

Tymczasem niewidoma, z niespotykaną u osoby starszej siłą, zrobiła w tył zwrot i – ciągnąc Martę ze sobą – zawróciła tam, skąd przyszły.

– To nie ma sensu, proszę pani – zaprotestowała Marta. – Ja naprawdę wiem, jak tam iść, a pani się myli.

– Przepraszam – kobieta podniosła głos, zwracając się do przechodniów – gdzie jest przystanek do dworca kolejowego?

Jakiś przechodzień zatrzymał się. Wszedł do gry.

– Tu w lewo – powiedział, wskazując kierunek, który proponowała Marta.

– No właśnie – ucieszyła się niewidoma – tak jak mówiłam.

– Ale ten pan idzie z drugiej strony, więc jego lewa to nasza prawa – wyjaśniła Marta.

Starsza pani rozpaczliwie wyszarpała rękę spod ramienia Marty.

– Czy zechciałby pan zaprowadzić panią na przystanek. Bo mnie ona, niestety, nie ufa – poprosiła Marta przechodnia.

– Idę w inną stronę – wymigał się mężczyzna i poszedł dalej.

Wypadł z gry.

– To jest na lewo. – Głos niewidomej stał się niepokojąco piskliwy.

– Czy pozwoli pani zaprowadzić się we właściwą stronę? – Marta podjęła jeszcze jedną próbę.

– Ludzie! – krzyknęła niewidoma. – Niech mnie ktoś zaprowadzi na przystanek w stronę dworca!

Kilka osób obserwowało scenkę z oddali. Zanosило się na skandal.

– Co pani zrobiła tej pani? – zapytała jedna z przechodzących kobiet.

– Chciałam jej tylko pomóc! – wyjaśniła Marta.

– Pomóżcie! – krzyknęła tymczasem niewidoma. – Ja się boję!

Marta miała już tego wszystkiego powyżej uszu. Kusило ją, żeby zostawić histeryzującą inwalidkę i sobie pójść.

Przebieg gry w uprzejmość niekiedy bywa zaskakujący – przemknęło jej przez głowę.

Z pomocą przyszedł strażnik miejski, który pojawił się w tym momencie.

– Czy zechciałby pan pomóc tej niewidomej pani? – poprosiła. – Ona chce się dostać na przystanek w kierunku dworca.

– A pani nie mogłaby tego zrobić? – usłyszała reprimendę.

Nie miała zamiaru jednak się tłumaczyć. Uciekła. Po chwili odwróciła się i zobaczyła, jak strażnik udowadnia, że jest funkcjonariuszem, podając niewidomej swoją urzędową czapkę, żeby kobieta nabrała do niego zaufania.

Marta miała serdecznie dość tej całej gry w uprzejmość.

Mimo to w sklepie pomogła starszycie pozbierać jabłka, które jej wypadły z siatki, i odruchowo, choć już bez entuzjazmu pomyślała: „Jeden zero”, otwierając nową pulę.

* * *

Dora tymczasem nie przestawała zabiegać o to, aby w końcu udało się u Marty zdiagnozować depresję.

Dzwoniła, wypytywała o samopoczucie, gotowa we wszystkim pomóc. Marta, która rozumiała już, że Dora szuka okazji do zajmowania się bliźnimi, byle tylko nie zajmować się rozwalaniem własnej rodziny, nie do końca rozumiała, dlaczego akurat jej poświęca aż tyle uwagi.

– U mnie wszystko w porządku – powtarzała – tylko w pracy mam obłęd.

– I o tym też chcę z tobą porozmawiać – domagała się Dora kategoriycznym tonem.

Argument braku czasu nie działał. W którąś sobotę Dora zaprosiła Martę na sushi.

– Uwielbiam sushi – zaczęła Marta – ale muszę pobyć trochę ze Stefanem, bo wkrótce i ja dołączę do klubu pań z depresją z powodu rozpadu mojego związku.

– Już go poinformowałam o moich zamiarach – usłyszała w odpowiedzi. – Nie protestował.

W eleganckiej restauracji nie mniej elegancka Dora zamówiła zatem wielką tacę japońskich przysmaków.

– Z rosnącym niepokojem patrzę na twoje życie – powiedziała niepytana, mocząc takenoko-maki w sosie sojowym. – Ignorujesz swoje potrzeby, myśląc wyłącznie o potrzebach innych, i w ogóle tego sobie nie uświadamiasz. Ciągłe chcesz być *correct*: wobec szefowej w pracy, wobec Stefana w domu, wobec jego córki, a nawet wobec nas. Jesteś tak wdzięczna losowi za to, co zyskałaś, że teraz z wdzięczności chcesz się wszystkim przypodobać i zyskać ich aprobatę.

Marcie z wrażenia zadrżała ręka i z pałeczek wymknęło się hamachi-maki.

– A może chcesz się przejrzeć w oczach innych, poczuć się niezbędną, nieocenioną? – kontynuowała Dora, dodając wasabi do tekka-maki. – Sama wkręcasz się w spirale obowiązków. To przypadłość osób z niską samooceną.

Marta słuchała wywodu Dory uważnie, bo wiedziała, że to, co słyszy, nie jest pozbawione sensu. Surowość ocen łagodziło nieco pyszne ibodai-maki zawinięte w nori.

– Czy nie postrzegasz swojego życia tak, że w chwilach gorszego samopoczucia po jednej stronie barykady jest leniwy mąż i bezwzględna szefowa, a po drugiej ty – męczennica?

Marta musiała przyznać, że tak właśnie bywa.

– I brak alternatyw? – podsuwała kolejne hipotezy Dora. – Kto, jeśli nie on, i jaka praca, jeśli nie ta? Odmawiasz zatem te codzienne modły dziękczynne za to, że masz aż tak wiele i że nie wolno tego zaniedbać. Bo albo dasz radę, albo będziesz nikiem, prawda?

To pytanie zawisło ciężką chmurą nad niedojezdzonym sushi.

– Wszystko to nieuchronnie prowadzi do katastrofy – zawyrokowała Dora, chwytając pałeczkami jak szponami tamago-maki.

Na chwilę zapanowała cisza, bo Marta usta miała pełne tai-maki.

– Chyba że właśnie o katastrofę tu chodzi? – sentencjonalnie przemówiła w końcu Dora, może Martę, a może siebie mając na myśli. – Bo bolesny kryzys, czy to w pracy, czy w domu, da się przekuć w nową jakość.

Tu cię mam – pomyślała Marta. – Chcesz, żebym ja rozwaliła swoje dotychczasowe życie, a nie ty swoje.

Dora jednak znów była dziwnie poruszona i wzbudzała bardziej współczucie niż złość. Niby bez pytania włąziła komuś z buciorami w duszę, ale ją samą też sporo to kosztowało. Przeprosiła tylko zdawkowo i pospiesznie udała się do łazienki, chyba chcąc otrzeć łzy.

Marta została sama nad japońskimi specjałami.

Udało mi się zrobić świetny interes – pomyślała nieco cynicznie, sięgając po artichoke-maki, którego dziś jeszcze nie jadła – nie muszę mówić, jak w gabinecie psychoterapeuty, tylko słuchać, i nie muszę płacić dwustu złotych, lecz jeszcze dostaję wynagrodzenie w postaci sushi.

– Pewnie trudno ci uwierzyć – powiedziała Dora, gdy wychodziły potem z restauracji – ale ja naprawdę cię lubię.

Trudno mi uwierzyć, ale spróbuję – pomyślała Marta i uśmiechnęła się do Dory.

Gdy się rozstały, Marta znów nabrała podejrzeń, że to nie życzliwość powodowała Dorą, gdy nakłaniała ją do działań emancypacyjnych, lecz ciekawość, jakie one mogą

przynieść skutki. I że z jej małżeństwa ze Stefanem można uczynić kolejne studium rozpadu związku.

Niedoczekanie – pomyślała z kategorycznym zamiarem ratowania go.

Nie oglądając się już na nic, wróciła do domu, by mocno przytulić się do męża.

– Popatrz, co tu jest napisane – odezwał się znad lektury, gdy weszła już do łóżka – że XII-wieczny Kościół podzielał przekonanie świętego Bernarda, który z kolei podpierał się autorytetem świętego Hieronima, przestrzegając: „W miłości do własnej żony należy zachować umiar; cudzołóży, kto zbyt gorąco kocha małżonkę”.

I czytałby dalej, gdyby Marcie nie udało się w końcu zgasić światła.

* * *

O jej urodzinach Stefan oczywiście nie pamiętał. Sama musiała mu o tym przypomnieć, sugerując, że to święto mogliby spędzić razem. Ale on miał w tym dniu konferencję.

Pamiętała jednak jej mama. Jak zawsze dzwoniła do Marty, najpierw nawyrzekała się, że córka nie ma czasu, aby odwiedzić dom rodzinny, ale dopełniwszy tego rytuału skarg, składała swemu dziecku życzenia wszystkiego, co najlepsze.

– I pamiętaj, żeby koniecznie zajrzeć do ciotki Helenki – zaapelowała na koniec rozmowy.

Mijała właśnie pierwsza rocznica jej śmierci, ciotka umarła w dzień urodzin Marty. A Marta wiele jej zawdzięczała. Samotnie mieszkająca cioteczka przyjęła ją bowiem niegdyś pod swój dach, a potem często żywiła biedną studentkę. Gdyby nie pomoc ciotki, niemożliwa byłaby ta cała przygoda Marty w wielkim mieście.

A teraz sama przeniosła się pod inny adres.

– Nie będę spędzała urodzin na cmentarzu – w pierwszym odruchu zaproponowała Marta, ale potem pomyślała, że skoro jest niedziela i nie ma innych planów, to czemu nie.

W dodatku cmentarz znajdował się – jak sobie to uświadomiła – w okolicach mitycznej Pogodnej. A że za oknem była najpiękniejsza wersja zimy, bo napadało mnóstwo śniegu, który jeszcze nie zmienił się w solną breję, zebrała się i ruszyła na wyprawę.

Jeśli zima była piękna na ulicach miasta, to tym piękniejsza wydawała się na cmentarzu: było biało, słonecznie, a na drzewach osadziła się szadz, zmieniając całe otoczenie w kryształowe rzeźby. Wszystko lśniło i chrzęściło pod stopami. Mróz panował tęgi, ale nie dokuczliwy. Tylko jak tu znaleźć właściwy grób, gdy w bocznych alejkach nie było nawet wydeptanych ścieżek. W pierwszej chwili Marta chciała zrezygnować z tej wizyty, ale potem ruszyła przez zaspy śnieżne.

Z grobem ciotki Helenki jest podobnie jak z ulicą Pogodną – pomyślała. – Ukrył się przede mną pod wielką czapą śniegu i każe wątpić w swą realność.

Gdy jednak skręciła przy dwóch wysokich świerkach w prawo, jak to wcześniej zapamiętała, nabrała przekonania, że wie, gdzie jest.

Teraz czwarty grób po prawej – przypomniała sobie i po chwili odgarniała już śnieg z płyty nagrobnej.

To była pomyłka. Spod śniegu wychynęła wskazująca płec męską końcówka nazwiska „ski”.

Pomyliła adres o jeden numer.

Zaraz jednak na białym śnieżnym tle zamajaczył odsłonięty przez Martę napis: „Helena”.

Urządziła przyjęcie. W dziurę wydrążoną w śniegu wstawiła znicz dla ciotki, drugi, który wzięła na wszelki wypadek, zadedykowała sąsiadowi na „ski”, a sama przysiadła na ławce po drugiej stronie alejki.

Zachwycająca bywa ta doczesność! – pomyślała, rozglądając się wokół.

Wszystko iskrzyło się pięknym, zimnym blaskiem.

– Ileż to razy, cioteczko, widziałas mnie zanoszącą modły do gwiazd – zwróciła się do nagrobego napisu: „Helena” – o szczęście, o miłość, o męża, o pieniądze, o dom. A teraz, gdy osiągnęłam to wszystko, pytam: „I to wszystko?”.

Znów ogarnął ją ten trawiący ostatnimi czasy lęk. I nawet uroda świata nie obroniła jej przed nim.

Nagle jednak w absolutnej ciszy, która trwała tu dotąd, rozległ się rechot. Jakby ktoś chciał skomentować te melodramatyczne tony jej rozmyślań. Rechot narastał. Było to stado mew czy rybitw, które pojawiło się z wielkim wrzaskiem na bezchmurnym niebie. Ich białe brzuchy połyskiwały w słońcu, jakby się trzęsły ze śmiechu.

Lęk ustąpił miejsca zakłopotaniu. Marta nie chciała roztkliwiać się nad sobą, wstała więc, dygnęła ciotce na pożegnanie, pozdrowiła pana na „ski” i ruszyła drogą wyznaczoną jej własnymi śladami na śniegu.

Za bramą skręciła w bok i ruszyła wzdłuż muru.

Pierwszymi oznakami życia, jakie zobaczyła, były dwa pocieszne bałwany, które stały za ogrodzeniem. Jeden większy, rodzaju żeńskiego – opasły śnieżny korpus, cienka, długa szyja i mała główka ozdobiona eleganckim kapelusikiem. Z boku zaś dwie gałazki, a na każdej po rękawiczce. Drugi bałwan, znacznie mniejszy, był małą śnieżną kulą rodzaju męskiego, co można było poznać po czapce bejsbolówce, na której widniał napis: „Go boy!”. Pod jej daszkiem ktoś wcisnął bałwankowi kamyk, który wyglądał jak krzywy uśmiech.

Fajnie się tu bawią – pomyślała Marta, mijając tę parkę.

Poza tym nie było tu nic szczególnego, tylko ujmująca cisza. Marta wiedziała, że znajduje się w okolicy domniemanej Pogodnej, ale nie miała pojęcia, w jaki sposób, o ile w ogóle, ulica zamanifestuje swoje istnienie. Marta po raz pierwszy była tu za dnia. Śnieg zalegał wszędzie, stare domki różnej urody, otoczone ogródkami, wyglądały jak nieco większe bałwany z oczami okien i nosami drzwi, więc trudno było dostrzec cokolwiek charakterystycznego.

W końcu jednak coś mocniej przykuło uwagę Marty. To nieczęsto widywany w tych okolicach szyld reklamowy, który zdobił fasadę brzydkiego ceglanego budynku, którego śnieg się nie miał, zalegając rozłożystą czapą na płaskim dachu. Marta podeszła bliżej. Niewprawną ręką, niestarannie, było tam napisane coś, co wprawiło ją w osłupienie: nad odrapanymi drzwiami rozpościerał się napis „Grupa Wsparcia”. Dwa małe okna domku były zakratowane, a na ledwo odśnieżonym progu widniały ślady stóp. Ni to sklep, ni to knajpa, nie wiadomo. Ale Grupa Wsparcia. Skoro więc nie było żadnego ogrodzenia, Marta podeszła i nacisnęła starą klamkę. Drzwi uchyliły się z oporem, zaskrzypiały, jakby chciały powiedzieć: „Gdzie leziesz”, ale w końcu ją wpuściły. W środku w półmroku za kontuarem zażywna jejmość, a przy jednym ze stolików dwóch dżentelmenów, którzy na widok Marty zamilkli i wpatrzyli się w nią, jakby spadła z Księżyca. Ona w eleganckim ubraniu, oni w skromniejszych. Trafiała do baru, pijalni, szynku czy jak to nazwać.

– Czym mogę służyć? – spytała kobieta zza kontuaru.

– Nie wiem – odparła Marta zgodnie z prawdą.

Barmanka chwilę czekała na precyzyjniejszą odpowiedź, po czym sięgnęła po butelkę i wlała do kieliszka pięćdziesiątkę wódki.

– To dla mnie? – zdziwiła się Marta.

Kobieta pokiwała głową na potwierdzenie, nie przestając bacznie przyglądać się nowej klientce.

Uważnie obserwowali ją także panowie znad kufli z piwem.

– Ja nie lubię wódki – oznajmiła Marta, po chwili wahania sięgając jednak po kieliszek.

I wypila.

Panowie odetchnęli z ulgą. Kobieta uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Pani lepiej ode mnie wiedziała, czego mi potrzeba. – Marta chuchnęła, czując, jak trunek rozgrzewającą falą rozpływa się po całym ciele.

– Taki zawód – odrzekła barmanka uprzejmie, a następnie bez słowa wrzuciła do szklanki herbatę w torebce i zaczęła zalewać wrzątkiem.

– To dla mnie? – spytała znów Marta.

– Tak – usłyszała w odpowiedzi. – Proponuję po góralsku.

Marta nie zrozumiała.

– Z wkładką – wyjaśnił mniejszy z panów.

– Ach tak. – Marta w końcu zrozumiała, widząc, że barmanka znów sięga po butelkę wódki.

Nie musiała podejmować decyzji, wódka znalazła się już w herbacie. Marta usiadła więc, grzejąc ręce o gorące szkło szklanki.

– Zimno? – zagadnął jeden z panów znad piwa.

– Zimno – przyznała Marta i łyknęła wrzątek z wkładką. Chuchnęła znów i zgodnie z prawdą powiedziała: – A teraz mniej zimno.

Panowie uśmiechnęli się ze znanstwem.

Martę ogarnęła błogość, która była wynikiem dobroczynnego działania eliksiru.

– My tu sobie o biedzie rozmawiamy – odezwał się w końcu niższy z panów.

Jakżeby inaczej – westchnęła w duchu Marta.

– Pani z miasta, a w mieście to biedy tak nie widać – sentencjonalnie oznajmił starszy z panów – a ja, proszę pani, to mam wprawne oko i zawsze tę biedę zauważę.

Czas w tym dziwacznym miejscu zwolnił, rozjechał się, tworząc relaksującą szczelinę w bycie. Marta piła herbatę po góralsku.

– Ja, proszę pani – mówił dalej starszy pan znad kufła – miałem kiedyś zakład fotograficzny i w ciemni wywoływałem mnóstwo zdjęć, to teraz na cały ten świat odruchowo patrzę, domyślając się, jak może wyglądać jego „negatyw”, czyli „druga strona medalu”. Ten „negatyw”, proszę pani, to ludzie, na których zwała się jakaś bieda – starzy, niedołążni, chorzy, bezrobotni, samotni, porzuceni. Bo biedy, proszę pani, nie widać, bieda nie rozbija się luksusowymi samochodami, nie włóczy się po galeriach handlowych, nie występuje w telewizji, a jeśli tak, to tak upudrowana, że jej nie poznasz. Bieda ukrywa się w czterech ścianach i ledwo żyje.

Marta uważnie przyjrzała się starszemu mężczyźnie. Pięknie mówił, a przecież nic wzniosłego ani poetyckiego w nim nie było. Miał na sobie starą pelisę, wystające spod niej niemodne spodnie w kant, a na nogach niepasujące do tego adidas.

Wdowiec – przemknęło Marcie przez głowę.

– To smutne, co pan mówi – powiedziała.

– To nie tylko smutne – potwierdził on bez wahania – to ciekawe.

Ta odpowiedź zaskoczyła Martę.

Dopiła herbatę. A że była ona na podwójnym gazie, w rozgrzaną klientkę wstąpiła mołojcka fantazja.

– Czy mogę państwu zaproponować jedną kolejkę za moje zdrowie? – spytała, kładąc banknot na kontuarze.

– Zawsze – bez wahania odpowiedziała barmanka w imieniu własnym i swoich klientów, tak jakby codziennie jakiś klient stawiał gościom kolejki.

I już po chwili przed Martą stały cztery kieliszki z wódką, po które z rzeczowym skupieniem pofatygowali się dwaj mężczyźni znad kufli z piwem.

– Czy jest jakaś specjalna okazja? – spytał niższy.

– Tak, moje urodziny – przyznała Marta.

Wypili, stojąc wokół kontuaru.

– To czego pani życzyć? – spytał starszy.

Marta milczała kilka chwil, więc zapadło milczenie.

– Ludziom z okazji urodzin życzy się spełnienia marzeń – powiedziała w końcu – a gdy się one spełniają, to co?

Obecni chyba nie od razu zrozumieli, co do nich powiedziała, więc milczenie przedłużyło się o kolejną chwilę.

– Nie wiem, jak to jest, gdy spełnią się wszystkie marzenia – odpowiedziała w końcu barmanka dziwnie chłodnym tonem, jakby chciała dać do zrozumienia, że nie pojmuje takich fanaberii – ale jeśli one się spełnią, to się żyje w zachwycie, proszę pani.

– To sensowna odpowiedź – z zadowoleniem stwierdził starszy pan w adidasach.

Czy oni tu wszyscy pokończyli fakultety z filozofii? – pomyślała Marta, z sympatią patrząc na przypadkowych znajomych, a na głos oznajmiła zgodnie z nauką, którą właśnie pobrała:

– Jestem zachwycona tym spotkaniem.

Barmanka nie podzielała tej egzaltacji. Patrzyła na Martę z surowością belfra.

Ale Marta była już na to znieczulona. Nic nie mogło zmącić jej dobrego samopoczucia wyraźnie wzmocnionego przez procenty. A gdy ruszyła już ku drzwiom, żeby nie prowokować dalszego ciągu tej imprezy, usłyszała za sobą głos niższego z zagadkowych gości tego przybytku:

– Wszystkiego dobrego!

I starszego pana:

– I miłego dnia!

– I do zobaczenia – dobiegło na koniec zza kontuaru.

Stało się jasne, że reguły gry w uprzejmość są tu znane i stosowane.

Czego innego można się było spodziewać po tym miejscu? Wszak to przecież Grupa Wsparcia.

Wyszędłszy na zewnątrz, Marta odwróciła się, aby raz jeszcze spojrzeć na szyld. Wiatry i śniegi wysmagały już ten napis, ale jaśniał niepojętym blaskiem. Oto znalazła się na Pogodnej. A jeśli nawet nie, to na skrzyżowaniu Pogodnej z Miłą.

I już wiedziała, że tu wróci. Teraz знаła drogę.

Gdy na dobre oddaliła się od tego miejsca, wydało jej się, że gdzieś z tyłu jak z za

mgły słyszy *Sto lat* grane na skrzypcach. Uznała jednak, że coś jej się roi w pijanym łbie.

Ruszyła przed siebie, by wedle zaleceń pożyć trochę w zachwycie.

Skupiła się na tym, co poradził jej stary fotograf. Nie wypatrywała biedy, o której mówił, lecz „negatywów”, czyli drugiej strony tego, co widać gołym okiem, dopełnienia. Teraz, gdy już wmieszała się w tłum, zmierzając ku centrum, nie tylko zaczęła się z uwagą przyglądać mijanym ludziom (to robiła przecież wcześniej na użytek gry w uprzejmość), ale nabrała ochoty, aby domyślać się czegoś o nich. Na podstawie takich poszlak jak te spodnie w kant i adidas na nogach starszego pana, które były przecież strzępem opowieści o jego życiu.

Zaglądała też w okna mijanych domów. W niektórych zapalać się już zaczęły światła i widać było krzątających się w środku mieszkańców. W innych było ciemno, a przecież tam też toczyło się życie. I to wydało się Marcie bardzo ciekawe.

Zwykle widzi się tylko to, co widać, przyszła jej do głowy banalna myśl, a co by można było zobaczyć, gdyby naraz wyświetliło się to, czego teraz nie widać? To by na pewno była ta bieda, o której mówił stary fotograf w adidasach, ale też mnóstwo tajemnic, z których nie wszystkie muszą być mroczne.

Uderzywszy w ten sentencjonalny ton, nieco usprawiedliwiony spożyciem, Marta nie poprzestała na tych wnioskach.

Świat jest o wiele ciekawszy od mojego życia! – skonstatowała radośnie.

Niby żadne odkrycie, ale wprawiło ją w doskonały humor.

To by znaczyło – wywnioskowała – że nie muszę już zajmować się własnym życiem. Mogę zająć się światem.

Nie wiedziała, co by to właściwie miało znaczyć, ale brzmiało rewelacyjnie.

Była zadowolona z dnia swoich urodzin.

Aż do chwili, gdy po najdłuższym w życiu spacerze, pełnym wzniosłych rozważań, weszła do domu i zobaczyła męża jak zwykle usadowionego przy biurku i coś piszącego, choć miał być przecież na jakiejś konferencji.

Mój mąż jest tak płaski jak kartka papieru. Dlatego pisze, żeby zyskać drugi, trzeci, czwarty wymiar. I nic więcej nie ma – pomyślała, zdziwiona tym odkryciem.

* * *

Następnego dnia w pracy było jeszcze bardziej niesympatycznie niż zwykle, bo nadszedł czas sesji egzaminacyjnej. Tłum interesantów kłębił się od bladego świtu i gęstniał, wnosząc do dziekanatu tajfun złych emocji. Gdzieś komuś zginęły dokumenty, ktoś pomylił termin egzaminu, jakaś informacja nie dotarła do studentów. Grupa młodych, bezczelnych ludzi przybyła z petycją do rektora, żeby zwolnić jednego z profesorów, bo nie zaliczył osiemdziesięciu procentom zdających. To doprowadziło do furii kilku obecnych w tym momencie wykładowców. Drzwi z trzaskiem zamykały się za rozsierdzonymi petentami, a nad tym wszystkim unosił się duch Królowej Kier. Tak od dawna nazywała Marta swoją szefową, kobietę o wybuchowym charakterze, która w byle jakiej sprawie, wzorem bohaterki Carrolla, wydawała kategoryczne rozkazy, chcąc wszystkim zawsze „ściąć głowę”. I „ściłała”, jednych zwalniając z pracy, innych zmuszając, aby rezygnowali sami. Mogła tak postępować, bo była – jak wiedzieli wszyscy – protegowaną samego rektora, rządziła więc w feudalnym stylu nie tylko dziekanatem, ale całym wydziałem. Marta utrzymała się na posadzie już parę lat, ale wytłumaczyć

można to było tylko tym, że unosił się nad nią parasol ochronny Stefana. Królowa Kier zresztą niejednokrotnie dawała jej do zrozumienia, że tylko dlatego.

Jej technika zarządzania zasobami ludzkimi w dziekanacie polegała albo na wściekłym frontalnym ataku (nawet majestat zwyczajnych i nadzwyczajnych profesorów nie peszył Królowej), albo na podstępny ciosie zza winkła.

I tę drugą metodę obrała, gdy tego dnia zaatakowała Martę.

Poszło o błahostkę. Po powrocie z nart Marta nie rozstawała się z pocztówką reklamującą ruchomą szopkę, która tak ją zachwyciła. W obrazku były według Marty zakłęte spokój i harmonia tamtego wnętrza. Wizerunek staroświeckiego wnętrza przynosił ukojenie i dystansował wobec wydarzeń. A o dystans chodziło, żeby nie zwariować.

– Schowaj to i zajmij się pracą – usłyszała tego dnia, gdy Królowa Kier uderzyła zza winkła, to znaczy przedarła się między biurkami, aby sprawdzić, co robią pracownice.

– To pamiętka z ostatniej wyprawy w góry – Marta próbowała coś wynegocjować.

Zdawało się, że Królowa przyjęła to wyjaśnienie do wiadomości.

– Trzeba ponownie przepisać protokół z rady wydziału – powiadomiła Martę władcym tonem, rzucając jej na biurko pomazany czerwonymi uwagami dokument.

– Wczoraj go pani zaakceptowała – odrzekła Marta ze zdziwieniem.

– To było wczoraj – usłyszała na to.

– Oczywiście, zaraz się tym zajmę – wyszeptowała z pokorą.

– I jeszcze lista obecności, zawiadomienie o terminie kolejnej rady oraz wykaz ocen studentów trzeciego roku. – Królowa Kier rzucała przed Martę kolejne pliki papierów.

– Proszę to położyć tutaj, zaraz się tym zajmę – powiedziała Marta, chcąc ucywilizować nieco ten sposób przekazywania poleceń.

W odpowiedzi posypał się na nią grad papierzysk.

To jakaś psychopatia – zdążyła jeszcze pomyśleć Marta, zanim spostrzegła, że szefowa sięga po leżącą na sąsiednim biurku staroświecką linijkę.

Wyglądało na to, że bierze się do rękoczynów. Marta spojrzała na nią wystraszona i mimowolnie skuliła się w obronny geście. Królowa Kier zaś z grymasem wstrętu, który sprawił, że jej usta wykrzywiły się w podkowę i trochę jakby zapadły w głąb, zamieniając jej niebrzydkią twarz w wizerunek zawziętego mupeta, zamachnęła się na pocztówkę z szopką. Zwaliła ją z biurka na podłogę, odrzuciła linijkę i odeszła.

Można to było wytłumaczyć jedynie żarliwą niechęcią do wszystkiego, co odnosiło się do innego bytu niż ten świat biurek, komputerów i segregatorów.

Trudno było na to nie odpowiedzieć. Marta wstała zza biurka i schyliła się po leżącą na podłodze pocztówkę. Gdy się podnosiła, zobaczyła karzący wzrok Królowej Kier.

„Wojna!” – zdawało się mówić jej spojrzenie.

Wojna! – pomyślała Marta, stawiając ponownie wizerunek szopki na biurku.

Rodził się w niej bunt.

To był w ogóle zły dzień, bo gdy po przepisaniu wszystkich dokumentów i wykonaniu setek innych ogłupiających czynności Marta w końcu wyszła z dziekanatu, na dziedzińcu uczelni spotkała Łucję, pierwszą żonę Stefana (nie tę nieprzyjazną od Misi-Monisi, tylko tę, z którą relacje towarzyskie i bankietowe układały się całkiem dobrze).

– Źle wyglądasz – stwierdziła Łucja, uważnie przyglądając się Marcie. – Zauważyłam to już w sylwestra, ale teraz jest jeszcze marniej.

– A czy to taktowne tak mnie witać? – spytała Marta, próbując tę uwagę obrócić w żart.

– To wyraz troski – odparła Łucja z nutą ironii.

Oho, następna zwietrzyła krew – pomyślała Marta.

– Słabo znoszę klimat w pracy – wyjaśniła, żeby coś powiedzieć.

Łucja dobrze wiedziała, o czym Marta mówi, jako że też pracowała na tej samej uczelni.

– Zmykaj od tego wszystkiego, zanim będzie za późno – powiedziała raptem eks. – Zmykaj, bo ci się pali grunt pod nogami. Nie życzę ci, abyś musiała przeżywać to samo co ja, a widzę, że wszystko zmierza w tę stronę.

– Czy ty masz na myśli moje małżeństwo? – spytała Marta mocno już spłoszona. – Bo ja mówię tylko o atmosferze w pracy.

– A czy ty wiesz, że twoja szefowa była kiedyś kochanką twojego męża? – zaatakowała Łucja.

Marta stanęła jak wryta.

Łucja z uwagą obserwowała wrażenie, jakie zrobiły na Marcie jej słowa.

Studenci i wykładowcy mijali je nieświadomi wybuchowej treści tej rozmowy.

– Dlaczego mi o tym wcześniej nie powiedziałaś? – spytała Marta po chwili milczenia.

– A pytałaś? – przytomnie odparowała Łucja.

– Teraz też nie pytałam – zauważyła Marta.

– Ale teraz już czas na działania obronne.

– Dlaczego? – Marta starała się zebrać myśli.

– Bo ja od prawie trzydziestu lat obserwuję sercowe sprawy Stefana. I wiem, że Stefan jest jak mróz, który krzywdzi ludzi i ziębi, bo przytula się do nich, by się ogrzać.

Trzeba było chwili, aby Marta zrozumiała ten bon mot.

Tutaj wszyscy posługują się barwną polszczyzną, przemknęło jej przez głowę mimo bólu, jaki odczuwała, dotknięta słowami Łucji.

Poczuła narastającą desperację.

– Powiedz – poprosiła – czy w moim najbliższym otoczeniu jakaś kobieta nie spała kiedyś z moim mężem?

– Tak, wiele – przyznała Łucja. – Te wszystkie, które są gotowe zrobić to teraz.

Marta bez słowa pożegnania ruszyła przed siebie. Łucja nie goniła jej, zadowolona z efektu, jaki uzyskała.

W domu Stefan siedział na kanapie w salonie ze szklanką whisky w dłoni. Wokół snuły się dźwięki jego ulubionego jazzu. Dziś Marta nie miała zamiaru mu przeszkadzać. Pragnęła tylko wejść do łóżka, naciągnąć na głowę kołdrę i przespać te wszystkie kłopoty, aby – gdy się obudzi – same zniknęły. Kiedy jednak zdjęła buty i spojrzała w bok, dostrzegła, że Stefan, który zwykle zdawał się nie zauważać jej wejścia do domu, teraz wodził za nią złowrogim spojrzeniem.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – spytała zalękniona.

– Nie, dlaczego? – odparł, nie przestając przyglądać się jej, jakby chciał ją zapytać: „Co ty tu robisz?”. To już nie był chłód, to był mróz.

Tak wygląda koniec miłości – podsumowała odruchowo.

Poczuła się jak skuta lodem. Nabrała ochoty, żeby się napić.

Poszła do kuchni, sięgnęła po szklankę, nalała whisky.

Więcej lodu nie trzeba – pomyślała ze smutkiem.

Usiadła przy stole kuchennym, a jej wzrok padł na mały kalendarzyk z kartkami do zrywania. Zobaczyła datę „27 lutego” i nieco melodramatycznie pomyślała:

To jest ta końcowa data.

Potem jednak przypomniała sobie jako urzędniczka opatrująca dokumenty datami, że przecież jest dwudziesty ósmy lutego. Podeszła, żeby skorygować i wyrzucić do śmieci niepotrzebną już kartkę z kalendarza, i odruchowo spojrzała na drugą stronę zerwanej kartki, gdzie zwykle są porady kulinarne lub gospodarskie. A tam był wiersz *Miłość* Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej:

Wciąż rozmyślasz. Uparcie i skrycie.
Patrzysz w okno i smutek masz w oku...
Przecież mnie kochasz nad życie?
Sam mówiłeś przeszłego roku...[3].

Zmięła kartkę i wrzuciła do kosza na śmieci.

* * *

Uciekła do mamy. Pierwszy raz od dawna wybrała się do domu, chcąc swój smutek skonfrontować z miejscem, które kiedyś porzuciła.

Rodzice są rolnikami, mają ziemię na pojezierzu. Teraz ten rejon jest atrakcją turystyczną, ale kiedyś ciężko się tu żyło. Matka miała trudne życie, bo przyszła na ziemię teściów i przez lata była za wyrobnicę. Od niedawna dopiero, odkąd oboje dziadkowie nie żyli, mogła się wreszcie poczuć jak na swoim. Trafiła na dobrego męża. Zaradny, robotny, niekłótniwy, całym sercem oddany gospodarstwu i rodzinie. Wszystkie wspomnienia Marty z dzieciństwa kojarzą się zawsze z rodzicami zajętymi jakąś pracą – mama przy zwierzętach i w kuchni, ojciec latem w polu, a w zimie w obejściu, przy stolarce, maszynach, naprawach. Marta urodziła się jeszcze w drewnianej chałupie dziadków. Teraz na jej miejscu stał już solidny dom, a wokół kilka pomieszczeń gospodarskich i dwa domki dla gości, bo w sezonie mama prowadziła agroturystykę. Gdy się podjeżdża do tego miejsca, gołym okiem widać, że ci, którzy tu mieszkają, nie zmarnowali życia. Ale też Marta dobrze wiedziała, jakim to było okupione wysiłkiem, i od wczesnej młodości była pewna, że sama żyć tak nie chce.

I nigdy nie żałowała, że wyjechała do miasta.

Do rodziców przyjechała po południu. Krótki zimowy dzień już się kończył czerwoną łuną na zachodzie. Ale gospodarze byli jeszcze zajęci. Gdy pies Bakier powiadomił szczeniem o przybyciu Marty, każdy z domowników zjawiał się na jej powitanie z innego miejsca. Mama wyszła z domu, wycierając ręce w fartuch, ojciec z chlewa, a starszy brat, Witek, z warsztatu.

– Przywitaj gospodarza – oznajmił ojciec, wskazując na Witka.

To była najważniejsza nowina, jaka Martę czekała. Rodzice zawierzili najstarszemu synowi i przepisali na niego gospodarstwo, przechodząc na emeryturę.

Ta decyzja nikogo nie zaskoczyła, bo Witek w odróżnieniu od Marty był stworzony do życia na wsi. Wyuczony przez ojca, potem przez wojsko, gdzie szkolił się z mechaniki pojazdowej i innych praktycznych umiejętności, był dla rodziców wielką podporą, dumą i nadzieją, że osiągnięcia ich życia nie zostaną zmarnowane. Zresztą i młodszy, Jędrzek, też

nie przysparzał kłopotów. Wykształcił się na budowlańca i jeździł po całej Europie na kontrakty. Teraz pojechał do Holandii.

– Tylko mi się chłopaki żenić nie chcą – uskarżać się zaczęła mama, gdy usiedli do kolacji. – A chciałoby się już mieć synową do pomocy.

– No co ty, coś z tobą jest nie tak? – spytała Marta swego przystojnego brata.

– To z dziewczynami jest coś nie tak – odrzekł na to i uśmiechnął się tym swoim zniewalającym wszystkie panny uśmiechem.

Nie było we wsi takiej, która by go nie chciała. A on przebierał, wahał się, kaprysił.

– Może mama by i chciała synową – dodał po chwili – ale jakby ją już miała, toby się złościła, że znów nie wszystko będzie po jej myśli.

– To prawda – ze śmiechem przyznała mama. – Dobrze jest wreszcie samemu trochę porządzić.

Teściową pochowała zaledwie dwa lata temu, po trzydziestu latach podporządkowywania się jej woli.

Było przy stole o czym pogadać, bo nie widzieli się dawno. Tylko o Stefanie ani słowa. Tu się od dawna nie wymieniało jego imienia, bo nikt go tu nie lubił.

Potem trzeba było jeszcze przed nocą pozamykać wszystko, posprawdzać i szybko ułożyć się do snu, skoro następny dzień jak zwykle miał się zacząć o piątej dojeniem krów.

Ale gdy Marta położyła się już z książką do łóżka w swoim dawnym pokoju, który zawsze na nią czekał, mama zajrzała do niej jeszcze.

– Jakaś zgnębiona jesteś, dziecko – powiedziała, przysiadając obok.

Marta pokiwała głową, odkładając książkę. Czekwała na moment, gdy będzie można pogadać.

– Taka byłam z siebie dumna, gdy po maturze postawiłam na swoim i wyjechałam do miasta. Ale teraz coś jest nie tak.

Mama baczenie przyjrzała się Marcie, ale nic nie powiedziała. Od dawna nie ukrywała, że nie pochwała wyborów córki.

– W moim życiu potrzebne są jakieś zmiany, ale nie umiem się do nich zabrać – wyznała w końcu Marta.

Zapadło długie milczenie. Mama siedziała, patrząc w bok, jakby chciała powiedzieć: „Co właściwie chcesz ode mnie usłyszeć?”. I tylko kiwała głową, jakby powtarzała: „A nie mówiłam?”. Marta chciała się z czegoś wytłumaczyć, usprawiedliwić, ale cóż tu mówić?

Milczenie się przedłużało, a czas płynął. Noc była krótka, należało iść spać.

– Żeby coś się w życiu zmieniło – odezwała się w końcu mama, podnosząc się z wysiłkiem po ciężkim dniu – trzeba, żeby najpierw coś nie wyszło. To niepowodzenia wymuszają zmiany. Bo kto przy zdrowych zmysłach zmieniałby to, co dobre? – Była już przy drzwiach, gdy raz jeszcze odwróciła się do Marty i dodała: – A ja dzień po dniu żarliwie się modłę, żeby było tak, jak jest, i żeby nic się nie zmieniło.

Marta długo nie mogła zasnąć. Było jej wstyd, że nie jest szczęśliwa.

* * *

Następnego dnia nikt nie zajmował się nią ani jej smutkami. Rano kościół, potem rosół z kury i czas wolny. Dla rodziców chwila sjesty, dla Witka piwo przed telewizorem.

Tylko Bakier miał ochotę poświęcić jej chwilę. Poszli więc razem nad jezioro, które oblodzone lśniło tego dnia pięknym, chłodnym blaskiem. Bakier, pokonując zasy, pobiegł przodem, aby przegnać wszystkie ptaki, które swoim zwyczajem zapaskudziły ośnieżony pomost, a potem zadowolony z siebie czekał na pieśczęty.

– Jak tam sprawy z ogonem? – spytała Marta, gładząc go po jego tylnej części, która teraz merdała radośnie.

Bakier był Bakierem właśnie z tego powodu. Zwaliste psisko miało ogon skrzywiony dziwnie na prawy bok. Zazwyczaj leżał mu na grzbiecie, a gdy Bakier nim merdał, podnosił go do pionu. Gdy się kiedyś przybłąkał, to Marta na jego widok powiedziała, że „z tym ogonem jest coś na bakier”. No i tak już zostało.

– Pięknie tu u was, chłopie – odezwała się teraz Marta.

A pies odszczeknął się, jakby chciał powiedzieć: No to gdzie się od nas wybierasz?

Wpatrywali się potem jeszcze w lśniącą taflę jeziora, ale że aura nie pozwalała zbyt długo pozostawać bez ruchu, po chwili zrobili w tył zwrot: człowiek i pies, z którymi było coś na bakier.

A, ty chyba nie widziałaś jeszcze, jaką mi piękną ławkę wystrugał ojciec – oznajmiła matka, gdy wkrótce potem Marta zbierać się już zaczęła do odjazdu.

Wskazała jakiś ośnieżony kształt przy bocznej ścianie domu, na który Marta wcześniej nie zwróciła uwagi. Dopiero po odkopaniu z zasy wyłoniło się wyrzeźbione w drewnie oparcie ławki, której wcześniej tu nie było.

– Ojciec ją tak specjalnie przyozdobił, żeby była strojniejsza – pochwaliła mama, wskazując na drewniane esy-floresy.

Otrzeptały ławkę ze śniegu do reszty.

– Robił ją w tajemnicy w warsztacie, a potem ustawił tutaj, żeby była naprzeciwko naszych sosen.

Ojciec podszedł do nich z uśmiechem.

– Żeby było na pamiątkę – powiedział – że po latach trudów mamy dużo.

Marta przycupnęła na ławce i wpatrzyła się w sosny z naprzeciwka, potężne, piękne, sięgające aż do nieba.

– One też dzięki mnie urosły – westchnął ojciec z dumą i dodał: – Jak to się mówi: mężczyzna musi wybudować dom, spłodzić syna i posadzić drzewo. Wszystko to wykonałem z nawiązką.

– Miałam i ja w tym swój udział – mruknęła mama, niby się bocząc.

Bakier, aby nic nie stracić z tej konwersacji, też się dosiadł przy ławce.

– Popatrz, dziecko, nie byłeś w paździeniku na moich urodzinach, nie byłeś na święta – wymieniała mama.

– Ani się spostrzegłam, że tyle czasu minęło od mojej ostatniej wizyty – przyznała Marta. – Tam się tak szybko żyje...

– Wiesz – zaczęła mama – jakiś czas temu byli u nas goście z takim dziwnym rasowym pieskiem. Mieli dla niego kocyki, poduszeczki, ubranka i inne cuda wianki, i jeszcze taki dziwny szpikulec z doczepioną do niego kolorową taśmą. Oni to nazywali po swojemu, że to sprzęt do „parkowania psa”. Wbijają się to coś w ziemię i „zaparkowany” pies łązi dookoła.

– Jak nasze upalowane byki – doprecyzował ojciec.

– My jesteśmy na tej naszej ziemi tak „zaparkowani” – kontynuowała mama – a ciebie, córuś, tak miota po świecie!

Teraz dopiero Marta wyczuła troskę w głosie matki.

Zapadła cisza. Tylko wielkie drzewa, poruszając się w podmuchach wiatru, zdawały się mówić: „Tak się toczy życie”.

No i się potoczyło. Wyściskali się, Marta obiecała, że z następną wizytą nie będzie zwlekała tak długo, i ruszyła. Bakier swoim kretyńskim zwyczajem obszczekał wyjeżdżający samochód i rzucał się tak, jakby go chciał ugryźć w oponę.

Marta cieszyła się, że tu przyjechała, ale teraz, wracając, pomyślała, że to, co miało pomóc, przygnębiło ją jeszcze bardziej. Rodzice byli wprawdzie taktowni i nie narzucali się ze swym zadowoleniem z życia, ale to zadowolenie ciągle skądś wyłaziło i drażniło jak gaz łzawiący. Toteż podczas tej wizyty Marta nieraz miała łzy w oczach. To nie była zazdrość, prędzej złość. Bo rodzicom opłacało się to, że nie dyskutowali z losem, tylko posłusznie wypełniali swoje przeznaczenie, przytroczeni, „zaparkowani” do tego skrawka ziemi, który im został powierzony. A dla Marty – odkąd uciekła – nie było już powrotu. W minionym życiu była tylko gościem.

* * *

Kilka dni później z zimy nie zostało już nic. Spłynęła brudną breją w błyskawicznym tempie, pozostawiając po sobie szpetne kałuże i bure niebo. Tak samo paskudnie było w domu Marty, choć przecież nie działo się nic złego, bo nic złego się nie stało. Czyjś zły wzrok, czyjś zły dotyk...

Nie mając żadnych planów na weekend i czując zbliżające się przedwiośnie, wyciągnęła rower i obrała kurs na Pogodną. A jeśli tam, to gdzie, jak nie do Grupy Wsparcia.

Zastała tam przy jednym ze stolików malowniczą grupkę gości – dwóch panów, których wszystko różniło – jeden był stary, niski i chudy (i tego pamiętała z poprzedniej wizyty), a drugi młody, wysoki i gruby, a między nimi nieokreślonego wieku, ale określonych przyzwyczajęń pani, przed którą podobnie jak przed jej towarzyszami stał solidny kufel piwa.

Jest niewiele większa od tego kufla – pomyślała Marta, obserwując, jak kobieta chwyta dwiema rękami szklanicę.

Rzeczywiście, była bardzo drobniutka, bardzo niemłoda i bardzo zniszczona. Marta w myślach nazwała ją Śmiertką.

Tego dnia Marta doskonale wpasowała się w nieco plebejską atmosferę, jaka tu panowała, bo gdy jechała tutaj, mijane samochody zbryzgały ją dokumentnie pośniegową breją, zalegającą jeszcze po tych kilku dniach roztopów.

Jednak została rozpoznana przez zażywną barmankę, która znów tu dziś stała za kontuarem.

Poprosiła o herbatę bez wkładki.

– Dziś prowadzę – wyjaśniła, wskazując na pozostawiony pod drzwiami baru wehikuł.

– Proszę się nie usprawiedliwiać – odrzekła zza kontuaru barmanka – to się ludziom zdarza, że nie piją w soboty już od rana.

Klienci znad piwa odwrócili się w ich stronę, a starsza pani, unosząc znów kufel, wyjątkowo niskim głosem powiedziała:

– Ale tu zasadniczo nikt się nie oszczędza.

Marta usiadła przy stoliku dla niepijących.

– A może pracy pani szuka? – spytała raptem szefowa.

– Nie, skąd – zaprzeczyła Marta zaskoczona, rozglądając się, czy to aby ją mają na myśli. – Dlaczego pani o to pyta?

– Bo gdyby pani szukała, to miałabym coś dla pani.

Martę zaciekawiło, o jakiej pracy dla niej pomyślała ta nieznajoma.

– Tu niedaleko jest stary dom. Mieszka tam starsza pani, do której ostatnio przyjechała jedna z córek, też już niemłoda. No i ta córka szuka teraz ludzi do pomocy, bo chce uzdatnić tę chałupę do mieszkania.

– Ale ja nie mam firmy remontowej.

– Od remontu to będą inni. Ona szuka kogoś do inwentaryzacji wszystkich sprzętów, które tam są. Bo jej matka, stara nauczycielka, kolekcjonowała przez całe życie sterty przedmiotów, które uważała za pożyteczne lub piękne. Niektórzy nawet nazywają ją „śmieciarą”, tyle tam tego jest. Ale ponieważ wśród nich mogą być rzeczy wartościowe, córka szuka teraz kogoś do pomocy. A pani wygląda na wykształconą osobę, co to umie odróżnić skarb od bubla.

– Do tego trzeba pewnie specjalisty od historii sztuki – powiedziała Marta, nieprzesadnie angażując się w temat.

– No może, ja tam się nie znam – odparła barmanka.

– A gdzie ta willa jest? – spytała Marta odruchowo.

– To leśna działka na uboczu, po skosie w głębi ulicy – wyjaśniła tamta, rysując w powietrzu mapę okolicy. – Jakies sto, sto pięćdziesiąt metrów stąd. Ale wejście od sąsiedniej ulicy. Dom poznać po tym, że dach ma dwa kolory – jeden to stara czerwona dachówka, a drugi to papa, położona parę lat temu, gdy pod ciężarem śniegu fragment się zawalił.

Powiedziawszy to, wróciła do pozostałych gości, którzy osuszyli już swe szklanice.

Co też jej przyszło do głowy, żeby zacząć w tej sprawie zupełnie nieznajomą osobę? – pomyślała Marta, kilka chwil przyglądając się barmance.

Miała ona bystre spojrzenie i jakąś siłę charakteru, ale nie dysponowała chyba żadnymi tajemnymi narzędziami, aby zaglądać ludziom w głąb duszy.

Przed wyjściem Martę czekało jeszcze ryzykowne przeżycie. Musiała skorzystać z pomieszczenia, na którym było napisane „WC”. Bała się ekstremalnych wrażeń. Tymczasem przybytek ten był nieoczekiwanie schludny i zadbane, wyposażony we wszystko, czego tu klient mógł się spodziewać. Na ścianie przy umywalce w plastikowej koszulce, nieco upstrzonej przez muchy, wisiał „Załącznik 11. Instrukcja mycia rąk”. „Mycie należy wykonać zgodnie z techniką opracowaną przez prof. G.A. Ayliffe’a, zatwierdzoną przez Europejski Komitet Normalizacyjny – CEN” – przeczytała Marta, a ręce, które chciała umyć, zamarły w oczekiwaniu. Przy pierwszym z sześciu obrazków demonstrujących czynność napisane było: „Pocieranie wewnętrznych części dłoni”. Marta wypróbowała to „na sucho” i poczuła się jak dziecko w przedszkolu. Czytała dalej: „Pocieranie wewnętrzną częścią prawej dłoni o grzbietową część lewej dłoni, a następnie w zmienionej kolejności – wewnętrzną część dłoni lewej o grzbietową prawej”. Wykonała. Punkt trzeci przewidywał: „Pocieranie wewnętrznych części dłoni z splecionymi palcami, aż do zagłębienia między palcami”. A potem: „Pocieranie górnych części palców prawej dłoni o wewnętrzną część lewej dłoni z palcami złączonymi, a następnie odwrotnie”. To było trudniejsze do zrozumienia, ale po chwili też się udało.

„Obrotowe pocieranie kciuka prawej dłoni o wewnętrzną część zaciśniętej na niej lewej dłoni, a następnie odwrotnie” – brzmiał punkt piąty instrukcji. Wykonano. Ciągłe na sucho. Na zakończenie było: „Obrotowe pocieranie wewnętrznej części prawej dłoni złączonymi palcami lewej dłoni, a następnie odwrotnie”. I tego już nie udało się Marcie przeciwzyć, bo rozległo się ciche, ale stanowcze pukanie. W pośpiechu i bardzo niedokładnie umyła więc ręce bez „obrotowych pocierań dłoni z przeplecionymi palcami”, myśląc z podziwem o dziele prof. G.A. Ayliffe’a wspartym autorytetem Europejskiego Komitetu Normalizacyjnego CEN.

* * *

Gdy Marta wyszła z Grupy Wsparcia, wsiadła na rower i bez wahania ruszyła w kierunku wskazanym przez barmankę. Poblądziła przez chwilę, aż w końcu dostrzegła wśród wysokich drzew dwukolorowy dach. Dachówka przy papie wyglądała tak, jakby to był rudy beret nasadzony na czarne włosy.

Dom był stary, bardzo zniszczony, ale malowniczy. Kształty miał nieregularne, jakby go zbudowano z różnych klocków. Niegdyś pewnie malutki, był potem sukcesywnie rozbudowywany, stąd po jednej stronie półokrągła oszklona weranda, z drugiej fragment wyższy niż reszta domu z zewnętrznymi schodami prowadzącymi bezpośrednio na piętro, które wyglądało trochę jak mostek kapitański. Widać było, że dom rozrastał się w zgodzie z potrzebami i upodobaniami gospodarzy. A że każdy miał inny gust, budowla była mocno eklektyczna.

Bardzo się to Marcie spodobało. Widać było już z zewnątrz spore fragmenty jego historii.

– Czy pani może do nas? – usłyszała raptem.

Przy furtce, przez którą obserwowała dom, zatrzymała się niemłoda dama z siatkami w dłoniach.

– Nie, nie, przechodziłam – zaprzeczyła Marta.

– A, to szkoda, bo już myślałam, że może pani w sprawie pracy u nas.

– A jeśli tak... – Marta dokonała zwrotu.

– To zapraszam do środka – bez wahania odpowiedziała dama, uważnie taksując Martę.

Coś wzbudziło chyba jej wątpliwości.

– Pani z baru powiedziała mi, że poszukujecie pracowników – wyjaśniła Marta.

To wyraźnie uspokoiło damę. Poprowadziła ją alejką w stronę ganku, gdzie schronienie znalazł rower.

Po chwili obie znalazły się w domu. Panował tu charakterystyczny dla starych budynków zapach lekkiej stęchlizny i mroczny półmrok.

– Czy zechce pani włożyć to na buty? – spytała gospodyni, podając staroświeckie, używane kiedyś w muzeach filcowe ochraniacze na buty.

To całkiem zrozumiałe – pomyślała Marta. – Przecież te podłogi są drewniane, a na dworze błocko.

Już w przedpokoju widać było, że rzeczy w tym domu tłoczą się i walczą o miejsce dla siebie. Ale gdy po chwili panie weszły do salonu, Marta aż cofnęła się przed otaczającym ją nadmiarem. Przy każdej ścianie szafy, szafki i regały, a na nich tysiące

przedmiotów. Wrażenie przyprawiające o zawrót głowy. Na stołach, stołkach i kredensach podobnie.

„Śmieciara” – przypomniało jej się zasłyszane określenie – ale elegancka.

Bo to wszystko było starannie, nawet pieczołowicie poukładane i poustawiane. Mnóstwo książek, ozdobne szkło, rzeźby, tkaniny i tysiące bibelotów. Obłęd!

– Mamo, mamy gościa! – zawołała tymczasem gospodyni.

Po chwili w głębi rozległo się szuranie i z sąsiedniego pomieszczenia wyszła starsza pani, jak należało rozumieć – mama niemłodej.

– Witam panią – powitała Martę tonem starej ziemianki i wskazała krzesło, na którym spoczywał jakiś barwny kilim.

A jej córka zapytała, czy napije się kawy, czy herbaty.

I zakrzętnęła się w nieodległej od salonu kuchni.

– Zgromadzone tu rzeczy mają różną wartość – objaśniała, stukając spodkami i filiżankami. – Nasza rodzina ma wielowieczną historię, a mama również z zawodu jest historykiem. Dla niej zawsze wszystko jest potencjalnym eksponatem muzealnym, dlatego lubi pozyskiwać rzeczy i nie znosi się z nimi rozstawać.

Starsza pani uśmiechnęła się na potwierdzenie. Marta zauważyła, że ten uśmiech był bardzo promienny i czynił jej pomarszczoną twarz o wiele młodszą.

Młodsza gospodyni, też pogodnie uśmiechnięta, weszła z powrotem do salonu z serwisem na tacy.

Nagle, pomimo że wszystkie okna były szczelnie zamknięte, na zewnątrz dał się słyszeć jakiś cichy dźwięk.

– Oho, to już południe – powiedziała starsza pani.

A tam najpierw rozległo się to delikatne gwizdanie, a po chwili łopot dziesiątek skrzydeł.

– Proszę zobaczyć – zaproponowała młodsza gospodyni, wskazując okno. – Gołębiarz wyprowadza ptaki na spacer.

Marta podeszła do okna.

Na sąsiedniej posesji stała ceglana buda, na której dachu zamontowana była metalowa klatka. Wyfruwały z niej właśnie białe gołębie, tworząc jakby ławicę krążącą nad budą i nad nieodległą chałupą, coraz wyżej i wyżej. A że było pochmurnie, ptaki znikwały gdzieś we mgle, aby po chwili powrócić. Ich ruchem sterował odwrócony tyłem do okna mężczyzna. Czynił to za pomocą długiego kija ze szmatą zawieszoną na jego końcu. Czasami ptaki obierały taki kierunek, jakby chciały sąsiadkom wpaść do okien, po czym wzbijały się ponownie do nieba.

Trzy kobiety obserwowały to niezwykle, baletowe widowisko.

– To jest jak hejnał z wieży Mariackiej – szepnęła młodsza – zawsze dokładnie w południe. Można regulować zegarki.

– I to wszystko gratis – zażartowała starsza.

Wróciły do stołu. Marta jeszcze przez chwilę śledziła pojawiające się na zasłoniętej firance cienie tej ptasiej ławicy i nasłuchiwała szumu ich skrzydeł. Obie gospodynie milczały, dyskretnie śledząc niemy zachwyty malujący się na twarzy Marty.

– Nad przedmiotami zgromadzonymi w salonie mama potrafi jeszcze zapanować – odezwała się w końcu młodsza. – Ale w innych pomieszczeniach rozpanoszyły się one tak, że nikt już się nie połapie. Chce pani to zobaczyć?

Marta przytaknęła, ale równocześnie pomyślała, że dwie starsze panie są mocno nieostrożne, z ufnością pokazując swe skarby obcej osobie. Wkrótce miało się jednak okazać, że nie ma się co dziwić. Przedmioty zgromadzone w licznych kolejnych pomieszczeniach były w skandalicznie złej formie, poniszczone, zwalone na bezładne stosy i wyglądały jak jakiś nowotwór, który zaatakował dom.

– Do naszej dyspozycji w całym tym dużym domu są na razie tylko dwa pokoiki, kuchnia i łazienka – objaśniała młodsza kobieta. – Takie wyodrębnione z całości M2, jeśli wie pani, że tak nazywano małe metraże w PRL-u.

Otwarcie kolejnych drzwi sprawiło, że Marta odruchowo cofnęła się, jakby zawartość pomieszczenia miała zwalić jej się na głowę.

– To był kiedyś salon mojego ojca, a potem mojego męża – wyjaśniła starsza pani.

Cuchnęło zgnilizną. To nie były sprzęty, tylko truchła. Marta aż odskoczyła i chciała uciec.

– Wszyscy uciekają na ten widok – zaśmiała się młodsza z kobiet – a ja muszę mieć kogoś do pomocy, bo sama tego nie posprzątam.

– Na mnie też proszę nie liczyć – odparła Marta, zbierając się do wyjścia. – Przecież to wszystko trzeba po prostu wyrzucić.

– Ja też w pierwszym odruchu chciałam zamówić kontener i wysłać do spalarni, ale na ten bałagan składają się rzeczy ślady ludzi, których już nie ma, w tym naszych bliskich. Nie wybaczyłabym sobie, gdyby to ot tak zmarnować.

Marta nic rozczulającego w tym bałaganie nie dostrzegła.

– Proszę na to spojrzeć inaczej – ciągnęła gospodyni niezrażona – przecież te rzeczy są jak stare fotografie, z których każda opowiada jakąś historię. Trzeba im się przyjrzeć, naprawić, niektóre sprzedać, inne oddać, ale nie wyrzucać.

– Pokażę pani jedną z ciekawostek, które można tu znaleźć. – Starsza pani podeszła do regału stojącego nieopodal. – Tę akurat kolekcję wyjątkowo lubię i nikomu nigdy nie oddam, a żaden złodziej się na nią nie połasi, chyba że na złom, co byłoby okropnym nieszczęściem.

I otworzyła przepastną szufladę, w której zgromadzone były w ogromnej liczbie klucze różnych kształtów i wielkości.

– Nigdy nie wyrzucałam kluczy – oznajmiła z ciepłym uśmiechem, sięgając po ich garść. – Już nie ma tych drzwi, już nie ma tych zamków, ale kluczy nie wyrzucam.

Marta spojrzała na kobietę z zaciekawieniem. Wiedziała, że trafiła w oryginalne miejsce, ale teraz chciała się już zbierać.

– Dlaczego pani nas odwiedziła? – spytała młodsza gospodyni. – Przecież nie wygląda pani na osobę, która szuka pracy.

– Istotnie, nie szukam – przyznała Marta.

– No, a my właśnie kogoś takiego potrzebujemy! Kto by nam pomógł w tej inwentaryzacji nie dlatego, że chce zarobić, ale dlatego, że go to zadanie zaciekawi. Za czas temu poświęcony trzeba, rzecz jasna, zapłacić, ale to nie powinna być działalność zarobkowa.

Marta w milczeniu zdjęła filcowe ochraniacze.

Gdy chwilę potem, odprowadzana przez obie kobiety, sięgała po rower stojący na ganku, młodsza powiedziała:

– Skoro mowa o kolekcji niepotrzebnych gratów, to niech pani zwróci uwagę na to, co stoi tam w krzakach u niego.

Wskazała na działkę za ogrodzeniem, która należała do Gołębiarza.

A tam, w kącie, zgromadzona była wielka kupa złomu.

Te graciarnie to zadanie dla epidemiologa – pomyślała Marta.

– Sąsiad kiedyś znalazł drewnianą furę, którą przytaszczył o własnych siłach, nikt nie wie jak – wyjaśniła starsza pani, chroniąc się przed zimnem pod wielką wełnianą chustą narzuconą na ramiona. – Potem zaczął na nią wrzucać stare żelastwo. Gdy go zapytałam, po co to robi, odparł, że jak nabiera się pełna fura, wywiezie to wszystko na złomowisko. – Wokół zrobi się większy porządek – powiadał – a i zarobek będzie. Aż pewnego dnia stara fura nie wytrzymała ciężaru i pękła dokładnie na środku. Odtąd niczego już nie dorzucał, ale też nie zrobił nic, aby pozbyć się tej sterty złomu. No i tak zostało. Co złośliwsi zaczęli o sąsiedzie mawiać: „Gołębiarz Złamana Fura”. Nawet nie chcę wiedzieć, jak mówią o mnie.

A ja wiem – pomyślała Marta. – „Śmieciara”.

Pożegnała się przy furtce z dwiema niemłodymi już paniami.

Nie od razu wsiadła na rower. Jeszcze chwilę powłóczyła się po okolicy, pomimo ponurej aury. Była w jakimś odświeżonym nastroju.

Co to za dziwne miejsce – pomyślała – gdzie „śnieg rośnie”, gdzie można się napić w Grupie Wsparcia i gdzie zamiast hejnału w południe Gołębiarz Złamana Fura wyprowadza ptaki na spacer.

* * *

Wizyta w willi dwóch starszych pań pozwoliła Marcie uświadomić sobie, że to, co tak ją zszokowało – ogromna ilość niepotrzebnych rzeczy – jest porównywalne z tym, co męczy ją w pracy w dziekanacie. Na co dzień osaczały ją: papiery, dokumenty, wykazy, sprawozdania, podania. Część ich fizycznie zalegała w różnych segregatorach, część została wchłonięta w wirtualną przestrzeń komputera, ale wypadały z każdego kąta z taką samą obfitością jak przedmioty zgromadzone przez starszą panią na Pogodnej (jak przywykła już nazywać tereny swych pielgrzymek).

Chyba zawodowo jestem skazana na nadmiar – pomyślała w poniedziałek, gdy na biurku czekały na nią sterty indeksów, protokołów egzaminacyjnych i statystyk, z których w ostatecznym rachunku miało wynikać, że uczelnia jest na medal.

Królowa Kier od rana rozdawała razy, tasowała obowiązki między swoimi podwładnymi, robiła miny, jakby chciała wykrzyknąć: „Ściąć jej głowę”. Toteż wybicie godziny trzeciej było jak obudzenie się Alicji ze snu.

Nie znaczyło to jednak, że Marta może uciec z tych murów. W poniedziałki bowiem Stefan zaczynał zajęcia ze studentami w chwili, gdy dzień pracy Marty się kończył. Przyjęło się, że czekała na niego i odwoziła do domu. Miała więc przed sobą dwie godziny. Jak zwykle z książką w ręku.

Ale tego poniedziałku, jak się miało okazać, nie tylko Marta czekała na Stefana. Gdy skończył ćwiczenia, z drugiego końca korytarza poderwała się dwójka młodych ludzi.

– Czy zechciałby nam pan poświęcić chwilę? – usłyszała Marta, gdy podeszła do męża.

Zazwyczaj takie prośby kończyły się wpisem do indeksu, ustaleniem terminu egzaminu lub podpowiedzią lektury, tym razem było to zaproszenie na kawę.

Stefan zaskoczony zaczął się wymawiać.

– Ale o co chodzi? – zapytał zniechęcającym tonem.

– To dłuższa historia, ale na tyle interesująca, że z pewnością pan nie pożałuje – tłumaczyła dziewczyna z tak rozbrajającym uśmiechem, że grzech było odmówić. – Nieświadomie wyświadczył nam pan wspaniałą przysługę i to zaproszenie ma być naszym podziękowaniem za wielki dar, jaki od pana otrzymaliśmy.

– Przyjmij to zaproszenie – wtrąciła Marta – a ja poczekam.

– Panią też serdecznie zapraszamy – dodała dziewczyna, wiedząc zapewne, jak wszyscy na wydziale, że pani z dziekanatu jest żoną Stefana.

Wyszli z terenu uczelni i od razu zapachniało kawą z jednej z sieciówek.

– No dobrze, to zatrzymajmy się tutaj na chwilę – zgodził się Stefan.

– Właśnie wzięliśmy ślub – oznajmiła dziewczyna zaraz po złożeniu zamówienia.

– Wszystkiego dobrego – grzecznie odpowiedzieli i Stefan, i Marta.

– Ale nie byłoby go, gdyby nie pan – ciągnęła dziewczyna.

Marta spojrzała ze zdziwieniem na Stefana, który też nie krył zaskoczenia.

– Proszę posłuchać, jak się z Jarkiem poznaliśmy – rozpoczęła dziewczyna, gdy kelner przyniósł zamówione kawy.

– Znosi się na dłuższą opowieść – mruknął Stefan, ale nie protestował.

Marta musiała przyznać, że to urocza istota, która roztacza wokół siebie promienne światło. Chłopak też uśmiechał się ciepło.

Ale oni szczęśliwi – pomyślała, przyglądając się młodej parze, i poczuła się staro.

Trzydziestojednoletnia staruszka.

– Najpierw ja dostrzegłam go na ławce w parku – zaczęła dziewczyna. – Pamiętam, zdziwiło mnie, co w środku dnia robi na ławce młody facet w białej koszuli i pod krawatem. W dzień powszedni tacy mężczyźni nie siedzą w parku, tylko strasznie zaaferowani biegają z komórką przy uchu. I rzeczywiście – dodała – Jarek, mój mąż, na co dzień jest takim właśnie biegającym facetem.

– Ale akurat tego dnia pokłóciłem się z klientem – dodał młodzieniec nazywany Jarkiem.

– No właśnie – dziewczyna weszła mu w słowo. – Gdyby się nie pokłócił, nie usiadłby na tej ławce, tylko uzgadniałby z nim szczegóły kontraktu. No i tylko dlatego byśmy się nie poznali.

Martę ten wywód rozbawił. Spojrzała na Stefana, ten słuchał opowieści z grymasem zniecierpliwienia na twarzy.

– Ale żebyśmy mogli się poznać, trzeba było jeszcze, żeby Baśka przeszła tuż obok – kontynuował chłopak.

– A do tego, żebym przeszła obok, potrzebne było... – powiedziała Baśka i zawiesiła głos – żebym nie zdała egzaminu u pana.

Stefan wreszcie uważniej jej się przyjrzał. Jakby chciał sobie przypomnieć.

– Gdybym zdała – tłumaczyła dalej rozpromieniona dziewczyna – to nie szłabym przez park sama, tylko wybrałabym się z kumplami na piwo.

– No tak, przeszła pani obok ławki, na której siedział pani przysły mąż – Stefan raptem zaczął się wciągać w tę opowieść – ale przecież nie myślała pani o nim, tylko o niezdanym egzaminie.

– No właśnie – potwierdził Jarek. – Mogła przejść obok, a ja siedziałbym dalej na ławce, wściekły na klienta, szefa i cały świat. Na szczęście obsikał ją pewien kundel.

– Fakt – przyznała dziewczyna. – Najważniejsze było to, że obsikał mnie ten kundel.

Marta zauważyła, że Stefan, przyglądając się tym uroczym dzieciakom, które mówiły jedno przez drugie, był już wyraźnie rozbawiony.

– Gdy przechodziłam obok ławki – mówiła dalej dziewczyna – na której siedział mój przyszły mąż, podbiegł do mnie pies, radośnie machając ogonem. Był tak sympatyczny i przyjazny, że – pomimo trosk związanych z oblanym egzaminem – zatrzymałam się, aby go pogłaskać. On zaś podniósł tylną łapę i obsikał mi nogę. Natychmiast pojawił się skonfundowany właściciel, przeprasząc i zaklinając, że nigdy dotąd nic podobnego się nie zdarzyło. Po czym wyciągnął chusteczki higieniczne, żeby wysuszyć nogawkę moich spodni, a ja rozejrzałam się bezradnie i wtedy spostrzegłam rozbawioną minę Jarka. Pomyślałam o nim bez sympatii.

– A ja wyjąłem z teczki butelkę z wodą mineralną i podałem jej bez słowa – wtrącił się chłopak.

– To rzeczywiście było jakieś rozwiązanie – dziewczyna opowiadała dalej. – Polałam spodnie wodą, właściciel psa próbował osuszyć je chusteczką, pozostawiając na nich białe farfocle, a pies winowajca polizał mnie po dłoni, jakby chciał przeprosić. To wszystko ostudziło moją złość. Gdy więc chwilę potem, wymyta, oddawałam Jarkowi resztkę jego mineralnej, byłam już odprężona. Powiedziałam, że czuję się tak, jakbym była słupem ogłoszeniowym.

– A ja dodałem – dorzucił chłopak – że to gest zawłaszczenia, taki znak, że jest ona tego kundla...

– ...suką – dokończyła dziewczyna ze śmiechem.

Marta z radością patrzyła na tych paplających młodych ludzi i dawno nie widziała tak łagodnie się uśmiechającego Stefana.

– A potem powiedziałam prorocze „do widzenia” – kontynuowała dziewczyna.

– Kundel kundlem – chłopak zwrócił się bezpośrednio do żony – ale po oczyszczeniu spodni sobie poszłaś, a ja zostałem na ławce.

– No tak – potwierdziła dziewczyna, powtarzając to samo Stefanowi – ja poszłam dalej.

Młodzi dobrze stopniowali napięcie. Słuchający chciał się dowiedzieć, co dalej.

– No i było tak. Szłam przez park, oblana przez egzaminatora i przez kundla – oznajmiła dziewczyna, figlarnie uśmiechając się do Stefana – i rozmyślałam, że czas, aby wreszcie zdarzyło się coś miłego. Rozejrzałam się i naraz nabrałam ochoty, aby pójść do teatru, który był nieopodal. Postanowiłam zatem wejść do środka i zapytać o bilety. Jeśli będą, pójdę na spektakl, jeśli nie – na jakieś ciacho. Bilety były. Skoczyłam do domu się przebrać, a na ciacho i tak zdążyłam pójść przed przedstawieniem. I oto, gdy na widowni szukałam numeru fotela, po drugiej stronie zobaczyłam Jarka. Stał i uśmiechał się do mnie. Też się uśmiechnęłam. A po chwili, idąc ku sobie i mijając innych widzów, którzy siedzieli już w fotelach, spotkaliśmy się w środku rzędu. Mieliśmy miejsca obok siebie! Taki to był niesamowity splot przypadków! – wykrzyknęła radośnie dziewczyna i przypomniała: – Kłótnia z klientem, obłany egzamin, sikający kundel i te bilety teatralne – tego wszystkiego trzeba było, żebyśmy tu dziś państwu opowiadali o początkach znajomości, która niedawno doprowadziła nas przed ołtarz!

– Ale co – spytał naraz Stefan dociekliwie – to siedzenie przy sobie w teatrze jakoś zainfekowało was uczuciowo?

– No nie – zaprzeczyła dziewczyna – tyle że potem było już łatwo: Jarek zaprosił mnie na kolację, na której wymienialiśmy uwagi na temat obejrzanego spektaklu.

– Czas jednak dziś powiedzieć sobie – oznajmił raptem chłopak, przerywając narrację dziewczynie – że teatr to już nie był przypadek. Bo wtedy całkiem nieprzypadkowo poszedłem za Basią. Zobaczyłem, że weszła do teatru, zacząłem się, a gdy odeszła od kasy, poprosiłem bileterkę o miejsce obok niej.

Dziewczyna była szczerze zaskoczona.

– Do dziś wierzyłam, że to też było zrzączenie losu – powiedziała – nawet tak to sobie wyinterpretowałam, że na tej ławce w parku to siedziałeś w oczekiwaniu na spektakl.

– Błąd! – odparł chłopak ze śmiechem. – Niemniej jednak – dodał – nic by z tego nie było, gdyby nie mój kapryśny klient, twój wymagający egzaminator i sikający pies.

– No i teraz już jest chyba jasne, panie profesorze, dlaczego oboje chcieliśmy panu serdecznie podziękować za to, że oblał mnie pan na egzaminie rok temu – spointowała dziewczyna.

Marta spojrzała, podobnie jak oni, na Stefana. I pierwszy raz od dawna zauważyła w jego oczach ten żar, który ją kiedyś zniewalał. On był zafascynowany Basią tak samo jak nią lata temu.

Dawno tego błysku nie widziała w jego oczach. Poczwała zazdrość.

* * *

– Dziś o dwunastej w moim gabinecie – usłyszała kilka dni później, gdy zjawiała się w pracy.

Królowa Kier znów szykowała jakąś rozgrywkę.

Odkąd Marta dowiedziała się od Łucji, że i szefowa jest byłą partnerką jej męża, poczuła, że uczucie biernej niechęci do niej ustępuje miejsca całkiem aktywnej wrogości. Zrozumiała też, że jest zanadto otoczona jego przeszłością. Jakby ten świat, był jedną wielką gościnną sypialnią, gdzie w różnych konfiguracjach przebywają ludzie, którzy kochają się czasem, ale się nie lubią.

Wróciło wspomnienie czarującej Basi, młodziutkiej, zakochanej żony sympatycznego Jarka, rok temu oblanej przez Stefana i kundla. I żarłoczne spojrzenie Stefana, gdy tę małą obserwował.

Znów poczuła ukłucie zazdrości.

– Nie wiesz, o co chodzi? – spytała koleżanka siedząca przy sąsiednim biurku. – Królowa wezwała mnie dziś do siebie na dywanik, ściśle określając godzinę.

– A którą? – spytała Marta zaskoczona.

– Jedenastą trzydzieści – odparła tamta.

– To dziwne, bo ja też mam dziś zapowiedzianą audiencję – przyznała Marta. – Na dwunastą.

Zwykle owe „dywaniki” zdarzały się nieoczekiwanie, niezapowiedziane, żeby można było uzyskać element zaskoczenia i zagrożenia. W ten sposób Królowa Kier zyskiwała posłuch i roztaczała obrzydliwą, lepłą atmosferę lęku, który nie opuszczał w tym wnętrzu jej podwładnych. A dziś „audiencje”?

– Może to jakaś „rekonstrukcja rządu” i będą zwalniać grupowo? – Koleżanka dała próbkę wisielczego humoru, za którym Marta nie przepadała.

A gdyby tak, to może dobrze? – pomyślała, przypominając sobie słowa własnej matki: „Żeby coś zmienić, trzeba, by najpierw coś nie wyszło”.

Zaskoczeniem dla niej było to, że pierwszy raz, odkąd podlegała Królowej Kier, nie tylko nie złąła się perspektywy przekroczenia progu jej gabinetu, ale zamarzyła, żeby ta na dobre się z nią rozprawiła. Otworzyłaby jej drogę, której sama Marta wciąż jeszcze nie miała śmiałości obrać.

Począwszy od wpół do dwunastej, taki scenariusz wydawać się zaczął całkiem realny. Bo oto koleżanka, która o tej godzinie zniknęła za drzwiami gabinetu Królowej Kier, w istocie została „skrótca o głowę”. Po piętnastu minutach wyszła stamtąd zapłakana i nie trzeba było być szczególnie przenikliwym, żeby się domyślić, że właśnie zwolniono ją z pracy. Ocierając łzy, podeszła do swego biurka, chwyciła torebkę i wybiegła, aby tu już więcej nie wrócić. Królowa Kier rozstawała się z pracownikami szybko, acz nie bezboleśnie.

Martę zaskoczyło to, że sama reaguje na to wszystko spokojem. Miała jeszcze piętnaście minut, żeby wyreżyserować swój „koniec”, co pozwoliło jej uświadomić sobie, że w powodzi wszystkich niepotrzebnych rzeczy, którymi była w tej pracy otoczona, nie ma niczego, z czym nie chciałaby się rozstać. Ona też do zabrania miała tylko torebkę.

Zanim więc w samo południe zatrzasnęły się za nią drzwi do gabinetu szefowej, już poczuła się wolna.

Tymczasem tam czekała ją niespodzianka.

– Decyzja o zwolnieniu Moniki jest nieodwołalna – usłyszała, gdy stanęła przed chmurnym obliczem Królowej. – Zanim znajdzie się ktoś na jej miejsce, pani przejmie jej obowiązki.

I to była ta niespodzianka.

A co z moimi własnymi? – przemknęło przez myśl zaskoczonej Marcie.

– Jest pani solidnym pracownikiem, na pewno pani sobie poradzi – zakomunikowała Królowa.

Cóż było robić z takim komplementem? Marta stała oniemiała. Nie tylko nie straciła pracy, ale przeciwnie – dostała jej więcej. Oprócz własnych segregatorów, które z sukcesem miała przenieść z jednej kupki na drugą, miała mieć też do przeniesienia te, które zostały na biurku Moniki.

Szefowa, wypowiedziawszy ten rozkaz, swoim zwyczajem wygłosiła monolog, który w jej przekonaniu miał motywować pracowników do bardziej wytężonej pracy, ale Marta nie słuchała. Biła się z myślami.

Wtedy nie zdobyła się jeszcze na to, żeby wykonać ten nadzwyczajny zwrot akcji i wyjść – z gabinetu, z dziekanatu, z uczelni.

Wyszła, ale po to, aby przenieść segregatory z biurka Moniki na własne.

Była ogłuszona. Jakby te wszystkie sprawy do załatwienia, kwestionariusze do wypełnienia i dane do wklepania zwały jej się na głowę. Zaczęła nieco bezmyślnie przeglądać papiery.

Jeden punkt przykuł jej uwagę. Była to dyspozycja dziekana, czyli Stefana, aby przedstawić mu listę studentów, którzy w poprzedniej zimowej sesji nie zdali u niego egzaminu.

Basia! – zagrzmiało w głowie Marty. – Ta śliczna dziewczyna! On jej szuka!

Tego dnia Marta rzuciła wszystko inne, aby wykonać polecenie dziekana. I listę sporządziła, poznając nazwisko dziewczyny. Bo Basia, która wtedy oblała, była tylko jedna.

Mam nadzieję, że zdążyłaś już, dziewczyno, po ślubie zmienić nazwisko, bo jeśli nie, to cię czekają „niebezpieczne związki” – pomyślała Marta, wkładając listę do teczek Stefana.

I wyszła wraz z wybiciem trzeciej na wolność.

Co ty kombinujesz, stary satyrze – pomyślała o swym mężu.

* * *

Jeszcze kilka dni wytrzymała w pracy, zanim znów wsiadła na rower, aby pojechać do starej willi na Pogodnej.

Aura nie licowała z jej smutkiem – było pięknie. Po zimie nie zostało ani śladu i cały świat zdawał się z niecierpliwością czekać odmiany. Zza chmur, jak dobra wróżba, wyłaniało się czasami słońce, a ptaszki świergoliły beztrudnie. Nawet ludzie sprawiali wrażenie zadowolonych z życia. Wydawało się, że tylko Marta musi dźwigać ciężkie brzemie swego losu. Jechała więc przez ten uśmiechnięty, przedwiosenny świat ponura jak chmura gradowa.

Aż dojechała do celu.

Przywitała ją młodsza mieszkanka domu. Zawahała się, gdy ją zobaczyła, ale szybko przypomniała sobie jej wizytę.

– A ile byście płacili temu, kto by się zajął inwentaryzacją tego bałaganu? – spytała Marta bez zbędnych wstępów.

– No, nie wiem – odrzekła tamta nieco spłoszona. – Nie chciałabym nikogo obrazić, ale więcej niż tysiąc pięćset to bym płacić nie mogła. Ale gdyby znalazł się kupiec na niektóre z tych sprzętów, toby był procent od transakcji. O tym jednak nie powinno się rozmawiać przez próg, więc niech pani wejdzie.

Marta skorzystała z zaproszenia.

– Czy byłaby pani zainteresowana tą pracą? – niepewnie spytała młodsza pani domu, uważnie obserwując Martę.

– Nie jestem zainteresowana pracą, którą mam, więc może dobrze by było ją zmienić na inną.

– Rozumiem. – Kobieta pokiwała głową.

Gdy weszły do salonu, starsza pani wychynęła z kuchni.

– Moja mama ma na imię Weronika, ja Olga...

I zawiesiła głos w oczekiwaniu.

– A ja Marta – wyjaśniła Marta.

Panie były w trakcie jakichś zajęć kuchennych.

– Nie będzie pani przeszkadzało, że będę obierała jarzyny? – spytała pani Weronika.
– Właśnie gotuję zupę.

– Nie, oczywiście, przecież przyszłam niezapowiedziana – odparła Marta.

– Proszę usiąść. – Pani Olga wskazała jej taboret przy stole kuchennym. – Wyjmę tylko ciasto z piekarnika. Jak ostygnie, zjemy po kawałku.

Marta rozejrzała się po kuchni, w której półki ugiwały się od staroświeckich przedmiotów: mis, puszek, makutr, moździerzy, a w starych kredensach lśniło szkło i mieniły się różnymi barwami delikatnie zdobione filiżanki.

– To jest nasz dom rodzinny – zaczęła pani Olga, wyciągając z piekarnika formę z ciastem. – Tu przyszła na świat moja mama, tu urodziłam się ja i moje siostry. Cztery lata temu zmarł nasz ojciec. Zjechaliśmy się wtedy na pogrzeb z różnych stron świata – ja z Danii, gdzie też chwilę wcześniej pochowałam męża. Mama, która pierwszy raz od dawna miała przy sobie wszystkie trzy swoje córki, zażartowała, że to „powrót trzech sióstr”. To nawiązanie do Czechowa nie jest przypadkowe – uśmiechnęła się pani Olga – bo mama, nauczycielka, miłośniczka tego pisarza, nazwała nas tak jak on swe bohaterki. A było tak – najpierw ja, najstarsza, pewnie jeszcze bez żadnej intencji nazwana zostałam Aleksandrą. Potem, gdy na świat przyszła druga córka, została Marią (u Czechowa – Maszą), a mama zaczęła czekać na trzecią „siostrę”, żeby ją nazwać Ireną (Iriną). I Bóg ją obdarzył trzecią córką. Wtedy jeszcze tylko mnie przemianowała na Olgę i wszystko było jak w *Trzech siostrach*.

Woda na zupę zaczęła wrzeć, pani Olga wzięła więc obrane jarzyny od matki i zaczęła je wrzucać do gara.

– Wiele lat później, gdy dorosłyśmy – kontynuowała swoją opowieść – mama przeklęła pomysł z literackimi imionami, bo okazało się, że wywróżyła tym sobie los, którego nie chciała – wszystkie trzy porzuciłyśmy dom rodzinny i wyjechałyśmy daleko stąd. U Czechowa trzy siostry marzą o wyjeździe do Moskwy. Im nie wyszło, nam owszem – na mamy i nasze utrapienie udało nam się spełnić te marzenia – każda znalazła swoją Moskwę. Wyjechałyśmy stąd, każda w innym kierunku, na poszukiwanie szczęścia i na lata straciłyśmy ze sobą kontakt. Oczywiście, była korespondencja, zjazdy rodzinne, ale więzi bardzo się poszarpały.

Wprawnymi ruchami zaczęła kroić ziemniaki w kostkę, a matka zajęła się krojeniem boczku na skwarki.

– Ja znalazłam dobrą partię, męża Duńczyka, który mi zapewnił życie w dostatku – snuła dalej niespieszną opowieść, której sensu Marta jeszcze nie znała. – Urodziłam mu dwójkę dzieci, a one urosły, urządziły sobie swoje życie i urodziły swoje dzieci, gdy więc umarł mój mąż, zostałam sama w wielkim domu. I dlatego, gdy przyjechałam na pogrzeb taty, od razu przyszło mi do głowy, żeby tu wrócić. Mama sama, ja sama, obie niemłode. Zaczęłyśmy o tym rozmyślać już wtedy, na stypie. Bo to nasze spotkanie rodzinne było dziwnym doświadczeniem: mama otoczona dużą rodziną – pięciorgiem wnuków i dziesięcioma prawnukami, ale większość ich nie mówi po polsku. Moje dzieci i wnuczeta całe życie spędziły w Danii, więc ledwo mówią „dzień dobry” i „dziękuję”, syn Maszy pracuje na zagranicznych kontraktach muzycznych, a dzieci Iriny robią po świecie biznes i ze swymi dziećmi porozumiewają się głównie po angielsku. Podczas pierwszego od lat spotkania rodzinnego gwar dziecięcy był obco brzmiący, podobnie jak komendy wydawane przez ich rodziców. Wszyscy goście uśmiechali się grzecznie, w skupieniu oglądając albumy rodzinne i inne pamiątki, ale czuło się, że absolutnie nic ich nie wiąże z tym miejscem, w którym się znaleźli. Szybko potem zresztą rozjechali się do swoich światów i swoich spraw.

– Do Moskwy... – mruknęła Marta.

– Do Moskwy – przytaknęła pani Olga – która rozprzestrzeniła nam się na cały świat.

Marta pomyślała, że teraz przydałoby się napić herbaty z samowara i posłuchać rzewnej mandoliny.

Pani Olga musiała chyba pomyśleć o tym samym, bo wstawiła wodę na herbatę, ukroiła po kawałku gorącego jeszcze ciasta i poprosiła do stołu w salonie.

W chwili gdy usiadły, rozległ się znany już Marcie szum skrzydeł i ciche gwizdanie. To znaczyło, że jest południe i Gołębiarz Złamana Fura wyprowadza ptaki na spacer.

Marta miała ochotę znów na to popatrzeć. Wstała więc od stołu, przy którym ledwo co przysiadła, i odsłoniła firankę. Mężczyzna poruszający wielkim drągiem był odwrócony plecami, ale tym razem obok niego stał mały chłopiec i zadzierając do góry głowę, przyglądał się ptakom.

– To jego syn? – spytała.

– Nie, to taki mały łobuziak, który często tu się kręci po okolicy – odparła pani Weronika. – Jemu jednemu udało się jakoś zaprzyjaźnić z tym dziwakiem.

Po chwili panie wróciły do stołu, a Olga, zanim usiadła, podeszła do sekretarzyka, na którym stały strojnie oprawne fotografie rodzinne. Na jednej z nich, którą po chwili zaprezentowała Marcie, widoczne były siedzące za stołem, przy którym i one teraz zasiadły, trzy młode, promiennie uśmiechnięte, kilkunastoletnie dziewczyny. To Olga i jej dwie, nieznane jeszcze Marcie siostry: Maria i Irena – Masza i Irina. Moskwa była jeszcze wtedy przed nimi.

– Maszą zawładnęła wielka miłość – kontynuowała pani Olga, wskazując na siedzącą w środku średnią siostrę. – Pognała za ukochanym na drugi kraniec kraju, a on ją tam porzucił, gdy była w ciąży. Nie chciała wtedy wracać do domu, nie chciała się przyznać do porażki. Zawzięła się i dała sobie radę. Jest z nas najdzielniejsza! Dziecko wychowała, siebie wykształciła i tylko nigdy już nie związała się z żadnym mężczyzną. Została, jak matka, nauczycielką, potem nawet dyrektorką szkoły. Dało jej to poważanie u ludzi, ale nie dało szczęścia. Synowi umożliwiła edukację muzyczną, bardzo szybko dostrzegłszy jego zdolności, więc teraz, na jej nieszczęście, podróżuje on po świecie. A ona została sama, schorowana, na progu emerytury. Stąd pomysł, by i ona wróciła do rodzinnego domu. Dość tu miejsca, aby nas wszystkie pomieścić.

– A trzecia siostra? – spytała Marta, ośmielona tą wylewnością.

– Irinę mąż porzucił później niż Maszę – odparła Olga. – Najpierw razem z rozmachem robili biznes. Dopiero parę lat temu, gdy dzieci już podrosły, wyniósł się do młodszej. A dwoje dzieci, dobrze uposażonych, po kolei wylądowało w Anglii, znów w poszukiwaniu kolejnej swojej Moskwy – z przekąsem dodała pani Olga. – Irina prowadzi w dalszym ciągu małą firmę odzieżową, ale nie ma już siły działać na rynku i też rozważa, czy nie zwinąć tego interesu i nie dołączyć do nas.

Pani Olga znów podniosła się zza stołu, aby podejść do sekretarzyka. Odstawiła jedną bogato oprawną fotografię i wzięła drugą.

– Ktoś nam to zdjęcie zrobił na stypie po tatusiu. – Pokazała Marcie.

Trzy siostry siedzą znów na nim za stołem. Nawet pozycje podobne, tylko wiek nie ten.

– Wtedy zaczęłyśmy po raz pierwszy mówić o powrocie. Ale to są trudne decyzje. Dopiero gdy po pogrzebie wróciłam do pustego domu w Danii, zaczęłam poważniej o tym myśleć. Wiedziałam, że ze sprzedaży majątku mogłabym odnowić ten dom tutaj i jeszcze zaoszczędzić na bezpieczną starość. Nie wahałam się długo. A gdy swoją wolę powrotu oznajmiłam siostrze, najpierw zgłosiła się Masza. Że boi się postępującej ślepoty, więc

rozważa podobne rozwiązanie. Irina waha się najdłużej, ale ostatnio przysłała mi rysunek, jak można by dom poszerzyć o jeszcze jedną dobudówkę, abyśmy wszystkie miały bezpieczną przestrzeń dla siebie, zachowując równocześnie przestrzeń wspólną. Oczywiście byłyby oszczędności wynikające z takiego pomysłu, oczywiście korzyści, bo wszystkie trzy zostałyśmy same i w razie chorób pozbawione byłybyśmy pomocy. Ale tyle lat mieszkania oddzielnie pozmieniało nas, oduczyło wspólnoty rodzinnej. Trzeba więc pomyśleć o jakimś obszarze niezależności, żebyśmy nie rzuciły się sobie do gardeł.

Pani Olga ciepło uśmiechnęła się do Marty.

Nie wygląda na drapieżcę – pomyślała Marta, odwzajemniając uśmiech.

– I tak powoli nasze życie zatacza krąg – dodała pani Olga, przyglądając się fotografii starych trzech sióstr. – Dla mnie Moskwą miał być wielki świat i wielka przygoda, a przeżyłam życie małomiasteczkowej duńskiej gospodyni domowej, Moskwą Iriny miał być dobrobyt, a to tymczasem mnie on się przytrafił. Moskwą Maszy okazało się poważanie u ludzi, a przecież ona szukała miłości. A miłości żadna z nas nie znalazła.

W głosie pani Olgi nie było goryczy ani smutku, tylko melancholia.

– No i rodzi się pytanie – powiedziała na koniec filozoficznie – czy warto było stąd wyjeżdżać? Ale odpowiedzieć na to można by było, gdyby było wiadomo, co by było, gdybyśmy zostały.

* * *

Tego dnia Marta nic nie zadeklarowała, a panie nie nalegały. Obiecała jednak, że na pewno się odezwie, i poprosiła o numer telefonu. Zbierając się do wyjścia, rozejrzała się raz jeszcze po wnętrzach. Już nie bała się tego natłoku, zaczął on ją intrygować. Zarabiać pieniądze na tym, co niegdyś z braćmi lubiła robić na strychu domu dziadków – znajdować różne skarby i ukrywać je skrzętnie z powrotem, to nie był może taki zły pomysł.

Pożegnawszy się z paniami, wsiadła na rower z zamiarem pojeżdżenia jeszcze po okolicy.

Oto przeprowadziłam najdziwaczniejszą rozmowę dotyczącą zatrudnienia – pomyślała. – Zamiast o zakresie obowiązków było o przyczynach, dla których jakąś pracę się oferuje. Potencjalny pracodawca usprawiedliwiał się, że proponuje robotę do wykonania. A swoją drogą – dodała w myślach – co by to było, gdyby Królowa Kier, rozsyłając swoje rozkazy, równocześnie kroїła ziemniaczki na zupę...

Jak zwykle w ostatnich czasach, tak i dziś Marta nie spieszyła się do domu. Pojeździła tymi małymi uliczkami, z których każdą można by nazwać Pogodną, choć to były: Brzozowa, Klonowa, Ptasia i tym podobne. Oczywiście wszystkie one tak czy owak prowadziły do Grupy Wsparcia, która niewątpliwie była tej okolicy punktem centralnym. Aż jedna z tych botanicznych uliczek wyprowadziła Martę w pole. Wiedziała, że już tu kiedyś była, choć nic tego nie przypominało. Jedna piaszczysta droga wiodła do majacącego na horyzoncie lasu, a druga w bok. Pojechała w bok, aby po chwili znaleźć się przy wielkiej budowli widmie, na której nic się nie działo. Stała tam tylko konstrukcja ceglana, świecąca licznymi otworami. Niektóre z nich były zakryte szeleszczącą na wietrze czarną folią, przez inne wiatr mógł hulać bez ograniczeń. Teren był ogrodzony metalową siatką.

Gdyby tu stał kontener na kontenerze, tobym powiedziała, że to jest miejsce, do którego trafiłam w Wigilię – pomyślała Marta.

Ale kontenera na kontenerze ani jego mieszkańców tu nie było.

Widok był okropny. Wielki gmach wyglądał jak porzucony, bezbronny człowiek.

Ktoś tu się chyba przeliczył – przyszło Marcie do głowy, gdy opuszczała to miejsce.

Miło było wiedzieć, że nowoczesność na razie przegrywała z Pogodną.

Powoli zaczął w głowie Marty kształtować się obraz tego zaułka. Wiejsko-podmiejskie okolice, podzielone na małe leśne działki, były z jednej strony grodzone przed zmianami przez teren miejskiego cmentarza – miejsca modernizującego się w mniejszym stopniu niż inne ludzkie posiadłości, po drugiej zaś – ścianą chronionego ustawą lasu, którego wyciąć żaden przedsiębiorca nie miał prawa. Nowoczesność nie miała więc tu żadnych szans. Majaczyła gdzieś z dala fasadami okropnych blokowisk, ale nikt tu na Pogodnej nie miał obowiązku tam spoglądać.

Domki były rozmaitej wielkości i wartości, lecz żaden z nich nie wynosił się ponad inne szczególną urodą. A niektóre wyróżniały się nawet wyjątkową szpetotą, jak Grupa Wsparcia, na którą Marta znów dziś nieuchronnie trafiła. Teraz, gdy już dawno budynek ten stracił śnieżną szatę, straszyl brudnymi cegłami, brudnymi szybami, płaskim dachem z papy i odrapanymi drzwiami. O takim miejscu zwykło się mówić: „speluna”. Ale serce nie wybiera, a serce Marty biło już mocniej na widok tego miejsca. Rzecz jasna, weszła tam na momencik.

Właścicielka jakby na nią czekała.

– Dziś znów pani prowadzi? – spytała, sięgając po szklanke.

– Tak, tak, bez wkładki poproszę, bo jeszcze będę do miasta wracać – potwierdziła Marta i dodała: – Byłam w domu pani Weroniki.

– No i co? – spytała tamta, bacznie się Marcie przyglądając.

– Nie wiem.

– To już dużo – podsumowała kobieta zza kontuaru.

– Matyldo – odezwał się naraz dobrze już Marcie znany niski pan, którego tu widywała za każdym razem – niech pani da jeszcze po piwku mnie i Jurkowi.

Jego partnerem przy stoliku znowu był gruby młody mężczyzna – jego przeciwieństwo. Bo ten niski był tak niski, że niewiele wystawał ponad kontuar, gdy podszedł z pustymi kufkami.

Istny Flip i Flap, przeciwieństwa się przyciągają – pomyślała Marta, śledząc go kątem oka.

Barmanka, o której Marta wiedziała już teraz, że nosi dostojne imię Matylda, wykonała polecenie gościa, a potem przetarła kontuar i oparła na nim masywne, spracowane przedramiona.

– A co to za wielkie gmaszysko na skraju pola? – spytała Marta, żeby zagadać.

– Jeden taki chciał tu postawić jakiś hotel czy zajazd, ale splajtował – odpowiedziała Matylda i dodała z figlarnym uśmiechem: – Na szczęście w naszych okolicach kapitalizm się nie przyjął.

– A czymże, jak nie kapitalizmem jest pani działalność? – spytała Marta, łyknąwszy herbaty.

– To jest drobna przedsiębiorczość, skromne chałupnictwo, żaden rekin przecież by się na to nie połasił – odparła Matylda, machnąwszy ręką.

– Na szczęście dla nas – odezwał się ten gruby, którego nazywano Jurkiem.

Dziś klientów było sporo, prawie wszystkie stoliki były zajęte. Wśród nich Marta rozpoznała jeszcze starego fotografa, który za pierwszym razem tak pięknie mówił o biedzie.

Chwilę potem do środka wszedł ktoś, kogo tu wcześniej na pewno nie widziała. Niewysoki, z wielkim brzuchem, który niósł przed sobą, jakby się chciał nim pochwalić. Na jego widok klienci baru odstawili kieliszki i kufle, jak gromada uczniów w klasie przyłapani na paleniu w kiblu.

Co to za waźniak? – pomyślała Marta, obserwując przybysza.

– Ja po towar – oznajmił mężczyzna mocnym głosem.

To bandzior jakiś – przyszło jej do głowy.

– A może piwko? – kuszącym tonem spytała Matylda, też jakby bardziej ugrzeczniona.

– Chętnie – zgodził się przybysz, wyciągając z kieszeni paczkę papierosów.

Ktoś usłużnie zbliżył się do niego z ogniem.

– A towar zaraz ktoś przyniesie – powiedziała Matylda, podając klientowi piwo.

Ten rozsiadł się przy stoliku jak basza.

Na znak Matyldy kilku jej stałych klientów poderwało się i pognało na zaplecze, skąd po chwili wynieśli wielki tajemniczy pakunek.

Co to? Broń, narkotyki? – rozmyślała Marta, przyglądając się ich wysiłkom.

– Jest przesyłka, szefie? – usłyszała naraz od strony wejścia.

Odwróciła się w tamtą stronę, a tam, wypełniając sobą futrynę i zasłaniając cały boży świat, stał młodzieniec o mrocznej twarzy i grubym karku, wyglądający na entuzjastę kibolskich ustawek.

– Idź im pomóż, bo chłopaki nie dają rady – polecił „boss”, zwracając się do nowo przybyłego.

W końcu wytaszczyli pakunek na zewnątrz i wrzucili do półciężarówki, która zatrzymała się tuż pod barem. „Boss” tymczasem dopił piwo.

– Z Bogiem – dodał i zniknął za drzwiami.

Mógłby przynajmniej nie wzywać Boga nadaremno – pomyślała Marta, nie spuszczać z niego oka.

– Sto pociech z tym księdzem – powiedział tymczasem jeden z gości Matyldy, zasiadając do piwa.

– Z jakim księdzem? – Marta popatrzyła na nich zdeorientowana.

Faceci znad piwa uśmiechnęli się do niej szeroko.

– Toż to ksiądz najprawdziwszy na świecie – wyjaśnił jeden z nich. – Nasz wikary.

– Jaki wikary? – Marta nie kryła zdumienia. – Pije, pali, pobiera jakiś towar...

– Ano pije, pali, czasem nawet coś mocniejszego u mnie zamówi – objaśniła Matylda. – Taki nam się trafił szalenciec.

– A ten pakunek to co było?

– Mięso, trzydzieści kilo.

– To i apetyt ma niezły – skomentowała Marta.

– On to dla swoich dzieci.

– Jeszcze i to – jęknęła Marta.

– On ma ich już ponad trzydziestkę – dodała Matylda, wyraźnie rozbawiona. Jej goście zarykiwali się ze śmiechu.

W końcu wyjaśniono Marcie, o co chodzi. Ledwo ten wikary zjawił się u nich, rozejrzał się po okolicy, znalazł starą drewnianą willę, która niszczała bez właściciela, skrzyknął dzieci z najbiedniejszych rodzin i urządził im klub. Sami odremontowali budynek, w którym mają teraz siłownię, kanciapę z kilkoma starymi komputerami, kuchnię, jadalnię i dużą salę dyskotekową.

– Czasem dyskoteką zarabiają na zbożne cele – tłumaczyli mężczyźni.

– Ksiądz zarabia dyskoteką? – Marta nie mogła wyjść z podziwu. – Czy oni tam tańczą w rytm pieśni oazowych?

– Nie, jest piwo i normalna muzyka – wyjaśniono jej – ale nigdy dotąd nie było tak spokojnie jak teraz. Wszystkie dzieciaki kochają tego swojego księdza. Za to, że ma taki luz i że o nie dba. A zwłaszcza o ich brzuchy, od różnych sponsorów wyciągając ogromne ilości jedzenia, które, jak widać, sam lubi. „To są biedne dzieciaki – powtarza stale – i muszą się dobrze najeść”. To jest taka jego, jak mawia, „ewangelizacja przez brzuch”.

– Proboszcz, człowiek starej daty, trochę kręci nosem – dodał ktoś znad kufla – ale przecież widać gołym okiem, że to świetna robota. Bo też proboszcz to taki urzędnik Pana Boga, a wikary to Boży człowiek.

Ilu też tu oryginałów przypada na tę maleńką przestrzeń – pomyślała Marta, wychodząc zaraz potem z baru.

Na dworze, zgodnie ze swoim obyczajem, przedwiośnie po słonecznym fragmencie dnia zmieniło oblicze na pochmurne. Ciężkie chmury zaległy na niebie i groziły ulewą. Zerwał się silny wiatr. I to w takiej właśnie aurze dostrzegła Marta jeszcze jedną osobliwość. To był obraz jakby wyjęty ze starego szwedzkiego filmu *Furman śmierci*. Drogą od lasu wolniutko poruszała się stara drewniana fura zaprzężona w chudą szkapę i powożona przez równie chudego starego człowieka. Jakieś szmaty na karku woźnicy powiewały mrocznie w porywach wiatru. Widok był niesamowity. Przez kilka chwil Marta przyglądała się temu, aż ze zdumieniem zobaczyła, że „furman śmierci” zatrzymuje się pod barem.

On też przecież musi się kiedyś napić – pomyślała.

Zrobiło się trochę strasznie.

Jeśli on potem z Grupy Wsparcia nie wyjdzie sam, to znaczy, że ktoś umarł – dodała w myślach, ale ofuknęła się za nadmiar wyobraźni.

Nie czekała już na rozwój wypadków.

* * *

– Potrzebny będzie kierowca – usłyszała w słuchawce Marta, gdy wróciła do domu. To Dora meldowała jej, że jest superimpreza i że „wszyscy tam będą”.

– Tylko to jest ze trzydzieści kilometrów za miastem, bez samochodu ani rusz. Nie poświęciłabyś się? – spytała. – Ty ze Stefanem, ja z Ksawerym i Paulinką, akurat pięć osób.

– A co to za okazja? – spytała Marta bez entuzjazmu.

– Stefan ci nie mówił? – zdziwiła się Dora. – On tam ma być za gwiazdę.

– Nic nie wiem – przyznała Marta.

– To będzie przyjęcie rozwodowe – zapowiadała podekscytowana Dora. – Taka wersja wesela, tyle że na odwrót. Tam się pięknie łączą, tu pięknie rozstają. Nie ma

takiego zdarzenia w życiu, które nie byłoby dobrą okazją, żeby się zabawić – dodała ze śmiechem.

– To ktoś znajomy? – dopytywała się zdezorientowana Marta.

– Moja koleżanka ze szkoły – odrzekła Dora.

– Ale cóż my mamy do tego?

– To nie ślub ani stypa, tu nie obowiązuje taka sztywna etykieta – tłumaczyła Dora – a Stefan będzie tam służbowo. Załatwiłam mu chałturę.

Marta poprosiła o czas na zastanowienie i poszła zapytać Stefana, o co chodzi. Ten bez słowa wręczył jej pięknie, na eleganckim papierze wydrukowane „Zaproszenie na rozwód”, w którym „rozwodnicy mają zaszczyt zaprosić...”. Poniżej program imprezy. Tańce, hulanki, swawole, ale też „program artystyczny” z krótką prezentacją utworów poetyckich Stefana, poprzedzającą występy innych artystów.

– Oni chcą mi za to zapłacić – odezwał się w końcu Stefan. – Nie widzę więc powodu, aby odmówić. A ty zrobisz, jak będziesz chciała, ale może być nas tam zawiozła.

W pierwszym odruchu Marta miała zamiar odmówić. Potem jednak ciekawość wzięła górę. Była na różnych imprezach, ale na przyjęciu rozwodowym jeszcze nie.

Pojechali.

„Młodzi rozwodnicy” na wzór „młodej pary” witali wszystkich gości. Przybycie Stefana miało uświetnić uroczystość. Marta więc też została przyjęta z honorami.

Miejscem imprezy okazał się wielki dom z ogromnym ogrodem, w skromnej części będący mieszkaniem gospodarzy, w większym zaś pomieszczeniu służącym eventom: głównie imprezom rodzinnym, ale też konferencjom, szkoleniom, spotkaniom integracyjnym. Czego tu nie było: wielka sala bankietowa ze strojnym barem i estradą, na której grali jakiś cichy elegancki jazz, wokół liczne gabinety do intymniejszych spotkań, sala kinowa, w głębi parku kręgielnia i zadaszony kort tenisowy, a ponadto zimowy ogród botaniczny pełen egzotycznych roślin. Powyżej zaś były dwa piętra z pokojami gościnnymi, a w piwnicach jakieś baseny, gabinety odnowy, siłownie.

Tutaj spędzać czas mogli tylko ludzie zamożni.

Teraz trwał tu wielki bankiet na dziesiątki, o ile nie setki osób, co trudno było oszacować, bo towarzystwo rozproszone było po wszystkich tych wnętrzach, a niektórzy na rozległym tarasie napawali się pierwszymi promieniami wiosennego słońca.

Impreza imponowała rozmachem: piękna oprawa, stoły uginające się od jedzenia, a w wielkim holu plac zabaw dla dzieci, których tu było sporo. Tłum się kłębił, humory dopisywały, wino lało się strumieniami.

„Młodzi rozwodnicy” pełnili honory domu, ale brylowała i prym wiodła „rozwódka”, bo jej były już teraz mąż był wyciszony i jakby nieobecny.

– Jaki to ma sens? – dopytywała Marta Dorę.

– Justyna jest rozrywkową kobietą – wyjaśniła Dora – a do tego to dzisiejsze przyjęcie jest dla niej w pewnym stopniu też ceremonią zaręczynową.

Tu wskazała na przystojnego mężczyznę stojącego obok bohaterki dzisiejszego dnia.

– To on bezpośrednio przyczynił się do tych wypadków – z ironicznym uśmiechem oznajmiła Dora.

W porównaniu z nim dzisiejszy rozwodnik prezentował się skromniej.

– Muszą mieć aż tylu świadków swoich rodzinnych spraw? – spytała Marta.

– To jest biznes! Rozwód promocyjny! – wyjaśniła Dora.

- Co to za zwierzę? – niecierpliwiła się Marta.
- Justyna postanowiła wszystko w życiu zmienić...

Tu Marta zastrzygła uszami. To w ostatnich czasach był, jak wiadomo, ulubiony temat jej refleksji.

– ...ma więc i nowego faceta, i nową firmę organizującą luksusowe imprezy – kontynuowała Dora. – Tyle że podobnych firm na rynku jest już wiele, postanowiła więc poszerzyć asortyment o „imprezy rozwodowe”. Ponieważ zaś ta usługa nie jest jeszcze wystarczająco rozpropagowana, własny rozwód potraktowała jako ruch marketingowy.

– Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że oni rozwiedli się tylko po to, aby jej firmie przysporzyć klientów – spytała Marta.

– Odwrotnie, pomysł zrodził się dlatego, że mieli rozwód w planach. A teraz będą nakłaniać do tego innych. Ci wszyscy goście to ich potencjalni klienci. My z Ksawerym zresztą też – dodała Dora ze śmiechem.

Znów nadarzyła się okazja, żeby przyjrzeć się uważniej „młodemu rozwodnikowi”, który dreptał wśród gości jak lokaj czy kamerdyner.

– A on co na to? – spytała Marta.

– Ten rozwód to ich wspólny biznes – wyjaśniła Dora z wyraźnym uznaniem w głosie. – Justyna zapłaciła mu za udział w tej imprezie i dała jakiś procent w przyszłych zyskach z imprez tego typu. Byleby był modelowym, bezkonfliktowym byłym mężem.

– To chore! – jęknęła Marta.

– Ależ ona twierdzi, że jej pomysł ma charakter misyjny. Chodzi jej o propagowanie „pięknych rozwodów” i podkreśla, że to ma także znaczenie dla dzieci rozchodzących się małżeństw. W takim duchu – pod hasłem „misja” – prezentuje swoją ofertę na stronie internetowej.

– Ty to masz sprytnie koleżanki – z przekąsem powiedziała Marta.

– Nie, to jest wynik jej spotkania z tym nowym. To on ją nauczył tej nowoczesności. Kiedyś była miłą, skromną dziewczyną.

Ceremoniał czytania poezji przez Stefana okazał się jedną z wielu ofert, nie udało się więc w bocznej sali zgromadzić zbyt wielu ludzi. Chałtura w istocie była chałturą, ale że Stefan zdążył już wcześniej skorzystać z oferty kulinarnej, a zwłaszcza z wina, okoliczność ta nie sprawiła mu specjalnej przykrości.

Marta miała nadzieję, że po jego wystąpieniu będą się zbierać, ale Dora nakłoniła Stefana, żeby jednak zostali na noc. Marta nie miała tu nic do gadania. Tyle że zwolniona z obowiązku powożenia, mogła się napić, z czego skwapliwie skorzystała.

A potem usiadła gdzieś w kącie i przyglądała się wypadkom. Jazzmani zostali zastąpieni jakimiś muzykami przygrywającymi do tańca. Ten czy ów snuł się na parkiecie niemrawo, aż do chwili, gdy młoda rozwódka pojawiła się tam ze swym nowym partnerem prywatno-biznesowym. Na ich widok zbiegli się goście, rozległy się oklaski. Czy wkrótce będzie coś w miejsce oczepin? – pomyślała Marta.

Tymczasem gospodyni zachęcona wrażeniem, jakie uczynił na gościach jej taniec, zostawiwszy na chwilę partnera, wyłowiła z tłumu swojego byłego, a potem, rozejrzawszy się wokół, złapała za rękę Dorę i połączyła ich w parę. Po chwili na parkiecie, wspierane oklaskami, tańczyły dwie pary – młodych rozwodników.

To są ludzie gotowi zorganizować sobie nawet „promocyjny pogrzeb” – skomentowała to Marta w myślach – na przykład ozdobione girlandami trumny umieszczone w centrum parkietu, a wokół park atrakcji dla jeszcze żywych, w tym Stefan

z poezją funeralną. A wcześniej eleganckie nekrologi, w których zawarta jest prośba, aby zamiast kwiatów na ceremonię żałobnicy przynieśli wypchane portfele.

* * *

Wracali stamtąd niespiesznie, zatrzymując się na mały spacer czy na kawę. Stefan z Ksawerym walczyli z potężnym bólem głowy.

– A to co? – spytała naraz Dora siedząca przy kierowcy.

Na skraju mijanej wsi za otwartymi drzwiami starej stodoły i w jej otoczeniu nagromadzona była duża liczba jakichś mebli drewnianych. Nad drzwiami widniał napis: „Usługi stolarskie – Sprzedaż”.

– Ktoś handluje meblami – przytomnie zauważył niezbyt przytomny Ksawery.

– Chodźmy zobaczyć – zaproponowała Dora.

Nie było powodu, żeby tego nie zrobić. Marta cofnęła się kawałek i cała piątka wysiadła. Weszli do środka. A tam młoda kobieta i starszy mężczyzna siedzieli w zagraconym wnętrzu.

– To wszystko na sprzedaż? – spytał Ksawery.

– Tak. – Młoda kobieta poderwała się na ich widok, wyraźnie nienawykła do częstych wizyt w tym lokalu.

Goście rozproszyli się po wnętrzu, aby przyjrzeć się ofercie. Starszy pan podniósł się z zamiarem obserwowania klientów. Miał cechy niezbędne dla ochroniarza – wielką posturę i czujny wzrok.

To nie do końca był salon meblowy, bo na różnych drewnianych sprzętach leżały też dziergane obrusy i serwety, gliniane misy, drewniane łyżki, a także różne artykuły spożywcze – sery, miody, konfitury, jabłka, pomidory... Na ścianach jakieś kilimy i kilka tandetnych obrazków.

– To wszystko lokalne produkty? – spytał Ksawery, najbardziej ze wszystkich dziś dociekliwy.

– Tak – gorliwie potwierdziła ekspedientka.

– Skąd pomysł, żeby w stodole zrobić sklep? – spytała tym razem Dora.

– Mój ojciec był stolarzem – odrzekła kobieta pełniąca funkcję ekspedientki. – Umarł nagle i zostawił wiele tych mebli. A ja jestem na bezrobociu i tak nie mam nic do roboty, to wyczyściłam stodołę, otworzyłam te drzwi, skoro one są od strony szosy, i postanowiłam to zareklamować przejeżdżnym jak przydrożne jedzenie. A jak się ludzie ze wsi zwiedzili, to mi dali w komis różne rzeczy na sprzedaż.

– Fajny pomysł – przyznali przejezdni.

I zaczęli rozpytywać o ceny.

– Jak się ma sklep we własnej stodole, to można mieć nielimitowany czas pracy i dużo swobody – westchnął Ksawery, który przesiaduje w pracy prawie całą dobę i jest jej niewolnikiem. – Jak masz ochotę, to zamykasz na skobel swój zakład pracy i fajrant.

– Tak jest – ze śmiechem przyznała sprzedająca.

– A zyski są? – padło pytanie.

– Tak, trochę tak. To wszystko bez pośredników jest tu trochę tańsze niż w mieście, a ludzie lubią korzystać z okazji. No i interes się kręci. Mąż tam na podwórzu przejął po teściu warsztat i różne meble produkuje, a my tu z Józkiem czekamy na klientów.

– A to pan nie mąż? – bezceremonialnie spytała Dora.

– Nie, mamy własnego ochroniarza – z dumą oznajmiła sprzedawczyni. – Bo kiedyś, kiedy jeszcze siedziałam tutaj sama, pod tę naszą stodołę podjechał samochód, z którego wylazło czterech osiłków. Na początku byli mili. Pytali o ceny. Ale potem jeden z nich, ot tak, dla zabawy, przewrócił stolik. Po chwili pozostali też zaczęli kopać i przewracać sprzęty wystawione tu na sprzedaż. Wielu szkód nie zrobili, bo to – jak mówili – tylko tak, dla żartu, ale mnie napędzili takiego stracha, że nawet zapomniałam spojrzeć na tablicę rejestracyjną ich samochodu, gdy odjeżdżali. Tośmy od tego czasu uradzili, żebym sama tu nie siedziała. Jeśli mąż musi być w warsztacie, proszę Józka. – Wskazała stojącego mężczyznę.

– To nasz pszczelarz, więc i miód z jego pasieki sprzedajemy, i różne wyroby z wosku, ale on jest też byłym policjantem. Wdowiec, lubi tu ze mną posiedzieć za drobny udział w zyskach. Nie obroni przed czterema bandziorami, ale przestraszyć swoją obecnością może.

– A języka w gębie nie ma? – bezczelnie zauważył Ksawery.

– Nie ma – chłodniejszym tonem odparła ekspedientka – w policji za dużo palił, nerwowa praca; rak krtani.

– OK. – Ksawery wycofał się, zakłopotany.

Gadatliwość sprzedawczyni przyniosła jej zysk. Każdy bowiem z obecnych, w tym także Paulinka, znalazł coś dla siebie i zostawili tutaj trochę kasy.

Marta, podobnie jak Stefan, nie odzywała się w meblowej stodole. Z pozoru to zdarzenie nie zrobiło na niej szczególnego wrażenia. Ale jeszcze tej nocy obudziła się, jakby właśnie otrzymała instrukcję.

To jest pomysł dla „domu trzech sióstr” – pomyślała, bo tak po ostatniej wizycie zaczęła nazywać willę pani Weroniki.

* * *

Kiedy kilka dni później tam się wybrała, wiosna zaczęła się już na dobre rozpychać. Było tak ciepło, że choć to dopiero końcówka marca, niejednego rozebrało już do figury. Zapowiedziana wcześniejszym telefonem, umówiona była na podwieczorek.

Gdy wsiadła na rower, by ruszyć w stronę Pogodnej, nie miała żadnego planu. Gdyby jasno sobie powiedziała, że jedzie się zatrudnić jako inwentaryzator, toby od razu zawróciła. Taka życiowa rewolucja do tego stopnia nie mieściła jej się w głowie, że nie wspomniała o swoich pomysłach Stefanowi. A przecież on pierwszy musiałby się o wszelkich zmianach dowiedzieć.

Nie wiem, po co to robię – rozmyślała, jadąc – nie wiem, co z tego wyniknie, nie wiem, jaki to ma sens...

W głowie chlupotało jej od mętnych myśli.

Oto jak wygląda droga ku memu przeznaczeniu! – ironizowała w duchu.

Przecież gdyby miał to być właśnie moment wielkiej zmiany, toby temu towarzyszył jakiś imponujący ceremoniał. Powinna być symboliczna śmierć, a potem narodziny do nowego życia, jakieś ryty inicjacyjne – sama przed sobą popisywała się wiedzą – a tu żadnego patosu, żadnego olśnienia, żadnej wzniosłości, tylko jazda rowerem i głupie myśli.

Przeznaczenie zaś, nic sobie nie robiąc z tego, czy jej się to podoba, czy nie, kazało jej pedałować w stronę Pogodnej, gdzie szykowało dla niej pewne niespodzianki. Choć nie miały temu towarzyszyć ani podniosłe dźwięki dzwonów, ani okrzyki tłumów.

Marta dojeżdżała właśnie do końca cmentarnego muru, przy którym znajdowało się jeszcze boczne wejście na cmentarz i mały parking, gdy coś osobliwego przykuło jej uwagę. Młody mężczyzna stał przy sporym samochodzie dostawczym i przemawiał do niego.

– To co, nie chcesz mnie widzieć? – pytał.

Marta zahamowała lekko i zajrzała do wnętrza auta, sądząc, że może w środku ktoś siedzi. Ale nie było tam nikogo. Mężczyzna tymczasem obszedł wóz, schylił się, jakby chciał zajrzeć pod bagażnik.

– ...bo bardzo cierpię na brak kontaktu z tobą – powiedział.

Marta zatrzymała się. Scena wydała jej się niepojęta. Melodramat między porzuconym mężczyzną i jego samochodem? Przyszło jej jeszcze na myśl, że może pod bagażnikiem ukrył się pies, ale do zwierzęcia też nie mówi się w ten sposób.

– No dobrze, w takim razie nie nalegam – oznajmił tymczasem mężczyzna, rezygnując z zaglądania samochodowi pod ogon.

I wtedy dopiero spostrzegł zdumione spojrzenie Marty. On też się zdziwił. Stali tak chwilę naprzeciwko siebie w niemym zdumieniu.

– No to pa! – powiedział, nie spuszczając wzroku z Marty.

Teraz wydało się, że mówi do niej. Ale skąd, na Boga, taka poufałość?

To jakiś wariat – pomyślała, gramoląc się z powrotem na rower – a wygląda normalnie!

Ruszyła przed siebie. Tak dalece jednak zajęta była analizą sceny, której była świadkiem, że nie zauważyła, iż droga w tym miejscu trochę skręca, omijając wąski pas niezagospodarowanych nieużytków. Chwilę potem stoczyła się wraz z rowerem w głęboki dół pełen wody. Były to albo resztki po przedwiosennych roztopach, albo stawik, dość, że dno było bardzo muliste. Gdy więc po chwili zaczęła się stamtąd gramolić, spostrzegła, że od stóp do głów zmieniła kolor. Była brunatna.

Ale to nie był koniec tej kąpieli – teraz należało wyciągnąć z brudnej brei wehikuł, który zaklinował się w jakichś niewidocznych nad taflą wody konarach. Marta zaczęła szarpać się z przedmiotem. Z zewnątrz mogło to wyglądać na beztrioskie pluskanie się w kąpieli.

I wtedy poczuła na sobie wzrok mężczyzny. Jego oczy nie przestawały wyrażać zdumienia. Trudno się dziwić. Tym bardziej że ona, patrząc na niego, dostała naraz ataku niepohamowanego śmiechu.

– Może trzeba pomóc? – zapytał po chwili z całkowitą powagą.

Marta rozejrzała się dookoła, chcąc zgadnąć, do kogo mówi. Ale jego samochodu nie było już w pobliżu.

– Rzeczywiście chce pan pomóc? – odpowiedziała pytaniem.

– No – przytaknął.

Wprawdzie Marcie udało się w końcu samodzielnie wyciągnąć rower z grzęzawiska, ale rów, w którym się znalazła, był stromy i nie wiedziała, jak się z niego wygramolić. Spojrzała w górę i wtedy zobaczyła, że mężczyzna się rozbiera. To znaczy rozpina pasek od spodni. Może w innych okolicznościach trochę by się przestraszyła, ale teraz rozśmieszyło ją to jeszcze bardziej.

– Niech pani przewiesi go przez ramę, a ja pociągnę – zaproponował, spuszczać pasek do rowu.

Mężczyzna pociągnął rower od góry, ona pomagała od dołu, aż w końcu został on wypchnięty z rowu. Potem przyszła kolej na Martę. Ślizgając się po mokrej, błotnistej ścianie rowu, pochwyciła w końcu wyciągniętą dłoń mężczyzny i też została wydobyta.

– Proszę pani, dlaczego pani wjechała do rowu, skoro obok jest wygodna ścieżka? – zapytał jej wybawca.

– Proszę pana – odparła zasapana – a dlaczego pan rozmawiał z własnym samochodem?

– Co takiego?

– Mówił pan, że cierpi na brak kontaktu z nim, bo on nie chce się z panem widzieć.

– Musiała się zatrzymać, bo znów wzięło ją na śmiech.

Chwilę potem i on wybuchnął śmiechem.

– To dlatego pani przed chwilą tak mi się przyglądała?

– Też byłby pan zdziwiony na moim miejscu.

– A ja tymczasem przypatrywałem się samochodowi, bo na parkingu ktoś mi wjechał w kufer i skasował fragment zderzaka, a równocześnie rozmawiałem z matką przez telefon.

Tu mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyjął mały kabelek.

– Mam taki mały zestaw słuchawkowy – pokazał.

Można się tego było domyślić, ale Marta na to nie wpadła.

– I co pani teraz zamierza zrobić? – spytał.

– Ma pan na myśli to, że nie wyglądam zbyt schludnie? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Pokiwał głową.

– Powinnam zrezygnować z rozmowy biznesowej? – upewniła się jeszcze.

Mężczyzna ponownie pokiwał głową.

– Na takie spotkanie się wybierałam.

– Pani przyszły pracodawca musiałby być niezłym ekscentrykiem, aby zatrudnić panią.

To był problem. Pokazać się w takim stanie w domu trzech sióstr wydawało się niepodobieństwem. A równocześnie Marta przeczuwała, że jeśli teraz zrobi w tył zwrot, nie wróci już na Pogodną, w każdym razie nie jako inwentaryzator. Postanowiła realizować plan, nie bacząc na zaistniałe przeszkody.

Moja droga ku przeznaczeniu okazała się wyboista – pomyślała z przekąsem.

I podziękowała za pomoc, ruszając w stronę domu trzech sióstr.

– Ja też idę w tę stronę – oznajmił mężczyzna, jakby się usprawiedliwiając, że podąża za nią.

– Ale ja tu zaraz skręcam. – Marta wskazała boczną drogę.

– Do pani Weroniki?

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Czy tu się wszyscy znają?

Mężczyzna uśmiechał się do niej, zadowolony z wrażenia.

– Tak, tu wszyscy się znają – przyznał. – Taka to już jest ulica Pogodna.

Marta zaniemówiła z wrażenia. Tę nazwę słyszała tylko raz, wtedy, gdy w listopadowy wieczór śnieg rósł, a nieznajomy odprowadzał ją na przystanek, bo się zgubiła.

Z uwagą wpatrzyła się teraz w tę twarz.

– Co pani jest? Czy coś się stało? – spytał mężczyzna.

– Czy pan ma na imię Mateusz?

Teraz on stanął jak wryty.

– Skąd pani wie?

Znów patrzyli na siebie w niemym osłupieniu.

– Przecież sam pan mówi, że tu się wszyscy znają – odpowiedziała w końcu Marta.

Powróciło wspomnienie twarzy mężczyzny otoczonej światłem latarki jak aureolą.

To była osobliwa chwila. Stali tak naprzeciwko i nie mogli oderwać od siebie wzroku.

– Proszę mi wierzyć, myśmy się już kiedyś tu spotkali – powiedziała Marta.

Nie wiedziała, że tę scenę obserwował ktoś jeszcze, kto zresztą mógłby teraz poświadczyć prawdziwość jej słów. Dopiero gdy wraz z rowerem zrobiła w tył zwrot, aby ruszyć w stronę domu trzech siostr, spod nóg czmychnął jej mały czarny kształt, wzbudzając jak niegdyś okrzyk: „Ki diabeł?”. Teraz mogła w końcu przyjrzeć się stworzeniu, które najpierw czekało na koniec ich konwersacji, a teraz ruszyło za swoim panem.

– Proszę poznać Kulasa. – Widząc go, Mateusz dokonał prezentacji.

To był pies, wielorasowiec, o długiej, całkiem czarnej sierści. Uszkodzona tylna łapa powodowała, że choć poruszał się całkiem sprawnie, to jakby w podskokach, lekko zarzucając zadem.

– Coś mu się kiedyś złamało, potem źle zrosło i teraz płąsa po świecie takim tanecznym krokiem – wyjaśnił Mateusz.

– Miło mi – grzecznie odpowiedziała Marta, kierując w stronę psa przyjazny uśmiech, a następnie ruszyła przed siebie.

– Do zobaczenia – usłyszała z tyłu.

– Do zobaczenia – rzuciła, już się nie odwracając.

* * *

Pani Olga uroczo przyjęła upapraną błotem rowerzystkę. Bez słowa podała ręcznik i wskazała drogę do łazienki. A gdy nieco odbrazowiona Marta wyszła stamtąd, na stole parowała już gorąca herbata.

Można to nazwać ekscentrycznością, można gościnnością – pomyślała, wspominając słowa Mateusza.

– Przepraszam – oznajmiła pani Olga, siadając za stołem – ale mama przed panią uciekła.

Marta spojrzała na nią nieco spłoszona.

– Pani kojarzy jej się z nieuchronnością zmian, których się boi. Mama jest przekonana o konieczności zrobienia remanentu, ale boi się o los tych wszystkich rzeczy, które zgromadziła, a zwłaszcza o to, że ktoś obcy obejdzie się z nimi źle.

– Ja właśnie w tej sprawie – wtrąciła Marta i opowiedziała o przydrożnym sklepie w stodole.

– Handel? – spytała pani Olga, a to słowo jak klucha stanęło jej w gardle.

– Nie, składzik, zbiór, komis, wypożyczalnia – Marta szukała określenia zastępczego.

I zaproponowała wycieczkę w głąb tych zagraconych pomieszczeń, które trzeba było odgruzować.

– Należałoby to wszystko posortować – konstruowała na gorąco biznesplan – część zostawić jako wyposażenie domu, coś wyrzucić, resztę oddać, a część spróbować sprzedać. Tylko najpierw trzeba dokonać selekcji na rzeczy konieczne, niekonieczne i zbędne.

– Tu wszystko jest niekonieczne – odrzekła zakłopotana pani Olga.

– To genialna nazwa – krzyknęła Marta – Sklep Rzeczy Niekoniecznych!

– Rzeczywiście, sympatycznie brzmi. – Pani Olga uśmiechnęła się nieśmiało.

I to nowe hasło rozświetliło cały plan. Miało w sobie ciepło.

– Albo inaczej: Sklep Rzeczy Przydatnych i Niekoniecznych – fantazjowała jeszcze Marta.

– Przydatnych to tu jest mało – z przekąsem oznajmiła pani Olga. – One tu wszystkie są niekonieczne. Przydatnych rzeczy tak łatwo się człowiek nie pozbywa jak niekoniecznych. A my mamy ocalić jak najwięcej.

My – zadzwieczało w uszach Marty i trochę ją zaniepokoiło.

– No właśnie – powiedziała pani Olga, jakby to wyczuła – czy pani byłaby skłonna się tym zająć?

Marcie zabrakło śmiałości, aby wypowiedzieć zdecydowane „tak”. Zaczęła przyglądać się rzeczom.

Wydało jej się, że spoglądają na nią spanikowane.

Co nam chcesz zrobić? – zdawały się pytać.

Wszystkie były zniszczone, zakurzone, poupychane jedne na drugich.

– Trzeba by było najpierw stworzyć dla nich nową przestrzeń – zapowiedziała Marta, chcąc uniknąć jednoznacznej odpowiedzi na poprzednie pytanie. – Na razie mógłby to być namiot albo jakaś folia, żeby wyselekcjonowane rzeczy gromadzić. A potem można by wybudować pawilonik. Czy taka inwestycja wchodziłaby w grę?

– Należy się nad tym zastanowić, popytać fachowców – rozważała, słuchając Marty, pani Olga. – Ten dom jest pełen przybudówek, można by pewnie dokleić jeszcze jedną.

Nagle wśród przedmiotów zawieszonych na jednej ze ścian Marta dostrzegła zakurzony obraz, na który padał teraz od drzwi snop światła. Nie byłoby go widać, gdyby nie mały punkt świetlny, który teraz przykuwał uwagę, bo wyglądał jak tunel prowadzący poza pokój, gdzieś w przestrzeń. Dopiero przy bliższym przyjrzeniu się na pierwszym planie można było dostrzec sylwetkę odwróconej tyłem kobiety, siedzącej na krześle w pustym, zaciemnionym wnętrzu. Snop światła na obrazie pochodził z głębi korytarza prowadzącego do następnych pomieszczeń i zakończony ni to oknem, ni drzwiami. To światło miało jakąś hipnotyczną moc. Marta wpatrzyła się w nie tak jak młoda kobieta z obrazu, która z lekko pochyloną głową zdawała się rozmyślać: zostać tu czy odejść. Na pierwszym planie spokój, w dali zapowiedź przygody.

Jak u Vermeera – pomyślała Marta, poruszona klimatem tego płótna.

Zatrzymanie się Marty w niemym zachwycie dało się zauważyć, bo gdy w końcu odkleiła wzrok od malowidła, spostrzegła, że gospodyni z uwagą jej się przygląda.

– Ten obraz należy do pani – krótko oznajmiła pani Olga.

Marta uśmiechnęła się.

– Zdarza się czasami, że człowiek staje jak wryty z absolutnym przekonaniem, że widzi własny wizerunek – wyznała.

– Niech się pani zatem nie dziwi mojej matce – powiedziała pani Olga. – Ona w każdym z tych sprzętów widzi jakąś część siebie lub swych bliskich.

Uczłowieczyło mi się trochę to wnętrze – pomyślała Marta, gdy wychodziła z domu trzech siostr. Na następne spotkanie pani Olga miała doprosić jeszcze fachowca, który stale robi tu różne roboty, a więc i do tej inwentaryzacji się nada.

Obie panie wiedziały już, że Marta podejmie się tego zadania.

* * *

Marta nie wiedziała tylko, jak rozwiązać umowę ze starym światem, który miała porzucić dla Pogodnej.

Okazało się to prostsze, niż można się było spodziewać. Znowu obeszło się bez znaków na niebie i ziemi, bez szczególnych wydarzeń, wielkich słów, okrutnych czynów. Był dzień jak co dzień, ta sama lepka od wiecznego stresu atmosfera w pracy, jakaś zwykła, codzienna awantura sprowokowana przez Królową Kier i nagle Marta, bez żadnych sygnałów ostrzegawczych, podniosła się z za biurka i zaczęła się pakować.

Niewiele tego było: kilka notatników, kubek z pretensjonalnym napisem „Odpocznij sobie” i ta ocalała fotografia ruchomej szopki.

– Co pani robi? – spytała Królowa Kier z osłupieniem w oczach.

– Wychodzę – usłyszała w odpowiedzi.

Świat Królowej zatrzęsł się w posadach. Pracownik nie tylko zmienił reguły gry przez nią ustanowione, ale nawet próbuje z tej gry wyjść na własne życzenie. Nigdy dotąd za pamięci Marty w dziekanacie nie było tak cicho. Wszyscy – pracownicy, petenci – w milczeniu przyglądali się zaskakującej scenie. Nawet telefony przestały dzwonić, a komputery się zawiesiły. Bo też teraz świadkowie uświadomili sobie, że oto obserwują pojedynek gigantów. Marta z jednej z potulnych pracownic przemieniła się raptem w potężną żonę dziekana równą monarchini z dziekanatu.

– Proszę do mnie do gabinetu. – Królowa Kier próbowała ratować swój autorytet.

– Może innym razem – odpowiedziała hardo Marta.

Świat zaniemógł.

W tej ciszy rozległ się tylko stukot butów na obcasach, gdy Marta kroczyła między biurkami, zanim zatrasnęły się za nią drzwi.

Zdumiało ją, że nie towarzyszyły temu żadne emocje. Wyszła na ulicę pełną ludzi, którzy szli tak jak ona, choć pewnie nie każdy z nich odważył się dziś właśnie zaryzykować odmianę losu. A do tego nikt, absolutnie nikt nie zwracał na nią uwagi, choć właśnie podjęła tak doniosłą decyzję. Było to o tyle dziwne, że działo się w świecie, który chętnie zauważa każdą zmianę: zmianę garsonki księżnej Catherine lub zmianę żony przez Michała Wiśniewskiego.

Była wolna i zadziwiona własną odwagą. Nareszcie – po raz pierwszy od swej młodszej ucieczki z domu na studia – zrobiła coś na własne ryzyko.

Nie może być tak, jak było wcześniej, więc musi być inaczej, może lepiej – trochę parafrazując, zacytowała w myślach bon mot Reny z pamiętnego sabatu czarownic.

I zdała sobie sprawę, że przywołała wspomnienie z jakiejś innej epoki.

Co one by na to powiedziały? – pomyślała jeszcze, aby po chwili uświadomić sobie, że nic jej to nie obchodzi.

Wkrótce znalazła się w pobliżu knajpki, w której często zdarzało jej się bywać ze Stefanem. Teraz też tam był. Nie sam. Nie od razu rozpoznała osobę, która mu towarzyszyła. Że studentka, widać było gołym okiem, ale Marta nie od razu zobaczyła, że to Basia, radosna młoda mężatka, rok temu oblana przez Stefana na swoje szczęście.

Znów coś ją zakłuło.

Najpierw chciała wejść, ale potem zrezygnowała i niewidoczna dla nich, zaczęła się przyglądać. Stefan mówił coś z ożywieniem, a Marta pomyślała, że mogłaby zabawić się w suflerkę, bo jako jego żona nie mogła nie wiedzieć, co on cytuje, gdy tokuje.

Kryształ, gdzie kwiat umierał sennie,
Potracił wachlarz, mały znak,
Lecz wazon prysł, lśnił tak promiennie
Dotąd, a teraz smutno tak...[4].

To pierwsza strofa wiersza kolejnego obok Leconte'a de Lisle'a parnasisty w życiu Stefana – Sully'ego Prudhomme'a. Marcie wydawało się przesądzone, że właśnie jego *Pęknięty wazon*, wiersz o dramatycznym tytule i wydzwięku, cytuje teraz jej mąż.

I przez głowę przemknęła jej druga zwrotka. Złowrogo teraz zabrzmiała:

Maleńkie zło, ale codziennie
Gdy ranę jątrzy – chochlik zła –
Niedosłyszalnie, bezpromiennie
Uczyni to, co czynić ma.

Docent od rozkręcania młodym ludziom duszy – pomyślała, czując, że łzy napływają jej do oczu.

Tego wyjątkowego dnia Marta popłakała się z powodu Stefana po raz ostatni.

Potem, gdy ruszyła przed siebie, żal nad sobą zamienił się w niechęć do niego. Odżyło wspomnienie ich minionego spotkania z tą młodą, śliczną, szczęśliwą parą.

Czy jeszcze raz uda mu się namieszać między ludźmi po to, by na chwilę się ogrzać? – pomyślała Marta.

Zważywszy na bardzo młody wiek dziewczyny, wydało jej się to szczególnie paskudne.

Nawet cytowanie jej Prudhomme'a to już duchowa pedofilia – dodała w myślach.

Czuła, że jej życie zatrzęsło się w posadach, ale nie miała wrażenia, że to coś złego. Była ciekawa, co teraz. Wiedziała, że to jeszcze na dziś nie koniec zdarzeń. Czekala ją rozmowa z mężem.

Na razie niespiesznie szła w stronę domu, mijając tłum zabieganych ludzi.

Była godzina szczytu, samochody stały w wielkim korku.

Pieszy to dziś w mieście pojazd uprzywilejowany – pomyślała z głupia frant.

I tak doszła do domu. Stefan zjawił się wkrótce po niej. Był w doskonałym humorze.

– Co ci dzisiaj odbiło? – spytał na jej widok. – Dzwoniła do mnie Królowa Kier i skarżyła się na ciebie.

– Chcę zmienić pracę – odpowiedziała krótko.

Stefan, który wcześniej, radośnie pogwizdując, równocześnie zdejmował i płaszcz, i buty, przyhamował jak zaskoczony pies Pluto. I jak on zrobił oko w słup.

Marta miała dotąd w jego życiu tak wyraźnie określone miejsce i funkcję, że teraz wprawiała go w zdumienie. To tak, jakby nagle jego biurko oznajmiło mu, że właśnie ma zamiar przenieść się z gabinetu do sypialni.

– Jeśli to ci nie robi różnicy – wyjaśniła Marta – nie chcę już pracować w dziekanacie.

– A co chcesz robić? – spytał Stefan, z niedowierzaniem patrząc na przezroczystą dotąd żonę.

Przedtem miała ona tę zdolność, że nie zasłaniała sobą świata i nie skupiała na sobie uwagi. Teraz zyskała jakiś niejasny obrys, w który Stefan zaczął się wpatrywać z rosnącym zainteresowaniem.

– Nakłaniałeś mnie, żebym miała coś własnego, więc chyba coś znalazłam.

– Co takiego? – czujnie spytał Stefan.

Marta przez chwilę szukała określenia na to zadanie, którego chciała się podjąć.

– Handel starociami – odparła w końcu.

– Żarty! – lodowatym tonem powiedział jej mąż.

Żona parnastysty handlarką, to takie prostackie – przemknęło Marcie przez myśl i spytała:

– Bardzo by ci to przeszkadzało?

– Nie, no skąd – zaprzeczył po chwili, przemawiając takim tonem, jakby chciał powiedzieć: „Gównu mnie to obchodzi”.

– A dziekanowi?

– Dziekanowi by nawet ułatwiło – przyznał.

W zdobyciu Basi? – pomyślała.

On chyba też musiał o tym pomyśleć, bo wcześniejsze zdumienie zamieniło się w dyskretny uśmiech ulgi.

– To twoje życie, rób z nim, co chcesz.

– A nasze życie?... – nieco melodramatycznie westchnęła Marta.

Stefan zdawał się tego nie słyszeć. Wszystko wskazywało na to, że po krótkiej chwili skupienia uwagi na sprawach żony znów stracił nimi zainteresowanie.

Bez słowa zniknął w łazience.

Po chwili Marta usłyszała dźwięk lejącej się spod prysznica wody i pogwizdywania Stefana, wskazujące na to, że jej komunikat o fundamentalnie ważnych postanowieniach nie zakłócił jego dobrego nastroju.

* * *

Teraz już nie było co mędrkować. Wystarczyło zadzwonić na Pogodną i zaanonsować swoje przybycie.

– Czekamy – usłyszała w odpowiedzi.

To był pierwszy poranek jej nowego życia. Ciepły, słoneczny. Tyle tylko że tym razem, gdy na rowerze wjechała na Pogodną, przestraszyło ją to, co dotąd tak ceniła – cisza. Pomijając to, że nie było żadnych fanfar i komitetów powitalnych, które by wyraziły zachwyt nad tym, że oto pojawia się ona tutaj, ta cisza wydała jej się martwa. Jeszcze raz

poczuła lęk przed zmianą. Ale gdy dotarła do domu trzech sióstr, lęk ów opuścił ją natychmiast. A to za sprawą pralki, która zatarasowała jej drogę. Wyciągnięta z łazienki do sieni przez nieznanego jej dotąd fachowca, poddawana była obdukcji.

– I co się dzieje z tą praleczką? – zwrócił się fachowiec do pani Olgi, ignorując przybyłą.

– Zamiast się włączyć, wywala korki – wyjaśniła gospodyni tak zaaferowana, że i ona nie dostrzegła Marty.

Fachowiec pogmerał w urządzeniu i pralka zaburczała, jakby miała przystąpić do pracy.

– Ojej, jak to się stało? Ledwo pan jej dotknął, już działa.

– Boi się – odparł fachowiec krótko.

Pralka jednak zacharczała tak, jakby chciała zaprzeczyć, i zamilkła. Wywaliła korki. Nadszedł więc odpowiedni czas, aby dokonać prezentacji.

– To jest nasz stały współpracownik i cudotwórca, który ratuje nas od wielu kłopotów – wyjaśniła Marcie pani Olga, gdy w końcu ją spostrzegła.

Mężczyzna wyciągnął do Marty dłoń. Miał jakieś pięćdziesiąt lat i bystre spojrzenie.

– Nazywam się Ziutek – przedstawił się.

„Ziutkiem” nazywano w rodzinie wuja Józefa – pomyślała Marta – ale dlaczego teraz przedstawia jej się zdrobniałą wersją swojego imienia nieznanemu osobnikowi?

– Józef Ziutek – wyjaśnił tymczasem mężczyzna.

„Józef Ziutek”, masło maślane.

Fachowiec musiał czytać jej w myślach, bo z szelmowskim uśmiechem dodał:

– Moi rodzice są obdarzeni poczuciem humoru. Jakie więc mieli nadać imię nowemu Ziutkowi, jak nie Józef? Zresztą mój ojciec też jest Józef – wyjaśniał mężczyzna, ponownie pochylając się nad pralką. – I też, w hołdzie Bondowi, przedstawia się: „Nazywam się Ziutek, Józef Ziutek”. Najczęściej ludzie reagują na to rozbawieniem i na świecie robi się milej.

Fachowiec z miejsca wzbudził sympatię Marty.

On tymczasem przystąpił do działań naprawczych i po chwili sień wypełniła się dziesiątkami drobnych części pralki, rozbebeszonej przez Józefa Ziutka, który tłumaczył zawilości jej budowy i przyczyny awarii.

– To daremny wysiłek – oznajmiła w końcu pani Olga. – Ja i tak nic nie zrozumieję. Ale umiem gotować wodę na herbatę. Chce pan?

Chciał. Pani Olga poszła do kuchni, a Józef Ziutek położył się na podłodze wśród sterty części, aby ustalać przyczyny awarii.

– Jakby tu coś eksplodowało – skomentowała pani Olga, wróciwszy z kuchni – ale niech się pan nie przejmuję, bo w tym domu żaden nowoczesny sprzęt nie chce się zadomowić. Lodówka grzeje, kuchenka chłodzi, woda nie leci z kranu, tylko prosto z rury i nie do zlewu, ale bezpośrednio na podłogę, telewizora można najwyżej posłuchać, a radio mogę sobie tylko pooglądać.

Józef Ziutek przerwał robotę, zaskoczony tym oświadczeniem.

– Ani trochę pani nie przesadziła? – spytał.

– No, może trochę przesadziłam – przyznała pani Olga z krzywym uśmiechem – ale niewiele.

– Tak to jest, jak chłopca nie ma w domu, zaraz od tego lodówka grzeje, a kuchenka chłodzi. A pani nie zna tych problemów? – bezceremonialnie zwrócił się do Marty.

– O lodówkę pan pyta czy o chłopca?

– To bywa sprzężone jedno z drugim.

– Nie, u mnie nie. Chłop jest, a lodówka grzeje.

– Niech zgadnę: mąż pani ma na imię Maurycy, jest punktualny, chodzi do manikiurzystki, nie znosi zapachu kapuśniaku, słowem, jest sztywnym bubkiem bez poczucia humoru.

– Na takiego męża wyglądam? – spytała Marta.

– No, trochę tak – przyznał Józef Ziutek.

Pani Olga słuchała tego z lekkim lękiem, obawiając się chyba, że Marcie takie żarty nie przypadną do gustu.

Martę jednak ujął ton Ziutka. Tak dalece, że gdy zobaczyła, iż powoli pralka nabiera dawnego kształtu, zaczęła podawać fachowcowi narzędzia i części.

A gdy sprzęt, w końcu na dobre poskładany i próbnie uruchomiony, nie wywalił już korków, udano się do stołu na herbatę.

– Pan Józef zna już ideę Sklepu Rzeczy Niekoniecznych i zgłasza swój akces – oznajmiła pani Olga.

– Ksiądz dobrodziej obiecał namiot brezentowy, w którym poustawiamy te rzeczy do zinwentaryzowania – zakomunikował Ziutek, słodząc herbatę kilkoma czubatymi łyżeczkami cukru, a potem wypijając ją duszkiem bez wyjmowania łyżeczki ze szklanki.

Jak moja babcia – z rozczuleniem pomyślała Marta.

Wypiwszy herbatę, ruszyli po namiot. Po drodze Marta została wyposażona w wiedzę o fundacji, którą założył tutejszy wikary. Spytała, czy to ten, który pije, pali i „ewangelizuje przez brzuch”.

– Widziałam go w Grupie Wsparcia i podejrzewałam, że to gangster.

– Bo też nasz wikary to wielki oryginał – przyznał Józef Ziutek.

Gdy zbliżyli się do budynku, w którym mieściła się fundacja, Marta pomyślała, że bez trudu sformułować można cechy charakterystyczne dla stylu architektonicznego Pogodnej. To obowiązkowo eklektyczna budowla, pełna dobudówek, schowków i zakamarków. Tak jak w przypadku domu trzech sióstr, tak i tu – choć gmaszysko było o wiele większe – całość niejednorodna, budowana różnymi technikami i bez żadnego ogólnego zamysłu.

Po dziedzińcu uwijało się dziesięcioro ludzi, głównie młodych, a nawet dzieci. Gdy Marta im się przyjrzała, pomyślała, że nie szukałaby ich towarzystwa w ciemnej ulicy. Twarze mroczne, nieciekawe, ale zachowanie bez zarzutu. Każdy z nich coś robił, widać było gospodarską krzątanię. Jeden z chłopaków wydał się zresztą Marcie znajomy. Chwilę potrwało, zanim w tym bałaganie udało się namierzyć gospodarza. W końcu wyszedł poprzedzany przez swój opasły brzuch, aby powitać na włościach.

– Witam w moim Janosikowie. – Wyciągnął do przybyłych potężną, spracowaną dłoń i przywołał jednego ze swoich młodych asystentów. – Mucha poprowadzi państwa tam, gdzie trzeba, bo to niestety, niedobry moment na rozmowę.

– Nigdy nie ma dobrego momentu – powiedział ten, którego wikary nazwał Muchą, choć nie wyglądał na wagę muszę, lecz ciężką.

To był ten sam chłopak, który pomagał księdzu w odbiorze mięsa w Grupie Wsparcia.

Gdy weszli do wnętrza, Marta stanęła jak wryta. Znów ujrzała gigantyczny nadmiar rzeczy, choć tu był posortowany według branż. W jednym pokoju były nieopisane ilości

leków i środków czystości, w innym sprzęt rehabilitacyjny i wózki inwalidzkie, w trzecim taka liczba łóżek, że niepodobna było się między nimi poruszać, w czwartym sterta naczyń. W każdym kącie ustawione były dziesiątki skrzyń, tekturowych pudeł i tysiące drobnych przedmiotów, nawet kolekcja lalek, klocków i piłek do gry.

– Przyjmujemy wszystkie dary, aby potem oddawać je potrzebującym – wyjaśnił młody Mucha, widząc rosnące zdziwienie Marty. – Jak przyjeżdżają wycieczki z Białorusi albo pielgrzymki, to zapewniamy im nocleg, jak zgłaszają się chorzy, to im oddajemy potrzebne leki albo sprzęt, który został tu zgromadzony przez lata, jak zjawiają się biedne dzieci, to i zabawki się znajdują. Dlatego ksiądz przyjmuje wszystko, co się trafi, bo wszystko się może przydać.

Marta oszołomiona tym nadmiarem pomyślała, że charakterystyczną cechą Pogodnej jest to, iż wszyscy jej mieszkańcy specjalizują się w gromadzeniu rzeczy.

To jest taki wielki second hand, gdzie wszystko, co niepotrzebne, przetwarza się w wartość – pomyślała. – Kraina recyklingu! Jakby się tu żyło z hasłem: Wstrzymać produkcję rzeczy! Wdrożyć rynek wtórny!

– Gdy ksiądz nastał osiem lat temu – oznajmił tymczasem Mucha – to za przysłowiową złotówkę wziął od gminy starą willę, odremontował ją, wszystkich parafian zamieniając w sponsorów, i powołał fundację, która pomaga potrzebującym. No i robi dla ludzi niesamowite rzeczy.

I zaczął opowiadać, że ksiądz zorganizował wielką świetlicę, w której codziennie odbywają się różne zajęcia, dalej mieści się kuchnia, w której siostry z pobliskiego klasztoru gotują obiady.

– A gdzie są organizowane dyskoteki? – spytała Marta, przypominając sobie plotki z Grupy Wsparcia.

– W tej świetlicy właśnie – powiedział Mucha. – A tu – dodał – niespodzianka.

Otworzył drzwi, za którymi ukazał się ciemny pokój zamieniony na kaplicę. Wszystko tu było – i ołtarz, i ławy dla wiernych, i zakrystia z szatami liturgicznymi, i tysiące dewocjonaliów, znów w szalonym nadmiarze. A w środku, nad ołtarzem płonąca żywym ogniem wieczna lampka, której odbłaski pełzały po różnych połączonych drobiazgach.

W tym wnętrzu można do reszty stracić wiarę – pomyślała Marta na widok tego szaleństwa.

– Tu się niczego nie wyrzuca – mruknął Mucha, jakby czytał jej w myślach.

– Ten dom to wielki magazyn i przechowalnia, świetlica, nawet świątynia, ale chyba nikt tu na stałe nie mieszka? – zapytała Marta, gdy drzwi do kaplicy zostały zamknięte.

– Wręcz przeciwnie – usłyszała z tyłu głos szefa.

Wikary, który wyłonił się z jednego z licznych niewidocznych korytarzy, podszedł do rozsuwanych drzwi, za którymi kryła się wnęka, a we wnęcie stało łóżko, półka na książki i lampka nocna. I to wszystko. Kontrast między tym wszechobecnym nagromadzeniem rzeczy a ascezą tego pustelniczego wnętrza był zaskakujący.

– Ja tu mieszkam – oznajmił i dodał: – to znaczy ja tu śpię, bo mieszkam wszędzie.

Zatoczył rękami krąg, jakby chciał naraz objąć w posiadanie wszystko, co się tu znajdowało.

W pokoju, do którego przeszli, dominował sprzęt biwakowy.

– Co roku organizujemy mnóstwo letnich obozów – mówił wikary – to się tego wszystkiego też sporo nagromadziło.

I znanym już Marcie z Grupy Wsparcia zwyczajem zapalił papierosa.

Plecaki, kochery, wielkie gary pięćdziesięciolitrowe, metalowe talerze i sztucce, łopaty, saperki i inne narzędzia, a przede wszystkim wielkie brezentowe płachty starych wojskowych namiotów. Jeden z nich miał teraz służyć idei Sklepu Rzeczy Niekoniecznych.

– Panie Józefie – zwróciła się Marta do Józefa Ziutka, który cierpliwie snuł się za nią – jak my to przewieziemy?

– Wszystko już ustalone – oznajmił wikary. – Wrzucimy to na moją furgonetkę i podjedziemy. Tylko po drodze załatwię jeszcze parę spraw.

Gdy wyszli na dziedziniec, dźwigając ciężki brezent, Marta dostrzegła nietypową dla tego miejsca sylwetkę osoby niemłodej. To była pani Weronika, choć w pierwszej chwili Marcie trudno było w to uwierzyć. Starsza pani, którą zapamiętała jako nieco wyciszoną i dystyngowaną, teraz poruszała się z nadzwyczajną energią.

– Weronika jest naszą najstarszą wolontariuszką, raz w tygodniu nadzoruje prace w kuchni – wyjaśnił wikary z uśmiechem. – Nazywamy ją tu „ciotką od nieszczęść”, bo zawsze wynajdzie jakąś biedę i będzie pomagać każdemu, choćby sobie tego nie życzył.

Ale pani Weronika nie zatrzymała się na długo. Marta wyczuwała, że nie wzbudza jej sympatii. Złękła się, że to źle wróży na przyszłość.

Mężczyźni tymczasem zapakowali namiot do tylnej części starego żuka czy nysy i wsiedli do szoferki. Śmierdziało tam strasznie nikotyną.

Wycieczka była długa. Wyjechali daleko poza Pogodną, gdzieś w las, gdzie jakaś kobieta odebrała paczkę z ubraniami dla biednej rodziny z jedenaściorciem dzieci, którą się opiekowała. Potem na widok zbliżającego się samochodu przy furtce swego biednego domku zjawiała się młoda dziewczyna po lekarstwa dla chorej matki. Potem jeszcze zawieźli wózek inwalidzki dla mężczyzny, który chciał wybrać się na pielgrzymkę.

– Jest w tej okolicy jakiś dom, gdzie nie ma podopiecznych księdza?

– Są takie domy, ale w nich często mieszkają ci, którym zabieram, aby oddać tamtym – ze śmiechem powiedział wikary. – Jak mają za dużo, niech się dzielą.

Jak na dowód furgonetka powoli zatrzymała się z kolei przed elegancką willą plantatora, aby stamtąd pobrać parę worków marchwi, ziemniaków, pomidorów i ogórków. I wpakować w miejsce opróżnione przez dary. Nosił te worki Mucha, nosił wikary, nosił też Józef Ziutek. – W fundacji Janosikowo nie ma pustych przebiegów – zażartował ksiądz, zatraskując drzwi swej bryki – a interes musi się kręcić. Te jarzyny – wyjaśnił – są do naszej stołówki, która wydaje sześćdziesiąt obiadów dziennie, a mieści się w mojej piwnicy.

Wreszcie dojechali do domu trzech sióstr.

Chce mnie pani pewnie zapytać, po co ja tak gonię? – domyślnie spytał wikary, gdy po wypakowaniu namiotu zaczął żegnać się z Martą, długo ściskając jej dłoń i spoglądając na nią wzrokiem wymagającego belfra.

– Ksiądz miał ciężkie dzieciństwo – oznajmił Mucha grobowym głosem – więc jest dobry na złość światu.

Ty też masz taki pomysł na zemstę na świecie? – zapytała siebie Marta, spoglądając na osiłka z ukosa.

Jeszcze tego samego dnia za sprawą Józefa Ziutka w ogrodzie domu trzech sióstr stanął brezentowy namiot i nie było już żadnych przeszkód, by zanurzyć się w świat gratów pani Weroniki. Uradzili z Ziutkiem, że zaczną od najmroczniejszej części tej rupieciarni, gdzie wszystko zdawało się nie do użytku. Wnętrze było zaciemnione, pozbawione światła zewnętrznego, ale też instalacji elektrycznej, toteż aby rozpoznać teren, trzeba było użyć latarek. Marta poczuła osobliwy dreszcz podniecenia. Jakby wstępowała w ciemny las.

Najpierw z Józefem wynieśli na podwórko pewną liczbę większych przedmiotów – stołów o trzech nogach, szafek o dwóch ścianach, krzesel z częstką oparc. Po jakimś czasie w pomieszczeniu utworzył się rodzaj wąskiego tunelu na całą jego długość. To dało możliwość dotarcia do tekturowej płyty zasłaniającej okno. Odsunięcie jej początkowo niewiele dało, bo okno, dawno nieużywane i niemyte, prawie nie przepuszczało światła. Co więcej, nie chciało się otworzyć. W końcu jednak poddało się presji Józefa, a gdy oczyszczone z pajęczyn i umyte przez Martę wróciło do swej roli, w pomieszczeniu zrobiło się nieco jaśniej.

I wtedy uwagę Marty zwrócił osobliwy widok. Za pustym regałem stała skrzynia wypełniona po brzegi przez jakieś głowy i kończyny. Wyglądało to okropnie.

To jakiś sarkofag dla lalek – pomyślała.

Ale nazwa „sarkofag” była dla tego zbioru staroci nadto łaskawa. Stosowniej byłoby powiedzieć: „mogila zbiorowa”, bo zgromadzone tu przedmioty leżały na kupie w wielkim nieładzie, powyginane w konwulsyjnych pozach, posplatane ze sobą nawzajem, takie lalkowe truchła – poszarzałe, pozbawione koloru, pokawałkowane wreszcie: z brakującym okiem, urwaną nogą lub głową. Widok był przejmujący.

Marta z lekkim wstrętem zanurzyła rękę w ten galimatias. Nie miała kompetencji, aby ocenić wartość tego zbioru. Obok figurek ze śladami urody i w szykownych strojach leżały lalczyki za grosz kupione niegdyś na jakimś odpuszcie. Ale ani o wieku, ani o kunszcie osób, które je stworzyły, nie można było łatwo sądzić.

Józef Ziutek, na którym to znalezisko nie zrobiło specjalnego wrażenia, powiadomił o nim panią Olgę i Weronikę, która zdążyła już wrócić z Janosikowa. Wkrótce przybyły tu obie i wstąpiły w wydrążony korytarz, by po chwili pochylić się w milczeniu nad znaleziskiem.

– To tu leży od jakichś trzydziestu lat – wyszeptała w końcu pani Weronika – odkąd dorosłyście i wyjechałyście z domu.

– No, niektóre z tych lalek poznaję – westchnęła pani Olga, wygrzebując ze skłębionego tłumu jedną z nich.

– Są i takie, które wam przekazałam z mojego dzieciństwa – powiedziała pani Weronika, wskazując palcem.

Ale nie dotknęła żadnej. Jakby się bała, że w tej samej chwili rozsypią się w proch.

– Co chcą panie z nimi zrobić? – rzeczowym tonem spytała Marta.

– Nie wiem – odparła Weronika chłodno. – Ja już raz nad nimi odprawiłam żałobne rytuały i nie chcę do tego wracać.

Miała rację, to rzeczywiście przypominało ekshumację.

– Trzeba to przejrzeć – zdecydowała – bo może niektóre z nich mogą dziś mieć wartość muzealną. A te, które nie są nic warte, a kupy się jeszcze trzymają, można będzie zaproponować wikaremu dla jego dzieci. Słowem, pani Marto, warto przeprowadzić...

I tu głos jej zadrżał, bo słowo, które chciała wypowiedzieć, uwięzło jej w gardle: „selekcja”.

Marta do tego przecież właśnie została zatrudniona – miała być „selekcjonerem”.

– To może ja je trochę przetrę, przemyję, żeby łatwiej było dokonać wyboru – zaproponowała.

– Lepiej nie, bo mogą nie wytrzymać tych zabiegów higienicznych – zaproponowała pani Olga, bacznie niż innym przyglądając się jakiejś szmaciance.

Jedna z długich, pałakowatych nóg lalki była rozerwana, a ze środka wystawały żdźbła poszarzałej słomy, które wyglądały jak pęknięte kości.

– To była przytulanka Maszy – oznajmiła.

Pani Weronika odwróciła się na pięcie i wyszła.

– Można poszukać pomocy u szewca Cholewy – podpowiedział przysłuchujący się tej rozmowie Józef Ziutek, który sam bez wahania wyrzuciłby to wszystko na śmietnik.

– Szewc nazywa się Cholewa? – spytała Marta rozbawiona.

– No tak – z powagą przytaknął Józef. – Nawet szewc musi mieć jakieś nazwisko, a najlepiej, żeby do niego pasowało.

I porozumiewawczo mrugnął do Marty.

– A dlaczego mam z tym iść do szewca? – spytała.

– Bo to szewc od lalek – odparł Józef.

– On szyje buty lalkom?

– No – przyznał pan Józef i wytłumaczył, gdzie go szukać.

Były jednak pilniejsze sprawy. Tego wieczoru na podwórku zapłonęło pierwsze ognisko. Spalono w nim pierwszą porcję drewnianych przedmiotów, których żadną miarą uratować się nie dało. Obecna przy tym pani Weronika nazwała to wydarzenie egzekucją. Nie można jej było tego oszczędzić, bo nikt nie chciał robić niczego bez jej woli. Starsza pani rozumiała to, ale nie umiała ukryć przygnębienia.

* * *

Marta przez nikogo nienakłaniana przyjęła zasadę, że rozpoczyna pracę jak w dziekanacie – o dziewiątej. Respektować to zaczął też Józef Ziutek, a także ci, którzy po uzgodnieniu z pracodawczynią zostali zaproszeni przez niego do pomocy, czyli ekipa z Grupy Wsparcia. Chodziło o to, by pomóc Józefowi w przenoszeniu co cięższych mebli. W domu trzech sióstr pojawił się więc znany Marcie znad kufla piwa niski pan, jego gruby kompan, ponadto stary fotograf, a także ktoś jej nieznan, o kim powiedziano, że to Edek, mąż pani Matyldy. Przynieśli ze sobą dźwignie, lewary, panele i znaczną część ciężkiego sprzętu przetransportowali pod płachtę namiotu. Marta sterowała selekcją. W jednym rzędzie stały te przedmioty, które w jej opinii najlepiej rokowały na przyszłość, czyli z szansą na pozostanie na miejscu, centralnie takie do oddania, a w rzędzie trzecim największe ruiny, o których losie miała zdecydować ostatecznie pani Weronika.

Po kilku godzinach takiej pracy panowie szli do baru, aby zasilić konto Matyldy i jej przedsiębiorstwa, a sobie przepłukać spragnione gardła, a Marta mogła odpocząć. Lubiła wtedy usiąść na kamiennych schodach prowadzących z tarasu do ogrodu i napawać się urodą świata. Bo wiosna była teraz na Pogodnej najpiękniejsza, wczesna, delikatna, fosforyzująco zielona. Martę ten czas zawsze przyprawiał o niepokój. Bo jego uroda była

wyjątkowo przemijająca, więc chciało się ją wchłonąć i zatrzymać, zanim zamieni się w wiosnę dorosłą, już bardziej podobną do lata.

Tak było i tego dnia, gdy Marta świętowała zakończenie pierwszego tygodnia pracy w domu trzech sióstr. Usiadła sobie, żeby wchłaniać. A że akurat wybiło południe, na sąsiedniej działce rozległo się jak zwykle o tej porze ciche gwizdanie, a potem łopot skrzydeł. Po chwili ptaki rozbujane przez ruch wielkiego kija trzymanego przez Gołębiarza zaczęły zataczać swoje kręgi, chwilami pojawiając się niemal nad głową Marty. Trudno było od tego oderwać wzrok.

To jest teraz moje miejsce pracy! – pomyślała z zachwytem.

Sądziła, że jest sama. Gołębiarz, kierując ptasim spacerem, jak zwykle stał odwrócony tyłem do domu trzech sióstr (parę razy Marta już go widziała, ale nigdy jeszcze nie zobaczyła jego twarzy). Nie czując więc na sobie niczyjego wzroku, wzięła głęboki oddech i rozpostarła ramiona, jakby chciała objąć cały świat.

– Mamy pierwszego gościa – usłyszała raptem za sobą.

To pani Olga stała przy wejściu do ogrodu, a obok niej stał ten, który niedawno na jej oczach rozmawiał ze swoim samochodem, a ją wyciągał z kałuży, czyli Mateusz. Teraz znów znalazł ją w nietypowej sytuacji; zmieszana, w pośpiechu zwinęła swe rozpostarte jak skrzydła ręce.

– Pan się dowiedział, że przystąpiliśmy do remanentu, i chce popatrzeć na to, co tu mamy – wyjaśniła pani Olga.

– Tu wieści rozchodzą się szybko – dodał Mateusz, jakby wracając do ich poprzedniej rozmowy.

U jego stóp Marta dostrzegła psa.

– Cześć, Kulas – powiedziała na znak, że się już znają.

Kundel zachował surowe oblicze, a równocześnie jego ogon na dźwięk tego imienia zamerdał zdawkowo. W stworzeniu tym była jakaś wewnętrzna sprzeczność – przód bowiem budził respekt, a tył był życzliwszy.

– Pan się zajmuje handlem meblami – wyjaśniła tymczasem pani Olga, wskazując Mateuszowi drogę do namiotu – więc może będzie pierwszym klientem naszego sklepu.

„Handel”, „klient” – teraz Marcie te słowa stanęły ością w gardle – „handel meblami”.

I poczuła zawód, że ten z baśni o Pogodnej jest „handlarzem”.

A kim ty jesteś, jak nie handlarzem właśnie? – dodała Marta w duchu, przypominając sobie swoją rozmowę ze Stefanem.

Że też ona – żona poety, profesora i dziekana – mogła sama zostać handlarzem i na handlarza zwrócić uwagę. Co by na to powiedziały uczestniczki sabatu czarownic? Dora? Psychoterapeutka? Przedsiębiorcy od rozwodów promocyjnych? Słowem, ci wszyscy „z tamtego świata”, jak zaczęła już na dobre nazywać swoje minione życie.

– Wie pani, ja bym siebie nie nazwał handlarzem – powiedział tymczasem Mateusz, przechadzając się między meblami rozstawionymi w namiocie.

Oho, poczuł się urażony – przemknęło Marcie przez myśl.

– Ja bym się nazwał chłopcem na posyłki.

Jeszcze lepiej! Akwizytor! Posłaniec! Kurier! – grzmiało w głowie Marty.

– To jest skromna część tego, czym dysponujemy – oznajmiła zaś pani Olga, chcąc szybko zatrzeć złe wrażenie, zrobione niewłaściwym słowem.

On jednak nie wydawał się obrażony. Chodził między sprzętami i przyglądał się. Ale bardziej niż meblom – Marcie.

– Widzę, że na dobre przywiało panią na Pogodną.

– To państwo się znają? – Pani Olga nie potrafiła ukryć zdziwienia.

– Wydaje mi się, że już od dawna – odparł Mateusz, nie spuszczać teraz wzroku z Marty.

Jakby go coś do niej przyssało.

– Od pewnego jesiennego wieczoru, gdy śnieg rósł na Pogodnej – powiedziała Marta, patrząc na niego jak zahipnotyzowana.

Mateusz przymrużył oczy, szperając we wspomnieniach, a po chwili rozpogodził się, jakby dokonał ważnego odkrycia.

– Oczywiście! – oznajmił. – Pierwszy śnieg minionej zimy. I mój serdeczny druh Cholewa, który nam kazał patrzeć, jak krople deszczu przemieniają się w płatki śniegu. Ja wtedy nie widziałem pani twarzy!

Cholewa? – namyślała się w tym czasie Marta. – Ten szewc od lalek, Cholewa?

– Tak jest! – przytaknął Mateusz.

Pani Olga przysłuchiwała się tej rozmowie z rosnącym zainteresowaniem. Może przeczuwała, że jest mimowolnym świadkiem kolejnej przemiany: bliskich nieznanym w bliskich znajomych.

– A co to jest Pogodna? – spytała.

– To mit założycielski tych okolic – wyjaśnił Mateusz.

Elokwentny i odcytany ten handlarz – przemknęło Marcie przez myśl.

– Nie znałam tego określenia, ale chyba przypadnie mi do gustu. – Pani Olga się uśmiechnęła.

– Jest pani jego częścią. – Mateusz odwzajemnił uśmiech i zaczął się żegnać.

– Z całą pewnością, jeśli panie pozwolą, będę tu wpadał – oznajmił.

Kulas też przybył z jakiegoś kąta, gdzie również poczynił pewne obserwacje, a teraz był gotów do wyjścia.

– Sklep Rzeczy Niekoniecznych przy Pogodnej – to brzmi bardzo obiecująco – przyznał Mateusz i wyszedł.

* * *

Praca wykonana przez Józefa Ziutka przy pomocy Grupy Wsparcia wydawała się tytaniczna. Ale gdy po usunięciu ciężkiego sprzętu Marta w asyście pani Olgi stanęła w drzwiach pomieszczenia, którym zajmowała się ostatnimi dniami, uświadomiła sobie, że to wierzchołek góry lodowej. Bo teraz pokój był jednym wielkim śmietniskiem pełnym drobnych przedmiotów, książek, papierów, bibelotów i Bóg raczy wiedzieć, czego jeszcze. A wszystkie mogły mieć wartość sentymentalną.

Pani Olga, obserwując tę górę śmieci, musiała pomyśleć o tym samym, bo oparta o framugę drzwi nerwowo pocierała czoło, jakby z niego chciała szczyścić troskę.

– Bez mamy nie damy rady, bo tylko ona może powiedzieć, co z tym wszystkim zrobić – westchnęła – a boję się, że dla niej to zadanie ponad siły. Jak na ironię, z ojca też był niezły bibelociarz. Jedno dokładało rzeczy do drugiego i powstał z tego ten wielki stos. Ale co się dziwić, skoro mama historyk, a ojciec antykwariusz? I jedno, i drugie miało zawodowy nawyk gromadzenia staroci.

Pani Olga kucnęła i zaczęła grzebać w całym tym bałaganie jak w wodzie. Wśród rzeczy, na które natrafiła, był też spory plik pożółkłych listów, konwencjonalnie przewiązany wstążeczką, która dawno już zapomniała, jakiego była koloru.

– Będzie z tym wszystkim dodatkowy problem, bo mama teraz jeszcze chętniej umyka z domu – powiedziała pani Olga. – Proszę tego nie brać do siebie. To nie tylko niechęć do tej inwentaryzacji, której pani jest twarzą, mama zarówno teraz, jak i zawsze organizuje sobie miliony pól aktywności. Ma swoją teorię zabijania czasu, która sprawia, że nie może usiedzieć w miejscu. Jak na staruszkę dobrze po osiemdziesiątce to dziwne i godne podziwu. „Ach, moje dziecko – wzdycha bez przerwy – nie mam chwili dla siebie”. I wylicza listę nieszczęść, którym trzeba zapobiegać lub leczyć. A to choroby i troski różnych znajomych, którzy wszyscy leciwi, więc i nic dziwnego, a to konieczność pomocy matce samotnie wychowującej dziecko, komuś w szpitalu, nie licząc jeszcze wysługiwania się i proboszczowi, i wikaremu w roli wolontariusza. Jak do tego dołożyć różne nocne czuwania w kościele parafialnym czy zbiórki darów dla głodujących dzieci w Afryce, to i połapać się w tym nie można. A jak pytam ją: „Po co ci to, mamó? Pomyśl o sobie”, to odpowiada pytaniem: „A co by to miało znaczyć?”. Myślałam wysłać ją gdzieś nad morze albo i za granicę, ale mi odpowiadała, że to przyjemności dla młodych. A kiedy tuż po powrocie złościłam się na nią, że się nie oszczędza, że może jej wyczerpie zdrowie i że nie można aż tak poświęcać się dla innych, odparła, że ona to robi dla zabicia czasu. Takiego argumentu się nie spodziewałam. Nie chciało mi się pomieścić w głowie, że starsza pani mówi o „zabijaniu czasu” zamiast korzystać z tego, który ma jeszcze do przeżycia. Potem zrozumiałam, że to właśnie trzyma ją przy życiu. I przestałam protestować.

Obie z Martą nie spostrzegły, że od kilku chwil za ich plecami stoi pani Weronika i przysłuchuje się rozmowie.

– To, co trzymasz w garści – zwróciła się do swej córki – to są listy Emilii.

– Kto to jest Emilia? – spytała Olga, zakłopotana, że jej matka była świadkiem rozmowy o sobie.

– To była jedna z moich podopiecznych, niegroźna wariatka – zaczęła pani Weronika, sięgając po plik listów.

I przysiadła z nimi w garści na jakimś taborecie, który jeszcze się ostał w tym ogołoconym z mebli pokoju.

Zanosilo się na dłuższą opowieść.

– Emilia była zawsze zadbana i elegancka. Co miesiąc u fryzjera robiła trwałą ondulację, nie znosiła ubrań pomiętych i poplamionych i miała wielką słabość do klipsów. Miała ich w komóдке całe stosy. Wszystko układała w kosteczkę lub pucowała godzinami. A potem siadała na werandzie swego domku i w zeszycie w jedną linię pisała listy do Włodzimierza. Codziennie jeden. O tym, jak minął dzień. Następnego dnia zaś, gdy listonosz przynosił jej prenumerowaną gazetę, oddawała mu list w starannie zaklejonej kopercie, na której było napisane: „Dla Włodzimierza”. Bez nazwiska, bez adresu. Ot, takie natręctwo chorej kobiety. Listonosz o nic nie pytał, brał list, a potem oddawał mnie. Tłumaczył, że nie można tego tak po prostu wyrzucić. I mnie nie starczało odwagi. Odkładane na kupkę, leżały w schowku całymi latami w coraz większej stercie. I tak Emilia dożyła osiemdziesiątki.

Pani Weronika z rozczuleniem pogłaskała zbiorek, jakby to był policzek tej, która była autorką tych przesyłek.

Pewnego razu przed dom Emilii, gdy akurat tam byłam, podjechał samochód na obcej rejestracji. Wsiadł z niego elegancko ubrany mężczyzna pod pięćdziesiątkę i zapytał o Emilię. Zdziwiłam się. Nikt nigdy nie dopytywał się o nią. Powiedział, że przejechał pół Europy, żeby się z nią zobaczyć, bo jest wykonawcą testamentu. Uprzedziłam, że kontakt z nią jest właściwie niemożliwy, że jest chora. I wspomniałam coś o listach do nieistniejącego Włodzimierza. „Mój dziadek, który mnie tu wysłał, nazywał się Włodzimierz – usłyszałam na to. – Zmarł rok temu, powierzając mi misję odnalezienia pani Emilii”. Aż mnie ciarki przeszły z wrażenia. A on spytał, czy znam historię jej młodości? Nie znałam. Pani Emilia była wielką, grzeszną miłością jego dziadka, który był już wówczas żonaty i zarządzał poważnym majątkiem. A Emilia była córką fornała, przyszłości więc ten związek nie miał żadnej. To mu jednak tylko dodawało blasku. Oboje stracili dla siebie głowę. I przyszła wojna trzydziestego dziewiątego roku. Dziadka wcielili do wojska. Wcześniej całą rodzinę udało mu się wyprawić na Zachód. Po klęsce wrześniowej w przebraniu wrócił w te strony. Był nawet zadowolony z takiego obrotu spraw. Chciał zatracić swoją dotychczasową tożsamość, w czym zawierucha wojenna bardzo pomagała. Wyobrażał sobie, że przez nikogo nierozpoznany, zaszyje się w jakimś ustroniu ze swą ukochaną i tak pożyją sobie jak mąż z żoną. Odnalazł Emilię. Poszła za nim bez wahania. Zamieszkali na skraju jakiejś wsi w opuszczonej starej chałupie. Głodowali i kochali się jak szaleni. Wokół szalała wojna, a oni przeżywali najpiękniejsze chwile swojego życia. Aż którejś nocy wtargnęła do ich chałupiny pijana banda hitlerowców. Przyłapali ich w łóżku. Na jego oczach wielokrotnie zgwałcili Emilię, a gdy chciał jej bronić, pobili go do nieprzytomności. Obudził się w jakimś lochu, skąd w bydlęcym wagonie został przewieziony na roboty w głąb Niemiec. Siedział tam do końca wojny, a potem odszukał rodzinę w Belgii. O powrocie do Polski nie mogło być mowy.

Stał się przykładowym mężem i ojcem, dorobił się okazałego majątku. Wreszcie zestarzał się i zdziwaczał. Wnuk przyznał, że niezbyt go lubił, bo też miał różne natręctwa i urojenia. Jednym z nich pod koniec życia była właśnie Emilia. No i stało się: najpierw ustnie, a potem zapisem w testamencie zobowiązał rodzinę do ustalenia, czy ona żyje, a jeśli tak, to do znalezienia właściwej formy opieki nad nią, co jest związane z określoną sumą pieniędzy.

Zaprowadziłam go do niej. Staruszka, jak zwykle o tej porze, siedziała na werandzie. Gdyśmy się zbliżyli, spojrzała w naszą stronę niewidzącymi oczami i nagle wzrok jej się wyostrił, a na ustach pojawił się grymas wielkiego wysiłku. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w twarz przybysza. Ten wzrok był paralizujący. Mężczyzna nie miał odwagi się odezwać. W oczach staruszki pojawiły się dwie wielkie łzy. Emilia płakała bezgłośnie. Widać w twarzy przybysza dostrzegła swoją przeszłość. A on podszedł do niej, pochylił się i z jakąś niebywałą czcią pocałował jej dłoń. Próbował jej coś wyjaśniać, ale to nie miało sensu. Nie przestawała patrzeć na niego i płakać. Przybysz, wyraźnie poruszony, zapisał moje dane i odjechał. Kilka dni później Emilia umarła. Zostałam ją siedzącą na werandzie, z twarzą lekko przekrzywioną i łagodnym uśmiechem na twarzy. Jakby się komuś życzliwie przyglądała. A wkrótce potem dostałam list z Belgii. W kopercie znalazłam starą fotografię. Gdyby nie to, że była naprawdę stara, pomyślałabym, że to zdjęcie mojego gościa. Tak bardzo wnuk podobny był do dziadka. I dyspozycję wypłaty pieniędzy. Powiadomiłam, że to już tylko przydać się może na pogrzeb.

Pani Weronika, która nie przestając opowiadać, próbowała rozwiązać splóviałą kokardę wiążącą listy do Włodzimierza, wyciągnęła spośród nich starą fotografię, na której był ten, który kochał Emilię wariatkę.

Jeśli każde z tych papierzysek ma w tym domu taką historię, to mi życia nie starczy, by dokonać tej pracy, której się podjęłam – pomyślała Marta, rozglądając się wokół.

Ale pomyślała o tym bez przykrości.

* * *

Przyszedł wreszcie czas na załatwienie formalności. Pani Olga musiała założyć firmę pod nazwą Sklep Rzeczy Niekoniecznych. Z dwóch powodów był to dla niej Mount Everest trudności – raz dlatego, że nigdy nie zakładała firmy, a dwa – że Polska to nie Dania, tu każdy urzędnik to bastion nie do zdobycia. Wynajęty prawnik przygotował stosowne dokumenty, a Marta towarzyszyła jej dla dodania ducha. Był więc w urzędzie wpis do ewidencji działalności, gdzie zarejestrowano firmę. Nazwa: Sklep Rzeczy Niekoniecznych u nikogo nie wywołała emocji – nie takie nazwy się zdarzają. Potem był urząd statystyczny, w którym firma uzyskała REGON. W urzędzie skarbowym pani Olga dokonała zgłoszenia, że podejmuje działalność gospodarczą (i równocześnie zawiadomiła o swej woli zatrudnienia pracownika). Tam pouczono ją o obowiązku zgłaszania deklaracji podatkowej PIT i odprowadzania podatku, a następnie poinformowano, że zostanie „vatowcem”, co znaczy, że ma prowadzić księgę przychodów i rozchodów, do której wpisywać trzeba będzie każdy utarg, a także każdy koszt (czyli cenę, za jaką pozyskała towar), jak również opłaty za prąd, „zusy”, najem lokalu czy pensję pracownika, że będzie musiała nabyć i zgłosić kasę fiskalną, a także zatrudnić księgową. Gdy na koniec znalazły się w ZUS-ie z tym samym komunikatem, że pod szyldem Sklep Rzeczy Niekoniecznych ma być prowadzona działalność gospodarcza, pani Olga była półprzytomna.

– Czy to wszystko jest konieczne? – spytała kolejnej bezdusznej urzędniczki.

– Niekonieczne to będą dopiero rzeczy w pani sklepie – odparła tamta, wpatrując się w treść przedstawionego dokumentu.

Na koniec odbył się ceremoniał, dla którego trzeba było przeżyć wszystkie wcześniejsze – podpisanie z Martą umowy o przyjęciu jej do pracy na czas nieokreślony w charakterze sprzedawcy. Obie panie, już w domu, pochyliły się nad nim z uwagą. A tam tylko o tym, że „pracobiorca” (czyli Marta): „zobowiązany jest”, „musi”, „pod rygorem”, „z paragrafu”, ale za to: „nie może”, „nie należy się”, „nie przysługuje”...

Pani Olga była stropiona.

– Co ci „pracobiorcy” złego zrobili swoim „pracodawcom” i ich prawnikom, że ci się tak przeciw nim uzbrajają?

I dając do zrozumienia, że bardzo jej wstyd za brzmienie tego dokumentu, podpisała go.

Marta zaś doczytała jeszcze grzmiący tekst, że „W razie niemożności polubownego rozwiązania sporów Strony poddają ich rozstrzygnięcie właściwemu rzeczowo sądowi powszechnemu”. Jej mężna ręka jednak nie zadrżała i Marta złożyła podpis pod dokumentem.

– I to wszystko po to, aby znaleźć miejsce do życia dla kilku starych kobiet i kilku starych sprzętów – westchnęła pani Olga i dodała: – Ale o pieniądzach nie chcę słyszeć, bo gdy trzeba podzielić dwadzieścia przez trzy, to mój rozum śpi.

* * *

Rzeczy niekonieczne zaczęły powoli odsłaniać przed Martą swoje dzieje, a pod wpływem działań pielęgnacyjnych nierzadko ujawniać nieprzeciętną urodę. Dodatkowo, odwzajemniając się niejako za troskę im poświęconą, ułatwiać zaczęły opiekującej się nimi Marcie poznawanie mieszkańców Pogodnej, stanowiąc dla tych znajomości dobry pretekst. Na pierwszy ogień Marta postanowiła wziąć szewca Cholewę. Była niezwykle ciekawa ponownego z nim spotkania, tym bardziej że Mateusz wspominał o nim jako o „serdecznym druhu”. Pośrednikami w zawarciu tej znajomości miały być lalki stłoczone dalej bezlitośnie w starej skrzyni, zwanej przez Martę sarkofagiem.

Józef Ziutek, który wcześniej zarekomendował szewca na eksperta, teraz poinstruował ją, jak do niego trafić. W zakratowanym oknie warsztatu znajdującego się przy jednej z tych uliczek, które składają się na Pogodną, umieszczony był szyld: „Mistrz Szewski Stanisław Cholewa”. Znalazszy się tam, Marta nacisnęła klamkę w drzwiach. Były zamknięte. Ale spostrzegła wiszący nad nimi chwościk, przypominający kształtem ogon Kłapouchego zamieniony przez Sowę Przemądrzałą na dzwonek.

Pociągnęła za chwościk, a gdzieś w głębi domu odezwał się gong. Po chwili rozległ się zgrzyt klucza w zamku, a następnie w drzwiach pojawiła się ledwo się w nich mieszcząca sylwetka potężnego mężczyzny.

To był ten wielkolud ze wspomnień o pierwszym pobycie na Pogodnej, który wtedy mówił o „rosnącym śniegu”.

Jeszcze większą pewność Marta zyskała, gdy się odezwał – głos miał potężny jak spiż.

– Mistrz szewski Stanisław Cholewa! – huknął, wyciągając wielką dłoń na powitanie.

A więc gdzieś tutaj jest dom, z którego wtedy wyszedł Mateusz – przemknęło Marcie przez myśl.

– Czym mogę służyć? – Szewc Cholewa przerwał jej rozmyślenia, palcem wskazując na jej sportowe obuwie. – Adidasów się u mnie nie naprawia.

– Przychodzę z domu trzech sióstr – odpowiedziała Marta odruchowo.

– Słucham? – zdziwił się szewc.

– Od pani Weroniki – sprostowała.

– Dom trzech sióstr? – powtórzył. – Tak pani go nazywa? To się powinno przyjąć.

I szerokim gestem zaprosił do środka.

W środku Martę po raz kolejny zaskoczył nadmiar wszystkiego. Tym razem butów, które wystawały z każdego kąta, zalegając półki i podłogę. Niektóre naprawiał chyba pradziadek obecnego właściciela, tak były stare. Panował tu też lekki smrodek używanych rzeczy.

– Przyszłam do pana w nietypowej sprawie.

– Ja nie znam spraw typowych – huknął właściciel warsztatu. – Typowe sprawy znajdują się na chińskich taśmociągach.

Marta już kochała szewca z Pogodnej.

Z wzajemnością, bo ten nie odrywał od niej wzroku.

– Śliczna z pani kobieta! – huknął znowu.

Zaskoczona tym nieoczekiwanym i bezpardonowym komplementem, Marta uśmiechnęła się szeroko.

– Och, jeszcze śliczniejsza! – Szewc Cholewa aż machnął ręką z zachwytem, aby zaraz dodać: – Proszę mnie skarcić, jeśli będę się zachowywał zbyt obcesowo, pierwszy raz w życiu mam sześćdziesiąt lat i nie wiem, jak się zachować, aby nie ośmieszyć się zbyt nachalnymi zalotami.

– W razie czego dam znać – zgodziła się Marta – ale jak dotąd wszystko jest w porządku. Mam dużo lalek... – przystąpiła do rzeczy.

– ...w pani wieku? – przerwał jej Cholewa.

– Ale to są lalki pani Weroniki – pospiesznie wyjaśniła Marta.

– ...w jej wieku? – szewc nie dawał za wygraną.

– Kiedyś zgromadziła je w wielkiej ilości i potem nie chciała się z nimi rozstawać. Teraz zaś do mnie należy ocena, ile są warte i co z nimi zrobić.

Szewc Cholewa czekał na dalsze wyjaśnienia.

– Nie wiem, co prawda, dlaczego poradzono, abym w tej sprawie skontaktowała się właśnie z panem.

– Ale ja wiem! – huknął szewc w odpowiedzi i wskazał pomieszczenie w głębi. A tam, w osobnym aneksie, poukładane różne osobliwości, w tym małe buciki, ale też gigantyczne, ponadnaturalne buciory.

– To pantofelki dla Kopciuszka – szewc rozpoczął prezentację – i buty dla kota w butach, a także buty siedmiomilowe. Wykonuję je na zamówienie teatrów lalkowych i różnych instytucji. Ja jestem baśniowym szewcem! – zaryczał Marcie nad uchem.

A ona poczuła się jak dziecko w sklepie z zabawkami.

Zwłaszcza te najbardziej filigranowe buciki wzbudziły jej podziw.

– Pan je chyba robi z użyciem mikroskopu. – Wskazała na jedno z takich, delikatnie kładąc je sobie na dłoni. – Prędkiej to praca dla jubilera.

– A to zrobione tymi rękami – zaśmiał się szewc Cholewa, wyciągając w stronę Marty wielkie bochny swych dłoni.

Był zachwycony efektem. Marta stała zdumiona, porównując swoją małą dłoń, na której znajdowały się małe buciki, i gigantyczne łąpska szewca.

– Ale ja nie umiem ocenić wartości starych eksponatów. Ja tylko lalkom buty szyję.

– Szyć komuś buty to znaczy intrygować, spiskować albo działać na czyjąś szkodę – pochwaliła się filologiczną wiedzą Marta.

– Widzę, że trochę zna się pani na szewstwie – zaśmiał się znów Cholewa.

– Ale taki bucik nie może działać na niczyją szkodę – powiedziała Marta, położywszy sobie na dłoń mikroskopijnej wielkości bucik ze sprytnie zawiniętym czubkiem, który trochę przypominał odpustowego ptaszka. – Jest śliczny!

Szewc Cholewa stał przy Marcie niezwykle rad. Pewnie rzadko zdarzało mu się widzieć taki zachwyty, bo kto i jak często przygląda się butom lalek?

– A dużo jest tych rzeczy do oceny? – spytał.

– Dużo. Skrzynia sporych rozmiarów.

– Dobrze – uspokajającym tonem oznajmił Cholewa. – Przyjdę ze stosownym wehikułem.

– Co znaczy „przyjść z wehikułem”? – spytała Marta.

– To wystarczy? – Cholewa wskazał znajdujący się tuż pod oknem sprzęt.

Był to rodzaj drewnianej przyczepy na długim dyszlu, do którego pewnie można by zaprząć konia, ale nie człowieka. Chyba że tym człowiekiem jest osobnik o posturze Gargantui. Prawdziwie pocieszną figurą był ten Cholewa. Przy swych dwóch metrach wzrostu i wielkiej masie ciała starym hipisowskim zwyczajem zachował kitkę siwiejących włosów na karku, która wyglądała jak maleńki zakręcony ogonek na potężnym świńskim zadzie.

Nagle od strony pomieszczeń mieszkalnych, których warsztat szewski był przybudówką, wychynęła pulchna niewiasta, która przy Cholewie wydawała się chuchrem, i spytała, czy gość chce się czegoś napić.

– Ja jestem Cholewa, a to jest Cholera! – zagrzmiał gospodarz, wskazując żonę.

Kobieta, wyraźnie przyzwyczajona do tego żartu, podeszła do Marty z wyciągniętą dłonią.

Marta wymówiła się, tłumacząc, że jest w pracy i że chętnie innym razem.

– Spójrzy pan na te lalki? – spytała, chcąc kończyć wizytę.

– Ja je tylko przetransportuję do tego, kto się na nich naprawdę zna – odrzekł na to Cholewa – ale pod warunkiem, że będzie mi pani towarzyszyć. Zgoda?

– Jasne, że tak! – uradowała się Marta, ruszając ku wyjściu.

Przy pożegnaniu szewc z galanterią ucałował jej dłoń.

Niby taki luzak, a przestrzega takich staromodnych manier – pomyślała Marta.

I ruszyła przed siebie, ale przy furtce odwróciła się raz jeszcze. Szewc stał w drzwiach warsztatu, które swym cielskiem całkowicie zasłaniał, i odprowadzał ją wzrokiem.

– Cieszę się, że pana poznałam – powiedziała.

On zaś patrzył na nią jak dobry Bóg, który podziwia swoje stworzenie.

– Ślicznie się pani uśmiecha! – znów zaryczał tym swoim spiżowym głosem. – Bo wie pani – dodał – większość ludzi to się Panu Bogu nie udało. Stworzył dla nich taki piękny świat, a oni zamiast się rozpogadzać, ciągle się złością.

I zaczął się przeciskać przez za małe dla niego drzwi.

– A gdzie mieszka Mateusz? – spytała nagle Marta, zaskakując samą siebie.

Cholewa, który usłyszawszy to pytanie, znów się objawił, nie zdziwił się ani trochę. Przecież na Pogodnej wszyscy się znają.

– To jest ostatni dom w tamtym szeregu – wskazał koniec ślepej uliczki – tam, gdzie droga wyprowadza w las.

„Droga, która wyprowadza w las” – powtórzyła Marta w myślach. Jaki szewc na świecie odpowiada na błahe pytania równie poetyckim językiem?

– Ale jego teraz tam nie ma – usłyszała jeszcze, zanim Cholewa na dobre wszedł do środka.

Tym lepiej – pomyślała i ruszyła we wskazanym kierunku.

A tam stał dom inny niż wszystkie dotąd poznane na Pogodnej. Tamte mogły być brzydkie, ładne, stare, nowsze, ale nie było takiego jak ten – wyróżniający się zaniedbanie i martwością. Robił wrażenie opuszczonego od lat. Nawet więcej – wypatroszonego. Tak jakby nie tylko nikt tu nie mieszkał, ale jakby wyszarpięto stąd wszystkie ślady minionego życia.

Dopiero po chwili Marta spostrzegła, że dom znajduje się blisko nasypu kolejowego. Tory były zarośnięte i dawno nieużywane. W jedną stronę wiodły prosto w

las, w drugą – prosto w miasto. Kiedyś, dawno temu, pędziły tędy pociągi, dróżnik z lizakiem wychodził na peron, a podróżni wsiadali z sakwożaczami, by ruszyć w podróż. Ten dom był zatem starą stacją kolejową. Część terenu, wyodrębnioną rachitycznym z dwóch desek i kilku kołków zrobionym płotem, jako otoczenie domu wybetonowano. To musiał być kiedyś peron. Teraz z każdej szczeliny wyrastały wielkie chwasty.

Mieszkać na stacji kolejowej to tak, jakby nigdzie nie mieszkać. Tylko zatrzymywać się tu przejazdem – pomyślała Marta, przygnębiona tym widokiem.

* * *

Zdumiewało, jak szybko świat Pogodnej zaczął Martę wciągać. Nie tylko dzień po dniu stawiała się do pracy i zanurzała w świat skarbów z domu trzech sióstr, ale i później nie spieszyła się „na tamten świat”.

Tak też było i wtedy, gdy późnym popołudniem spotkała ekipę Furmana Śmierci. Znowu pogoda była pochmurna, jakby rozumiała, że gdy on się pojawia na Pogodnej, sceneria winna być mroczna. Przodem jechała drewniana furmanka po brzegi wypełniona wielką ilością malowniczo poskręcanych badyli, ciągnięta przez rachityczną szkapę, a powożona przez idącego tuż za koniem Furmana. Za nimi zaś kilka sylwetek znanych już dobrze Marcie z Grupy Wsparcia, ci sami, którzy Józefowi Ziutkowi pomagali wynosić meble. Pan niski, pan gruby, stary fotograf i jeszcze kilka osób, a wszyscy pochyleni pod ciężarem wielkich lnianych płacht wypełnionych po brzegi gałęziami. Wyglądali jak stare wieśniaczki niosące chrust z lasu.

– A na cóż to wszystko? – spytała Marta, podjechawszy rowerem w ich stronę.

– To delikatesy dla zwierząt – usłyszała w odpowiedzi.

To gruby pan odezwał się spod sterty badyli, która zdawała się go przygniatać. Z jego okrągłej twarzy widoczny był teraz tylko uśmiech.

Wyjątkowo urodziwy ten uśmiech – pomyślała Marta.

– Delikatesy? – powtórzyła.

Mężczyźni przystanęli. Przystanęła również szkapa. Jak się nie zatrzymać na Pogodnej, kiedy spotyka się znajomego.

– To nasz szef – wyjaśnił gruby pan, wskazując Furmana. – On przyjmuje zamówienia, my je realizujemy. Teraz trzeba było załatwić drzewa do małpiarni w zoo, a małpy lubią takie rosochate, tośmy umyśleli, że do tego najlepiej nadają się sosny – kandelabry, które rosną tu niedaleko na wydmach.

Marta przyjrzała się drzewu. Było powyginane, poskręcane, pełne sęków i rzeczywiście wyglądało egzotycznie.

– A w tych płachtach – dodał gruby pan – są gałązki dla kopytnych. Kopytne lubią gałązki. Mogą być liściaste, ale iglaste też lubią.

– A to – chudy pan wskazał swój zasób – młode, świeże, wiosenne gałązki klonu. To się zasuszy i potem będzie zimowym pożywieniem dla żyraf.

– To dla nich taki antydepresant – dodał gruby. – Jak w zimie siedzą w tych swoich boksach, to się i nudzą, i smućą. A więc raz na jakiś czas daje im się te młode klonowe gałązki i one myślą wtedy o wiosnie.

– Dobrze, że wiesz, o czym one wtedy myślą – zakpił chudy.

Najmniej skory do rozmowy, poza milczącym jak zawsze Furmanem, był fotograf. Marta miała wrażenie, że on najgorzej znosi rolę pracownika sezonowego, bo kiedyś

musiał być uznanym fachowcem, a teraz stracił swój warsztat pracy, wyparty przez nieludzkie komputery. Ubrany nieco niestosownie, bo ze śladami specyficznej elegancji, nie pasował do tej grupy robotników leśnych, jaką teraz byli panowie z Grupy Wsparcia. Miał na sobie stary garnitur, starą białą koszulę, nieświeżej bieli skarpety i stare mokasyny, a na głowie – czapkę bejsbolówkę.

– Teraz mały przystanek w Grupie Wsparcia – wyjaśnił tymczasem gruby pan, zapraszającym gestem i zniewalającym uśmiechem nakłaniając i Martę do uczestnictwa.

Nie miała powodu, by odmówić. Ruszyła więc za nimi, prowadząc rower, gdy pochód uformował się na nowo.

Przemarsz nie potrwał długo i już po chwili Matylda za kontuarem napełniała kufle piwem dla spracowanych robotników.

Marta poprosiła o to samo. Wszyscy usiedli w lokalu, mimo że na zewnątrz właściciele przygotowali się już do sezonu, wystawiwszy tam kilka stolików, a nawet jakiś rachityczny parasol przeciwsłoneczny.

Marta przysiadła tuż obok kontuaru na czymś, co wyglądało na stołek barowy, i obserwowała krzątanie barmanki. W sposobie, w jaki odnosiła się do klientów, było coś, co Marcie nasunęło na myśl cytat z *Byczka Fernanda: Matka Fernanda, choć krowa, była wyrozumiała / Niech mi się tylko uchowa. Już na nic nie będę zważała*[5]. Wręczając kolejne kufle, miała w sobie i matczyną surowość, i czułość zarazem.

– Z pozoru moi podopieczni – odezwała się Matylda, jakby czytając w myślach Marty. – Mały Józek (tu wskazała niskiego pana), Duży Jurek (tu wskazała grubego), Leon – fotograf (tu wskazała starego), a także mój Edek (tu wskazała swojego męża) – to beznadziejnie nudni faceci, którzy tu bez końca piją piwo i gadają o niczym, ale tak naprawdę mój lokal to „inkubator przedsiębiorczości”, w którym nieustannie trwa giełda pracy. Oni płacą za piwo uczciwie zarobionymi pieniędzmi, a przy tym piwie umawiają się na to, aby zarobić na następne. Tu nie ma mowy o bezrobociu.

– Grupa Wsparcia? – domyślnie spytała Marta.

– Grupa Wsparcia – potwierdziła Matylda.

I przetańszy szmatą kontuar po wydaniu zamówień, oparła na nim spracowane przedramiona.

– Kiedyś to oni rzeczywiście byli takimi beznadziejnie nudnymi facetami. Ich widok wzbudzał we mnie złość. Drażniła mnie bierność, z jaką oczekiwali na dalsze życiowe wypadki, ale na szczęście dla nich zakochałam się w Edku. Niby taki sam klient mojego baru jak inni, ale wpadł mi w oko, choć rozum podpowiadał, żebym dała sobie spokój. Poderwałam go na prace remontowe. Odradzali, mówili, żebym nie brała tych, którzy tu przesiadują, bo się naużeram, a efekt będzie kiepski. Ale ja kiedyś zleciłam mu jakąś robotę. Zaraz potem i inni zaczęli się rozpytywać, ale ja zlecałam tylko Edkowi. On zaś, zarabiając najwięcej, zaczął po przyjaźni stawiać kolegom. Wściekłam się, ale on powiedział, że to za zarobione. To ja za karę kolejną fuchę zleciłam komuś innemu. Też to potem wspólnie przepili. No i tak się stworzyła ekipa. Dobrze pracowali, a potem pili i wszyscy mieliśmy z tego zysk. Ale żeby go jeszcze pomnożyć, zaczęłam rozpowiadać, że ta gromada dobrze pracuje. Poszła wieść po okolicy i posypały się zamówienia. Teraz już od dawna, jak ktoś nie wie, skąd wziąć człowieka do roboty, przychodzi do mnie. Ostatnio nawet siostram, które gotują u wikarego, załatwiłam fuchę – jeżdżą „z cateringiem” po okolicznych budowach i żywią pracowników. Oczywiście „po cywilnemu” – dorzuciła Matylda ze śmiechem.

Panowie, którzy zdążyli już w tym czasie wysączyć swe solidnie zapracowane piwo, ustawili się pojedynczo do piwopoju. Wśród nich, nie korzystając z żadnych przywilejów, Edek, mąż barmanki.

– A wszystko dlatego, że spodobał mi się ten mój Edek, choć przecież nigdy nie lubiłam mężczyzn, którzy sobie w życiu nie radzą – dodała jeszcze Matylda, nie bacząc, że panowie nadstawiają ucha.

– Nie jest ze mną tak źle, skoro sobie z tobą poradziłem – skomentował Edek, podszedłszy akurat do kontuaru.

I w barze rozległ się radosny rechot.

– Ten bar powinien w takim razie mieć szyld Inkubator Przedsiębiorczości, a nie Grupa Wsparcia – podsumowała Marta.

– A to jest temat na inną opowieść – oznajmiła Matylda i na dobre zajęła się obsługą gości.

Bo też ten dzień – jak pewnie i inne – miał w barze swą dynamikę i atmosfera zaczęła gęstnieć. Marta dotąd nie wiedziała, do czego potrafi tu dojść po paru piwach. Dziś miała poznać ten wieczorny rytuał.

Najpierw Duży Jurek udał się na zaplecze, skąd po chwili wyniósł dwa futerały. W jednym były skrzypce, w drugim altówka.

Prymistą był Mały Józek, Jurek zaś, jak się okazało, jego gorliwy uczeń, grać miał „sekund”. Dziś miała też do nich dołączyć Śmiertka, przyuczona do gry na starym wiejskim bębenku. Chwilę trwało strojenie, zanim zabrzmiała muzyka. To było najlepsze ludowe granie. Marta nie słyszała takiej muzyki od czasu młodości na wsi. Wtedy miała to za absolutną „wiochę”, teraz te dźwięki uruchomiły w jej duszy sentymentalną strunę. Szybko też przekonała się, że Mały Józek jest nie lada mistrzem. Smyczek w jego ręku, początkowo niemrawy i skrzypiący, po chwili zaczął wyśpiewywać dobrze znaną Marcie muzykę – mazurki, oberki, kujawiaki. Aż dziw, ile było wigoru w ich grze. Śmiertka, jejmość już niemłoda, zdawała się unosić w powietrzu od nadmiaru energii, którą z siebie wykrzesalała.

– *Leć głosie po rosie / prosto ku trachtowi, powiedz dobry wieczór / memu kochankowi* – wyśpiewała raptem schrypniętym altem, gdy muzycy zrobili na chwilę przerwę. Oni natychmiast odpowiedzieli jej frazą muzyczną, aby po odegranej zwrotce znów zamilknąć. *Powiedz dobry wieczór, / kłaniaj się ode mnie: / żeli on mnie kocha, / ja jego wzajemnie.*

Mężczyźni znów skocznie przygrali.

Fotograf Leon pierwszy postawił przed grajkami zamówioną u Matyldy flaszkę. A tamci, wypiwszy, tym chętniej przystąpili do muzykowania.

– *Wyłożem na górę / poźrołem do nieba, / Jezusie, zlituj się, / baby mi potrzeba* – krzyknął Mały Józek w przerwie muzycznej, jaką sam zarządził.

A Duży Jurek, żeby nie pozostać w tyle, krzyknął:

– *Takie to już takie / moje miłowanie / kiedy ty się kładziesz / mnie bierze na stanie.*

I znów popłynęła z ich instrumentów lawina dźwięków.

Obecny tu cały czas Furman obserwował zabawę wzrokiem tak samo przedwiecznym jak jego szkapą zaparkowaną tuż obok miejsca zdarzeń.

Wszyscy tego dnia bawili się świetnie. Zewsząd przybywali zwabieni muzyką inni mieszkańcy Pogodnej i okolic, choć przecież dzień był jak co dzień.

– A ten to kto? – wypytywała co chwila Marta, siedząc cały czas na stołku przy kontuarze.

Tak też spytała wówczas, gdy jej uwagę przykuł mężczyzna, który przez cały wieczór pił coca-colę.

– To jeden ze stałych bywalców – odpowiedziała Matylda. – Pijany abstynent.

Marta nie pojęła tego oksymoronu.

– On pije w domu całą skrzynkę piwa, a potem przychodzi tu na coca-colę. Taki ma obyczaj.

Grupa Wsparcia pełna była przedziwnych istot.

Ale nawet i jemu musiał ktoś chyba wzmocnić tę coca-colę jakimiś procentowymi komponentami, bo jak inni był w stanie wskazującym na spożycie.

Grupa Wsparcia się bawiła. Były nawet tańce. Tego wieczoru Marta po raz pierwszy od czasu, gdy była dzieckiem, zatańczyła jak na wiejskim weselu.

Cieszyła się, że potem mogła wrócić do pustego domu i nie musiała się nikomu tłumaczyć ze stanu wzmózonej spożyciem euforii. Stefana na szczęście nie było, ponoć wyjechał w jakąś delegację.

* * *

Wypatroszony z mebli pokój, w którym Marta od wielu dni pracowała, nieustannie ujawniał nowe tajemnice. Tak było i wtedy, gdy zza stosu spróchniałych desek, zgromadzonych tu zapewne kiedyś na wszelki wypadek, wypadła *Historia Świata*. Był to zbiór starych obrazów o tematyce wielkanocnej oprawionych w cienkie drewniane ramy i upstrzone przez muchy szkło.

Stało się to z takim rumorem, że przestraszona Marta odskoczyła w bok, wydając hałaśliwy okrzyk przerażenia. Zaalarmowani jej krzykiem zbiegli się wszyscy obecni. Zobaczyli kłęby kurzu unoszące się w powietrzu.

Trzeba było trafu, że panie gościły akurat herbatą serdecznie zaprzyjaźnionego z domem trzech sióstr, a Marcie dotąd znanego tylko ze słyszenia, księdza Antoniego, emerytowanego proboszcza.

– Ile to jest warte, proszę księdza? – spytała Marta na widok sutanny.

On i obie gospodynie pochylili się nad znaleziskiem.

– Nic nie jest warte – odparł ksiądz po skrupulatnym przejrzaniu tych okazów. – To reprodukcje starych obrazów sprzedawane niegdyś na odpustach, więc nie mają żadnej wartości materialnej. Ale zauważyłem coś innego, co jest niezwykle ciekawe: ktoś, do kogo to kiedyś należało, miał wyraźny zamysł w doborze motywów.

Stary ksiądz, poruszając się z wysiłkiem, zaczął na podłodze układać znaleziska jedno przy drugim, czasem zmieniając ich kolejność.

– To Droga Krzyżowa? – spytała Marta, chcąc odgadnąć ten odnaleziony przez księdza porządek.

– Nie – odparł kapłan – to „sen świata”.

Wszyscy obecni, a był tu również i Józef Ziutek, który zaalarmowany krzykiem Marty też przybył z odleglejszych rejonów domu, z uwagą przyglądali się manewrom księdza.

– Tylko dwa duże obrazy to wizerunki Chrystusa: w Ogrójcu i Zmartwychwstałego – tłumaczył kapłan. – Inne, te mniejsze, mogłyby uchodzić za sceny rodzajowe: jest rybak

w łodzi, skryba pochylony nad zwojem papieru, inny przemawiający do uczniów. To są zapewne wizerunki apostołów, ale w ogólniejszym znaczeniu – ludzi.

Ksiądz Antoni ułożył już wszystkie obrazy według jakiegoś tajemnego planu. Mniejsze zgromadzone były wewnątrz, a dwa duże po bokach. Trochę to wyglądało jak swoisty tryptyk.

– I co w tej opowieści jest szczególnego? – spytał.

Zgromadzeni poczuli się jak sztubaki w szkole, które nie znają odpowiedzi na pytanie nauczyciela.

– Co jest podobnego w przedstawieniu Jezusa modlącego się w Ogrójcu i w Zmartwychwstaniu?

– I tu jest Jezus, i tu jest Jezus – jak dziecko wydukała pani Olga.

– Dobrze – pochwalił ksiądz Antoni – i co jeszcze?

– Wiem! – wykrzyknęła Marta. – Śpiący!

– Bardzo dobrze – ucieszył się dobrodziej. – Na chwilę przed Męką Pańską uczniowie w Ogrójcu zasnęli. Gdy skończyła się ona Zmartwychwstaniem, pospali się strażnicy. No, widzicie! Ludzie przespali Historię Świętą! Dlatego w nią nie wierzą! Bo to się nie zdarzyło na ich jawie!

Ksiądz Antoni triumfował, unosząc ręce do góry niczym ksiądz Skarga na obrazie Matejki.

– Więc czym jest nasze życie? – nie ustawał w ewangelizowaniu ksiądz Antoni.

– Snem? – szepnęła niepewnie Marta.

– Tak – potwierdził kapłan, patrząc na środkową część konstrukcji stworzonej ze znalezionych obrazów. – Śnimy sobie nasze życie, kupujemy – sprzedajemy, jemy – głodniejemy, kochamy – nienawidzimy, a nad nami stale się odnawia Historia Święta i Jezus poświęca się za nas. Te dwa największe obrazy – Ogrójec i Zmartwychwstanie – wszystko inne biorą w cudzysłów. To, co jest pomiędzy – tu ksiądz wskazał nie tylko mniejsze obrazki, ale też wszystkie inne rzeczy dookoła – to „martwa natura”, czy to jest dzbanek, jabłko, nasze odbicie w lustrze, czy nasz portret.

– Ale gdyby tych zgromadzonych tu rzeczy nie było, nie śnilibyśmy mniej – wtrąciła Marta w teologicznym duchu.

– To prawda – przyznał ksiądz z uśmiechem – ale nie wiem, co byśmy śnili, gdybyśmy nie śnili o rzeczach.

– Wizerunek Ogrójca i Zmartwychwstania to też są rzeczy... – odezwała się Marta nieśmiało, mając na myśli obrazy. – Taka „zemsta ręki śmiertelnej”, jak by powiedziała poetka.

Ksiądz Antoni znów się uśmiechnął.

– Bystra z pani osoba – pochwalił.

– Nie dojdziemy z wami, teologami, do ładu. – Pani Weronika machnęła ręką i dodała ze zjadliwym uśmiechem, zwracając się do córki: – Dość, że tego w żadnym razie wyrzucić nie można ani schować za szafę, ani zamieść pod dywan.

– Widzi ksiądz, jaki kult rzeczy? – odgryzła się Olga.

Ksiądz tylko podniósł ręce w górę w niemym geście rozpaczy i zaczął się żegnać.

– Dobrych snów, proszę księdza – zażartowała pani domu na koniec.

Widać było, że są ze sobą w wielkiej zażyłości.

– Żartujemy, że to nasz kapelan domowy – wyjaśniła Marcie Weronika po jego wyjściu. – Przybył tu na emerytalne zesłanie po pracowitym życiu parę lat temu, gdy żył

jeszcze mój mąż. Dostał kąpiel na plebanii, ale tutejszy proboszcz nie znalazł dla niego dobrego zajęcia. On ma, niestety, naturę jedynowładcy. Wikary z jego Janosikowem jest jego podwładnym, może więc robić, co chce, ale z sobie równym Antonim nie chciał dzielić się duszpasterską władzą. No i Antoni nie mógł znaleźć dla siebie miejsca. Od początku obserwowałam nowo przybyłego, jak – nie znając ludzi – samotnie włóczył się po okolicy. Często widywałam go w spożywczym, gdzie kupował różne słodkie rzeczy, a potem człapał do swego pokoiku z reklamówką w dłoni. Znajomość na dobre zawarliśmy w przeddzień Wigilii. Stałam za nim w kolejce do kasy. Był bez sutanny, koloratkę miał zasłoniętą szalikiem, więc go nie poznałam. Staliśmy długo, bo wszyscy w koszykach mieli ogromne zakupy, a u niego dostrzegłam tylko jakieś ciasto opakowane w folię. Pomyślałam ze współczuciem o samotnym człowieku, któremu zapewne nie ma kto przygotować wieczerzy. Chwilę potem w tym starszym panu rozpoznałam księdza Antoniego.

Pozdrowiliśmy się. Chciał, abym pierwsza podeszła do kasy, bo mam w koszyku ciężary, a potem zaproponował, że weźmie jedną z moich siatek. Wzorem wszystkich kobiet w czasie przedświątecznym westchnęłam, że tyle roboty czeka na mnie w kuchni. A on na to, że zazdrości mi tego trudu. Spojrzałam uważnie na niego i dostrzegłam wielki smutek w oczach. Nigdy dotąd nie zastanawiałam się nad sposobem spędzania świąt przez księży i nad ich nastrojami. Duchowni to duchowni, i tyle... Przyszło mi do głowy, że ksiądz Antoni może tu być bardzo samotny. I nie wiem, co mnie podkusiło, ale prawie nieznanemu człowiekowi zaproponowałam, żeby mnie odwiedził w pierwszy dzień świąt. Że będzie parę osób, więc może... Przystał na to z niezwykłą prostotą.

I przyszedł. Nie wiem, dla kogo był to większy prezent, dla niego czy dla nas. Bo było nadzwyczaj miło, a co najważniejsze, podziałało to ozdrowieńczo na mojego ciężko już wtedy chorującego męża, z którym ksiądz Antoni przeprowadził na stronie długą rozmowę.

Gdy po paru godzinach wychodził od nas, byliśmy już ze sobą serdecznie zaprzyjaźnieni.

Trzy dni później zauważyłam w kalendarzu, że są imieniny Antoniego. Zadzwoiłam do księdza, a on potwierdził, że jest solenizantem. Bez zbędnego krygowania się ponownie przyjął nasze zaproszenie na resztki świątecznych ciast. I tym razem długo rozmawiał z mężem. Kilka dni później mąż z kolei zadzwonił do księdza, prosząc o spotkanie. Antoni przybył pospiesznie. I to wtedy zażartowałam, że „mamy w księdzu naszego kapelana domowego”.

Znów długo siedział w pokoju męża. Potem wyszedł, a mój mąż zjadł kolację i umarł.

Na wieść o tym ksiądz Antoni był tego wieczoru u nas raz jeszcze. Przeprowadził męża przez próg, a potem mnie przez pożegnanie i żałobę. Jesteśmy więc oboje dla siebie, jak żartujemy, „rodziną zastępczą”.

Marta siedziała zaszuchana. Wiedziała już, że Weronika nie tylko umie pomagać ludziom, ale też pięknie o nich opowiadać.

– Co nie znaczy, że Antoni nie ma rodziny – kontynuowała starsza pani. – Krewnych jest wielu, a gdy czasem zapraszają na uroczystości, to do stołu siada i sto osób. Ale najbliżsi pomarli. Dla niego środowiskiem były wspólnoty wiernych, z którymi działał i które współtworzył. Sporo nam o tym opowiadał. Jego życiorys okazał się tak bogaty, że można by nim obdarować kilku ludzi. Wybudował nowy kościół, gdzieś w Trójmieście, i

to w czasach pierwszej „Solidarności”. Cuda opowiadał o ówczesnym entuzjazmie ludzi. Potem pojechał w inne miejsce. Tam też postawił świątynię, choć wierni byli mniej chętni do współdziałania. To już był wielki znój, ale udało się, więc satysfakcja była nie mniejsza. Natychmiast po konsekracji nowej świątyni przeniesiono go w kolejne miejsce. Prowadził pieszce pielgrzymki do Papieża Polaka. Szli Alpami, na szczytach gór odprawiając nabożeństwa polowe. Antoni był pomysłowy, aktywny, porywał ludzi do działania. „Ja nie mam kontemplacyjnej duszy – wyznał kiedyś. – Ja jestem budowniczy: świątyń i wspólnot. Boga wolę chwalić czynem. I nie mogę się obyć bez ludzi wokół siebie”. Ale gdy już wokół jakiegoś zadania udało mu się zjednoczyć ludzkie wysiłki i wspólnie odnosili sukces, musiał się przenosić w inne miejsce i wszystko znów zaczynać od zera. Aż w końcu sił mu już na to zabrakło. Poznawszy jego losy, nie potrafię pojąć, dlaczego w chwili gdy praca ukończona, a wspólnota zjednoczona wokół przedsięwzięcia, autora takiego dzieła odsyła się gdzie indziej, nie pozwalając nacieszyć się sukcesem – zakończyła opowieść pani Weronika.

Długo potem jeszcze tego dnia Marta siedziała na ziemi, odświeżając „sen świata”, czyszcząc ramy i pucując zapaskudzone przez muchy szkło, za którym schroniła się Historia Świata.

* * *

Wraz z pierwszymi promykami słońca, które pojawiły się po paru pochmurnych dniach, w domu trzech sióstr stawił się szewc Cholewa. Był jak muł przytwierdzony do swego oryginalnego wehikułu. Widok sarkofagu dla lalek, dla którego tu przybył, zrobił na nim wrażenie. Przyglądał się im jak archeolog, który dokonał gdzieś na pustyni egipskiej wielkiego odkrycia.

– To piękne rzeczy – powiedział. – Warto je ratować.

– A kto inny wyniósłby je na śmietnik – wtrąciła się obecna przy tych powtórnych oględzinach pani Weronika.

Tym razem jej uwaga skierowana była oczywiście do pani Olgi, którą podejrzewała nieustannie, że jest rzecznikiem „wielkiej czystki”.

Cholewa z Józefem Ziutkiem namęczyli się trochę, zanim umieścili lalki na wehikule. Potem Marta i szewc ruszyli, ciągnąc za sobą skrzypiący jak nieszczęście drewniany wózek z wielką skrzynią wypełnioną starymi lalkami. Wyglądali jak para śmieciarzy.

Ta wyprawa wykroczyła poza sferę wpływów ulicy Pogodnej. Trzeba było minąć cmentarz, aby znaleźć się w dzielnicy, w której dominował serwis pogrzebowy.

– Wszyscy tutejsi artyści rzeźbią w marmurach – skomentował to miejsce szewc Cholewa, gdy mijali kolejny zakład kamieniarski.

Ale były też hurtownie kwaciarskie, był wielki market chemii gospodarczej oferujący specyfiki do pielęgnacji nagrobków. No i oczywiście znalazło się też tutaj kilka konkurujących ze sobą zakładów pogrzebowych. Za zacienionymi szybami stały oparte o ściany stojne trumny, a na półkach ogromny asortyment urn – dowolnych kształtów i kolorów. Wille, których fragmentami były owe zakłady, dowodziły, jak bardzo rentowne było to zajęcie, oczywiście z punktu widzenia doczesności. Bo skierowane w swej ofercie przecież na wieczność.

To przypomniało Marcie rozmowę, którą przeprowadziła po śmierci ciotki. Gdy zadzwoniła, usłyszała w słuchawce anielsko brzmiący głos: „Wieczność, słucham”. Pomimo powagi sytuacji pomyślała wtedy: No to mam dużo czasu na odpowiedź.

Teraz w jednym z takich zakładów, przystrojonych stiukami i inną tandetną sztukaterią, omdlewających pod ciężarem sztucznego kwiecia, gdzie na zapleczu ukryte są zapewne lodówki do przechowywania nieboszczyków, dostrzegła siedzącą za biurkiem wyfiokowaną paniusię, obserwującą mijających ją ludzi. Jej mina zdawała się mówić: „Zapraszam”, choć ona zapewne myślała, co po pracy zrobi na obiad i czy szwagrostwo w niedzielę wpadną na grilla.

– Tam, gdzie mieszkam – powiedziała Marta do szewca Cholewa, który jak ona w milczeniu przyglądał się tej dzielnicy wysługującej się śmierci – po jednej stronie ulicy jest gabinet odnowy i fryzjer, a po drugiej filia jakiegoś zakładu pogrzebowego. Karawan często parkuje pod studium urody, aby „pobrać” trumnę.

– No, to codziennie może pani wybierać – uczynił przytomną uwagę Cholewa – w prawo albo w lewo.

– Nie jestem przekonana, czy wybór należy do mnie – odparła Marta.

Dziwny wydał się Marcie ten ich marsz. Bo ona i szewc też przecież przewozili truchła. Te skłębione ciała starych lalek znajdujące się w skrzyni kojarzyły się z ludzkimi losami. Poczuli się trochę jak w horrorze.

Gdy wreszcie Cholewa ciągnący wózek zwolnił, dając znać, że przybyli na miejsce, Marcie wydało się, że wyjechali już ze strojnej, barwnej krainy śmierci. Przed nimi stała skromna wiejska chałupa otoczona starymi drzewami, pozbawiona szyldów, reklam, wydawała się zwykłą ludzką siedzibą.

Było inaczej. Po stokroć inaczej.

Bo gdy weszli do środka, zostawiwszy na zewnątrz wózek z lalkami, Marta – zdawałoby się przywykła już do graciarni wszelkiego autoramentu – znów stanęła jak wryta.

Izba oświetlona była tylko bladym światłem padającym zza okratowanego okna, a zewsząd – z podłogi, spod sufitu, ze stołów, półek, regałów rozstawionych wzdłuż wszystkich ścian spoglądały na nich nieruchome, dziwne, tajemnicze oczy, należące do jakichś ukrytych w mroku postaci. Naraz jedna z nich drgnęła i podniosła się na powitanie. To był Lalkarz, który gestem zapraszał do środka. Tylko w tym miejscu, gdzie on się znajdował, światła było więcej, jakby to był snop specjalnie skierowany na jego warsztat.

– Tu się produkuje marionetki, kukielki, pacynki, a także maski – objaśnił Cholewa, teatralnym gestem pstrykając kontakt.

W pracowni zapaliło się światło elektryczne i wyłoniło z ciemności to, co przedtem miało tylko oczy – dziesiątki, jeśli nie setki wielkich, dużych i całkiem małych figur.

Lalkarz był wyraźnie onieśmielony i zakłopotany nieoczekiwaną wizytą.

W tym lokalu żywi bywają chyba rzadkimi gośćmi – pomyślała Marta, przyglądając się temu drobnemu, łysiejącemu mężczyźnie, przypominającemu trochę Brunona Schulza.

– A cóż tu za straszny ścisk? – spytał tymczasem gospodarza szewc Cholewa.

– Dostałem duże zamówienie – wyjaśnił Lalkarz. – Teatr chce przygotować spektakl na podstawie *Zabaw dziecięcych* Bruegla, a tam tłum postaci.

– Ale wszystkie one jak spod jednej sztancy – krytycznie ocenił Cholewa.

– Tylko z pozoru – odrzekł dobrodusznie Lalkarz. – One już na tym etapie, choć przecież są nieskończone, mają wszystkie swoje indywidualne cechy.

Marta zaczęła przyglądać się lalkom.

– Proszę spojrzeć w oczy tej dwójce dzieci siedzących obok siebie – powiedział Lalkarz.

– Podobne – stwierdziła Marta. – Dziwnie dorosłe.

– A to prawda – przyznał Lalkarz – bo tak też jest u Bruegla. Proszę tu podejść.

I sam skierował się ku wielkiemu blatowi, na którym wśród narzędzi leżała książka w całości poświęcona *Zabawom dziecięcym*. W albumie były zbliżenia poszczególnych scen tego bogatego w epizody obrazu.

– Trudno tu znaleźć jedno uśmiechnięte dziecko – wyjaśnił Lalkarz, prezentując poszczególne ujęcia – one się bawią całkiem poważnie. One się bawią w świat, a w tym nie ma nic zabawnego.

Pochylili się w trójkę nad albumem.

– Tu jest mnóstwo ruchu, jakby rzeczywiście na dziecięcym placu zabaw – tłumaczył dalej gospodarz – a dorosła groza tkwi w oczach.

Na zbliżeniach dobrze było to widać.

– A teraz niech pani ponownie spojrzy na tamte dwie lalki – zaproponował Lalkarz.

Marta podeszła do regału, od którego zaczęła obchód po jego pracowni. Tym razem dostrzegła różnice.

– Jedna patrzy tak, jakby się bała, druga tak, jakby chciała zrobić krzywdę – oznajmiła.

– No właśnie. Każda z tych zabaw Bruegla ma jakiś inny, niedziecięcy, utajony sens. Te dzieci mimowolnie go odtwarzają.

Marta nie mogła oderwać wzroku od tłumu lalek, które ją obserwowały tak jak ona je. Teraz już widziała, że – pomimo pozorów – nie było ani jednej podobnej do innych.

– Długo nad każdą z tych lalek pracuję – oświadczył Lalkarz, wyraźnie zadowolony z wrażenia, jakie na Marcie zrobiła jego pracownia – mam więc dużo czasu, aby poznać ich historię.

– Czy raczej stworzyć ją? – spytała.

– I tak, i nie – odparł – bo do pracy nad każdą z nich przystępuję z określonym zamiarem lub ze względu na czyjeś zamówienie, ale w trakcie pracy jakiś nieoczekiwany grymas, zmarszczka czy wyraz oczu nadają lalce inny wyraz niż zamierzony. To dopełnia mojej wiedzy o niej. I tak teraz komentuję postaci mistrza Bruegla jak kiedy indziej postaci ze świata bajek.

Marta spojrzała na Lalkarza z podziwem. Musiał ten podziw w jej oczach dostrzec szewc Cholewa, który nagle wychynął z jakiegoś innego fragmentu tego wnętrza i stanął obok gospodarza. Był od niego niemal dwa razy wyższy i o wiele potężniejszy.

– To mój mistrz i mentor – oznajmił tubalnym głosem, spoglądając na Lalkarza z wysokości. – Gdyby nie on, nie byłbym szewcem Cholewą.

Lalkarz uśmiechnął się zakłopotany i wrócił do stołu, przy którym pracował. Marta podeszła wraz z nim. Trudno było zgadnąć, czy to był celowy zamysł, czy przypadek, ale Lalkarz przy warsztacie wyglądał dokładnie tak jak postać widoczna na zawieszonyj wyżej reprodukcji obrazu Rembrandta *Filozof medytujący*. Też, jak tamten, oświetlony światłem padającym z zewnątrz.

Marta dobrze znała i lubiła ten obraz prezentujący dwa źródła światła – naturalne, płynące z zewnątrz, oświecające, i sztuczne, wytworzone przez człowieka i jego myśl.

Skupiła się na mimowolnym portrecie Lalkarza, który zastygł w milczeniu niczym ów „filozof medytujący”.

Kim ty jesteś? – pomyślała, przyglądając się równocześnie jemu i jego dziełu. – Powtarzasz dzieło stworzenia?...

– A, tu cię mam! – zadudnił raptem Cholewa.

Marta spojrzała we wskazaną przez niego stronę. A tam z grona lalek jeszcze jedna nagle ożyła. Jedne z oczu tu obecnych należały bowiem do chłopaka, który wywołany przez szewca podniósł się z taboretu, na którym siedział w ciemnym kącie.

– Czułem, że gdzieś tu jesteś, chłopie, ale jak zwykle się ukryłeś – zaśmiał się szewc przyjaźnie.

Dzieciak wyszedł z cienia i podszedł do Cholewy. A ten chłopakowi, który wyglądał na dwanaście, trzynaście lat, całkiem poważnie podał bulwiastą rękę na powitanie.

– Czółem! – huknął.

Młody odburknął coś cicho, wciskając małą dłoń w piączę szewca.

– To jest mój syn – wyjaśnił tymczasem Lalkarz i dodał z nieśmiałym uśmiechem: – Syn i opiekun.

Rzeczywiście, chłopak robił wrażenie bardzo poważnego. I niesympatycznego.

– Poznaj panią Martę – dokonał prezentacji Cholewa.

Chłopak podszedł do niej, aby też uścisnąć jej dłoń. Siła tego uścisku zaskoczyła Martę.

Dziwny jakiś, taki „stary-malutki” – pomyślała bez sympatii.

To dziecko mogłoby mieć lalki ojca za braci i siostry. Miało ten sam rodzaj dystansu, chłodu i obcości.

– Co was do mnie sprowadza? – spytał w końcu Lalkarz.

– Chcę poprosić pana o ekspertyzę – Marta wyjawiała cel ich przybycia.

– O co? – zdziwił się Lalkarz.

– Mamy mnóstwo lalek, o których nie wiemy, co myśleć – zaczął Cholewa, jakby wziął się do tłumaczenia.

I poprosili gospodarza, żeby z nimi wyszedł przed próg.

Tam Lalkarz pochylił się nad sarkofagiem i zaczął z osobliwą delikatnością wyciągać lalkowe truchła. Wyglądał jak lekarz frontowy w szpitalu polowym. Jego syn wyszedł za nimi i stanął obok ojca, przyglądając się zbiorowi bez wyrazu.

– Niektóre z nich są piękne i mądre – oznajmił Lalkarz po dłuższej chwili, dokonawszy wstępnej lustracji niewielkiej części tego zbioru.

I zaproponował, żeby lalki zostały u niego. Które z nich pokocha, tymi się zajmie i naprawi. A inne posortuje.

– Jest w naszej okolicy prywatne muzeum lalek – powiedział. – Pieniądzy tam nie ma, ale może część zbioru będą chcieli przyjąć jako darowiznę.

– Proszę tylko pamiętać, że przy podejmowaniu ostatecznych decyzji musi być właścicielka. – Marta wystąpiła w obronie praw własnościowych pani Weroniki.

To zabrzmiało tak oficjalnie, jakby rzecz dotyczyła jakichś wyjątkowych precjozów. Panowie zgodzili się z tym z powagą i bez wahania.

– Dla niego nie ma innego świata, są tylko te lalki – powiedział o Lalkarzu Cholewa, gdy wracali przytroczeni do pustego już teraz wehikułu szewca. – Kiedyś po prostu znieruchomieje i ostatecznie upodobni się do swojego dzieła.

– A matka chłopca? – spytała Marta.

– Nie żyje. A przedtem była matką ich obojga. Więc teraz ten dzieciak opiekuje się ojcem. Swoją drogą, nie mam pojęcia, jak go oni spłodzili. To musiało być jakieś „niepokalane poczęcie” – zaśmiał się tubalnie szewc Cholewa.

* * *

Powoli Pogodna zaczęła promieniować na inne obszary życia Marty. Już nie musiała grać w uprzejmość, aby przyjaźnie odnosić się do mijanych na ulicach „tamtego świata” ludzi. Dzielila ich wszystkich na dwa rodzaje – albo dających się lubić, albo nie. Jeśli czasami zdarzyło się, że ktoś zwrócił się do niej niezbyt przyjaźnie, słuchała go z uwagą, a następnie odpowiadała, że nic nie rozumie, bo nie zna języków obcych.

Ze Stefanem też było miło. O ile w ogóle było, bo widywali się rzadko. Marta nie spieszyła się nigdy z Pogodnej, a on miał różne konferencje. Do jakiego stopnia Stefan posunął się (o ile tak można powiedzieć) z Basią, czy w ogóle się posunął, czy też to już była jakaś inna Basia, nie miało dla Marty znaczenia. Niepostrzeżenie mąż stał się dla niej tym, kim byli w domu rodzinnym jej bracia, kimś, z kim się mieszka, do kogo jest człowiek przyzwyczajony, z kim nie stara się szukać zwady. Sama, teraz bywając w domu rzadko, nie mogła mieć pretensji do męża, że i jego też często tu nie ma. Była więc bardzo wielkoduszna.

– Mam wspaniałą pracę – podsumowała któregoś wieczoru ostatni okres swojego życia w rozmowie, którą wreszcie udało jej się ze Stefanem przeprowadzić – wożę lalki do lekarza, czytam miłosne listy starych wariatów, odnajduję za szafą „sen świata”. I poznaję oryginalnych ludzi. Bo tam, gdzie pracuję, na Pogodnej, mieszkają także normalni ludzie, ale na szczęście nie tylko.

Nie od razu spostrzegła, że ta zmiana w jej życiu i nastawieniu do życia wzbudziła w Stefanie jakiś niepokój. Jakby zaczął się obawiać, że mu się tym samym żona wymyka.

Miało to dobry skutek – Stefan był miłszy.

Zaskoczeniem dla Marty było też, że stał się bardziej aktywny towarzysko. Niegdyś z łaski swojej zaszczycał, teraz zdarzało mu się organizować samemu małe spotkania w ich domu.

Tak też było pewnego wieczoru, gdy Marta wróciła z Pogodnej i zastała w gabinecie Stefana kilku jego kolegów. To była męska wódka w bardzo luźnym stylu. Obowiązywały też kawalerskie porządki – gdzieś wysypane na podłogę słone paluszki, jakieś prostackie wyroby garmażeryjne w plastikowych pojemnikach, resztki zamówionej pizzy i porozstawiane wszędzie szklaneczki z zaciętą whisky, którą jej mąż bardzo sobie cenił.

O czym rozmawiali wcześniej, Marta nie mogła wiedzieć. Miała prawo do konfidencji podczas sabatu czarownic, podczas sabatu czarowników – nie. A ciekawie byłoby posłuchać, co też takiego opowiadają o swoich żonach ci, których one tak oplotkowują we własnym gronie.

Ale teraz, gdy się zjawiała, panowie z ożywieniem przystąpili do stałego elementu towarzyskiej gry – do dyskusji nad upadkiem kultury i sztuki. Tym razem pretekstu dostarczył wywiad prasowy z pewnym artystą, który otrzymał prestiżową nagrodę za to, że zrobił w prestiżowej galerii *Siusiu w torcik*, czyli przygotował wystawę dzieł sztuki, którą tak zatytułował. Goście Stefana, pochyleni nad opiniotwórczym periodykiem,

analizowali eksplikację twórcy, chcąc pojąć, dlaczego artysta to zrobił, w jakim celu i dlaczego za tę pracę został tak wysoko oceniony.

Spikerem był Tadeusz, ten od balów sylwestrowych.

– *Wystawę przygotowałem tak, by odbierać ją można było na kilku poziomach – czytał wypowiedź autora wystawy. – Kto chciał, mógł obejrzeć bez wnikania w głębię i mieć z tego przyjemność.*

– Nie rozumiem – wtrącił się Ksawery, ten od Dory – jeśli ktoś nasiusił w torcik, to nie można mieć przyjemności bez wnikania w głębię. Powierzchowne wrażenia przy siusianiu w torcik mogą nie sprawić żadnej przyjemności.

– Ale czytamy dalej – zaproponował Tadeusz. – *Kto chciał, mógł jednak dostrzec ukryte treści.*

– No! – zaciekawiał się Bartłomiej, mąż Hanki-malarki, czyli znawca sztuki.

– *Często artysta coś robi i nie do końca musi wiedzieć co – czytał dalej Tadeusz. – Dopiero kurator lub krytyk nadaje ostateczny sens tym działaniom. Dla pokornych artystów taki układ jest wygodny, ale dla niepokornych – nie do przyjęcia.*

– Czeka, niech pojme – wtrącił się Ksawery od Dory. – Artysta coś robi i nie do końca wie co. A kurator lub krytyk odkrywa, że to siusiu w torcik. Artysta pokorny godzi się na to, a niepokorny nie. Czy dobrze zrozumiałem?

– No nie – zaproponował Bartłomiej od Hanki. – Artysta nieświadomie robi siusiu w torcik, a kurator lub krytyk uświadamia mu to, wskazując na sens tego działania.

– Siusiania? – Ksawery zdawał się w tej problematyce nieco pogubiony.

Tadeusz czytał dalej.

– *Dość szybko forma stała się mniej ważna, a pojawiło się kluczowe pytanie: po co to robie?*

– No nareszcie! – ucieszył się Bartłomiej.

– *To najtrudniejszy moment dla młodego artysty, gdy uświadomi sobie, że niczego rewolucyjnego już nie wymyśli, bo w sztuce teoretycznie wszystko już było – wtedy trzeba znaleźć własną ścieżkę.*

– I nasiusić w torcik... – Bartłomiej próbował kroczyć tą ścieżką interpretacji.

Trzeba było się napić.

– Na koniec młody artysta skarży się, że w kraju jest niedoceniany – mocno znużonym już tonem oznajmił Tadeusz. – *Jeżeli robie jakąś wystawę, na przykład w Londynie, to tylko dlatego, że ktoś zainteresował się moimi pracami, a nie dlatego, że zrobiłem „siusiu w torcik” w największej polskiej galerii. Nie ma globalnego dyskursu, wciąż niestety kisimy się we własnym narodowym sosie.*

Panowie wspólnie pokiwali głowami nad upadkiem sztuki.

– Kiedyś moderniści to byli niegrzeczni chłopcy – podsumował rozmowę o młodym artyście niemłody Ksawery, manifestując w ten sposób odwieczny konflikt pokoleń – pili do nieprzytomności, na wystawach robili skandale, obcinali sobie uszy, umierali w nędzy na syfilis. A dziś rozpinają na krzyżu nie swoje genitalia, popełniają nie swoje samobójstwa lub inscenizują swoje jeszcze niedosze pogrzeby, bawią się klockami w oświęcimskie baraki i krematoria lub umieszczają je na breloczkach, w tym celu zakładając jednoosobowe firmy i występując o granty. To są producenci sztuki, a nie artyści.

– Już byś się tych „producentów sztuki” nie czepiał, zawód jak każdy inny – zaproponował Bartłomiej. – Jedni olewają wszystko, a inni, subtelniejsi i wrażliwsi, siusiają

w torcik. A na koniec wszyscy przedstawiają faktury. Moja Hanka jakiś czas temu była w ZUS-ie, by wypełnić jakieś rozliczenia. Panienska zapytała, czy w okresie ją urzędniczo interesującym Hanka była artystą, czy twórcą, a gdy ta odpowiedziała, że nie wie, urzędniczka oznajmiła: „To my to sprawdzimy”. Dla niej było interesujące, czy w jakiejś rubryce oświadczenia należy wpisać „01”, czy „02”.

Po jakimś czasie tej konwersacji bardziej niż jej temat Martę zaczął interesować wygląd Stefana, któremu dawno nie miała okazji uważniej się przyjrzeć. Jej mąż wyglądał, jakby wypuszczono z niego powietrze. Był jakiś skulony, przygaszony, bez zwykłego u niego zblazowanego wyrazu twarzy, grymasu znudzenia, chłodno taksującego wzroku.

Może niezdrów – pomyślała o nim z troską, tak jak się myśli o kimś starszym.

Bo też Stefana można już było nazwać „starszym panem”, o czym wcześniej nigdy by nie pomyślała. Ten duch poezji, który go nawiedzał, odmładzał go, dodawał skrzydeł i wątle, starzejące się ciało czynił jędrniejszym i krzepkim.

Teraz tego nie było. Stefan był „zdziaziakły”.

A gdy po wyjściu gości zdjął ubranie, Martę przestraszył jego rachityczny tors i zgarbiona sylwetka.

Cóż na to Basia? – pomyślała Marta z lekkim zakłopotaniem.

Po krótkiej toalecie i ona znalazła się w sypialni pewna, że Stefan jak zwykle już śpi. Tymczasem on czekał, a gdy położyła się, natarł na nią z nieznaną od dawna furią. Bez zapału poddała się jego aktywności. A on męczył się, męczył, coraz bardziej nerwowo wypełniając swą powinność.

Marta nie mogła oprzeć się wrażeniu, że nie ona jest adresatką tych wysiłków, że Stefan chce się uporać z oporem kogoś innego.

Basia cię nie chciała, biedaku! – pomyślała. – I teraz chcesz w małżeńskim łóżu przewyciężyć porażkę z młodością.

I wielkodusznie dołożyła wszelkich starań, aby mu się udało.

* * *

Było już po zmroku, gdy następnego dnia Marta w końcu mogła wyjść z domu trzech sióstr. Józef Ziutek od kilku dni skutecznie opróżniał z mebli kolejne pokoje, wskutek czego brezentowy namiot począł pękać w szwach. Widać i tu zadziałała reguła Pogodnej – jak gdzieś się trafi jakaś nowa pusta przestrzeń, natychmiast zostaje zagracona. Marta więc uwijała się cały dzień, żeby połapać się w tym bałaganie. A gdy postanowiła zakończyć na dziś i weszła do domu, by się pożegnać, na ścianie jednego z tych częściowo wypatroszonych pokoi zobaczyła blade pełgające płomyki. To wyglądało tak, jakby myszkujący złodziej oświetlał sobie drogę latarką. Najpierw się nieco przestraszyła. Wokół panował półmrok, tylko na końcu korytarza widać było blade światło palące się w kuchni. Marta zebrała się na odwagę i podeszła bliżej.

Jej oczom ukazał się widok osobliwy. Na środku pokoju, na podłodze, w powodzi różnych drobiazgów i papierzysk, które ciągle wyściełały podłogę i prosiły się o uwagę, siedziały dwie starsze panie, z których jedną była pani Olga. Drugiej Marta nie знаła. Obie były wpatrzone w owe blade światło, które ją tu przygnało. Nie od razu zobaczyła, że to, na co patrzą, to drgający obrazek. Dopiero gdy przyjrzała się uważniej, rozpoznała disnejowskiego Kopciuszka wybiegającego z balu u księcia i gubiącego pantofelek. W

tym momencie w ciemności rozległ się cichy komentarz. Pani Olga, pochylając się nad wątkim źródłem światła, czytała ze starej książki treść baśni. A gdy skończyła czytać fragment o ucieczce z balu, druga pani wyjęła obrazek z maszyny i zastąpiła następnym, po który sięgnęła do małego pudełeczka. Teraz na ścianie wyświetlił się z kolei wizerunek księcia, który znalazł pantofelek na schodach pałacu. Zaskakujący był widok dwóch starszych pań, które siedziały na podłodze i przyglądały się ilustracjom z bajki. Marta, niezauważona przez nie, o swojej obecności zawiadomiła je dopiero wówczas, gdy opowieść dobiegła szczęśliwego końca i księżę odnalazł Kopciuszka. Poproszona o zapalenie światła, zburzyła nastrój, który tu wcześniej panował.

I wtedy została przedstawiona Maszy, młodszej siostrze Olgi, która przybyła właśnie do rodzinnego domu.

Było coś szalenie niespójnego w tym widoku – starsza pani o surowym obliczu belfra jak pensjonarka siedziała na podłodze po turecku i niczym niespłoszona, nie wstając, od razu wyciągnęła rękę do Marty.

– Masza – przedstawiła się krótko.

– Marta – odrzekła Marta, schylając się, aby tę dłoń uścisnąć.

Obie wiedziały już wcześniej o swym istnieniu, obyło się więc bez obszerniejszych wyjaśnień.

– Trafiliśmy tu na niezwykle znalezisko... – oznajmiła pani Olga.

A Marcie jak zwykle przyszło do głowy, że tu nie ma zwykłych znalezisk.

– ...to stary rzutnik, który był wielką atrakcją naszego dzieciństwa – wyjaśniała dalej pani Olga. – Obsługiwała go nasza stara piastunka, Gienia. Uwielbiałyśmy to. Gienia nauczyła nas paciorka, kazała go odmawiać przed zawieszonym na ścianie obrazkiem Matki Boskiej z Dzieciątkiem, a potem w nagrodę, na drugiej ścianie ciemnego pokoju, wyczarowywała świat baśni z tego rzutnika. Wakacje, mała wiejska chałupa rodziców Gieni, kąpiele w wodzie ze studni, a potem wieczorami takie cuda! Żaden telewizor nie zastąpi tej magii! Panie nie miały chęci kończyć tej podróży w przeszłość, wyszukały więc kolejne pudełko z obrazkami. Teraz była to opowieść o Królowie Śnieżce i siedmiu krasnoludkach. Marta przysiadła obok, aby wpatrywać się i wsłuchiwać w starą disneyowską opowieść, ledwie widoczną na ścianie pokoju. Pojęła urok tego medium.

Tak nawiązana znajomość z panią Maszą dobrze rokowała, skoro na samym wstępie znalazły się jak w piaskownicy w morzu papierzyk i pobawiły się tą samą zabawką.

Tę sielankę przerwał Józef Ziutek, który w imieniu pani Weroniki zaprosił do salonu na naradę. Przybycie drugiej z trzech sióstr wymuszało większy rozmach inwestycyjny. Jako kierownik budowy Józef Ziutek zakomunikował, że oto przyszedł czas strategicznych decyzji. Na stole rozłożył przygotowany przez siebie plan domu. Trzeba było rozstrzygnąć, komu jaka przestrzeń zostanie przeznaczona, jakie trzeba poczynić niezbędne prace, a na koniec podjąć decyzję, w którym miejscu dobudowany ma być murowany już Sklep Rzeczy Niekoniecznych.

– Mnie pasuje ten pokój, w którym siedzieliśmy – oznajmiła pani Masza, wskazując go na planie – bo jest od strony ogrodu i ma wyjście na tarasik, więc jeśli będę wracała po nocach z jakichś tajnych schadzek, nie przeszkodzę wam w spaniu.

Nieco figlarny ton, który przybrała, znów nie licował z surowością jej oblicza.

– Irina będzie miała najmniej do wyboru – mruknęła pani Olga, informując, że już sobie upatrzyła na stałe ten pokój sąsiadujący z sypialnią Weroniki, w którym stacjonowała dotychczas.

– Jeśli się zdecyduje na powrót, to na pewno coś wymyśli – skomentowała to Masza.

Marta pomyślała, że jej na pewno najbardziej by odpowiadał pokój na pięterku, do którego prowadziły zewnętrzne schody i który od początku nazywała „mostkiem kapitańskim”. Nigdy tam jeszcze nie była, bo to był teren ostatniej kolejności odgruzowywania, ale myślała o tym miejscu z ciekawością i sympatią. Jak dziecko o pełnym tajemnic strychu.

O miejscu przeznaczonym na sklep też zdecydowano natychmiast i bez wahania. Należało go przytulić do jedynej w domu trzech siostr ślepej ściany. Oczywiście, wydrążywszy drzwi, które umożliwiałyby wchodzenie do niego od strony domu.

Obrady przebiegały w miłej atmosferze aż do chwili, gdy Józef Ziutek zapytał o pieniądze.

Pani Olga, która w tym gronie musiała odgrywać rolę finansisty, poczuła się bardzo zmęczona i poprosiła, aby Józef przedstawił jej kosztorys w innym terminie.

– Tym bardziej – oznajmiła – że przed nami poważna operacja, osiemdziesiąte piąte urodziny mamy, które trzeba przygotować.

I zapytała Martę, czy zechciałaby pomóc w tym przedsięwzięciu. Miała nawet już gotowy plan. Chodziło o to, by Marta swoim samochodem zawiozła matkę przed południem do jej podopiecznej, która jest dokładnie jej rówieśniczką, a siostry w tym czasie mogłyby przygotować wszystko na wieczorne przyjęcie gości.

Marta zgodziła się, choć ostatnio nie korzystała z auta, a jedynym środkiem transportu był rower. Lubiła to, a ponadto samochód należał nie do niej, lecz do Stefana. I choć on nie miał nawet prawa jazdy, przyjęło się, że ona pyta go lub prosi, gdy chce skorzystać z auta. Ale że jej mąż stał się dla niej teraz łaskawszy, była pewna, że nie spotka się z odmową.

Chciała wyświadczyć tę przysługę starszej pani, by po raz pierwszy zostać z nią sam na sam i wy badać, jaka jest między nimi temperatura uczuć.

* * *

Nie wiedziała, na co się pisze. Za sprawą pani Weroniki miała bowiem trafić do domu starców dla pań prowadzonego przez siostry zakonne. To tam przebywała jej rówieśnica.

Przy Weronice można było mniemać, że starość jest sprawna, radosna i uśmiechnięta. Teraz Marta miała się przekonać, że nie zawsze.

Jeszcze na parterze i pierwszym piętrze tego domu nie było tak źle, niektóre pensjonariuszki poruszały się samodzielnie między kilkusobowymi pokojami, rozmawiały swobodnie z troskliwymi siostrami i uśmiechającymi się łagodnie dziewczynami zatrudnionymi tu do pomocy, przyjmowały gości.

Na drugim piętrze było już inaczej. Więcej było ciszy, a opiekunki przemykały w milczeniu korytarzem.

Ale to jeszcze nie był kres wędrówki.

– My idziemy na trzecie piętro bez windy – oznajmiła zasapana pani Weronika.

– To jak ci starzy, często niedołążni ludzie poruszają się tu między piętrami? – spytała Marta.

– Im wyżej się wdrapałeś czy raczej „cię wdrapano”, tym mniejszą masz szansę, by zejść w dół. To i winda niepotrzebna – wyjaśniła pani Weronika.

Wisielczy to był humor.

Na trzecim piętrze panował trupi bezruch. Była tu jedna wielka sala wypełniona równo ustawionymi łózkami. Wszystko było zaprasowane, śnieżnobiałe, pachnące detergentami. Panowała ogłuszająca cisza.

To jak w przedszkolu w porze leżakowania – pomyślała Marta.

I jak w przedszkolu na każdym z łóżek mnóstwo lalek i dziecięcych maskotek.

Znów te lalki!... – pomyślała Marta, czując osobliwy dreszcz.

To one upodabniały koniec do początku i z niezmaconym spokojem asystowały przy obu tych tajemnych rytuałach.

Większość pensjonariuszek leżała jakby w letargu. Tylko jedna z nich bawiła się lalką, głaskała ją, czesała, poprawiała ubranko. Była tym tak zajęta, że nie zwróciła uwagi na przybyłe. Nie zwróciły też na nie uwagi panie siedzące w fotelach obok łóżek naprzeciwko centralnie ustawionego telewizora i wpatrzone weń, mimo że był wyłączony.

One chyba są na prochach, że są takie grzeczne – przemknęło Marcie przez myśl.

Nie od razu zauważyła, że w tym gronie siedzących przed telewizorem była też dyżurująca tam dziewczyna. I ona wzorem swoich podopiecznych siedziała na fotelu całkowicie bez ruchu. Młoda, pulchna, czerstwa.

Śmierć – pomyślała Marta.

Pani Weronika na końcu sali odnalazła przyjaciółkę. Ta – po wylewie – prawie niemówiąca, ciepło uśmiechnęła się na widok gości.

– Chcę ci przedstawić Martę, która zgodziła się czasem mnie zastąpić, gdy mi sił zabraknie – powiedziała pani Weronika.

Tego podstępu Marta się nie spodziewała, ale przyjęła go bez mrugnięcia okiem.

Weronika tymczasem przystąpiła do pielęgnacyjnego rytuału. Głównie łyżeczką karmiła swoją podopieczną przecierem jarzynowym, zmielonym mięskiem, startym jabłuszkciem ze startą czekoladką. A wszystko zdrobniałe jak dla dziecka.

– To jest nasza rozmowa z Julcią – wyjaśniła z uśmiechem.

I zaczęła coś dobrodusznie paplać.

Marta tymczasem kątem oka obserwowała salę. Takiego stężenia starości nigdy wcześniej nie widziała.

Czymże koniec różni się od początku? – zdążyła pomyśleć, gdy nagle, jak na dowód, rozległ się krzyk podobny do tego, który wydają niemowlaki.

To jednej z pensjonariuszek coś się uroiło i zaczęła krzyczeć, „żeby ją zostawili w spokoju”, „bo już nadchodzą”, „nie, nie, nie!”. Przerażający był ten napad strachu, uśmierzony chwilę potem przez dziewczynę, która zaczęła starszuskę głaskać po twarzy i rękach, uspokajając, wtykać do rąk lalkę. Tak szybko jak krzyk się pojawił, umilkł.

W tych głowach wiele jest jeszcze zamieszania – pomyślała Marta.

Na szczęście pani Weronika nie celebrowała długo tej wizyty.

– Nie będę chyba potrafiła tu wrócić – wyznała Marta, gdy w końcu znalazły się na zewnątrz domu.

– Trzeba z całych sił trwać przy odchodzących. Nie należy uciekać – powiedziała z mocą pani Weronika z tym swoim pełnym melancholii uśmiechem – bo gdy się nie ucieka przed nią, śmierć nabiera respektu wobec życia. A inaczej to kpi sobie z niego, uderza

nieoczekiwanie, zza winkła, pozbawiając wszystko sensu. Tak myślę – dodała, onieśmielona nieco patosem swych słów.

Marta wzięła głęboki oddech. Nie była to łatwa lekcja dla jej młodej duszy.

Gdy mijaly boczną część tego domu, dostrzegły taksówkę, z której z wielkim trudem wynoszono starszą kobietę, aby ją posadzić na wózku inwalidzkim. Równocześnie włączył się automat uruchamiający coś na kształt wjazdu do garażu. Po chwili w tę otwierającą się czeluść jedna z siostr zaczęła wprowadzać wózek z nową pensjonariuszką. Rodzina jak żałobnicy szła za nimi. Jakby wspólnie podążali do grobu.

– Jezu, to jest jak pochówek na raty – jęknęła Marta.

– Na razie idzie na parter – skomentowała to pani Weronika – ma jeszcze trzy piętra do raję.

Po chwili drzwi automatycznie się za nimi zamknęły, wydając dziwny, głuchy odgłos.

– Ale wyjścia już nie ma – mruknęła Marta.

– Czytałam ostatnio wywiad ze starym, choć nie tak jak ja, Sławomirem Mroźkiem, gdy skończył osiemdziesiąt lat – skomentowała tę scenę pani Weronika – opowiadał tam, że ma mechanicznego kotka nakręcanego na kluczyk. Kiedy mu nakręci sprężynę, kotek biega i baraszkuje. *Gdyby mnie zapytał o sens, powiedziałbym mu tylko: oj, kotku, kotku.*

Taksówka po wykonanej operacji odjechała. One odeszły.

Po tym przedpołudniowym doświadczeniu Marta złękła się, że wieczorne przyjęcie dla przyjaciół dzisiejszej jubilatki, na które została zaproszona, może też być uroczystością niewesołą. Czekala ją niespodzianka.

Przyszło kilkunastu staruszków. Więcej nawet, niż się spodziewano, bo jeden z panów, podobnie jak pani Weronika po osiemdziesiątce, przyprowadził narzeczoną – 63-letnią młódkę. W ich gronie Marta poczuła się jak sztubak. I tak też była traktowana. Podawała, usługiwała i ciągle z czyichś ust słyszała określenie: „moje dziecko”.

Staruszkowie jedli z apetytem, pili, nie wylewając za kołnier, i po jakimś czasie bankiet przybrał nieoczekiwaną zupełnie postać. Spodziewać by się można utyskiwań i skarg, a była promienna, roześmiana zabawa. Stare anegdoty sprzed lat przyjmowane były salwami śmiechu, który wszystkich odmładzał i czynił sympatycznymi. Apetyty dopisywały – w jednej chwili znikł cały tort. Jedna z pań ciągle przymilała się o naleweczkę na spirytusie, od czego dostała zabawnych rumieńców, inna, wdowa po wojskowym, jak Marcie wyjaśniła szeptem gospodyni, słynąca ponoć niegdyś z urody i niezwykłych podbojów miłosnych, teraz co jakiś czas wyciągała długą firkę, ładowała w nią połówki papierosów, podstawiała pod nos mężczyznom z okrzykiem: „Ognia, bateria!”, sprawiając, że wszyscy panowie podrywali się, aby jej usłużyć. Staruszek od młodej narzeczonej, chcąc się przed nią popisać, zaczął śpiewać przeboje Kiepurę. W końcu i ona, podchmielona nieco, sięgnęła naraz po stojący w kącie akordeon (czego to nie ma w zagraconym salonie pani Weroniki) i – ku osłupieniu i radości innych – zaczęła grać przeboje biesiadne.

Marta przysiadła na oparciu fotela, w którym odpoczywała pani Weronika.

– To dobra zasada, moje dziecko – powiedziała, widząc wrażenie, jakie robiło na Marcie zachowanie tych starych, wesołych ludzi – żyć tak, jakby śmierci nie było. A potem umierać – dodała po chwili filozoficznym tonem.

Marta popatrzyła na pomarszczoną starością i uśmiechem twarz pani Weroniki i na twarze innych i poczuła wielką dla nich wdzięczność, bo raptem nabrała wielkiego apetytu na dalsze życie.

Jednego dnia dane było Marcie zobaczyć dwa oblicza starości, przed którą dotąd uciekała, gdzie pieprz rośnie.

* * *

Dzień był piękny, słoneczny, gdy przed dom trzech sióstr zajechał „przenośny dom lalek”.

Tak nazwał szewc Cholewa samochód, którym przybył.

– Moja furka nie dociągnęłaby dziś lalek do miejsc, w które chcę je zawieźć – huknął swoim zwyczajem, zjawiając się w salonie – więc wynająłem zaprzyjaźnioną firmę transportową.

I zaprosił obecne tu panie – a były akurat wszystkie mieszkanki i Marta – aby obejrzały lalki ponaprawiane już i posortowane przez Lalkarza. Konsylium udało się we wskazane miejsce.

„Przenośnym domem lalek” okazał się starej daty samochód dostawczy, bardzo podobny do tego, którym poruszał się wikary z Janosikowa. I był podobnie jak tamten mocno umorusany, co dowodziło, że zwykł przemierzać niezmiernie przestrzenie. Nic w nim nie było takiego, co by mogło wzbudzić szczególną uwagę. A jednak Marcie wydało się, że patrzy na obiekt już jej skądś znany. Nie zdążyła jednak skojarzyć faktów, nie zdążyła przypomnieć sobie okoliczności, w których zobaczyła go po raz pierwszy, gdy nagle o jej nogę otarł się znajomy cień, zwykle zwany przez nią „ki diabeł”, a od strony kierowcy wysiadł Mateusz.

– Zaprzyjaźniona firma transportowa – przedstawił go gromkim głosem szewc Cholewa.

Pani Olga natychmiast rozpoznała w Mateuszu pierwszego gościa Sklepu Rzeczy Niekoniecznych. Jej matka i siostra widziały go po raz pierwszy. A on grzecznie dygnął, bacznie obserwując, jak Marta zmieszała się na jego widok, aby po chwili dokonać ceremonii otwarcia tylnych drzwi samochodu. A tam znajdowała się miniatura tego pomieszczenia, które zapamiętała Marta z wizyty u Lalkarza. W kontrastującym ze słonecznym światłem dnia półmroku samochodowego wnętrza tkwiły miniaturowe postaci wpatrzone w tych, którzy tu zajrzeli. Lalki były różnej wielkości, umieszczone też były na różnych poziomach, toteż zdawało się, że cały bagażnik samochodu wypełniony jest jednym wielkim uważnym spojrzeniem.

Dopiero gdy wzrok przywykł do tego obrazu, można było zobaczyć, że lalki odzyskały miniony kształt. Potracone wcześniej części ciała tkwiły teraz na swoich miejscach, pasując do całości, a wszystko było wyczyszczone, podszyte i przyklejone. Na koniec posortowane i umieszczone w różnych skrzynkach siedziały trochę jak w ławkach szkolnych.

„Umarła klasa” – pomyślała Marta.

Wśród lalek była jedna wyróżniająca się wielkością, która – jak już kiedyś wcześniej – drgnęła niespodziewanie. To był specjalista od takich objawień – syn Lalkarza.

– Kacper – przedstawił go teraz Mateusz.

Tego przybysza pani Weronika rozpoznała.

– My się świetnie znamy z Janosikowa – wyjaśniła zebrany.

Przystąpiono do prezentacji. Referował Cholewa. Wskazując poszczególne zbiory, przedstawiał opinię Lalkarza. Pierwsza grupa została uznana za użyteczną dla wikarego – to były takie lalki, które mogą wzbudzić sympatię dzieci, druga zyskała miano kunsztownych i te warte były opieki muzealnej. Była też kategoria trzecia – sentymentalna: przedmioty bezwartościowe, ale na tyle stare, że mogły pamiętać dziadów i pradziadów pani Weroniki. Po jej reakcji na ten zbiór widać było, że znajdą one na powrót swoje miejsce w domu trzech sióstr.

– Jeśli panie zaakceptują ten werdykt, od razu rozwieziemy towar pod wskazane adresy – zaproponował szewc – jedno do Janosikowa, drugie do muzeum lalek.

Nikt nie zaprotestował, więc po wniesieniu skrzynek z towarem „sentymentalnym” zaczęto zbierać się do drogi.

– A te lalki nie wymagają opieki pani Marty? – spytał raptem Mateusz.

Wzrok wszystkich padł na przywołaną, która mocno się znów zmieszała.

– Chyba wymagają – przyznała pani Olga, porozumiewawczo mrugnawszy do pozostałych pań.

– Chętnie pojedę – burknęła Marta.

Chwilę potem drzwi szoferki stanęły przed nią otworem. Zanim jednak usiadła na miejscu przy kierowcy, swoją metodą na „ki diabeł” znalazł się tam Kulas.

– On nie ustąpi – wyjaśnił Mateusz – ale powinniście się zmieścić tu oboje.

I sam zajął miejsce za kierownicą. Marta chciała ustąpić miejsca Cholewie, ale ten zaoponował.

– Jest tam z tyłu mebel w sam raz dla mnie.

I wgramolił się do tylnej części wozu, by pełnić tam funkcję słonia w składzie porcelany. Przeciskając się między skrzynkami z lalkami, po chwili znalazł się na rozłożystym łożu, którego Marta wcześniej nie spostrzegła. Kacper usiadł zaś tuż przy kierowcy, aby śledzić bieg wydarzeń.

Ruszyli.

– Komivojazerem od lalek jeszcze nie byłem – skomentował Mateusz.

Teraz dopiero Marta miała czas, aby uważniej przyjrzeć się temu wnętrzu. W porównaniu z samochodem wikarego, który był jedną wielką kawalerską graciarnią, wóz Mateusza wydawał się ciepłym mieszkankiem. Były tam wzdłuż ścian półki, szafki i regały, a z tyłu łóżko przykryte teraz schludną narzutą, lalkami i Cholewą.

– To jest mój dom podróżny – wyjaśnił właściciel.

Wskazał kuchenkę, lodówkę, lampę naftową, kanistry z wodą i wszystko, co potrzebne do życia w drodze.

– Wbrew pozorom miejsca tu jest dość – dodał – bo jak się złoży łóżko, to niejeden sprzęt można załadować.

– Ale teraz dobrze, że jest rozłożone, bo i dla mnie, i dla lalek jest jak znalazł – skomentował Cholewa.

– To jest jedyna wada tego pojazdu – odezwał się Mateusz, śledząc w tylnym lusterku, jak szewc mości się, zabezpieczając równocześnie skrzynki przed upadkiem na wirażach – że nie można jednocześnie prowadzić i leżeć w łóżku.

Kulas tymczasem wcisnął swój zad w kolano Marty na znak, że zajmuje ona zbyt wiele miejsca, i rozpoczął uważną obserwację poczynąń kierowcy.

Najpierw nawiedzili Janosikowo. Wikarego nie było – jak zwykle zabierał bogatym, aby oddać biednym – ale honory domu z powodzeniem pełnił jego przyboczny Mucha. Po starej znajomości uściskał dłoń Kacpra i we dwóch umieścili lalki na kupie innych. Na pożegnanie panowie też wymienili uścisk.

Mały mężczyzna – pomyślała Marta o trzynastolatku, który wzbudzał respekt, choć nie wzbudzał sympatii.

Po oddaniu tej porcji towaru w samochodzie zrobiło się luźniej, ale nie Marcie, bo Kulas strasznie się rozpychał. Najlepiej miał Cholewa, który z potężnym jak grzmot westchnieniem rozpostarł się teraz na prawie wolnym już od lalek łóżku.

Czekał ich kawał drogi, ale że pogoda była piękna, nikt czasu nie żałował. Marta, która przez całe lata służyła Stefanowi za kierowcę i zawsze, prowadząc, była odpowiedzialna za jego bezpieczeństwo, teraz poczuła wielki luz. Podniecona perspektywą przygody, wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się.

Mateusz, dla którego takie wyprawy były zawodową rutyną, przyglądał się jej podekscytowaniu z sympatią.

Ruszyli z piskiem opon. Samochód podskoczył tak, jakby chciał zawiadomić, że też cieszy się na tę wyprawę. Kulas lekko warknął na pana, ale i on, mając w perspektywie wiele wrażeń, rozsiadł się wygodniej, ostatecznie spychając Martę do rogu. Podróżujących otoczyły rozległe pola i lasy.

– Jak pięknie! – mruknęła Marta.

Rozpierała ją wielka radość życia.

– Coś wam puszcze – zaproponował Mateusz, wyjmując ze schowka płytke.

– *Żyj z całych sił i uśmiechaj się do ludzi, bo nie jesteś sam* – usłyszeli po chwili. – *Śpij, nocą śnij, niech zły sen cię nigdy więcej nie obudzi*[6] – brzmiał kolejny fragment piosenki.

– To jest *Do kołyski* Riedla – wyjaśnił Mateusz.

Marta nigdy wcześniej nie słyszała tej piosenki.

Niech dobry Bóg zawsze cię za rękę trzyma, kiedy ciemny wiatr – śpiewał dalej Riedel.

– Napisał ją dla swojej córki – informował Mateusz.

A zaraz potem rozległ się refren:

Jak na deszczu lża, / cały ten świat nie znaczy nic. / Chwila, która trwa, / może być najlepszą z twoich chwil.

Chwila, która trwa, może być najlepszą z twoich chwil – powtórzyła Marta w duchu.

To był długi utwór, a refren powtarzał się kilkakrotnie. Uczestnicy wycieczki słuchali go w całkowitym milczeniu, obserwując równocześnie piękne widoki za szybą samochodu.

Ten moment podróży zrodził komitywę.

– Marta? – spytał Mateusz, choć przecież znał już jej imię.

– Mateusz? – spytała Marta, choć przecież znała już jego imię.

I tak przeszli na ty.

– Cholewa – powiedział Cholewa, dając do zrozumienia, że jego imieniem jest nazwisko.

A potem piosenka się skończyła i zapadła całkowita cisza. Było więc spokojnie i pięknie. Aż do chwili, gdy od strony łóżka rozległo się gromkie chrapanie.

– Riedel go uspił – szepnęła Marta.

– Jemu w samochodzie nie potrzeba kołysanek, to moje łóżko samo jest jak kołyska – wyjaśnił Mateusz. – Zasypia natychmiast, jak ruszamy.

Widać było, że panowie są ze sobą zżyci.

Chwili tylko trzeba było, aby i Kulas, odwróciwszy się do Marty, przednie łapy i pysk złożył na jej kolanach, jakby chciał powiedzieć: „Skoro musisz tu już być, to posłuż mi za poduszkę”. I zasnął.

W ciszy słyhać było tylko chrapanie Cholewy, które brzmiało trochę jak przetykanie rury i wydawało się dźwiękiem przynależnym do samochodu.

– Jak długo mieszkasz na Pogodnej? – spytała w końcu Marta.

– Osiem miesięcy temu kupiłem tu tę starą stację – brzmiała odpowiedź. – Jestem „powracającym z zagranicy”.

Marta nie wiedziała, czy Mateusz będzie chciał powiedzieć coś więcej. Czekwała.

Ale on nie bronił się przed zwierzeniami.

– Z wykształcenia jestem filozofem... – oznajmił.

Marta nie umiała ukryć zaskoczenia.

– Ale to żaden zawód – dodał Mateusz od razu – więc dwanaście lat temu dałem się skusić kumplowi na kilkumiesięczny kontrakt w Stanach. Miałem wtedy dwadzieścia cztery lata i nic mnie tutaj nie trzymało – ani praca, ani rodzina. Zagrałem *va banque* i na podróż tam wydałem wszystkie oszczędności. Tymczasem kontrakt kumpla nie wypalił i zostałem na amerykańskim bruku bez pieniędzy na powrót. Zacząłem się imać wszelkich prac, nawet tych, na których się nie znałem. Wtedy odkryłem, że największą moją zaletą jest pomysłowość. Ciągłe mi powtarzali, że to słowiański spryt, ale losy innych Polaków temu przeczą. Wielu widziałem tam w opłakanym stanie. Potem udało się przeskoczyć ocean i na półtora roku wylądowałem w Niemczech. W końcu jednak zaczęła mnie męczyć rola emigranta. Jak mam tak stale w życiu improwizować – pomyślałem – to wolę w Polsce niż tu. Tym bardziej że matka mi zaczęła chorować, a żyje samotnie. Ale zbierałem się powoli, szukając jakiejś pogodnej ulicy, żeby mi się chciało wracać, gdy znów mnie rzuci w wielki świat. No i przygnało mnie w to miejsce. Kupiłem tę rudere, wypatroszyłem ją ze wszystkiego i mam za dach nad głową. Osiałem tu chwilowo, by się dowiedzieć, czy mnie tu coś nie zatrzyma – zakończył opowieść.

– A na czym polega ta praca „chłopca na posyłki”? – spytała Marta, przytaczając słowa Mateusza z poprzedniej rozmowy.

– Jeden chce, żeby mu wozic do domu wodę oligoceńską, innemu trzeba dostarczyć szczepów drzewka szczęścia albo przetransportować książki w języku norweskim. Przy tym zdarzają się ciekawe spotkania, a i nieoczekiwane zadania. Kiedyś musiałem przyjąć poród suczki. A najbardziej lubię taką stałą fuchę, którą znalazłem w kwiaciarni. Rozwożę zamówione bukiety do ludzi, którzy często się tego nie spodziewają. Na dodatek darczyńcy czasem chcą być anonimowi. Lubię oglądać miny zaskoczonych ludzi, którzy te bukiety dostają, bo nawet ci, którzy sobie tego nie życzą, nie są w stanie dąsać się, gdy nagle przybywa posłaniec, aby im ofiarować naręczę pięknych kwiatów. A najlepszym strzałem jest wymyślone przeze mnie „nocne pogotowie ogrodnicze”, czyli usługi w godzinach nocnych, między dwudziestą drugą a szóstą rano. Właściciel kwiaciarni ma sporą rodzinę, więc sam rozwozić tych wiązanek by nie mógł, a ja mogę. To bywa czasem ciężki, ale ładnie pachnący kawałek chleba. A najmiłsze jest to, że ogląda się wtedy ludzi w ich życzliwej i przyjaznej wersji: jakichś zakochanych sztubaków albo wprost

przeciwnie – emerytów. Ileż napatrzyłem się miłych zdarzeń, łez, uśmiechów, jakieś przeprosiny, jakieś oświadczenia, czego to nie było. Choć oczywiście zdarzało się, że spłoszeni adresaci na tajemnicze hasło „nocne pogotowie ogrodnicze” reagowali nieufnością lub przeganiali posłańca. Kwiaty czekały wtedy na nich pod bramą lub zaczepione o klamkę, wciśnięte między deski płotu. No i tak sobie żyję na razie – zakończył Mateusz ten długi monolog. – Ludzie dokonują różnych eksperymentów. Mój nazywa się „Ulica Pogodna”.

Marta pomyślała, że ona też tak by nazwała swoją przygodę z tym miejscem.

* * *

Rychło potem trzeba było budzić Cholewę, by wskazywał drogę do muzeum. A gdy tam przybyli, Marta stwierdziła, że choć miejsce to odległe było od Pogodnej, to niewątpliwie stanowiło jej filię. Kolejny nadmiar wszystkiego. Ekspozycje zgromadzone w tym Muzeum Lalek były w różnym wieku, wykonane w różnych stylach i technikach, przez różnych rzemieślników i artystów, ale wszystkie miały te same co u Lalkarza, uważne i mroczne spojrzenie. Jakby spoglądały od strony podszewki świata. Dotąd Marta miała lalki za dziecinne zabawki, teraz zaczęły one budzić jej respekt.

Inni uczestnicy wyprawy witani przez kustosa też milczeli z uszanowaniem. Ruszyli na obchód. Skromne i niedofinansowane muzeum stworzone było przez człowieka z pasją, wbrew wszelkim rynkowym kalkulacjom, toteż w pewnych częściach bardziej przypominało mroczne katakumby niż luksusowy pensjonat. Ekspozycje zgromadzone były w wielkim ścisłości, ale posortowane starannie w osobne zbiory według tematu czy twórcy. Poszczególne boksy wyposażono w opisy ich zawartości. Niektóre z lalek solidnie zniszczone już były przez mole, barwy innych wyblakły. Słowem, lalki tutejsze często wyglądały gorzej niż te, które po wstępnej renowacji Lalkarza zostały tu teraz przywiezione. Ale gospodarz tego obiektu, emerytowany aktor teatru lalkowego, zdawał się tego nie zauważać. Opowiadał o świetności każdej ze swych podopiecznych, o ich sukcesach scenicznych i losach. Jedna z nich, ledwo żywa, o ile tak można powiedzieć, okazała się bohaterem Szekspira. Kustosz sięgnął po nią i zademonstrował, jak działa.

– To jawajka – wyjaśnił. – Animuje się ją za pomocą tych drucików i patyczków.

Tu wskazał na konstrukcję lalki i zaczął objaśniać.

– Głowę animuje się prawą ręką, bo głowa to dusza lalki, a prawa ręka lepiej operuje od lewej.

– Prawa ręka lepiej animuje duszę – powtórzyła Marta, aby zapamiętać.

– *Dania jest więzieniem* – wyrecytował kustosz słynne zdanie Hamleta, skrzywiwszy głowę lalki tak, iż spojrzała mu ona prosto w oczy. – *Więc nim i świat jest także* – rzekł zmienionym głosem, udając Rozenkranca. – *O, i wielkim! pełnym turm, lochów i ciemnic. Dania jest jednym z najgorszych*[7] – odparła lalka. I popłynął Szekspirowski dialog, któremu przysłuchiwała się garstka żywych i rzesza martwych istot.

– *Więc dla was nie jest taką* – przemówił kustosz głosem Rozenkranca. – *W rzeczy samej, nic nie jest złem ani dobrem samo przez się, tylko myśl nasza czyni to i owo takim. Dla mnie Dania jest więzieniem* – oświadczyła lalka swemu rozmówcy, ale i innym obecnym. – *Skutek to chyba, panie, twojej ambicji. Dania jest dla niej za ciasna* – orzekł Rozenkranc. – *O Boże!* – odparła lalka Hamleta. – *Ja bym mógł być zamknięty w łupinie orzecha i jeszcze bym się sądził panem niezmiernie przestrzeni...*

Marta popatrzyła na aktora animującego lalkę.

I ty zamknięty w łupinie orzecha czujesz się panem niezmiernych przestrzeni – pomyślała, wspomniawszy w tej chwili też twórcę ruchomej szopki.

– *Gdybym tylko złych snów nie miewał* – kustosz w roli Hamleta wypowiedział ostatnią kwestię.

Przybysze zamarli na kilka chwil w niemym zachwycie, niczym nie różniąc się teraz od otaczających ich postaci z bajek, i oglądali teatr, który się zrodził w mgnieniu oka. Sami wyglądali, jakby byli jego częścią – malownicza grupa: Marta i Mateusz, między nimi poważnie i ze znanstwem śledzący opowieść Kacper, a na koniec zwińczająca tę kompozycję zwalista sylwetka szewca Cholewy.

Potem trafił się jeszcze ton buffo. W dalszej części ciemnego korytarza stał wieszak z kostiumami dla aktorów lalkowych. Wisiały na nim baśniowe stroje królów, magów, smoków i czarownic, a wśród nich znajdowały się też sylwetki dzieci w staroświeckich biało-granatowych szkolnych mundurkach. Tyle że bez głów. Marta zaczęła się temu przyglądać ze szczególną uwagą.

– Dlaczego one nie mają głów? – zapytał Kacper, zbliżywszy się do tej kolekcji.

Kustosz podszedł do nich i zdjął z wieszaka jedno z ubranek, po czym za pomocą specjalnego uchwytu zawiesił je sobie na szyi. Za sprawą mroku, który tu panował, w jednej chwili stał się małą dziewczynką, używając jej swej starej twarzy. Miał białą bluzeczkę i plisowaną spódniczkę, i pokryte zarostem oblicze. Efekt był komiczny. Tym bardziej że spod spódniczki wyłaniały się jego solidne męskie nogi.

– Ta technika – wyjaśnił świadom efektu – wymaga blatu na wysokości nóg lalki.

Rozochocony Cholewa przyłożył do siebie kostium chłopca. I stali tak obaj – jeden stary, a drugi potężny, dwaj mężczyźni wyglądający jak chłopczyk i dziewczynka.

Pozostali zaśmiewali się do łez, nawet poważny zwykle Kacper. Teraz widać było wreszcie, że to jeszcze dziecko.

Potem odbyło się formalne przekazanie przez przybyszy nowych eksponatów. Nad niektórymi z nich kustosz pochylił się ze szczególną estymą. Widać było znawcę.

Trwał eksperyment „Ulica Pogodna”. Marcie znowu było dane poznać kolejnego „bożego szaleńca” opętanego bezużyteczną pasją.

Wiele serdecznych słów podziękui usłyszeli od kustosza, z niektórych darów cieszył się jak dziecko.

Dzień chylił się ku końcowi, ruszyli zatem w drogę powrotną. Samochód, uwolniony od lalek, zrobił się przestronny, niemal pusty. Nie przeszkodziło to Kulasowi rozpychać się na przednim siedzeniu. Cholewa opowiadał Kacprowi o Szekspirze i Hamlecie, a Marta siedziała cicho i rozmyślała nad swoim losem.

Jak to się stało, że jestem tutaj? – pytała samą siebie.

Ostatnio często zdarzało jej się wyskakiwać z funkcji pracownika sklepu jak z kostiumu teatralnego i spoglądać na wypadki, które były jej udziałem, jakby z zewnątrz. Nie mogła się nadziwić zmianom.

Nie byłoby tego, gdyby nie spotkanie tamtego wieczoru z tymi, którzy mi teraz towarzyszą w podróży – uświadomiła sobie. – Na początku Pogodna miała twarz Mateusza i głos Cholewy.

Trochę się bała, że w drodze powrotnej Mateusz zacznie ją wypytywać, skąd tu przybyła. Nie wiedziałaaby, co powiedzieć o swoim życiu „na tamtym świecie”. Na szczęście on taktownie milczał.

Gdy już dojeżdżali, poprosiła Mateusza, by raz jeszcze puścił *Do kołyski* Riedla. *Chwila, która trwa, może być najlepszą z twoich chwil* – popłynęły słowa refrenu.

* * *

Jednak to pierwsze spotkanie z Mateuszem i szewcem Cholewą nie wystarczyłoby do tego, by Marta na dobre zawitała na Pogodną. O tym zdecydowało jej pojawienie się w Grupie Wsparcia. Teraz, gdy poznała już trochę Matyldę, wiedziała, że jej komunikat o poszukiwaniu pracownika przez starsze panie z sąsiedztwa nie był przypadkowy, lecz stanowił element świadomej strategii z ducha „inkubatora przedsiębiorczości”. Matylda, nie ruszając się z kontuaru, gromadziła informacje, aby je przekazywać dalej, wprawiając w ruch świat, który ją otaczał. Jedni komunikowali jej swoje potrzeby, inni zdolni byli je zaspokajać. I tak się toczyły sprawy na Pogodnej.

Można by ją z powodzeniem nazwać „słońcem ulicy Pogodnej” – pomyślała Marta, rozczulona tym odkryciem.

I uznała, że trzeba to oblać.

W Grupie Wsparcia zastała całą ekipę gotującą się do wyjścia. Mężczyźni dopijali właśnie piwo zakupione z poprzedniego honorarium, aby wyruszyć po następne, za które wypiją kolejne.

– Co to dziś będzie? – zapytała Marta, widząc ich gramolących się na furę Furmana.

Biedna szkapina, którą Marta ośmieliła się pogłaskać po chrapach, miała dziś pociągnąć kilka istot, z których co najmniej jedna – Duży Jurek, ważyła chyba tyle samo co ona (o ile nie więcej). Ale żylasty konik, nawykły do ciągnięcia ciężarów, zachowywał stoicki spokój.

– Dziś będziemy robić wylęgarki dla poczwerek – wyjaśnił Duży Jurek – takie klatki z torfu i piasku, gdzie się je zgromadzi.

– Zamknięta poczwarka to *pupa obtecta* – dodał Mały Józek, wzbudzając podziw Marty.

– A żeby z takich *pupa obtecta* wykuł się motyl... – kontynuował wyjaśnienia Duży Jurek.

– Motyl, *imago*, postać doskonała. – Józek dalej popisывał się wiedzą.

– Aby się wykuł *imago*, postać doskonała – przytaknął Jurek – trzeba jeszcze wyłożyć to korą i powstawić patyczki lub suche zioła, na których mogą zawisnąć, wyłaząc z pancerza, żeby móc rozprostować skrzydełka.

Furman lekkim uderzeniem uzdy dał sygnał szkapinie i cała gromada ruszyła w las, aby odgrywać rolę piastunek dla *pupa obtecta*.

Marta została sama z Matyldą w pustej teraz Grupie Wsparcia. Zamówiła wódkę dla siebie i zaproponowała barmance. Matylda bez słowa naląła dwie pięćdziesiątki. Stuknąwszy się kieliszkami, wypily, a Marta wyjawiała jej dziękczynny cel swego przybycia i przypomniała dzień, gdy Matylda wiedzioną szóstym zmysłem powiadomiła ją o inwentaryzacji w domu trzech sióstr, aby skutecznie i z pożytkiem odmienić jej, Marty, życie. Barmanka pokiwała tylko ze zrozumieniem głową, połała jeszcze po pięćdziesiątce i zaproponowała, aby usiadły na zewnątrz. Sama spoczęła tam na rozłożystym leżaku stojącym tuż przy drzwiach, pod rachitycznym parasolem, a Marta usiadła obok.

– Powinam wyjaśnić, dlaczego Grupa Wsparcia. – Matylda niespiesznie rozpoczęła obiecaną opowieść. – Tamten dzień pamiętam w najdrobniejszych

szczegółach. Byłam młodą zakochaną dziewczyną, od której wybranek wyprowadził się dzień wcześniej. Miotając się i nie wiedząc, co ze sobą zrobić, bo stało się to nagle i nieoczekiwanie, chciałam jeszcze ugotować na obiad jego ulubioną pomidorową i usmażyć kotlety z ziemniaków, zanim uświadomiłam sobie, że nie mam już powodu. To było trochę tak jak z bólem uciętej nogi. Bez trudu i dziś przypominam sobie tę rozpacz, którą wówczas czułam. To pomaga mi dziś, gdy jestem stara, współczuć młodym, gdy im się coś podobnego przytrafi.

Matylda spochmurniała, jakby na nowo miała przeżyć tamte zdarzenia.

– Nie tylko miałam poczucie ogromnej straty, ale jeszcze obwinałam się, że to z mojej winy. Bo gdy skończyłam dwadzieścia osiem lat, zapragnęłam, aby dotychczasowa prowizorka zmieniła się w stabilny los – dlatego zapytałam mojego partnera, czy ożeni się ze mną. On na to zamilkł. Najpierw obróciłam to w żart, ale potem ogarnął mnie wielki niepokój i wtedy zaczęłam kategorycznie domagać się odpowiedzi. Im bardziej kategoryczna byłam ja, tym bardziej tamten milczał. A gdy wpadłam już w histerię, krzycząc, że ma wyjaśnić, dlaczego tak mu nie pasuje moje pytanie, odparł w końcu lodowatym tonem, że chyba mu nie pasuje. Najpierw mnie zatkało, a potem wrzasnęłam, żeby się wynosił. „Tak chyba będzie lepiej” – usłyszałam.

Po jego wyjściu otworzyłam butelkę wina, wypiałam całą i zasnęłam. A rano obudziłam się jak z „fantomem”, czyli z zamiarem zrobienia pomidorowej i kotletów.

Na szczęście była sobota, nie musiałam iść do pracy. Chciałam spać dalej, zwłaszcza że nie tylko zranione serce, ale też głowa mnie bolała. Sen jednak już nie wrócił. Zwlokłam się więc z łóżka. Gdy odsłoniłam zasłony, poraził mnie blask słońca, ale zaraz potem bardziej poraził mnie widok ludzi idących ulicą. Oni wszyscy wydali mi się szczęściarzami. „Skoro tak sobie idą tą ulicą – pomyślałam – to znaczy, że nikt ich wczoraj nie rzucił po latach udanego związku”. Jakbym tylko ja na całym świecie miała problemy...

Marta słuchała z uwagą Matyldy, lecz zamiast współczucia dla jej ówczesnych przeżyć towarzyszył jej podziw, że ta bufetowa tak gładko potrafi opowiadać.

Na Pogodnej ludzie niezależnie od statusu mówią literacką polszczyzną – skonstatowała nie bez zdziwienia.

– Teraz miałam dwa wyjścia – relacjonowała dalej Matylda – albo poddać się rozpacz, albo z nią walczyć. Zastosowałam metodę drobnych kroczków. Najpierw wzięłam kąpiel – i to się powiodło. Potem chciałam zjeść śniadanie – z gorszym skutkiem, bo nie miałam apetytu. Ale uruchomił się we mnie wewnętrzny nakaz: „Nie poddawaj się!” – kołatało mi się po obolałej głowie. Zdobyłam się więc na to, aby się ubrać i wyjść z domu. Nie miałam żadnego planu. „Zrób sobie jakąś przyjemność” – powtarzałam. I odruchowo skręciłam w stronę galerii handlowej, gdzie lubiłam w wolnych chwilach snuć się po sklepach. Gdy tam weszłam, pomyślałam, że oto wyglądam tak samo jak wszyscy mijający mnie ludzie. „Może oni też mają problemy i gdy tak chodzą między stoiskami, to dlatego, żeby o nich zapomnieć?”. I zamiast sklepowym towarom zaczęłam się przyglądać mijającym mnie klientom. W grymasach twarzy, niespokojnym wzroku łowiłam sygnały trosk, które pewnie są ich udziałem. Poczułam sympatię do tych, których wcześniej często miałam za tworzących zgiełkliwy tłum. A potem wyszłam z centrum handlowego i ruszyłam na pobliski bulwar, miejsce weekendowych spacerów. Znow otaczał mnie tłum spokojnych, zrelaksowanych ludzi. Już im wtedy nie zazdrościłam. Byłam im wdzięczna.

Za to, że są. I że radzą sobie z życiem. I to wtedy pomyślałam o nich wszystkich, że są „grupą wsparcia”. Nic nie muszą robić, sama ich obecność może być źródłem ulgi.

A potem usiadłam w kawiarnianym ogródku i zamówiłam wielką porcję lodów. Byłam jedną z wielu, którzy tego pięknego, słonecznego dnia zajadali lody, wpatrując się w spokojny nurt rzeki płynącej tutaj tak, jakby chciała umilić czas przybyszom. Przysiadł się do mnie mężczyzna, nawet przystojny, choć nie w moim typie. Najpierw chciałam zaprotestować, ale już po chwili wdzięczna byłam losowi za ten traf. Bo ledwo mężczyzna usiadł i rozpoczął ze mną jakąś konwencjonalną rozmówkę, na bulwarze pojawił się ten, który właśnie mnie porzucił. Szedł szybko, jakby miał coś do załatwienia, ale gdy mnie zobaczył, zwolnił, zawahał się. W tym czasie akurat mój przypadkowy znajomy coś opowiadał, mogliśmy więc wyglądać na zatopionych w rozmowie dobrych znajomych. Serce stanęło mi wprawdzie w gardle, ale równocześnie poczułam, że istnieje jakiś świat poza tym, który utraciłam. Mój przypadkowy znajomy zdziwił się potem, gdy mu oznajmiłam, że zrobił dobry uczynek, zabawiając mnie rozmową. Zaskoczyło mnie to, jak szybko udało mi się zdystansować od złych zdarzeń. Gdy parę miesięcy później zaczęłam pracować w tym miejscu, od razu wiedziałam, że będzie ono nosić nazwę Grupa Wsparcia. Bo każdy klient, którego mi tu wwiewało, był dla mnie z miejsca klientem potrzebującym wsparcia. Lubię moich stałych bywalców, ale najbardziej lubię takich, którzy jak pani wtedy zjawiają się tu znienacka. Choćby z pozoru wyglądali na zadowolonych, mogą przecież przeżywać jakiś dramat, a kilka słów zamienionych z kimś obcym, takim jak ja, może przynieść im otuchę.

Na surowej najczęściej twarzy Matyldy pojawił się uśmiech.

– Jak pani widzi – dodała na zakończenie, powoli podnosząc się z leżaka – mój zawód to powołanie, a moja praca to służba. A miejsce pracy – wskazała szyld – to Grupa Wsparcia.

Marta uświadomiła sobie, że idea domorosłego, obliczonego na skromną miarę „solidaryzmu społecznego” charakteryzowała całą Pogodną. Tym samym była przecież zasada działania Janosikowa czy „prospołeczna” aktywność pani Weroniki.

Pogodna jest zadaniem dla epidemiologa. Tu krążą różne wirusy – pomyślała, żegnając się z Matyldą – a głównie dwa: sympatia dla rzeczy niekoniecznych i zdolność do uczuć niekoniecznych.

I podziękowała losowi za Pogodną.

* * *

Teraz działania w domu trzech sióstr biegły już dwutorowo – z jednej strony ciągle odbywała się inwentaryzacja, a rzeczy do przejrzania i rozdysponowania było wciąż bardzo dużo, a z drugiej strony rósł w siłę i ofertę Sklep Rzeczy Niekoniecznych. Choć tak naprawdę, gdyby spojrzeć na to z zewnątrz, było to nieustanne przenoszenie przedmiotów z jednego miejsca na drugie. Wtajemniczeni znali jednak sens owych działań. Chodziło o to, aby stworzyć front robót remontowych dla Józefa Ziutka, często posiłkującego się ekipą z Grupy Wsparcia, a także jak najszybciej przygotować pokój dla pani Maszy. Został on więc opróżniony, a rzeczy niezainwentaryzowane przeniesiono i zwalono na stos w kolejnym pokoju, gdzie miały czekać na „selekcję” i dyrektywy pani Iriny, o ile zdecyduje się ona na udział w tym przedsięwzięciu. Zamieszania przy tym było tak dużo, że gospodynie tego domu, a zwłaszcza pani Weronika, uciekały stąd, gdy tylko się dało.

A Marta sortowała, ustawiała, gromadziła, zagracając tymczasową siedzibę sklepu, czyli brezentowy namiot, który pękał w szwach. Murowana przybudówka, która miała być miejscem docelowym, była na razie kamiennym obrysem na trawie. Ekipa miała się zająć budową natychmiast po wykończeniu królestwa pani Maszy.

W trakcie tych prac pojawiły się też pomysły marketingowe. Duży Jurek zaskoczył Martę wyznaniem, że może stworzyć dla sklepu stronę internetową. Słowo „internet” nie należało do określeń będących w użytku w domu trzech sióstr, a także na całej Pogodnej, ale nie znaczyło to, że nie było tu znane.

– Niech się ludzie dowiedzą o istnieniu tego sklepu, bo inaczej nic pani nigdy nie sprzeda – powiedział kiedyś, odrywając się od jakiegoś szpachlowania.

– A zna się pan na tym? – spytała Marta z niedowierzaniem.

– Ja mam dużo zdolności i bardzo słaby charakter – wyjaśnił jej Jurek, uśmiechając się tym swoim olśniewającym uśmiechem, który jego grubą, opuchniętą twarz zmieniał w anielskie oblicze.

I zaproponował swoje usługi. Po konsultacji z panią Olgą (a zwłaszcza jej portfelem) zdecydowano się podjąć próbę, a Marta przyjęła zaproszenie Jurka w celu omówienia szczegółów. Znalazła kolejną przystań na ulicy Pogodnej. Jakżeby inaczej – niemiłosiernie zagraconą. Gruby Jurek mieszkał w czymś, co było ni to sklepem, ni to biurem, pełnym zakurzonych dokumentów, segregatorów, trochę magazynem śmiecia wszelkiego.

– Jak mnie ostatecznie żona wyrzuciła z domu, zamieszkałem tu na stałe. To było kiedyś biuro rachunkowe mojego ojca, ale nigdy nie miałem głowy do tego, by usunąć te papierzyska.

I rzeczywiście, przestrzeń mieszkalna była jakby wpasowana w starą dekorację. Stara kanapa wepchnięta między biurko i regały, aneks kuchenny (czyli dwupalnikowa kuchenka, mały brudny zlew, szafka z naczyniami) zainstalowany na końcu korytarza wypełnionego szafkami na dokumenty, komputer wciśnięty między sterty innych przedmiotów biurowych. Selekcjonerskie oko Marty spostrzegło od razu, że nic tu nie ustąpiło miejsca nowym potrzebom, tylko nowe potrzeby wepchnęły się na siłę. Przywiązanie do rzeczy na Pogodnej było jednak doprowadzone do absurdu.

– Niech pani obejrzy moją kolekcję – zaproponował tymczasem gospodarz.

Marta pomyślała ze znużeniem o kolejnych przedmiotach.

– Cuda można trafić na Allegro – powiedział Jurek, wskazując stare ludowe cymbały, które podpierały regał.

Marta obejrzała też za grosze kupiony akordeon, kilka futerałów ze skrzypcami, ulubionymi instrumentami Jurka, starą gitarę i dziesiątki innych, mniejszych instrumentyków.

– Każdy wolny grosz przeznaczam na te cacka – oznajmił Jurek, oczekując słów uznania.

Marta zaś myślała tylko, że kolekcja zagraca wnętrze jeszcze bardziej. Zareagowała na ten nadmiar zniecierpliwieniem. Ale gdy Jurek wyciągnął skrzypce i nieproszony zaczął grać, zawstydzila się tych myśli.

Przecież to nie byle co, tylko instrumenty – skarciła się.

A on grał jakąś sierocą nutę i uśmiechał się z zadowoleniem.

– Chcę wierzyć, że jeszcze razem z Józkiem pochodzimy po weselach – westchnął.
– Ale na razie trzeba ćwiczyć.

Po czym podszedł do półki i zajął się usuwaniem segregatorów. A tam ukryta była aparatura do destylacji: skłębione rury, butle, pojemniki.

– Musi pani spróbować mojego specjału – oznajmił, przechylając jedną z butli, aby nalać do menzurki trochę płynu.

Marta zaczęła się wymawiać, ale prawa gościnności okazały się silniejsze. Posmakowała specyfiku i poczuła się jak smok wawelski. Stężenie było potężne.

– To musi robić wrażenie – wyznał Jurek i uśmiechnął się czarująco.

To nie jest kandydat na kooperanta – pomyślała Marta, ale w tym momencie Jurek zaproponował, aby zajrzeli do komputera, i zaczął wyjaśniać, co gotów jest zrobić dla jej sklepu. Ze zdumieniem przyznała, że się na tym zna.

– Jest pan informatykiem? – spytała.

– Chciałem, ale nie wyszło. Duża konkurencja na rynku – odparł. – Poszedłem w inną stronę. Jak się ożeniłem, trzeba było znaleźć robotę i wtedy okazało się, że moim największym atutem nie jest wiedza, tylko uśmiech. I ten uśmiech mnie zgubił – dodał Duży Jurek bez uśmiechu.

I do kieliszków dołał eliksiru własnej produkcji. Marta nie chciała, on owszem.

– Przez lata ten uśmiech był ważnym elementem mojej pracy. Byłem akwizytorem. W tym fachu trzeba uwodzić ludzi, zyskiwać ich zaufanie, skłaniać ich, aby ulegali naszym namowom. Nie uczyni tego ponurak.

Drugim niezbędnym warunkiem do spełnienia było posiadanie samochodu. A ja uśmiech miałem, ale samochodu nie. Firma kosmetyczna, która była gotowa mnie zatrudnić, postanowiła pozyskać klientów wśród mieszkańców wsi. Należało więc jeździć od chałupy do chałupy, próbując wcisnąć ich mieszkańcom toniki i balsamy ujędrniające. Samochód pożyczył mi brat. A że przedtem przez miesiące nie mogłem znaleźć pracy, więc z zapalem przystąpiłem do wykonywania obowiązków. Każdy sprzedany przeze mnie krem do rąk był sukcesem zawodowym (i finansowym, bo od sprzedaży miałem prowizję). Trafiłem na trudny rynek: umęczone pracą i biedą kobiety nie myślały o regeneracji cery czy pielęgnacji stóp. Ich problemem było, co do garnka włożyć. Zdrowo więc trzeba się było natrudzić. Czasami się udawało. Wszystko dzięki uśmiechowi. Zatrzymywałem się pod jakimś domem, czarując nim znękaną kobieciny. Zwłaszcza że towar przeze mnie zachwalany odwoływał się do kobiecych tęsknot. Elegancko opakowane kosmetyki nęciły, więc niejedna dawała się skusić.

Najpierw wpadłem w euforię, bo szło dobrze, szybko jednak pojawiły się komplikacje. Trzeba było zapuszczać się w odleglejsze okolice. Początkowy entuzjazm przekształcił się w codzienny znój. Byłem coraz bardziej zmęczony, a ów urok czarusa zaczął się zużywać. Po robocie zdejmowałem uśmiech jak krawat. Stałem się małym, opryskliwym facetem. Żona, dla której podjąłem się tej pracy, spoglądała na mnie coraz mniej przychylnym okiem. To ona uświadomiła mi, że w moim zachowaniu pojawiło się coś nieszczerego. Gdy witałem się z kimś, kogoś pozdrawiałem, zachowywałem się jak lokaj: uśmiech jak grymas, a w oczach znużenie. Przestałem lubić ludzi i nie chciałem ich znać. „Ty jesteś jak modelka na wybiegu – oznajmiła kiedyś żona, nie kryjąc obrzydzenia. – Twoim zawodem jest się podobać”.

Któregoś dnia rozmawiałem z jakąś staruszką, której próbowałem wciskać kremy młodości, i nagle w lustrze, które wisiało nad jej głową, zobaczyłem swoją twarz. To była twarz Jokera, twarz maska, z tym przyklejonym, nieszczerym, profesjonalnym

uśmiechem. Żadnego wyrazu. Uświadomiłem też sobie, że cały ten obwożony przeze mnie asortyment, który próbowałem wciskać biednym ludziom, to „jad Jokera”. Koszmar!

Wtedy zacząłem pić. Żeby dać odpocząć twarzy. A jak zacząłem pić, rozbiłem samochód brata. Myślałem, że uda mi się go naprawić. Pamiętam, że zabrałem się do tego z zapalem. Było mi bosko, że mogę tak leżeć pod samochodem i gmerać sobie w nim. Jak sobie pomyślałem, że mogę się do niego nie odezwać ani słowem i że jest on zupełnie niewrażliwy na mój uwodzicielski uśmiech, to mnie taka błogość ogarnęła!

Naprawić się nie udało, a płacać nie miałem z czego, więc ze zmartwienia piłem dalej. Brat nasłał na mnie komornika, żona się ze mną rozwiodła. A ja się stoczyłem. Ale na tym dniu nie jest mi źle. Bo spotkałem Józka i mogę muzykować, a na to, co jest mi do życia potrzebne, da się tu w okolicy zarobić. Lub zaoszczędzić – dodał jeszcze, dolewając sobie mikstury własnej roboty.

Opowieść była ciekawa, ale stan Jurka, już po chwili wskazujący na spożycie, nie wzbudził w Marcie nadziei, że z projektu strony internetowej coś wyjdzie. Jakież więc było jej zdziwienie, gdy następnego dnia stawił się w domu trzech siostr i wyznał, że ma gotową propozycję, nad którą spędził całą noc, i że zaprasza do obejrzenia projektowanej strony internetowej.

– Ludzie na dnię lubią takie zadania, które ich choć trochę unoszą do góry – wyjaśnił Marcie, pięknie się do niej uśmiechając.

* * *

Ale i bez działań marketingowych w Sklepie Rzeczy Niekoniecznych pojawiać się zaczęli interesanci (interesanci, bo jeszcze nie kupcy). Najpierw przyszedł Mateusz, aby sfotografować wszystkie dostępne tu fotele. Ktoś znajomy z Niemiec wykazał nimi zainteresowanie. W tym samym czasie, gdy on dokumentował zbiory, pojawiła się tu też osławiona na całej Pogodnej ciotka Adela. Dotąd Marta tylko o niej słyszała, teraz miała okazję ją poznać. Była to dama po pięćdziesiątce, z włosom zmierzwiwym, okiem rozbieganym, okularami zatkniętymi na czubku nosa i serdakiem pełnym kieszeni wypełnionych świstkami papieru i ołówkami.

– Sklep Rzeczy Niekoniecznych, słyszałam – oświadczyła, wchodząc do namiotu. – Niech pani przygotuje prezentację na stoisko.

I podała odręcznie napisaną karteczkę z terminem i godziną, wyjaśniewszy, że w najbliższą niedzielę Marta ma się stawić na święto Pogodnej, którego ona, Adela, jest kuratorem. Miało się ono odbyć w Janosikowie wikarego.

Po czym natychmiast wyjęła ze swych licznych kieszonek kolejną karteczkę, na której zanotowała nazwę i asortyment sklepu.

– Mateuszu, ciebie też proszę – dodała na widok dobrego znajomego. – Przyjdźcie oboje koniecznie!

Martę nieco speszyła ta liczba mnoga, a także uważne spojrzenie znad okularów, które tkwiły na czubku nosa ciotki Adeli.

– Uwielbiam poznawać nowych ludzi – wyznała ciotka, nie spuszczać tego uważnego wzroku z Marty – a lubi pani orkiestry strażackie? – spytała jeszcze.

– W dzieciństwie mnie śmieszyły, a dziś to nie wiem – odparła Marta.

– To się będzie pani miała okazję przekonać. Jeśli chodzi o mnie, uwielbiam!

– Ciotka Adela uwielbia wszystko, co zna, a tego, czego nie zna, zawsze jest bardzo ciekawa – wyjaśnił Mateusz.

– Pozazdrościć – z uśmiechem odpowiedziała Marta.

– To w niedzielę o dziewiątej, żeby wszystko przygotować – poinstruowała dama, na kolejnej karteczce pisząc: „Stragan nr 5”. – Jak ma pani na imię? – spytała jeszcze, przygotowując nowy papierek, który tym razem miał pozostać przy niej.

– Marta – podała Marta.

– Marta – zanotowała Adela. – Sklep Rzeczy Niekoniecznych. Wykształcenie?

– Wyższe humanistyczne – odrzekła Marta grzecznie.

– Co jeszcze pani umie lub lubi robić? Gra pani na cytrze, ceruje artystycznie dziury w skarpetach, była kiedyś najlepsza w grze w kręgle?

– To jest „poświadczenie obywatelstwa” ulicy Pogodnej. Trzeba wypełnić ankietę personalną – wyjaśnił Mateusz.

Marcie niełatwo było odpowiedzieć na to pytanie.

– Wstyd się przyznać, ale nigdy nie miałam żadnego hobby – odparła lekko speszona.

– Nie znam nikogo, kto by nie miał jakichś zainteresowań – oświadczyła ciotka Adela i dodała: – Albo nie chcę znać.

– Lubię czytać książki! – desperacko wykrzyknęła Marta.

– Dobrze – zaakceptowała tę odpowiedź Adela, ale po chwili czegoś znów zaczęło jej brakować: – A pisać?

– Chyba nie lubię.

– Ale jak trzeba, to pani umie?

– Umie – zgodziła się Marta w poczuciu, że inna odpowiedź naraziłaby ją na nieprzyjemności.

Adela na karteczce poczyniła stosowne notatki. To było coś na kształt fiszki z napisem: „Marta”, z dopiskiem mocno na wyrost: „usługi literackie”.

– Mam doskonałą pamięć – poinformowała, chowając tę fiszkę do jednej z kieszeni – ale dla pewności wolę się wspierać notatkami. To nie jest tak – dodała jeszcze z figlarną miną – że gdy zaczepię kogoś, to on zawsze będzie chciał zostać moim znajomym, ale ci, którzy godzą się na moje zaczepki, często są potem zadowoleni.

I zniknęła, aby innym obecnym w domu trzech sióstr wydawać dyrektywy, z ołówkiem umieszczonym za uchem, jak to niegdyś bywało u księgowych.

– Te karteluszkę to jej nieodłączny atrybut – skomentował Mateusz. – Jeden Bóg tylko – i ona sama – wie, co gdzie jest zapisane i jak z tego zbioru notatek korzystać. O ciotce Adeli jej znajomi zwykli mawiać, że jest „ciotką wszystkich Polaków”, bo zna wszystkich – oznajmił Mateusz. – Żyje niby na świecie zupełnie sama, ale do ludzi odnosi się z taką ciekawością i tak przyjaźnie, że ani przez moment nie jest sama. Ludzie w jej przekonaniu dzielą się na dwa rodzaje: na tych, których już poznała, i tych, których bardzo chciałaby poznać. – Ona jest jak lodołamacz – dodał ze śmiechem – kruszy lody między ludźmi.

Po wyjściu ciotki Adeli na chwilę zapanował pożądany spokój, ale wkrótce zburzyło go wtargnięcie Kulasa. Wdrapał się na schody tarasu tanecznym krokiem, aby namierzyć swego pana. Mateusza, zajętego fotografowaniem foteli komórką, zaskoczyło jego gwałtowne pojawienie się metodą „ki diabeł”.

– A ty tu skąd? – spytał na jego widok.

Kundel obwąchał go, jakby chciał się upewnić, czy z jego panem wszystko w porządku, i zniknął w czeluściach sklepu.

– Musiałem zapomnieć zamknąć okno w samochodzie – wyjaśnił Mateusz, jakby chcąc się usprawiedliwić – no i ta bestia się stamtąd wydostała.

Marta tymczasem usiadła na schodach, aby dopić zimną kawę, którą przygotowała sobie przed przyjściem interesantów, a chwilę potem znalazł się przy niej Kulas. I zaskoczył ją. Ruchliwy zwykle zwierzak usiadł obok niej, z impetem wtykając swój zad w jej udo, choć przecież tutaj, w odróżnieniu od siedzenia w samochodzie, miejsca było pod dostatkiem.

– Chcesz mi się teraz zrewanżować za wcześniejsze niedogodności? – spytała go Marta, ani myśląc się posunąć.

Kulas siedział odwrócony do niej tyłem i obserwował swego pana, który udając zainteresowanie meblami, śledził z kolei zachowanie psa i Marty, gdy ta z pewnym wahaniem zaczęła głaskać zwierzę po łbie.

* * *

O ile wcześniej mogło się wydawać, że Pogodna i jej okolice pełne są zwariowanych ludzi, o tyle teraz przy okazji święta stało się to jasne. Od rana w okolicach Janosikowa paradowały rzesze przebierańców. Marta miała możliwość śledzenia tego od początku, zgodnie bowiem z rozkazem ciotki Adeli stawiała się już o dziewiątej przy straganie nr 5. Wzięła ze sobą dwie torby staroświeckich bibelotów i ulotkę informującą o istnieniu Sklepu Rzeczy Niekoniecznych. Wzorem innych sprzedawców wypakowała to wszystko na sklecony z drewna stół. Zajmując się tym, miała okazję zaobserwować, jak to Pogodna (tym razem już także z jej udziałem) była w stanie zagospodarować i wypełnić nadmiarem przedmiotów każdy, najdrobniejszy nawet, fragment przestrzeni. Z ziemią było łatwo – można ją było zastawić, czym się dało, z niebem trudniej – ale użyto do tego mnóstwa baloników, które poruszane ciepłym wiatrem tworzyły nad całym polem otaczającym Janosikowo swoisty baldachim.

Oczywiście nie mogło zabraknąć Matyldy. Przy pomocy swoich ludzi ustawiła „piwopój”, dodatkowo poszerzając ofertę o grilla z kiełbaskami i kaszanką, lodówkę z napojami i gablotę z różnobarwnymi landrynkowo wyglądającymi lodami. Od razu ustawiła się do niej kolejka.

Ciotka Adela dwoiła się i troiła, aby wszystkiego dopilnować, toteż pełno jej było wszędzie. Serdak wypełniony był karteczkami, a ołówek tkwił za uchem. Wszyscy z Janosikowa, z wikarym na czele, stali się jej przybocznymi, biegając po różne rzeczy, które przyczyniały się do dalszego zagospodarowania przestrzeni. Zaczęła już dymić kuchnia polowa, do której w pośpiechu wrzucano składniki na grochówkę, Mucha z innymi przygotowywał punkt sanitarny, a siostry ustawiały słoiki ze swymi przetworami, których sprzedaż miała zasilić księżą kasę.

Trwała cicha krzątanina i oczekiwanie na gości festynu, których się tu spodziewano zaraz po mszy. Gdy ten czas zaczął się zbliżać, na estradzie ustawionej na jednym z rogów placu pojawiła się młodzież w średniowiecznych strojach. Na życzenie autorki przedsięwzięcia mieli najpierw zainscenizować jakąś balladę rycerską, aby wkrótce potem porwać się do mieczy. Wokół panny w zgrzebnych gieźłach sprzedawały tradycyjne średniowieczne pamiątki: breloki i brosze w kształcie zbroi, oręża lub trupich czaszek. Do

tego przygrywał dziecięcy zespół instrumentów dawnych. Po drugiej stronie rynku panowała plebejska nowoczesność: strzelnica z głupio wyglądającymi fantami, nieznośnie pstrokaty, nadmuchiwane, plastikowe zjeżdżalnie dla najmłodszych, a pod rozłożystym namiotem cyrkowym umieszczono samochodziki, w których ojcowie ze swymi pociechami mieli trenować wychodzenie z ostrych wiraży i kolizje czołowe. Ponieważ każdy miał mieć możliwość zaprezentowania owoców swego talentu, znalazło się też miejsce dla długowłosej poetki, która stanęła z gitarą, aby śpiewać własne utwory na tle ekspozycji obrazów tutejszych malarzy. Obok dostrzec też można było stoiska z ludowym rękodziełem. Aż mieniło się w oczach od tej kulturalnej oferty.

Ale to wszystko było preludium. Właściwym znakiem rozpoczęcia imprezy było hałaśliwe wtargnięcie na ten teren dętej orkiestry strażackiej. Przy dźwiękach marsza ruszyła w tłum, który zdążył się tu już skłębić. Mundury strażaków były przedpotopowe – przetarte i wypłowiałe, a młodzi ze swoich wyrosli i wystawali – z rękawów i z nogawek. Odprasowane to wszystko było i paradne. Widać, że w tę orkiestrę żaden możny tego świata nie zainwestował. Instrumenty też czasy świetności miały już za sobą. Trąby wyglądały tak, jakby były wyklepane młotkiem na kowadle przez samych zainteresowanych. Ale dźwięki wydawały, jak trzeba, a zapal do grania był wielki. Na czele w rytm marsza paradowały dwie potężne figury – starszy trębacz, a obok niego młodsza, ale wyraźnie do niego podobna strażaczka trębaczka, ojciec i córka. Sporo było emerytów i trochę młodzieży. Stawkę zamykał młody chłopak z wielkim bębniem, w który walił z wigorem. To był Kacper. Szedł z miną jak zwykle bez wyrazu, ale do bębnienia się przykładał.

Ludzie w pośpiechu odsuwali się na bok, umożliwiając orkiestrze przemarsz. Klaskali w rytm. Uśmiechali się. Marta z radością patrzyła na to wszystko, choć zgiełk zrobił się nieopisany. Bo też przybyli tu już wszyscy – z Pogodnej i z okolic. Ludzi było mnóstwo. Odświętnie ubrani włóczyli się całymi rodzinami. Nawet starzy i niedołężni też przysiadali na ławkach, aby obserwować święto. Pewien starszy pan na wózku inwalidzkim jeździł jak szalony, aby być wszędzie, gdzie coś się działo.

Orkiestra zmierzała w stronę boiska urządzonego na tyłach Janosikowa, gdzie miały się zdarzyć kolejne atrakcje. Ledwie jednak cichnąć zaczęły dźwięki orkiestry, wszczął się kolejny tumult – na zaimprovizowany na polu parking w paradnym szyku wjechali tutejsi „harleyowcy”, grupa przedziwnie wyglądających mężczyzn, na przedziwnych wehikułach: na starych motorynkach, motorkach, skuterach typu Osa, a nawet na rowerze z osobliwym silnikiem doczepionym do kół. Z potężnym rykiem zajechali na pole, zrobili kilka rund, krążąc w kółko i demonstrując swą krzepę i mołojecką fantazję, a następnie równym rzędem zaparkowali pod jedną ze ścian Janosikowa. Panowie przebrani byli, jak kto potrafił, ale dracznie. Marta od razu zgadła, kto jest liderem. Twarz miał wprawdzie zasłoniętą kaskiem, ale kubaturę tak wielką, że w tym najbardziej stylowym, z amerykańską przystrojonym jeźdźcu (kurtka z frędzlami, skórzane spodnie, buty kowbojki) rozpoznała szewca Cholewę. Pod kaskiem też było tak, jak trzeba – rozpuszczone dziś i zmierzwiłone resztki długich włosów przewiązane były opaską w trupie czaszki. I tęga mina! Jego towarzysze wyglądali mniej stylowo. Ktoś miał jeszcze starą skórzaną pilotkę na głowie, ale reszta to już była karykatura stylu harleyowców. Jeśli kurtki skórzane, to kupowane na bazarach od Turków, jeśli apaszki na szyi, to nylonowe, w kwiatki, po babci.

Marta przez chwilę miała nadzieję zobaczyć w tym gronie Mateusza, ale go nie było.

Panowie ruszyli ławą, a ludzie na ich widok rozstępowali się z respektem. Ci zaś zadawali szyku i wyglądali, jakby przyjechali tu na tych swoich „stalowych rumakach” z jakiegoś westernu. A następnie na znak lidera skręcili pod wiatę Matyldy jak do saloonu i ustawili się w kolejce... po lody.

Jak w czeskim kinie – pomyślała Marta rozbawiona.

Po chwili Cholewa odszedł od lady z lodem na patyku. Marta nie mogła powstrzymać się od śmiechu – potężny, zwalisty chłop, od stóp do głów przebrany za motocyklowego gangstera, wyglądał z tym lodem jak Lemoniadowy Joe z colalocą zamiast whisky. A za nim, jak kurczęta za kwoką, ruszyli, jedząc lody, inni koledzy „harleyowcy”. Ekipa rozpoczęła lustrację straganów.

Tymczasem na estradę, zwolnioną przez średniowiecznych wojów, którzy rozprawili się tam jeden z drugim, a teraz zasapani wydobywali się ze swych zbroi, wtargnął beczelny chłopak, chudy jak przecinek i z pryszczami na twarzy.

– Cześć, jestem Max! – zawył do mikrofonu, wypełniając wrzaskiem ciszę, która zapanowała po wybrzmieniu ryku motocykli. Obok niego pojawili się dwaj inni – klawiszowiec i gitarzysta.

– Jestem Max, bo w życiu idę zawsze na maksa! – krzyknął ten, który był frontmenem. I dodał, machając do jakiejś panny: – Cześć, piękna! Jesteś superowa! Zaraz zobaczysz, ile naprawdę wart jest Max.

Ona zamachała rękami, a on krzyknął jeszcze:

– Jestem muzykiem, ale też poetą.

I rozległy się próby mikrofonów, te ochryple: „raz, dwa, raz, raz, dwa, trzy, jeden, jeden”, które zwykle zwiastowały koncerty grup disco polo. Po czym zabrzmiały pierwsze akordy.

– Wita was formacja Relax i ja, wasz Max, który zawsze wszystko robi na maksa! Dziś, oczywiście, i wy będziecie bawić się na maksa! Oklaski! – krzyknął Max, sam sobie bijąc brawo.

I popłynęła piosenka. Trochę się nie zgrał wokal z muzyką, ale w końcu dało się usłyszeć tekst piosenki: *Nie wchodź we mgłę, ja kocham cię.*

Musiał to być znany tu szlagier, bo nagle Marta tuż obok siebie usłyszała jego dalsze słowa. To śpiewał, dość fałszywie chyba, choć trudno było mieć pewność, słuchając oryginału, Józef Ziutek, który tu przybył ze swą nieznaną dotąd Marcie rodziną. Nie było ich mało. Żona, dzieci, ich dzieci, jakieś przyległości i kuzynostwo, którzy ich akurat odwiedzili, dość, że prezentacja trwała długo. Józef stał przy Marcie niczym mistrz ceremonii i objaśniał, kto zacz, a Marta niczym jakaś monarchini muskała opuszkami palców ponad blatem straganu kolejne dłonie.

A na estradzie Max na maksa odśpiewał właśnie: *Jesteś po to, aby być moją / przy tobie wszystkie me rany się goją* i zaintonował następny hicior: *Grażyna, nie zaczynaj.*

– Formacja Relax! – krzyczał podczas jakiegoś solo muzycznego – powstała, oczywiście, z formacji Weekend i z formacji MaxiCzad, której byłem liderem. – Max ochrypl już nieco, przepłukał więc gardło piwem w plastikowym kubku.

– Na zdrowie! – krzyknął ktoś z tłumu.

– *Teraz ludzi, piwa i wódzi* – odpowiedział Max rymowanką – *wóda rozgrzewa, a piwo studzi!*

Dostał oklaski. Ukłonił się. Poeta.

Nie mogło tu dziś zabraknąć nikogo. W tłumie Marta dostrzegła też Grupę Wsparcia, wszyscy obowiązkowo w białych niedzielnych koszulach. I Śmiertka, w radosnym uśmiechu ujawniając ubytki w uzębieniu. Znane Marcie umiłowanie Śmiertki do tańca przygnało ją już na betonowy parkiet, gdzie przy dźwiękach formacji Relax płasali też inni.

– Teraz zagramy wam nasze największe hity! – krzyczał tymczasem Max. – Chcecie zostać naszymi fanami?

– Tak! – wrzeszczał tłum.

Klawiszowiec natychmiast rozpoczął kolejny „czadowy” utwór: *Widziałem cię we śnie, więc teraz kochaj mnie*. Tłum się rozkołysał, a Śmiertka, niezgrabnie powtarzając gesty tancerzy, bezskutecznie próbowała trafić w rytm piosenki. Na jej twarzy pojawił się głupawy uśmiech, wskazujący na stan bezgranicznej szczęśliwości. Trzeźwa na pewno nie była.

Na święcie Pogodnej przestrzeń szczelnie wypełniały nie tylko przedmioty, ale także hałas. W każdą szczelinę ciszy wciskał się kolejny jazgot. Gdy więc teraz na chwilę discopolowy Max umilkł, rozległ się wrzask z dziesiątek gardeł. To podczas rozpoczynającego się na nieodległym boisku meczu kawalerowie – żonaci ktoś komuś strzelił gola. Lub próbował.

Był to sygnał dla wielu, aby się przenieść. Estradę od boiska dzieliło może sto, może dwieście metrów, ale trudno było zmarnować okazję, aby nie pokazać raz jeszcze motoryzacyjnej siły. Toteż nagle oczom zdumionej publiczności ukazał się malowniczy korowód: najpierw jechała wielka, biała limuzyna, na której masce tkwiła pięknie ustrojona lalka. To był wehikuł nowożeńców, którzy tu też się skądś zabłąkali. Otaczali ten pojazd panowie na swych warczących motorach, a przemarsz zwieńczał wścibski mężczyzna na elektrycznym wózku inwalidzkim, którego nigdzie, nawet wcześniej na parkiecie, nie mogło zabraknąć. W oczach miał iskry wielkiej radości. A mijani i spychani przez tę kawalkadę ludzie odsuwali się grzecznie, jak wcześniej, i tak samo klaskali.

Tu się wszystkim wszystko podoba – pomyślała Marta zawstydzona, że ma już dość tego zgiełku.

Chętnie zwinęłaby swój kramik i zniknęła stąd, tym bardziej że w natłoku ofert jej starocie nie przyciągały szczególnej uwagi.

– A gdzie Mateusz? – Ciotka Adela zjawiała się nie wiadomo skąd.

– Nie wiem – odparła zgodnie z prawdą, choć domyślała się, że pewnie w podróży.

Ciotka Adela zanotowała coś na jednej ze swych kartek i pognęła do licznych obowiązków nadzorczych.

– Formacja Relax ma teraz dla was, oczywiście, utwór mojego autorstwa, największy przebój mojej formacji MaxiCzad! – wykrzykiwał tymczasem coraz bardziej zachrypniętym głosem książe estrady, który stracił już sporą część odbiorców. – Chcę go zadedykować tej jedynej, ukrytej gdzieś w tłumie, która wie, co do niej czuję.

I popłynęły słowa piosenki: *Bez ciebie, kochanie, smutno mi i źle, ty wiesz najlepiej, jak bardzo pragnę cię*.

To był wolny kawałek. Wiele par przyłgnęło do siebie, a zakłopotanej Marcie wydało się, że to w jej stronę Max patrzy cały czas.

– Cześć, maleńka! – Zamachał do niej.

Marta rozejrzała się niepewnie.

– Masz już dość, koleś. – Nagle wychynął z cienia jakiś drań z ochrony. – W umowie było, że nie pijemy.

– Spadaj – dziarskim głosem powiedział kompletnie pijany Max, który miał głowę na wysokości pępka ochroniarza.

– Zdejmujemy go – usłyszała Marta zza swoich pleców.

Na estradzie zakotłowało się, ale mało kto to zauważył, bo panowie działali w absolutnej ciszy. Nie minęła chwila, a czterech na czarno ubranych ochroniarzy wrzuciło Maksa do samochodu jak worek kartofli.

– Zostawcie go, ludzie! – krzyknęła jakaś płowa piękność, ciągnąc jednego z ochroniarzy za mankiet. – Co wyście z nim zrobili?

– A co wy wszystkie w nim widzicie? Przecież to tylko worek wypełniony gorzałą. Ale jak wam zaśpiewa te swoje głodne kawałki, to już wszystkie przebieracie nóżkami. A wtedy w tego kurdupla wstępuje taki „pałer”, że trzeba go natychmiast kasować. Z miesiąc temu twój maxi-gość rozwalił sprzęt za straszną kupę baksów. Dziś wyblęgał sobie u kumpli ostatnią szansę. No i ją zmarnował.

Po tym zdarzeniu poznać już można było, że impreza zmierza ku końcowi. Marta wzorem innych straganiarzy zaczęła zwijać swój kramik.

* * *

To święto Pogodnej trochę ogłuszyło Martę. Poczula, że jest tu zbyt wiele, choćby i najpogodniejszych, energii i zdarzeń. Dlatego z ulgą przystąpiła następnego dnia do codziennych obowiązków w domu trzech sióstr. Była to teraz rola Kopciuszka oddzielającego mak od popiołu. Ze sterty śmieci zalegającej całą przestrzeń pokoju, w którym pracowała, wybierała coś, co miało jakąś formę – było dokumentem, fotografią, notesem czy kalendarzem i sortowała, układając w zgrabne kupki. Czasem trafiały się różne precjoza lub tajemnicze przedmioty nieznanego przeznaczenia, co sprawiało, że zajęcie to nie przestawało Marty ekscytować.

W tej pracy zdołała już wyrobić sobie różne codzienne rytuały. Jednym z nich była południowa przerwa. Lubiła ją celebrować. Porzucała wtedy obowiązki, choćby i w pół gestu, aby umyć ręce, zawsze czarne od kurzu, zrobić sobie kawę i usiąść na stopniach werandy prowadzących do ogrodu. I wyciszyć się tak, aby móc z radością kontemplować tę chwilę, gdy cichy gwizd poprzedzi łopot ptasich skrzydeł w chwili, gdy punktualnie w południe Gołębiarz Złamana Fura wyprowadza swoje ptaki na spacer. Marta uwielbiała ten moment. Ptaki chyba też polubiły jej obecność, bo czasem pikowały tuż nad jej głową, jakby w podzięcie, że jest tu z nimi.

Tego dnia ten kontemplacyjny rytuał przerwał huk dobiegający z domu. Marta odwróciła się w tamtą stronę i w pełnej gratów części budynku zobaczyła uśmiech, który się między nimi zainstalował. Najbardziej ze wszystkiego przypominał on uśmiech, który pozostawał z Kota z Cheshire po jego zniknięciu.

– Przepraszam, potknąłem się – wyjaśnił uśmiech, zanim dołączyła do niego pozostała część Dużego Jurka.

W tym jego uśmiechu wciąż można było dostrzec ślady dawnej wielkości.

Za nim przydreptał Leon, stary fotograf. Ostatnio obaj bywali tu w roli robotników budowlanych, teraz przyszli w innym charakterze.

– Uradziliśmy, aby na stronę internetową pani sklepu wrzucić trochę fotografii, a kto robi to lepiej od Leona? – powiedział Jurek.

Stary fotograf był onieśmielony. Jako wynajęty robotnik bywał już tutaj parę razy wraz z całą ekipą Grupy Wsparcia, ale teraz był we właściwej sobie roli, a to go peszyło. Tak jakby się bał nieoczekiwanego ciosu.

Był czysty, wyprasowany. I chyba trzeźwy.

Pewnie obawia się, że mu podziękuję za usługi, co będzie kolejnym dowodem, że już nikomu na nic nie jest potrzebny – przemknęło Marcie przez głowę.

I z zapalem odniosła się do tej propozycji.

Leon w jednej chwili odtajał.

– Ja mam tutaj, jeśli pani pozwoli, stosowne referencje – oznajmił i zza pazuchy wyjął mały kieszonkowy album ze zdjęciami.

Usiedli na stopniach werandy, żeby pooglądać. Gruby Jurek też. I on chyba nigdy wcześniej ich nie widział.

– Zrobiłem w życiu tysiące zdjęć, większość dla zarobku – wyjaśniał, gdy Marta, najpierw pobieżnie, przeglądała zbiór – ale robiłem też zdjęcia wtedy, gdy nie musiałem, gdy miałem na to ochotę. A gdy robiłem je dla przyjemności, przestawały być dla mnie fotografiami widoków czy portretami ludzi, a stawały się zapisami moich myśli. Często bywały dość banalne, ale chciałem, żeby potem przypominały mi myśli, które się zrodziły, gdy widziałem to, co sfotografowałem.

Fotograf posłużył się w tym komunikacie stylem nazbyt kwiecistym, ale szybko dało się pojąć, o czym jest mowa. Bo w dolnym rogu każdego z tych zdjęć była malutka karteczka ze starannie wykaligrafowanym tytułem. Marta z uwagą pochyliła się nad niektórymi. I tak piękny portret starego wieśniaka nosił dumną nazwę: *Jestem*, zachód słońca, barwiący na czerwono mgły unoszące się nad polaną, miał tytuł: *Czas wracać*, a fotografia pustej oprawki na zdjęcia, stojącej na półce jakby w oczekiwaniu, opatrzona była pytaniem: *I co teraz?*

– To takie moje wierszyki – nieśmiało wyznał stary Leon.

Uwagę Marty przykuło stare zdjęcie młodej dziewczyny, która patrzyła prosto w obiektyw. Podpis brzmiał: *Miło spojrzeć*. Nie było jasne, czy to komentarz odautorski, czy słowa bohaterki, której wzrok był uważny i przyjazny.

– To moja żona, kiedy nie była jeszcze moją żoną – wyjaśnił Leon.

– Śliczna i mądra – powiedziała Marta.

– Tak – przytaknął Leon – ale musiałem najpierw zrobić jej zdjęcie, żeby się w niej zakochać.

– Ona nie żyje – cicho wyjaśnił Jurek, pierwszy raz widząc tę, o której pewnie nieraz słyszał przy kuflu.

Marta spojrzała na Leona kątem oka, zdumiona, że ten podchmielony zwykle mężczyzna, za którego tamten świat złamanego grosza by nie dał, objawił się naraz jako subtelny artysta.

– Zawsze miałem takie wrażenie – powiedział pan Leon – że bez aparatu fotograficznego nieuważnie patrzę. Dopiero gdy spojrzałem w obiektyw, dostrzegłem całą urodę tego świata, który nas otacza.

Zadowolony z efektu, jaki uzyskał, ośmielił się i z drugiej kieszeni wyciągnął inny album.

– Lubilem też czasem trochę inscenizować – wyjaśnił, prezentując zdjęcia zrobione w innej konwencji, bardziej „publicystyczne”.

I wskazał jedną z fotografii, na której obok śpiącego na ławce pijaka leżał szyld z napisem „Autokasacja”. Na innej fotografii z tego cyklu pijak stoi z flaszką piwa pod szyldem kancelarii prawnej brzmiącym: „Przedłużanie ulgi”.

– To przypadek? – spytała Marta rozbawiona.

– Szczerze mówiąc, nie – odparł Leon. – Poprosiłem go o to, żeby tu stanął, za jedno piwo.

Na kolejnym zdjęciu była fontanna, w której jakiś pies stoi jak pod prysznicem, a w dali widoczny szyld: „Świat opryskiwaczy”.

Marta odczuwała dysonans poznawczy. Bo ani poezji, ani poczucia humoru nie spodziewała się u tego starszego pana ze skłonnością do nadużyć.

Wtedy przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie w Grupie Wsparcia, gdy perorował o „negatywie świata” i o biedzie, której nie widać. Tu było odwrotnie – tu bieda ukrywała bogactwo.

– Pan widzi negatyw, a tworzy pozytyw, panie Leonie – powiedziała Marta, nie kryjąc zachwyty.

Jurek przysłuchujący się rozmowie nagrodził starego fotografa najpiękniejszym ze swych uśmiechów. Leon spuchł z dumy.

– Ale teraz nie widuję pana z aparatem, dlaczego? – spytała Marta.

– Bo zarobkowo już się nie da, ale nade wszystko dlatego, że gdy straciłem żonę, straciłem wzrok. Przestało mnie cokolwiek obchodzić. A bez ciekawości nie ma sztuki. Pozostało tylko obserwowanie dna kufla.

– Widzi pani, jak to jest – westchnął Jurek – ja piję z niedostatku miłości, a on z nadmiaru. A efekt jest ten sam – wzrok się psuje.

– A jak pan chce teraz robić zdjęcia, skoro i w tej chwili nie ma pan aparatu? – spytała Marta, powracając do rzeczywistości.

– Najpierw chcę się przyjrzeć – oznajmił pan Leon.

Ton jego głosu się zmienił. Był rzeczowy, profesjonalny. I bardziej świetlisty.

Chodził potem długo po Sklepie Rzeczy Niekoniecznych, przygotowując się do sesji. Był odmieniony. Potrzebny.

* * *

W końcu w Sklepie Rzeczy Niekoniecznych udało się przeprowadzić pierwszą transakcję. Wydarzenie było aż tak wielkiej miary, że zgromadziło tłumy. Mateusz znalazł bowiem kupca na jeden ze starych, stylowych foteli. W komitecie pożegnalnym była i pani Weronika, która nie wiedziała, co o tym myśleć, ale godziła się na rozstanie, i pani Olga, zadowolona, że coś nareszcie udało się spieniężyć, i pani Masza, dla której to było rozstanie najtrudniejsze, bo mebel kojarzył się z jej młodością (nie chciała jednak o tym mówić).

– I gdzie on się teraz podzieje? – spytała Weronika.

– Zamieszka w salonie szykownej górskiej willi i nie będzie mu tam źle – uspokajającym tonem wyjaśnił Mateusz, który wraz z Józefem Ziutkiem instalował fotel w samochodzie, w miejscu złożonego z tej okazji łóżka.

Aby go unieruchomić, panowie użyli całego systemu lin przytroczonych do bocznych ścian auta i jego sufitu. Tak jakby oplotła go jakaś pajęcza sieć.

– Fajną masz robotę – powiedziała Marta, gdy operacja się zakończyła, a obserwatorzy wrócili do swoich zajęć.

– Że tak jeżdżę po świecie? – upewnił się Mateusz. – To czasami bywa bardzo uciążliwe, ale cenię to sobie – przyznał.

A potem z wielką uwagą przyjrzał się Marcie.

– Może masz ochotę zabrać się ze mną? To tylko parę godzin jazdy, a okolice piękne.

– Ale kiedy?

Było późne popołudnie.

– Jestem umówiony na jutro – oznajmił Mateusz.

– No, nie wiem – zawahała się Marta.

– To chodź, pojedziemy teraz – oświadczył Mateusz raptem, na gorąco projektując wyprawę. – Przekażemy wtedy fotel bladym świtem i do pracy spóźnisz się tylko ze dwie, trzy godziny. Tyle że nie będzie spania tej nocy.

Marta nie powiedziała „nie”.

– Wskakuj! Potem pomyślisz dlaczego – wydał polecenie Mateusz, otwierając drzwi szoferki, gdzie siedział już oczywiście Kulas.

Wsiadła. Jeszcze myślała, że za chwilę poprosi, aby pozwolił jej wysiąść.

Ale nie poprosiła. Tylko, gdy już na dobre ruszyli, warknęła do Kulasa:

– Posuń się.

On też warknął, ale się posunął.

I pomknęli przed siebie. W absolutnym milczeniu.

Marta, taka poukładana, grzeczna, poczuła się jak na wagarach. Ostatni raz tak bez pożegnania, bez wyjaśnień, uciekła z wufu w czwartej klasie. A teraz – co na to mieszkanki domu trzech siostr, co Stefan?

Pomyślę o tym później – obiecała sobie w duchu.

I wpatrzyła się w widoki za oknem.

– Ja coś czuję, że tobie to chyba teraz potrzeba przygód – przerwał w końcu milczenie Mateusz.

– Przygód? – powtórzyła Marta, obracając to słowo w myślach przez kilka chwil. – Przygód nie! Ja nie szukam przygód. Ja szukam zachwyceń.

Taka odpowiedź przypadła Mateuszowi do gustu.

– To będziesz je miała – oznajmił z szelmowskim uśmiechem – ale za cenę nieprzespanej nocy.

To zabrzmiało niepokojąco.

Co on zamierza? – z lekkim niepokojem pomyślała Marta, gdy raptem zdała sobie sprawę, że przecież prawie go nie zna.

– Zaproponuję ci świt na stoku. Ale w tym celu trzeba się wspiąć pod górę jeszcze w nocy, żeby około czwartej być już na miejscu. Nie pożałujesz – dodał jeszcze, spoglądając na nią kątem oka.

– OK – odpowiedziała, bo uświadomiła sobie, że nie ma do stracenia aż tak wiele.

– I nie żal ci ani czci niewieściej, ani młodego życia? – spytał Mateusz, jakby wyczuwając jej lęki.

– A coś mi grozi?

– Zachwycenie – usłyszała.

Była niespokojna. Tym bardziej gdy Mateusz zatrzymał się na jakimś leśnym parkingu i zaordynował chwilę postoju, by następnie zsa siedzenia dla kierowcy wyjąć jakąś derkę.

– Ty się połóż tutaj, a ja się zdrzemnę z tyłu na fotelu – zakomunikował i przeszedł do tyłu.

Po chwili już spał.

Uspokojona Marta położyła się na tym prowizorycznym legowisku, uciskana przez jakieś wystające pręty i Kulasa.

Nawet dwóch godzin nie spali, gdy Martę obudził szept Mateusza, że czas wstawać. Było około północy. Zjedli po drożdżówce kupionej po drodze, wypili herbatę z termosu i ruszyli w las i w noc.

Z Marty wyparował już lęk. Zamieniła się w słuch. Nie było już nic widać, tylko cień przewodnika operującego w tych ciemnościach jakimś szóstym chyba zmysłem. A uwaga Marty wyostrzona była na najmniejszy szmer – jego kroków, łamiących się pod jego ciężarem gałązek, szeleszczących pod butami liści. Między jego nogami co jakiś czas z szelestem coś przemykało.

Fajne macie życie – pomyślała o tym kundlu i o jego panu.

Dwa włóczykije.

Zgarnięta na tę wyprawę z marszu, Marta nie miała odpowiednich butów, a pepegi z cienką podeszwą nie chroniły jej przed kamieniami, które wyłaniały się z ziemi, więc czasem popiskiwała z bólu. Ale szła bez słowa skargi, zachwycona nocą. Niebo było nieco zachmurzone, ale co i raz księżyc wystawał zsa chmur, lekko rozświetlając na chwilę ciemność. Czasem też dawało się zobaczyć gwiazdy, ale przyplacała to kolejnymi potknięciami.

Szli teraz coraz ostrzej do góry. W ciszy i ciemności ich przyspieszone oddechy dudniły jak ścieżka dźwiękowa w jakimś tandetnym horrorze.

Sama bym się siebie nieźle przestraszyła, gdybym tu teraz siedziała pod krzaczkiem – pomyślała Marta zadowolona, że sama nie jest.

Po jakimś czasie świat pomału zaczął przebudzać się do życia. Tu i ówdzie rozlegały się głosy ptaków, nieśmiałe jeszcze, jakby i one pomału przeciągały się po nocnej drzemce.

Wreszcie znaleźli się na łące położonej już wysoko w górach. Ciemność tu panująca była mniejsza i pomimo że nie było teraz księżyc, srebrzysta. Na wschodzie zaś pojawiać się już zaczęła poświata. Podeszli jeszcze kawałek, aby zobaczyć fragment panoramy. Ciemne kopce gór ciągnęły się tu aż po horyzont. Samo to już było nagrodą za trud włożony we wspinaczkę. Marta nabrała chęci, aby usiąść, sądząc, że to jest właśnie to miejsce, gdzie witać będą słońce. Ale Mateusz ją powstrzymał.

– Zejdźmy teraz niżej – wyszeptał, jakby bał się zakłócić otaczającą ich ciszę.

I chwycił ją za rękę, by sprowadzić trochę w dół. Marta, idąc, odruchowo zwracała się w tę stronę, gdzie za chwilę spodziewany był wschód.

– Nie patrz teraz w stronę słońca, tylko pod górę na łąkę – nakazał Mateusz – i czekaj cierpliwie.

Zastosowała się do jego pouczeń. Zamarli w bezruchu. Nawet Kulas posłuchał poleceń swego pana. Patrzyli. Trwało jakiś czas, zanim delikatny blask wschodu oświetlił górski stok, i wtedy ukazał się widok niesamowity: każda niemal, choćby i najdrobniejsza

roślina była spowita w rodzaj srebrzystego tiulu. Marta nie od razu pojęła, skąd się wzięło to wrażenie. Było zupełnie zjawiskowe. Stała w niemym zachwyceniu, którego tak oczekiwała.

– To pajęczyny, na które nanizano kropelki rosy – szeptem wyjaśnił jej po chwili Mateusz.

I zaczął robić zdjęcia. Marta stała bez ruchu jak zahipnotyzowana. Słońce zaś, do którego byli odwróceny plecami, przegnawszy chmury, leniwie unosiło się ku górze, najpierw zmieniając barwę tych koronkowych dekoracji, w które spowite były rośliny, a potem gubiąc ten efekt. Marta usiadła w mokrej trawie, oczarowana, Mateusz tuż obok, a pies po drugiej stronie. Słońce weszło już na niebo i wyglądało tak, jakby się do nich uśmiechało.

Nie opuściło ich już ani wtedy, gdy po chwili zbiegać zaczęli w dół, ani gdy finalizowali transakcję z fotelem, ani potem w drodze powrotnej. Marcie nie trzeba było już piosenki Riedla, żeby wiedzieć, że *chwila, która trwa, może być najlepszą z twoich chwil*.

* * *

Tymczasem Stefan „się pruł”.

Doskonale dotąd „skrojony” i wystudiowany, interesująco mroczny, nieco tajemniczy, przystojny, atrakcyjnie wreszcie ubrany – „pruł się”. Wyrażnie się zgarbił, sflaczał, zaczął wylewać się ze spodni, wokół ust pogłębiły mu się zmarszczki, które nadawały jego twarzy wyraz znużenia.

„Pruł się” także mentalnie. Stał się, jak zwykle się mawiać w tamtym świecie, labilny emocjonalnie. Nawiedzały go gwałtowne zmiany nastroju, humory, reakcje histeryczne, w tym także wyjątkowo dla Marty męczące gwałtowne przypiływy niezgrabnej czułości. Potem przeciwnie – złość na siebie i na Martę jako niechcianego świadka blamażu.

Stefan zdawał się wkraczać w czas andropauzy.

Katalizatorem była zapewne Basia (lub Basie), ale pewnie też i emancypująca się Marta, która straciła bałwochwalczy i bezkrytyczny stosunek do niego.

Dołączyła do tego hipochondria. Zaczęło się od migren. Stefana bez przerwy bolała głowa. Był nie do życia. Lekarz pierwszego kontaktu zaordynował badania podstawowe. Nie stwierdził żadnych nieprawidłowości.

Bóle jednak nie ustępowały. Do tego doszły wkrótce kłopoty z krążeniem. On, który dotąd starał się mówić tylko to, co kunsztowne i głęboko przemyślane, albo pięknie i tajemniczo milczeć, zaczął paplać o swym stanie zdrowia jak stara baba.

– Budzę się rano i skurcze mnie łapią albo mam jakieś mrowienie.

Bywało, że budził Martę w nocy, aby jej oznajmić, że ma straszne bóle za mostkiem, które go duszą i nie pozwalają zasnąć. Ale leczyć się nie chciał, a gdy w końcu Marta zmusiła go, aby zrobił badania, wyniki były w normie.

Potem dołączyły do tego bóle reumatyczne kolan i kręgosłupa. Stefan zaczął się uskarżać, że ciężko mu się chodzi.

I przestał pisać.

Na pytanie „Dlaczego?” odpowiadał: „Nie wiem”.

Marta zamiast współczucia odczuwała znużenie i złość. Bała się wracać do domu, nie wiedząc, co tam zastanie.

I pił. Nie więcej niż kiedyś, ale bardziej rozpaczliwie. Kiedyś posepniał i milkł, teraz potrafił gadać i robić głupoty.

Jak wtedy, gdy Marta po powrocie do domu zastała go w wannie, a na lustrze szminką było napisane: „Kocham cię!”.

To było nawiązanie do niegdysiejszych uniesień, gdy Stefan po ekscytującej nocy, wychodząc wcześniej z domu, zostawił taki znak zakochanej w nim wówczas Marcie. Wtedy była z tego powodu bezgranicznie szczęśliwa i oczarowana jego fantazją. Teraz spojrzała na to zakłopotana. A Stefan ufny, że zrobił żonie czarującą niespodziankę, przywołał ją do siebie i zaczął obcałowywać jej dłoń. W ostatniej chwili uwolniła się z tego uścisku, aby uniknąć czarującego psikusa wciągnięcia jej w ubraniu do wody.

Stefan nie spostrzegł grymasu niechęci na jej twarzy.

– Inni ludzie – gaworzył – znaleźszy się w nowym miejscu, chcą poznawać zabytki albo regionalną kuchnię. Ja musiałem poznawać kobiety. Ale i te, z początku podniecające peregrynacje w końcu mnie znużyły. Dziś jest mi smutno – mówił dalej – i gdybym mógł swoje życie zaprojektować od początku, wykreśliłbym z niego wszystkie znane mi zbyt dobrze kobiety. No, może nie wszystkie... – Uśmiechnął się gorzko. – Żeby nie wiedzieć tego wszystkiego, co o nich wiem, a za to tęsknić i marzyć.

Nigdy dotąd Stefan o tym tak nie mówił. Znany był z powściągliwości. Problematykę męsko-damską poruszał wyłącznie na papierze, kunsztownie oprawiając ją w poetyckie strofy.

A teraz tracił formę.

Gdy wyszedł w końcu z wanny, Marta zmazała z odrobiną obrzydzenia – jakby dotknęła ręcznika w toalecie publicznej – napisane szminką wyznanie.

Gdy chwilę później wyszła z łazienki, Stefan już chrapał. Nalała sobie koniaku, usiadła w fotelu i zaczęła się przyglądać mężowi. Chciała zrozumieć, co się stało z nim, co się stało z nią, co z nimi. I się przestraszyła.

Kochałam się nie w Stefanie, ale w człowieku sukcesu – pomyślała – a teraz wzbudza on we mnie tylko niechęć i złość.

Przesiedziała tak jakiś czas, aż podjęła żelazne postanowienie: spróbuje zakochać się w gorszej wersji męża, a jeśli okaże się to niemożliwe – odejdzie. Nikogo nie miała zamiaru powoływać na świadka. Nikomu nie pragnęła się zwierzać. Nie chciała pomocy ani rady. Nie miała zamiaru uzalać się nad sobą. Ale też nie chciała uzalać się nad Stefanem, bo to byłoby na dłuższą metę paskudne. Jedyнным jej partnerem w tym planie miało być sumienie.

* * *

To Leon stworzył styl Sklepu Rzeczy Niekoniecznych. Stało się to za sprawą fotografii, które w końcu zrobił i zaprezentował w domu trzech sióstr. Zrobił to, czego życzyli sobie wszyscy, ale nie wiedzieli, jak się do tego zabrać: ucłowieczył sprzęty, dopisując każdemu z tych, które zdecydował się sportretować, jakąś opowieść. Nie mógł przecież znać prawdziwych ich dziejów, ale jego zmyślenia i pani Weronice, i jej córkom bardzo przypadły do gustu. Każdy prezentowany tu mebel otrzymał imię i komentarz.

Leon pracował nad tym długo, czasem zaskakiwał Martę prośbami o dodatkowe przedmioty potrzebne mu do kompozycji.

– Pomyślałem – tłumaczył pochylonym nad jego propozycjami osobom – że ta szafa należała do niemłodej kobiety i ze zbioru starych fotografii, które zgromadziłem przez lata, wybrałem portret starszej pani nieśmiało uśmiechającej się na jednym ze zdjęć.

I rzeczywiście, na jednej z półek szeroko otwartej szafy stała fotografia, o której mówił.

– Zacząłem wymyślać opowieść o niej – mówił dalej Leon. – Że pewnie robiła na drutach, a potem gromadziła te swoje wyroby na jednej z półek. Poprosiłem panią Martę o stary ciuch, no i znalazło się to futro z norek. Powiesiłem je więc na wieszaku.

I rzeczywiście, w szafie na zdjęciu wisiało futro z norek.

– Może była nauczycielką, może pracowała w sklepiku kolonialnym... Może nazywała się Helena? No i szafę nazwałem tym imieniem. Szafa Helena.

To była pięknie skomponowana i oświetlona martwa natura świadcząca o mistrzowskim oku.

– A wie pan coś prawdziwego o tej kobiecie z fotografii? – spytała pani Olga.

– Nie, tak jak nic nie wiem o szafie – odparł Leon.

– A ja o szafie wiem, bo jest po mojej mamie – oznajmiła pani Weronika i dodała po chwili – i ona robiła na drutach...

– A jak miała na imię? – spytał Leon.

– Helena miała na drugie – odrzekła pani Weronika.

Wszyscy obecni spojrzeli po sobie.

Leon zaś zaprezentował następne kompozycje do internetowej prezentacji.

– Władysławem mianowałem stare biurko, na którym ustawiłem fotografię dystygowanego pana w pelisie, Weroniką – komódkę z dużym lustrem, na której postawiłem pudło na kapelusze, Jagusią – wielką skrzynię z pierzyną i pięknymi czerwonymi koralami w przegródce.

Tu rozłożył trzy kolejne propozycje artystyczne własnego pomysłu.

– Władysław pewnie był urzędnikiem bankowym, miał pięcioro dzieci i prawdopodobnie palił – skomentował, wskazując na drobny, na pierwszy rzut oka niewidoczny detal.

To była stara fajka z obgryzionym cybuchem.

– Mój ojciec nie palił – zaproponowała pani Weronika. – A to jego biurko.

– To tylko takie moje zabawy – stropił się Leon.

Jednak po chwili pokazał następne propozycje. Było w czym wybierać.

– Tak trzeba to będzie robić – oznajmiła pani Olga.

Od tej chwili zaczął się w dziejach Sklepu Rzeczy Niekoniecznych następny ważny etap. Do prawie już gotowego pomieszczenia wybudowanego przez Józefa Ziutka zaczęto wprowadzać tylko takie meble, które uzyskały swoją opowieść i oprawę. Nareszcie włączyła się do tej pracy pani Weronika, dotąd stroniąca od wszystkiego, co było związane z inwentaryzacją i „remanentami” w jej domu. Panią Olgę też bawiło wymyślanie kontekstów dla mebli. Tylko Maszy nie udało się nakłonić do tej zabawy. Marta nieraz złowiła zatroskane spojrzenie obu pozostałych pań, gdy w milczeniu błąkała się średnia siostra po ich domu, wyraźnie nieswoja i przygnębiona. Widać nie każdy na Pogodnej aklimatyzował się z równą łatwością jak Marta.

– Ona gotowa zupełnie tu zdziwaczeć – poskarżyła się Marcie któregoś dnia pani Olga. – Zauważyłam, że jej ulubioną rozrywką ostatnimi czasy jest telefonowanie. Zastanawiałam się, gdzie ona tak wydzwania, aż podpatrzyłam, że znalazła w starych szpargałach swój notes telefoniczny sprzed lat i teraz sprawdza, czy nie uda jej się skontaktować z jakimś starym znajomym. To mi zaczyna wyglądać na niebezpieczne natręctwo. O tyle niebezpieczne, że tam są także numery osób nieżyjących. Tak jakby chciała się dodzwonić w zaświaty! Ot, stara nauczycielka nie może się odnaleźć w nowej sytuacji. Nie wiem, jak jej pomóc. Mama próbowała ją wciągnąć do Janosikowa, ale Masza od razu chciała wprowadzić tam swoje porządki – dodała Olga. – Ma bardzo autorytarny charakter.

– A czy to nie jest zadanie dla księdza Antoniego? – podpowiedziała Marta, dobrze już wiedząc, że ta postać to w domu trzech sióstr remedium na wszelkie troski. I wzięła na siebie pośrednictwo.

* * *

Na plebanii powiedzieli, że ksiądz Antoni powinien być w kościele. To niedaleko – trzeba tylko dojść do rogu z Cmentarną, a stamtąd to tylko kilkaset metrów i już brama na dziedziniec kościoła.

W otwartej przy niedzieli świątyni wiernych nie było, bo poranne nabożeństwo już się skończyło. Jedna tylko postać tkwiła skulona na schodach. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że to żebrak. Dopiero po chwili Marta rozpoznała Kacpra.

Żebrze? – pomyślała zdumiona.

I ukryła się za tablicą ogłoszeń, nie chcąc dać się rozpoznać.

Tymczasem na teren kościelny wyszła grupka wakacyjnych turystów w szortach i z aparatami fotograficznymi, na których widok Kacper się podniósł.

Okropne, syn tak subtelnego ojca wyciąga rękę po jałmużnę – pomyślała Marta. – Czy Lalkarz o tym wie?

– Kościół wybudowano w pierwszej połowie czternastego wieku – usłyszała z daleka dziecięcy głos Kacpra.

Aż się wychyliła, żeby zobaczyć, co się dzieje. Zdumieni byli też turyści, do których skierowane były te słowa.

– Wspierają go przypory przy południowej ścianie, gdzie znajduje się też dobudówka stanowiąca pozostałość wielkiego krużganka otaczającego niegdyś budowlę... – kontynuował Kacper, palcem wskazując architektoniczne elementy.

Marta powiodła wzrokiem w górę, a potem znów wpatrzyła się w chłopaka.

Co za tupet! – pomyślała i korzystając z tego, że się odwrócił, minęła go pospiesznie, by wejść do kościoła niezauważona przez niego.

Dzieciak wydał jej się namolny i bezczelny.

Poszła do zakrystii szukać księdza. Ale tam ani jego, ani nikogo innego nie było. Gdy stamtąd wyszła, w pustym kościele usłyszała znów dziecięcy głos Kacpra:

– Pomimo wielu późniejszych remontów można tu dostrzec gotyckie elementy...

Mimowolnie rozejrzała się po zaciemnionym wnętrzu. Była w tym kościele parę razy, ale nie analizowała jego stylu, a już najmniej jego gotyckiej przeszłości.

– Najbardziej charakterystycznym elementem jest krzyżowo-żebrowe sklepienie w prezbiterium. Żebra tego sklepienia wykute są w piaskowcu – oznajmiał tymczasem mały

samozwańczy przewodnik swym podopiecznym. – Proszę zwrócić uwagę na tę ścianę oddzielającą nawę od prezbiterium. Ostrołukowy otwór tej ściany, typowy dla gotyku, nie budzi wątpliwości co do czasu powstania.

Stary malutki – znów pomyślała Marta o Kacprze, którego dziecięcy głos nie pasował do tych fachowych wywodów.

Jednocześnie powiodła wzrokiem po wskazywanych przez niego fragmentach budowli.

– Również ściana zamykająca nawę od strony wieży posiada ostrołukowe, gotyckie przejście.

Tak przecież nie mówi zwykle dziecko – pomyślała Marta, cały czas z oddali śledząc wspomniane elementy wystroju. – Wyuczył się z przewodników i przejął po nich ich styl.

Kacper tymczasem podszedł do płyty nagrobnej wmurowanej w tę starą ścianę.

– „GDI PAN BÓG SNAMI WSYTKO MIECZ BĘDZIEMY. A.D. 1544” – odczytał i dodał, zwracając się do turystów: – Jeśli państwo chcą, mogę pokazać także katakumby, w których pochowani są zakonnicy.

– Oczywiście – w imieniu grupy odpowiedział jeden z turystów, tak samo jak wszyscy zaskoczony wiedzą i wiekiem przewodnika.

Kacper więc zaprowadził ich w głąb bocznej nawy i otworzył metalowe, pięknie kute ogrodzenie, a następnie drewnianą klapę znajdującą się w podłodze. Wyposażony w latarkę oświetlił schody prowadzące w dół. Grupka turystów podążyła za nim, a ich kroki dudniły na skrzypiących schodach. Marta została na górze, aby po chwili usłyszeć jego odmieniony przez kamienne echo głos.

– Reguła zakonna była bardzo surowa. Zakonnicy pościli, unikali zbędnych rozmów, wiele godzin spędzali na modlitwach, mieszkali w odosobnieniu. Ich dewizą było: *Memento mori* – pamiętaj o śmierci. Chowano ich na deskach w niszach w tej krypcie.

Powiało trupim chłodem.

– A tu jest wypis ze starej kroniki parafialnej dokonany ostatnio przez naszego księdza Antoniego, który brzmi: „Czytajcie, potomkowie, dzieje przodków waszych spisane, o ile miały styczność z parafią tutejszą. Rozważajcie to opowiadanie moje, budujcie się tym, co znajdziecie budującego, strzeżcie się tego, czym zawinili i za co teraz przed Bogiem odpowiadać muszą. Czytając, przypomnijcie sobie tych, którzy was w tym życiu poprzedzili, i mówcie za nich wieczne odpoczywanie. Niech to opowiadanie moje, a wasze czytanie będzie na chwałę Boga w Trójcy Jedynej”.

W ciszy słowa te zabrzmiały mocno. A i potem w katakumbach zapanowało dłuższe milczenie, zanim znów dał się słyszeć odgłos kroków na skrzypiących schodach. Po chwili turyści zaczęli się wyłaniać z otworu w posadzce. Ostatni wyszedł Kacper, który zamknął właz, a następnie kratę.

Marta, która cały ten czas śledziła poczynania chłopca w roli przewodnika, nie wiedziała, że nie jest jedyna. Był on też obserwowany z ukrycia przez innych. Miało się to okazać wówczas, gdy grupka podopiecznych Kacpra wyszła z kościoła i zaczęła dziękować mu za udzielone informacje, a jedna z osób wyciągnęła z portfela banknot dziesięciozłotowy. Chłopak zawahał się, jakby zawstydzony.

– To nie jest jałmużna, tylko zapłata za pracę – zza kościelnych wrót rozległ się naraz spiszowy głos.

Należał on do szewca Cholewy. Obok niego stali jeszcze Mateusz i ksiądz Antoni – jak miało się okazać, komisja egzaminacyjna.

Kacper, ośmielony, wziął banknot.

– Świetny dzieciak! – skomentował jeden z turystów.

– To jego debiut w tej roli – wyjaśnił Cholewa.

– Udany – z uśmiechem oznajmili turyści, dziękując za usługę.

– A tobie jak się podobało? – spytał Mateusz Martę.

– Bardzo – skłamała Marta, bo wciąż miała wobec Kacpra mieszane uczucia.

– To zdolne i wszystkiego ciekawe dziecko – odezwał się do Marty ksiądz Antoni, jakby wyczuwał jej dystans do chłopaka.

I zadowolony z poczynąń Kacpra, chciał pogłaskać go po głowie. Ale ten nie pozwolił na żadne czułości. Odsunął się i stał tak bez wyrazu z banknotem w garści. Potem złożył banknot na pół i wsunął do kieszeni.

– Od dawna przychodził tutaj, aby posłuchać moich opowieści – kontynuował ksiądz Antoni. – Powoli zaczęło mu się to wbijać w pamięć. Potem poprosił, żebym dał mu do przeczytania dokumenty parafialne, które gromadziłem, odkąd się tu zainstalowałem, chcąc zadbać o pamięć historii tego miejsca. Postanowiliśmy zrobić z niego przewodnika. Będziemy próbować dalej? – z tym pytaniem dobrodziej zwrócił się do Kacpra.

Chłopak bez słowa skinął głową na znak zgody.

Marta przekazała księdzu zaproszenie do domu trzech siostr. Miał się stawić na obiedzie, a przy okazji nakłonić panią Maszę do rozmowy. Począł więc się żegnać. Pozostali ruszyli zaś przez cmentarz w stronę bocznej bramy, wybierając dłuższą drogę na Pogodną. Szli w milczeniu stosownym dla tego miejsca. Mijali stare nagrobki i nowe.

– Leon jest z wizytą u żony – oznajmił raptem Cholewa, starając się mówić szeptem, który brzmiał jak głucho dudnienie.

Pozostali spojrzeli we wskazaną stronę. Przy jednym z grobów oddalonych nieco od głównej alei widoczna była sylwetka mężczyzny w żałobnej pozie pochylonego nad grobem. Tym, co wyróżniało go spośród innych, którzy krzątali się przy mogiłach bliskich lub medytowali, był termos i kanapki. Marta знаła obyczaj ucztowania na grobach bliskich, ale nie widziała go jeszcze na katolickim cmentarzu.

– On tak lubi tu przyjść, usiąść, posiedzieć, powspominać, zjeść coś, wypić – wytłumaczył Marcie Cholewa jak najcichszym hukiem. – On ją bardzo kochał.

To była już druga osoba, która mówiła Marcie o sile uczuć Leona do żony. Coś musiało być na rzeczy.

– Płyn w tym termosie jest nie tyle gorący, ile mocny – dodał Cholewa tonem znawcy.

Minęli Leona, nie chcąc mu przeszkadzać. I przyglądali się następnym nagrobkom, na których można było przeczytać: *Co mnie spotkało i Was nie minie. Ja jestem w domu, a Wy w gościnie*, albo: *Szłem, doszłem. Wy idziecie i dojdziecie*.

Wieczność przemawiała do nich nieco plebejskim tonem.

I pobrzmiwała anielskimi dźwiękami – świergotem ptaków i tajemną muzyką. Im bardziej zbliżali się do wyjścia, tym wyraźniejsza się stawała. Wkrótce miało się okazać, że przy bramie stał, ze skrzypcami w dłoniach i czapką u stóp, Mały Józek. I pięknie grał.

Gdy zbliżyli się do niego, Marta zawahała się, nie wiedząc, czy nie urazi znajomego, wrzucając mu do czapki grosik, ale pomyślała, że to rzecz normalna dać zarobić ulicznemu grajkowi. Wrzuciła więc monetę, pospiesznie wyjętą z portfela. W tym

samym celu ustawili się w kolejce i Mateusz, i Cholewa. Józek mrugnął do nich porozumiewawczo, w podzięcie skinąwszy głową. W ostatniej chwili udało się Cholewie powstrzymać od tego samego gestu Kacpra, który sięgnął do kieszeni po swą świeżo zarobioną dychę i w geście solidarności był gotów teraz ją oddać grajkowi.

– Ty jesteś po stronie podaży, nie popytu – wyjaśnił chłopakowi Cholewa, choć ten chyba nie rozumiał – oferujesz usługi, a nie korzystasz z nich – uszczegółowił szewc.

Ledwo minęli bramę cmentarną, wokół ich nóg zakotłowało się coś czarnego. To był Kulas, doskonale zorientowany, że gdzie jak gdzie, ale na cmentarz wstęp psom wzbroniony.

Nie był to jednak koniec towarzyskich zdarzeń.

– To nasza ulubiona pani Zosia i jej przenośny salon – oznajmił Cholewa, wskazując Marcie nieznaną jej dotąd osobę o wyglądzie ciepłutko się do wszystkich uśmiechającej czarownicy – niską, skuloną, z haczykowatym nosem i brodawką na nim. Tak jakby była wyjęta ze *Śpiącej Królowny* Disneya. A jej salon to był malutki stragan z kwiatami.

– Dzień dobry, syneczkowie! – na widok zbliżających się znajomych zawołała pani Zosia. – Dzień dobry, córeczko! – dodała na widok towarzyszącej im Marty.

– Wszystko dobrze, pani Zosiu? – spytał Cholewa.

– Wszystko dobrze – odpowiedziała pani Zosia, rozpromieniając się na jego widok – skoro pana widzę w dobrym humorze.

– A to nasz nowy nabytek na Pogodnej – wyjaśnił Cholewa, przedstawiając jej Martę.

– Ulica Pogodna zatacza coraz szersze kręgi – z zadowoleniem skomentowała pani Zosia. – Potrzebne nam posiłki do dalszej ekspansji.

Po tych słowach można było poznać, że stara kwiaciarka należy do sztabu głównego Pogodnej.

– Ma na imię Marta – wyjaśnił Cholewa z galanterią.

– Bardzo mi miło, córeńko – odrzekła pani Zosia.

– Nieprzebrane są rzesze jej dzieci – skomentował to z uśmiechem Cholewa.

– A ty jesteś moim synkiem ulubionym. – Pani Zosia roześmiała się, wskazując Cholewę i zwróciła się do Marty: – Wyrósł mi on ponad miarę, tak mu Bozia dała. A mnie Bozia wzrostu nie dała, bo stałam w kolejce po rozum.

Zgromadzeni wokół pani Zosi ryknęli hałaśliwym śmiechem, który nie licował może z powagą przycmentarnego miejsca, ale był objawem i zdrowia, i życia.

Pani Zosia na chwilę zniknęła w objęciach rozłożystego szewca, który ją wyściskał z serdecznością zakochanego w mrówce mamuta.

– U pani Zosi można zawsze wyrazić opinię o pogodzie, o zdrowiu, a chętniej jeszcze pokwękać i ponarzekać – na zdrowie, na dzieci, na wnuki. Stąd nazwa „salon pani Zosi” – wyjaśnił Mateusz, gdy Cholewa dokonywał przeglądu dzisiejszej oferty handlowej. – A „przenośny”, bo lokowany w różnych przycmentarnych miejscach, tam skąd nie przepędzają jej sprytniejsi od niej kupcy. Nie wyjmuje towaru z koszy, żeby łatwiej było się zwinąć.

– Ja, podobnie jak wiele innych biednych kobiet, pracuję na ulicy – zażartowała kwiaciarka, znów wzbudzając wesołość.

W ofercie pani Zosi były głównie kwiaty i małe wiązanki, ale też trochę owoców i warzyw.

– Tu, na Cmentarnej, łatwiej handlować niż na Pogodnej – wyjaśniła jeszcze pani Zosia, zwracając się do „nowej” Marty. – Pogodna jest najczęściej samowystarczalna, bo ludzie są wyposażeni w przydomowe ogródki ze zbliżoną ofertą. A na Cmentarnej klient, zaopatrując się u mnie w świeże kwiaty dla nieboszczyka, często ma jeszcze ochotę na jakąś dodatkową doczesną ofertę – i to taką niepryskaną.

Wskazała pojemniki z malinami, pęczki rzodkiewek.

– A to są jajka od zaprzyjaźnionych kur z sąsiedztwa – dodała.

– To i jaja tu kupują? – zdziwiła się Marta.

– A czemu nie? – odparła stara kwiaciarka ze śmiechem. – Trzeba na tę Cmentarną wprowadzić trochę życia.

– To ja poproszę maliny – powiedział Cholewa, jedną ręką sięgając po tekturowy pojemnik z owocami, drugą do kieszeni po pieniądze.

– To na mój fundusz edukacyjny... – zakomunikowała pani Zosia Marcie, przyjmując zapłatę.

– ...dla wnuków – zagrział Cholewa, dobrze znający to objaśnienie.

– Córka jedynaczka mi umarła, to teraz chcę pomóc zięciowi.

Marta sięgnęła więc po pęczek rzodkiewek, też uiszczając wpłatę na fundusz.

– No i proszę, handel kwitnie – cieszyła się pani Zosia, przyjmując pieniądze – a mój niezasobny portfel pęcznieje potem z dumy!

– A pan, panie Mateuszu? – spytała kwiaciarka, robiąc zawiedzioną minę, że na nim się dziś nie wzbogaci.

On zaś wskazał na drugi pojemnik z malinami, a także na zmyślnie skomponowany przez kwiaciarkę bukiet kwiatów, a następnie, zapłaciwszy, maliny oddał Kacprowi, a kwiaty Marcie.

A Marta w tym momencie poczuła przypływ bliżej niesprecyzowanych „uczuć niekoniecznych”. Inni z uwagą przypatrywali się temu, jak na skutek tego przypływu Marta lekko się rumieni.

Potem ruszyli od cmentarza ku życiu malowniczą gromadką – poprawnego wzrostu Mateusz i Marta, otoczeni ekstremami: małym Kacprem i wielkim Cholewą. Z Kulasem śmigającym jak fryga u stóp.

* * *

Walka z nadmiarem przedmiotów w domu trzech sióstr na dobre już zaowocowała stworzeniem przyczółków dla wszystkich obecnych tu pań. Pani Weronika miała swój do szaleństwa zagracony salon, pani Olga zainstalowała się na dobre w sąsiadującym z nim pokoju, Masza wytapetowała książkami wszystkie ściany tego pomieszczenia, które wybrała dla siebie. Najmniej uczyniono w gabinecie ojca rodziny, ten czekał zamknięty jak sarkofag na swoją kolej. Reszta przestrzeni zależna była od decyzji Iriny, która zwlekała z przyjazdem, ciągle jeszcze zaangażowana w swoje biznesy, a także chyba niechętna podejmowaniu ostatecznych kroków.

Marta przypuściła szturm na swój ulubiony pokój na strychu. Nie było tam tak wielu rzeczy jak gdzie indziej, ale stan tego pomieszczenia był wyjątkowo zły. Z powodu przeciekającego dachu na ścianach zrobiły się liczne zacieki, a drewniana podłoga się wypaczyła. Ważne było przede wszystkim, aby przed zimą zapobiec dalszej dewastacji. Marta ze szczególną czułością odnosiła się do tego miejsca, które nazywała „mostkiem

kapitańskim”. Było tu wszystko, co lubiła: małe, przytulne wnętrze z oknem częściowo zasłoniętym przez rosnącą w ogrodzie jabłoń, na której stacjonowały liczne ptaki, w tym i strojne gołębie Gołębiarza. Drzewo jednak nie zasłaniało sobą całego świata, tak że można było, wyglądając przez okno, zobaczyć też fragmenty łąki oddzielającej Pogodną od lasu mającego na horyzoncie. Widoczny był też spory szmat nieba. Na tej części domu zachował się stary dach z gontu, który wprawdzie na razie niewystarczająco chronił przed deszczem, ale był jak pudło rezonansowe, wspaniale brzmiące, gdy padało i wiało. Były osobne schody oddzielające to miejsce od innych w domu trzech sióstr. Był wreszcie daszek osłaniający drzwi wejściowe, gdzie ktoś kiedyś zainstalował mały stolik i ławę, na której można było przysiąść, aby pokontemplować urodę świata lub popracować.

Marta nie kryła zachwyty dla tego nikomu niepotrzebnego fragmentu domu. Wszystkim domownikom znana była ta jej słabość, toteż pewnego razu rodzinne konsylium uradziło, aby po przeprowadzeniu prac konserwatorskich ona dysponowała tym wnętrzem.

– Tam będzie pani mogła posiedzieć, wypocząć, popracować i czuć się jak u siebie w domu – zaproponowała w imieniu gospodyń pani Olga.

To dowodziło, że właścicielki oswoiły się już z obecnością Marty i ją zaakceptowały. Był więc to podwójnie miły komunikat – o sympatii tych, z którymi od miesięcy współpracowała, a także o tym, że może dysponować miejscem jak marzenie. Zaczęła więc o tym „mostku kapitańskim” myśleć nie jako o kolejnym zadaniu, lecz jako o swoim dziele. Przy tej okazji zdała sobie sprawę, że nigdy dotąd nie było jej dane, by zaprojektować jakiś fragment rzeczywistości wedle własnego widzimisię. W domu rodzinnym nie miała wpływu na to, jak i gdzie mieszka, potem była rezydentką u ciotki, a w końcu trafiła do świataumeblowanego przez swego męża. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, jak mały miała wpływ – o ile w ogóle – na kompozycję przestrzeni, w której przyszło jej żyć. Inni – czy to rodzice, czy Stefan – tylko się nieco przesuwali, gdy zjawiała się w ich życiu. A ona wciskała się w te nie swoje rejony, uzyskując prawo użytkowania jakiejś ich części – półki w czyjejsz szafie, miejsca na wieszaku, w szufladzie czy w łóżku. I dopiero teraz – w domu całkowicie jej obcym – uzyskała prawo (owszem, tylko „dzierżawne”) do tego, aby stworzyć maleńką, własną krainę. Co więcej, z możliwością przebierania w nadmiarze rzeczy, które tu wszystkie prosiły się, błagały wręcz, aby się stać pożytecznymi. Na dole bowiem, w ogrodzie domu trzech sióstr, cały czas rósł nie tylko pawilon Sklepu Rzeczy Niekoniecznych, ale też zbiór owych rzeczy niekoniecznych. Wszystkie one mogłyby, choćby tylko na jakiś czas, posłużyć Marcie do życia. Jednak gdy z takim nastawieniem popatrzyła na cały asortyment swego sklepu, poczuła znużenie. Te przedmioty, mające wartość dla tych, którym towarzyszyły w ich życiu, dla Marty nic nie znaczyły, bo nie wiązały się z żadną opowieścią. Świadczyły o życiu innych, najczęściej nieznanym jej osób i gdyby miały teraz zaludnić jej przestrzeń, byłyby intruzami. Ona – kustosz i obrońca ich istnienia – nie była gotowa na tę „adopcję”.

Więc co by się miało znaleźć na moim „mostku kapitańskim”, gdybym rzeczywiście mogła go urządzić po swojemu? – zadała sobie pytanie, siedząc któregoś dnia po turecku na jego środku.

Zdała sobie sprawę, że spośród wszystkich tu obecnych i znajdujących się w jej mocy przedmiotów w tym pokoiku umieściłaby tylko jedną rzecz – podarowany jej na samym początku obraz nieznannej malarki, który tak ją zafascynował w mrocznym pokoju na parterze: młoda kobieta siedząca w ciemnym salonie tyłem do widza i wpatrzona w

rozjaśniony korytarz. Temu obrazowi dawno już nadała tytuł: *Zostać czy odejść* i w dalszym ciągu była nim zafascynowana, bo mimo tego widocznego i nierozwiązywalnego dylematu zamysłonej kobiety nie było tu nic dramatycznego. Tylko spokój i melancholia.

Marta natrafiła potem jeszcze podczas inwentaryzacji na inne obrazy tej samej autorki. Wszystkie łączył ten sam motyw życiowych alternatyw. Kobieta (zawsze odwrócona tyłem, o niewidocznej nigdy twarzy) znajdowała się przy stole, na którym stała piękna porcelanowa waza, a nad stołem zawieszony był obraz przedstawiający jakiś egzotyczny port z żaglowcami. „Podać zupę czy wypłynąć?”, zdawała się pytać. Albo ta sama postać stojąca we wnętrzu sterylnie czystym i uporządkowanym, w którym tylko jedno krzesło niesfornie łamie ten ład, jakby zapraszało, by na nim usiąść. „Opuścić czy zamieszkać?” – znów brzmiało pytanie.

Ale to ten pierwszy obraz, na którym siedząca kobieta ma pochyloną głowę, a w jej sylwetce widoczne jest szczególne wahanie, był Marcie najdroższy. Rozświetlony korytarz, który kusił, będąc zapowiedzią i przygody, i niebezpieczeństwa, dobrze korespondował z nastrojem Marty, który jej chyba nigdy nie opuszczał.

Jasne więc było, że to on właśnie znajdzie się jako pierwszy przedmiot na „mostku kapitańskim” Marty.

W geście symbolicznym, przy usługowej pomocy nieocenionego Józefa Ziutka, powiesiła go tam teraz, mimo że pomieszczenie zupełnie jeszcze nie nadawało się do zamieszkania, wymagając nie tylko remontu, ale też odgruzowania z tysięcy drobnych przedmiotów walających się tu na podłodze.

Zaznaczyłam jak pies swój teren – pomyślała.

Podczas tej ceremonii obecna była pani Weronika. Długo i uważnie przyglądała się obrazowi, a potem wypowiedziała zaskakujące słowa, stanowiące jej interpretację tego, co jest na nim przedstawione:

– Ludzie zasługują na słońce, które ich ogrzewa latem, i dom, który ich ogrzewa zimą, zasługują i na przygodę, i na spokój, na ryzyko i na bezpieczeństwo, na emocje i wyciszenie. To wszystko, co im się zdarza w życiu, jest dostatecznie trudne, nawet bez doznawania krzywd ze strony innych – podobnych do nich – biedaków.

* * *

Książki w domu trzech sióstr to było wyzwanie jeszcze potężniejsze niż meble. Były ich nie setki, lecz tysiące. Szefową tej części zasobów była pani Masza, nakłoniona do tego przez konsylium rodzinne i księdza Antoniego, który był – jako „kapelan domowy” – opiekunem duchowym jej trosk i smutków. Książki były jej pasją.

– Ma to po ojcu – wyjaśniła Marcie kiedyś pani Olga.

Ale nawet i ona nie ogarniała tego zadania, choć jak się już rzekło, wytapetowała sobie ściany w swoim pokoju tym, bez czego nie mogła żyć. Tyle że to, bez czego nie mogła żyć, liczyło raptem parę setek, a reszta straszyla zwalistymi górami.

– Mój ojciec był wielkim miłośnikiem książek i całe życie je zbierał – opowiedziała kiedyś Marcie pani Masza – a równocześnie miał nadzieję, że z ich sprzedaży da się żyć. Tyle że ten handel w jego przypadku szybko przerodził się w specyficzny nałóg, bo sprzedając jedną książkę, za te pieniądze natychmiast kupował inne. Miał bowiem do nich taki stosunek, jakby to nie były przedmioty, ale starzy, opuszczeni ludzie, których dzisiejszy świat chce się pozbyć. A to są wszystko książki z duszą.

Wtedy pani Masza z jakiejś sterty wyciągnęła na chybił trafił stary podręcznik modelarstwa, pełen odręcznie poczynionych notatek.

– Służyły one ludziom, a potem stały się niepotrzebne – skomentowała, pokazując Marcie jak na dowód tę książkę.

Rzeczywiście, uwagi spisane drobnym maczkiem skrzętnie zapełniały marginesy, dowodząc mrówczej pracy, która się tu niegdyś odbywała.

– Ojciec opowiadał – kontynuowała pani Masza – że jego dostawcami byli albo biedni emeryci, którzy próbowali pozyskać dodatkowy grosz dla siebie, często oddając jakieś cenne pamiątki, albo ci, co chodzą po śmietnikach. Pierwsi przeżywali to często jak dramatyczne rozstanie, pocieszając się, że powierzali je komuś, kto znał ich wartość, dla drugich przeciwnie – książka nie miała znaczenia, była tylko nadzieją, że spieniężona umożliwi zakup flaszki. Los tych książek, które kupował, tak czy inaczej, był godny współczucia. Przywiązywał się do nich, lubił je gromadzić, a gdy nimi handlował, to z czystym sumieniem, bo ci, którzy je nabywali, naprawdę ich potrzebowali. Dlatego tak lubił to, co robił.

Marta dobrze już znała ten miłosny stosunek do rzeczy, który charakteryzował mieszkańców Pogodnej.

– Zapamiętałam – na zakończenie wspomniała pani Masza – że te tytuły, które miał w swym antykwariacie uporządkowane na półkach i w głowie (a to znaczy, że pamiętał, co gdzie leży), to było – jak twierdził – jakieś dwadzieścia tysięcy egzemplarzy! A na zapleczu znajdowało się jeszcze osiemdziesiąt tysięcy innych książek. Wszystkie wylądowały tutaj po jego śmierci, gdy trzeba było piwnicę, w której urzędował, opróżnić.

– Czyli jest tu około stu tysięcy książek? – chciała upewnić się Marta.

– Na to wychodzi – odparła pani Masza z westchnieniem.

Marcie cierpła skóra na myśl o tym, że pewnego dnia trzeba będzie zdecydować o losie tego podręcznika modelarstwa wypełnionego notatkami. Czy na Pogodnej będą kiedyś płonąć książki?

Na razie panie uzgodniły, że zająć się można jednym, wyodrębnionym wątkiem tego księgozbioru – książkami dla dzieci. Miały one osobny regał i była nadzieja na to, że znajdą zawsze jeszcze swój target. Tyle że to nie będą dzieci tej rodziny.

– Wszystkie moje wnuki są obcojęzyczne – oznajmiła pani Weronika, godząc się na to, aby tej części biblioteki pozbyć się najszybciej.

Była zdania, że zbiór ten powinien trafić do Janosikowa.

Marcie zaś przyszedł na myśl Kacper, który wyglądał na takiego, który czyta, i to może nawet z upodobaniem. Nie wiedziała jednak, gdzie go szukać, bo adresu Lalkarza nie zapamiętała. Postanowiła więc wybrać się do szewca Cholewy, aby jej pomógł w poszukiwaniu chłopaka. Gdy jednak dotarła do jego warsztatu, nie weszła tam, tylko ruszyła dalej – tam, gdzie przy końcu uliczki stała szpetna stacja Mateusza.

On mi pomoże szukać chłopaka – pomyślała.

Podobało jej się, że znalazła pretekst.

Otoczenie domu zarośnięte było gąszczem niepielonych wysokich badyli.

Tajemniczy ogród – bez sympatii pomyślała Marta.

O tym, że Mateusz jest w domu, a nie w podróży, zaświadczył jego wierny druh Kulas, który znanym już sposobem zjawił się raptem u stóp Marty. Ale nie od strony domu, tylko Bóg wie skąd. To musiało być daleko, bo kundel przyleciał pędem, jakby w obawie, że nie zdąży.

Marta zauważyła już, że ten pies był zawsze tam, gdzie powinien być, żyjąc równocześnie bardzo bogatym życiem indywidualnym. Błąkał się po świecie, wolny duch, poruszając się w ten swój charakterystyczny, taneczny sposób, aby się stawić zawsze w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu. Nigdy dotąd Marta nie słyszała, aby Mateusz go przyzywał. Kulas był tam, gdzie trzeba, nie dlatego, że tego od niego oczekiwano lub nawet wymagano, ale dlatego, że tak pojmował sens swego istnienia – być tam, gdzie można być przydatnym swemu panu, nie tracąc nic ze swej niezależności. Miało się to potem okazać regułą – jeśli szukało się Mateusza, najpierw napotykało się psa. Jego nieobecność była dowodem, że obaj z panem są w podróży.

Marta nieco niepewnie otworzyła ledwo wiszącą furtkę. Kulas, nie przestając jej obszczekiwać, równocześnie po starej już znajomości nie wzbraniał jej wejść do środka.

W środku czekał ją nietypowy jak na Pogodną widok – wielka i zupełnie pusta przestrzeń ze ścianami oskubanymi z farby aż do gołej cegły, oświetlona jedną słabą żarówką, zawieszoną jak girlanda na luźnym kablu.

Trochę to jak turecki namiot, z którego niewierni skradli wszystkie kobierce – przemknęło Marcie przez głowę.

W centrum tego pomieszczenia znajdował się solidny kominek, a na podłodze dwa legowiska – większe i mniejsze. Na większym siedział Mateusz otoczony książkami, mniejsze natychmiast zajął Kulas, jakby w obawie, że mu je zabiorą.

– Przyszłam pożyczyć cukru – z głupia frant oznajmiła Marta.

Mateusz rozpromienił się na tę wieść. I jakby od dawna czekał na tę wizytę, poderwał się, by z głębi pomieszczenia przeturlać ogromnych rozmiarów butlę.

– Mam tylko w tej postaci – zaprezentował.

To było wino domowej roboty, w którym pływały sfermentowane owoce i którego produkcja niewątpliwie wymagała cukru.

– Zapraszam – powiedział Mateusz, wskazując na legowisko.

Sam zaś udał się do czegoś, co można by nazwać aneksem kuchennym. Znajdowała się tam jednopalnikowa kuchenka gazowa, mały zlew i wielki blat pełen słoików, naczyń, sztuczków. Wśród nich były też małe szklaneczki, jakby stworzone do picia domowego wina.

– Ale tu pusto – rzuciła Marta, żeby powiedzieć cokolwiek.

– Kupiłem tę stację za grosze, ale była w katastrofalnym stanie – oznajmił Mateusz, nalewając wino za pomocą długiej rury. – Na razie pieniędzy starczyło na to, aby ją wypatroszyć i wybudować kominek. Warunki są więc spartańskie.

– Sklep Rzeczy Niekoniecznych może cię wyposażyć we wszystko – poinformowała Marta tonem jak z reklamowego spotu.

– Nie spiesz mi się do tego, aby tę przestrzeń wyposażyć w rzeczy niekonieczne – odparł Mateusz. – Na razie trzymam tylko te, które są konieczne.

Marta, rozglądając się raz jeszcze, aby stwierdzić, co według Mateusza jest konieczne, z zadowoleniem stwierdziła, że są też książki, złożone w stertę w głębi tego wnętrza.

– To mój gabinet – zakomunikował Mateusz.

Podeszła tam, zaciekawiona, jak wygląda ten „konieczny” zbiór. Była to głównie biblioteczka filozofów, która dowodziła, że jej właściciel nie minął się z powołaniem przy wyborze studiów. Ale też literatura popularnonaukowa wskazująca na dociekliwość wobec świata.

Gospodarz podszedł z winem. Wypili. Mateusz zdawał się oczekiwać wyjaśnień, czemu zawdzięcza tę wizytę.

Marcie się nie spieszyło.

– Co było tutaj, zanim się zjawiłeś?

– Był stary dróżnik, który po stracie pracy na kolei miał sklepik z materiałami budowlanymi. Magazyn znajdował się w jedynym starym wagonie, który się zachował i stał na szynach, a biuro miał na stacji. Ale kolej chciała się pozbyć budynku, a dróżnik nie miał za co go wykupić. Ani też nie chciał. Mnie się spodobało zamieszkać w poczekalni na stacji kolejowej. Bo też i tak nieustannie jestem w drodze.

– Poczekalnia – powtórzyła Marta.

– Poczekalnia – potwierdził Mateusz. – Tyle że pociąg opóźniony. Dróżnik, gdy go poznałem, oznajmił mi, że ostatni pociąg odjechał stąd pięć lat temu, a następny jest o te pięć lat opóźniony. I że to opóźnienie może ulec zmianie. No i uległo.

Marta wyszła na zewnątrz, by rozejrzeć się po ogrodzie. Obaj gospodarze jej w tym towarzyszyli.

– Tu był peron – Mateusz wskazał płyty betonowe, między którymi rosło zielsko – a tam były szyny, rozkradzione potem, podobnie jak stary wagon, przez złomiarzy. Zresztą mogli to być złomiarze z Pogodnej, na której żadna rzecz nie ma prawa się zmarnować.

Marta pamiętała to miejsce z poprzedniej tu bytności, ale teraz poza mizериą spostrzegła też jego specyficzny urok. Mała podmiejska stacyjka, dawno już opuszczona i przez ostatniego pasażera, i ostatniego dróżnika, trwała jakby w oczekiwaniu, że z którejś z tych dwóch stron pojawi się staroświecki parowóz z dymiącym kominem ciągnący wagony z ludźmi, przemierzającymi czasoprzestrzeń. Ten obraz przyprawiał o melancholię.

Przyszedł czas wyjawić cel wizyty.

– W domu trzech sióstr jest duży zbiór literatury dziecięcej – oznajmiła. – Pomyślałam, by Kacper się tym zajął. A nie wiem, gdzie mogę go znaleźć. On mi wygląda na chłopaka, który lubi czytać.

– Owszem – przyznał Mateusz, wskazując na jedną z usypanych z książek stert – to wszystko jego książki, a ściślej, te, które ja dla niego zgromadziłem. Czasem Kacper wpada do mnie i czytamy sobie na głos. Ja nie wiem, czy on to lubi, ale ja uwielbiam! – dodał ze śmiechem.

Marta przyjrzała się książkom. Wśród nich dostrzegła *Niekończącą się historię*, w której tkwiła ozdobna, staroświecka zakładka.

– Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to książka o nim teraz – powiedział Mateusz. – O małym, trzynastoletnim chłopcu, który...

Sięgnął do książki, aby po chwili zacytować zaznaczony wcześniej tekst:

– ...dotychczas chciał co prawda zawsze być inny, niż był, ale nie chciał się zmieniać[8]. A teraz trafił do „domu przemiany”.

Marta przejęła książkę, zajrzała do środka, a tam na marginesach mnóstwo drobnym odręcznym pismem poczynionych notatek. Jak – nie przymierzając – w starym podręczniku modelarstwa oglądanym przed południem z panią Maszą. A potem zajrzała na te strony, gdzie tkwiła zakładka.

– *Smoki szczęścia należą do najrzadszych zwierząt w Fantazjanie* – przeczytała na głos, znalazwszy fragment o jej ulubionym bohaterze. – *Są tworamii powietrza i ciepła, istotami o niepohamowanej radości i mimo potężnych rozmiarów lekkimi jak letnie*

oblaki. Widziane z ziemi wyglądają jak powolne błyskawice.

– Mając takiego ojca, Kacper nie może być zwykłym dzieckiem – powiedział Mateusz po chwili. – Ten lalkarz mizantrop struga lalki, zamiast nawiązywać kontakty z ludźmi. Mówi tylko o tym, myśli tylko o tym. Jest w tym jak dziecko, dlatego jego syn, po stracie matki, stał się dla ojca matką.

– To skomplikowane relacje rodzinne – przyznała Marta, siadając w końcu na legowisku ze szklanką w garści.

– Ale odkąd matki zabrakło, nikt w dziecku nie chciał widzieć dziecka. Ojciec Kacpra cieszył się, że ma w nim nie tylko opiekuna, który zabezpieczy jakiś chleb i masło, a i zupę przyniesie z Janosikowa, ale i partnera do rozmów o historii sztuki i o tajemniczej naturze lalek. Nie było zaś komu zadbać o to, żeby chłopak umył zęby, odrobił lekcje i poszedł do szkoły. Więc dzieciak nie chodził. A jak się w końcu jakiś nauczyciel poawanturował, to szedł, milczał z pozorną pokorą i uciekał, gdy tylko nadarzyła się okazja. Środowisko rówieśników nudzi Kacpra. Różni psychologowie uznaliby, że to dziecko ulicy, z niedorozwojem relacji społecznych. Ale to nieprawda. Kacper doskonale kontaktuje się z ludźmi, ale na swoich zasadach. Jest w tym niewiarygodnie dojrzały. Jeśli sobie ciebie wybierze na kumpla, toś jest gość!...

– A ciebie sobie wybrał? – ni to stwierdziła, ni to spytała Marta.

– A mnie sobie wybrał! – przyznał Mateusz. – On jest taki jak Kulas: nie ma go, gdzie się włóczy, zdaje się, że jest w kilku miejscach naraz, bo lubi być wszędzie, a gdy chce, zjawia się, jakby tylko na to czekał, żeby się z tobą zobaczyć. Ma jakiś szósty zmysł, który go instruuje, kiedy gdzie trzeba być. Gdy wyjeżdżam – a on lubi podróżować ze mną – zjawia się nieproszony i w milczeniu czeka. To oznacza: „Nie wiem, czy chcesz mnie zabrać, ale jeśli tak, to ja chętnie”. No i czasem go biorę, czasem nie. A on się nie obraża, tylko czeka na następną okazję. Jeśli zaś go zabieram, jest świetnym kompanem – małowównym, posłusznym, a czasem bardzo pomocnym.

– Lubisz go? – spytała Marta z uśmiechem.

– Bardzo – przyznał Mateusz z prostotą.

Wino im się skończyło w szklankach, ale nie brakowało go w butli.

– Skonstruowaliśmy całą sieć pomocy edukacyjnej dla Kacpra – mówił dalej Mateusz, napełniwszy szklanice. – Koordynatorką jest ciotka Adela, która wie, co kto umie, a profesorami jesteśmy my wszyscy. Uczymy go tego, na czym kto najlepiej się zna. Bo też on, jak komuś zaufa, to chętnie słucha. Tak było na przykład z księdzem Antonim. Snuł się za nim, aż został przewodnikiem turystycznym. Teraz Adela go nakłoniła, żeby bywał u naszego listonosza, którego konikiem są podróże w wyobraźni. Ten geograficznie świata ma w jednym paluszku.

– Masz ci los – Marta nie ukrywała zaskoczenia – to nawet nieśmiały listonosz, którego czasem widuję w domu trzech siostr, też jest zakręcony na jakimś punkcie.

– A wasz sąsiad to doskonały ornitolog – dodał Mateusz.

– Gołębiarz Złamana Fura? – zdziwiła się Marta.

– A jakże!...

– Ja go miałam za dziwaka, pustelnika i niemowę.

– Nie, to jest tylko człowiek po przejściach. Odkleił się od rzeczywistości i jest jak Lalkarz, monotematyczny.

Marta pokiwała głową nad Pogodną. Zwariowana kraina. Pogodnie zwariowana kraina.

– A ja jestem od czytania na głos. Gadamy potem o tym, cośmy przeczytali, a ściślej – ja gadam, on słucha. No i, o ile tak można powiedzieć, „matkuje” Kacprowi. On zaś z kolei „matkuje” swojemu ojcu.

– To by znaczyło, że jesteś dziadkiem Lalkarza – po chwili zastanowienia powiedziała Marta.

– Babcią – skorygował Mateusz.

Zapadła cisza.

Marta pomyślała, że znalazła się w królestwie wolnych ludzi. Bo całą tę trójkę – Kacpra i Kulasa, i jego samego, Mateusza – można scharakteryzować tak, jak to zrobił on przed chwilą: „Nie ma ich, gdzieś się włóczą, zdaje się, że są w kilku miejscach naraz, bo lubią być wszędzie, a gdy chcą, zjawiają się”.

Włóczykije – ponownie pomyślała o nich Marta.

Nagle Kulas, dotąd spokojnie śpiący na swym legowisku, podniósł najpierw uszy, potem pysk, a potem całą swoją osobę i z nadzwyczajnym pośpiechem czmychnął w najdalszy kąt chałupy.

– Oho, idzie burza! – krzyknął Mateusz, nagle dziwnie podniecony. – Chodź!

I chwycił Martę za rękę.

Wybiegli przed dom. Nad głową mieli gwiaździste niebo, więc Marta niezbyt rozumiała, co to za heca. Ale nie sprzeciwiała się. A Mateusz wyciągnął z szopy jakiś stary skuter, uruchomił go i kazał wskakiwać.

Pognali w ciemność. Droga niegdyś znaczoną torami – przez łąkę, przez las, aż naraz znaleźli się nad rzeką, na której drugim brzegu rozciągał się wielki bezmiar pustej przestrzeni. Tu się zatrzymali. Gdy umilkł silnik skutera, zaległa całkowita cisza.

– Chodzi o to, żeby widzieć jak najwięcej nieba – wyjaśnił w końcu Mateusz, przerywając milczenie.

Było go w istocie mnóstwo. I wydawało się zagracone nieopisaną ilością gwiazd. A centralnie umościł się księżyc w wielkiej czapie.

Wsłuchali się w ciszę. Wydawała się absolutna. W powietrzu było coś dziwnego. Było jakby ciężkie i lepkie. Ani śladu wiatru. Jakiś konik polny rozdarł tę niezmaconą ciszę, a nietoperz hałaśliwie zafurkotał skrzydłami.

Marta wyteżyła wzrok, szukając śladów burzy, choć nic jej nie zapowiadało.

– Ten Kulas coś sobie uroił – wyszeptwała, bojąc się, że jej głos zadudni zbyt mocno.

– On powinien znaleźć zatrudnienie jako meteorolog – odparł też szeptem Mateusz.

– Jest! – niemal krzyknęła Marta na widok dalekiego błysku.

– Nie – zaprzeczył Mateusz – tam jest niewielka droga, po której jedzie teraz samochód.

Miał rację. Ale zaraz potem, gdy auto przejechało, coś znowu błysnęło daleko na horyzoncie. Czy raczej mrugnęło. I chyba mruknęło.

Martę ogarnęło jakieś dziwne podniecenie. Zamieniła się we wzrok i w słuch, wtopiła w przestrzeń. A ta była dziwnie „skurczona” – jakby powietrze nie mogło się w niej zmieścić.

Znów coś daleko drgnęło. Martę przeszył dreszcz.

A potem na części nieba zaczęły znikać gwiazdy. To wielka chmura posuwistym krokiem zaczęła się zbliżać, zwiastując rychłe przybycie burzy. Miała w sobie taki majestat, że nie można było od niej oderwać wzroku. Światelka gwiazd wpadały w nią jak w ogromną paszczę.

Na horyzoncie coraz częściej widoczne były drgawki. Nie błyski, ale drgawki właśnie. I pomruki dalekich grzmotów, które brzmiały „nieostro”. Powietrze było gęste, ale cisza też. Już nawet konika polnego nie było słychać. Chyba że sam się zamknął, przestraszony tym, co będzie. A Marta w tej wielkiej, niezmierzonej przestrzeni miała wrażenie, że się dusi, jak czasem w windzie.

Naraz zrobiło się zupełnie ciemno. To chmura zgasiła blask księżyca. Zrobiło się już do reszty klaustrofobicznie.

– Patrz teraz na wodę – Mateusz wydał szeptem polecenie.

Łatwo powiedzieć – pomyślała Marta, w ciemności nic nie rozróżniając.

Nagle usłyszała jednostajny szum i bardziej usłyszała, niż zobaczyła, jak ściana deszczu nadciąga nad rzekę, jakby chciał się on w niej wykapać. Po chwili Marta poczuła pierwsze krople. Były ciepłe, lepkie, delikatne.

Gdzie jest wiatr? – pomyślała chwilę przed tym, jak nagle runął na nich z ciemności.

Potężny, porywisty, zawirował nagle nad światem, przynosząc potężną ulewę. Marta aż się zachwiała od jej uderzenia, ale wtedy nagle poczuła, że Mateusz chwytą ją w ramiona, jakby chciał podtrzymać.

Wiało, lało, grzmiało już bez opamiętania. W jednej chwili przyszła taka nawałnica, że rzeczywiście trudno się było utrzymać na nogach. Ale nawet gdyby Marta miała pomysł, aby uciekać, to Mateusz by jej nie puścił. Stała więc mokra, przerażona potęgą tego żywiołu i zachwycona.

Burza popisowała się przed nimi, strzelając piorunami ze wszystkich stron, grmiąc wniebogłosey i dmuchając potężnymi uderzeniami wiatru. Nikt by nie uwierzył, Marta sama nie uwierzyłaby, ale stała tak teraz, wpatrzona w to cudo i płakała. Od tego podziwu, od tego majestatu, od wdzięczności za to, że jej się to przytrafiło.

Dopiero wtedy, kiedy epicentrum burzy zaczęło się przenosić poza nich, ruszyli z powrotem. Lało dalej, gdy wsiadali na skuter, lało, gdy jechali z powrotem. Mateusz pędził po polnych drogach, a ona wtulona w niego, całkowicie mokra i teraz bardzo już przemarznięta, wrzeszczała jak szalona.

Na stacji, gdzie w końcu wylądowali, Mateusz znalazł wielki ręcznik, a następnie, bez pytania, zdjął z Marty mokrą bluzkę. Wytarł ją najstaranniej jak mógł i dopiero potem przyjrzał się jej nagości. A następnie dotknął jej piersi.

– Nie wiem, czy chciałbym mieć coś takiego – powiedział i dodał: – O wiele lepiej, żebyś ty to miała.

* * *

Następnego dnia Marta miała blisko do pracy.

Szła do niej niespiesznie, nie bacząc na to, że wczorajsza burza zabrała ze sobą lato, a pozostawiła początek jesieni. Zrobiło się chłodno i trochę melancholijnie. Marta, mimo że wstrząsana dreszczami zimna, była rozpromieniona i miała w sobie bardzo wiele pogody. Pogody właśnie. Jeśli dotąd przepadała za klimatami Pogodnej, to teraz uczucie to zostało pomnożone.

Mijając warsztat mistrza Cholewy, spojrzała w okno. Szewc nie ukrywał, że tam jest, nie krył się jak wiejska baba za firanką, tylko ostentacyjnie stał, szczerze wypełniając sobą całą przestrzeń okna, i machał do niej radośnie.

Ale wścibski! – pomyślała i uśmiechnęła się do niego.

To było raptem kilka miesięcy temu, gdy tutaj „śnieg rósł” – przypomniała sobie, zmierzając w stronę domu trzech sióstr – a od tego czasu tyle się zmieniło!

Podniosła wzrok do góry i z wdzięcznością mrugnęła w stronę pochmurnego teraz nieba. Pan Bóg chyba zrozumiał ten dziękczynny sygnał, bo przez małą lukę w chmurze przesłał promyk słońca, w ten sposób wchodząc w dialog z ludzką drobinką.

W domu trzech sióstr Marta zastała strapioną panią Olę. Przyjęła zaproszenie na poranną kawę i wkrótce miała zrozumieć przyczynę owego zmartwienia.

– W dalszym ciągu niepokoiły się o Maszę – wyjaśniła pani Olga. – Ona nam gotowa zupełnie zdziwić na starość. Najpierw, jak przyjechała, wszystko wydawało się w porządku. Zabrała się do roboty, urządziła ten swój pokój, przeglądała tysiące notatek, porządkowała tysiące ksiąg. Potem był ten dziwny epizod z wydzwanianiem do starych znajomych, choćby oni byli już w zaświatach, wyperswadowany jej na szczęście przez naszego dobrodzieja. Ale teraz, gdy w powietrzu jesień i zbliża się początek roku szkolnego, sposepniała do reszty. Tęskni. To było całe jej życie – westchnęła pani Olga. – A przecież ze szkoły odchodziła z ulgą. Z ulgą chyba też ją żegnano. I bez żalu. Nawet nauczyciele przez lata mówili o niej „zmora”, a cóż dopiero dzieci, które zawsze traktowała z bezwzględnością surowością. Przepracowała w tym zawodzie prawie czterdzieści lat, i to był cały jej świat. Surowość i pryncypialność, które przyniosły jej złą sławę, wynikały z powagi, z jaką odnosiła się do swoich obowiązków. Ceniono ją za to, ale nie lubiano. A ona nie potrafiła się zmienić. Te cechy wpłynęły także na jej życie prywatne, a ściślej... na jego brak. Uciekł od niej mąż, potem, jak tylko się dało, uciekł i syn, który ogromnie dużo jej zawdzięcza i na swój sposób kocha – ale z daleka... Całą więc życiową energię zainwestowała w szkołę i uczniów. Nie ma wątpliwości – ton pani Olgi zrobił się stanowczy – że była dobrą nauczycielką i odniosła wiele sukcesów. Miała silny autorytet i skutecznie zarządzała szkołą jako dyrektor, jej uczniowie wygrywali olimpiady i konkursy, zdawali świetnie na uczelnie, a potem robili zawodowe kariery. Nie mieli jednak zwyczaju dzielić się tymi sukcesami ze „zmorą”. W dzień otrzymania świadectwa maturalnego znikali na zawsze z jej życia, a o ich powodzeniu czasami dowiadywała się w pokoju nauczycielskim. Na szczęście po nich zjawiali się inni uczniowie i historia zaczynała się od nowa. Tylko że ona powoli traciła siły (zapału nigdy jej nie zabrakło). A dzieci stawały się coraz trudniejsze, mniej zdyscyplinowane, bezczelniejsze. Toteż, zdawało się, że na emeryturę przeszła z uczuciem ulgi. Tymczasem brak pracy okazał się jednak brakiem potężnym. Początkowe zaangażowanie w naszą inwentaryzację i remont nie starczyło na długo. I teraz rodzi się pytanie, co dalej? Ona mi się ostatnio zwierzyła, że zakrada się pod pobliską szkołę podstawową. Przed ósmą obserwuje dzieci wchodzące tam, a potem idzie pod drzwi kuchni, przygląda się, jak intendentka przyjmuje worki z ziemniakami i kapustą, i z rozrzewnieniem przypomina sobie zapach stołówki szkolnej i widok dzieci, nauczycieli, kucharek, woźnych i sprzątaczek. „Jakbym straciła rodzinę” – powiedziała mi ostatnio. Szukamy dla niej nowego zadania – kontynuowała pani Olga – ale to nie takie proste. Najpierw nieudany eksperyment z Janosikowem, a teraz ksiądz Antoni wymyślił, aby ściągnąć do nas syna Maszy z rodziną. Ale on ma kalendarz ściśle wypełniony terminami występów. No i na razie Masza głównie przesiaduje sama w tym swoim pokoju, śniadanie jada koło południa, a kładzie się o zmroku.

Jakby na potwierdzenie jej słów w korytarzu rozległo się szuranie i zza drzwi swego pokoju wychynęła pani Masza. Była w szlafroku i papuciach, choć właśnie zbliżało się

południe i lada moment spodziewać się można było ptasiego spaceru za oknem. Przywitała się zdawkowo i zniknęła w kuchni, by tam przygotować sobie śniadanie. Marta już chciała coś powiedzieć, żeby przerwać krępującą ciszę, gdy nagle, cicho jak złodziej wślizgnął się do salonu Kacper. Mateusz dotrzymał słowa, że znajdzie chłopaka i przyśle go do domu trzech sióstr.

Nie był tu nigdy wcześniej. Pani Olga przyjaźnie się do niego uśmiechnęła. Ale że on ani nie dygnął, ani nie skulił się w ukłonie, tylko pod nosem mruknął jakieś zdawkowe „dzień dobry”, uśmiech Olgi uwiądł. Jak kiedyś Marcie, tak teraz jej chłopak chyba się nie spodobał. Pani Masza zaś znad talerza spojrzała na niego wzrokiem doświadczonego w pracy z młodzieżą bazyliuszka.

Trzeba będzie ich wyswatać! – przemknęło Marcie przez myśl. – Osieroconą po stracie podopiecznych panią profesor może zainteresować taki „przypadek”. Jedno gburowate i drugie gburowate, powinni się dobrze dogadać.

Uzgodniono, żeby – wyposażywszy go w jakieś ciastko i sok – zainstalować Kacpra w pomieszczeniu, gdzie zgromadzona była literatura dla dzieci. Marta poprosiła go, by wybrał sobie te, które chciałby zachować dla siebie, a na osobną kupkę układał zbiór książek przeznaczonych dla Janosikowa.

– Jeśli zaś znajdziesz coś tak już zniszczonego, że się do lektury nie nada – poinstruowała – to rzuć to na trzecią kupkę.

Chłopak nie wiedział, jak się do tego zabrać, sięgnął więc na chybił trafił i wyciągnął z półki przypadkową, niemiłosiernie zakurzoną książkę.

– Biblioteka laureatów Nobla – przeczytał na okładce – Rudyard – wydukał potem z dużym trudem – Kipling.

– *Księga dżungli*? – spytała Marta.

– *Księga dżungli*. Nie znam – odparł Kacper.

I zerknął do środka.

Marta zajrzała przez jego ramię.

– Lwów–Poznań 1922. Nakładem Wydawnictwa Polskiego. To dziewięćdziesiąt lat temu – oszacował.

Szeleszcząc pożółkłymi kartkami, pominąwszy krótką przedmowę, spojrzął na stronę, na której znajdował się tytuł pierwszego rozdziału: *Bracia małego Mauli*. To zabrzmiało jak zaproszenie do podróży. Marcie, która przyglądała się temu, przypomniało się, jak w dawnych latach lubiła zaczynać lekturę nowej książki. Leżąc na łóżku w swoim małym wiejskim pokoiku, pełna emocji, przekładała pierwszą stronę, by rozpocząć przygodę. Uwielbiała ten moment. Potem dziecięcą ekscytację zastąpiła czytelnicza rutyna. A Kacper tę świeżość jeszcze miał. Zapomniawszy o bożym świecie, zaczął czytać, początkowo na stojąco. A gdy Marta wychodziła, osunął się na ziemię i zagłębił w lekturze.

Parę razy tego dnia Marta sprawdzała, co on robi. Czytał. *Księga dżungli* musiała mu przypaść do gustu.

Trochę to potrwa, zanim dokona selekcji wśród tych książek – pomyślała w końcu i dodała w myślach: – dziwne dziecko!

Ale tym razem po raz pierwszy z sympatią.

Kacper bez protestów zjadł obiad, zjadł kolację, a że Marta opowiedziała gospodyniom domu trzech sióstr, że chłopak matkuje swemu ojcu, wieczorem wyszedł stamtąd nie tylko z książką, którą chciał doczytać, ale też z siatką pełną różnych

domowych przysmaków. Umknął potem gdzieś w ciemność, nie pozwalając się odprowadzić.

Marta zaś, korzystając z ciemności, po wyjściu z pracy postanowiła chyłkiem przemknąć koło stacji Mateusza. Trochę tęskniła. Ale w oknach nie było światła, nie było psiego szczekania.

Wyjechał i nic nie powiedział, że wyjeżdża – pomyślała i ofuknęła się w duchu. – A co ty sobie wyobrażasz? Że co?

* * *

W domu nie doczekała się ani jednego komentarza w sprawie bez precedensu. Po raz pierwszy w historii ich małżeństwa ze Stefanem zdarzyło jej się nie wrócić do domu na noc. Marta nigdy dotąd nie działała jak on, w „systemie konferencyjnym”, nie podróżowała po wieczorach autorskich ani nie miała stypendiów uzasadniających nieobecność w domu. Ona była tu zawsze.

Teraz nie miała nic na swoje usprawiedliwienie.

Stefan nie rozmawiał. Pił.

Siedział w rozchełstanej piżamie i schodzonych kapciach i dłubał w zębach, a przed nim stała prawie pusta butelka whisky.

– Ostrożnie z tym piciem – powiedziała, żeby tylko się odezwać.

– Oczywiście, Maniu, oczywiście – usłyszała w odpowiedzi.

Mania to druga żona Stefana, matka Misi-Monisi.

I na znak, że nie chce więcej gadać, udał się do sypialni, skąd po chwili rozległo się potężne chrapanie.

To, że zarejestrował fakt jej nieobecności poprzedniej nocy, można było poznać po tym, że naraz, po miesiącach milczenia, dzień później odezwała się do Marty Dora, aby ją spytać o to, „jak naprawdę ma na imię ten, o którym mówisz Sklep Rzeczy Niekoniecznych”? Wcześniejsze wieści o zmianie pracy na o wiele gorszą i mniej prestiżową – w istocie sprzedawczynię czy handlarkę – w najmniejszym stopniu nie były godne zainteresowania (przeciwnie, były konfundujące). Nieobecność w domu po dwudziestej drugiej mogła już wzbudzić szczerą ciekawość.

Dora zażądała więc spotkania. A że chwilowo nie brała antydepresantów, zaproponowała winiarnię. Początkowo Marta chciała odmówić, ponieważ jednak była trochę markotna i pogubiona po tej niesamowitej burzowej i burzliwej nocy, to się zgodziła.

Czekała ją niespodzianka, bo na spotkanie Dora stawiała się w towarzystwie Łucji, pierwszej żony Stefana. W ich oczach Marta dostrzegła nieskrywany podziw, że ona – potulna i cicha dotąd gąska – nareszcie zgrzeszyła.

– To już ten moment, aby zrozumieć, iż jedyne, co możesz zrobić dla Stefana, to go porzucić – oznajmiła Łucja bez zbędnych wstępów.

Widać, że co do tego Dora się z nią zgadzała, choć kompetencje miała mniejsze: Dora była tylko przelotną znajomością Stefana, Łucja – jego żoną.

Martę zaskoczyło to, że nie chcą z niej wyciągać tajemnic, tylko zabierają się do „sprawy Stefana”. Było jej to bardzo na rękę.

– Wszyscy na uczelni mówią, że ze Stefanem dzieje się coś złego – w swoim i Dory imieniu mówiła dalej Łucja. – Już nie błyszczy, a studenci uciekają z jego zajęć. Z tego powodu w tym semestrze wziął urlop naukowy. Facet jest „w zaniku”.

Marta nic na ten temat nie wiedziała.

Jak dalece straciłam już z nim kontakt! – pomyślała.

– Ja kiedyś byłam w takiej samej sytuacji jak ty – kontynuowała Łucja. – No owszem, on był wtedy o wiele młodszy, ale też, wcześniej najwybitniejszy doktorant i najlepiej zapowiadający się poeta, po jakimś czasie naszego związku wypuścił z siebie całe powietrze, a ja nie mogłam zrozumieć, co się z nim dzieje. Nie miałam takiej pomocy, z jaką teraz spieszę do ciebie. Bo mam możliwość obserwowania tego po raz trzeci i już od dawna chciałam o tym z tobą pogadać. Rzuć go dla jego własnego dobra! Jemu musi być źle, żeby mu było dobrze. Przy tobie skapcaniał, postarzał się, a jak go rzucisz, wstąpi w niego wigor. On jest jak żyjątko w kałuży: wysycha wraz z nią i czeka na deszcz. Wtedy odżywa, potężnieje, rośnie. Rzuć go, a potem czekaj po tej waszej suszy na jego odrodzenie – najlepiej oglądając telewizję. Niedługo zjawi się tam jako kompetentny ekspert. To będzie uwertura do kolejnego związku. Rozkwitnie, nabierze blasku. Zwodniczego blasku, dodajmy, który zgaśnie natychmiast, gdy nastąpi demobilizacja.

– Powiedz coś bliższego o tym twoim Sklepie Rzeczy Niekoniecznych – Dora wróciła jednak do niebezpiecznego tematu.

Marta udała, że nie rozumie zaczepki, i zaczęła opowiadać o asortymencie sklepu, podkreślając, że to same starocie. Instynktownie lękała się wizyty Dory na Pogodnej. A ta słuchała z ironicznym uśmiechem.

– No to muszę się koniecznie do ciebie wybrać, bo może tam znajdę jakiś nowy pomysł na mój domek dla lalek.

– Co masz na myśli? – spytała Marta zaskoczona tym określeniem.

– Nasze gniazdko rodzinne – wyjaśniła Dora. – To może być nowe wyzwanie dla mnie: jeden pokój przerobić na przykład na „buduar ciotki Tekli”.

Martę na dobre ogarnął niepokój. Z jednej strony Dora i jej przyjaciółki to idealna klientela Sklepu Rzeczy Niekoniecznych – gdyby zjawił się w nim cały „sabat czarownic” ze swymi wypchanymi portfelami, by łowić sprzęty jak kaprysy. Mogłoby to mocno ożywić kondycję gospodarczą ulicy Pogodnej, ale Marta zlekła się, że damy te równocześnie mogłyby zainfekować Pogodną toksycznymi klimatami „tamtego świata”. Choć były przecież dowody na to, że ta kraina całkowicie jest na nie impregnowana, by wspomnieć choćby straszącą pod lasem niedokończoną budowlę – desant nowoczesności, zakończony fiaskiem. Niemniej jednak Marta wolała nie ryzykować. Nigdy by sobie nie darowała, gdyby przyczynić się miała do likwidacji tego mikroklimatu, który panował na Pogodnej.

Żadne wypchane portfele nie powinny mu zagrozić – pomyślała.

I oznajmiła, że to dopiero etap urządzania się, że handel jeszcze nie ruszył, bo nieskończona jest inwentaryzacja, że remonty, że remanenty. Celowo używała tych obrzydliwych określeń, żeby zniechęcić panie do wyprawy.

Obie rozmówczynie rzeczywiście słuchały tego z nieskrywanym niesmakiem.

– To może powinnaś reprezentować swój sklep na imprezie, która odbędzie się rychło u Tadeuszów.

– Chcą handlować meblami? – zdumiała się Marta.

– Handlować nie, ale rozdawać – odparła Dora. – Tadeusz sfinalizował rozmowy z Amerykanami. Wyjeżdżają za ocean!

– Na długo? – Marta od dawna nie znała żadnych plotek.

– Na zawsze! – powiedziała Dora. – Amerykańscy przełożeni chcą go u siebie.

Rzeczywiście Tadeusz od lat pracował w filii wielkiego amerykańskiego koncernu i był ceniony (czego dowodem był dobrobyt, w jakim żyli). Teraz okazało się, że jego kwalifikacje uzyskane w Polsce mogą się przydać w centrali.

– Niby sami tego chcieli, ale teraz chyba już nie są tym zachwyceni – referowała Dora – bo czego im tutaj brakowało? Ale Tadeusz się nudził, szukał zmiany, awansu, większego prestiżu. To będzie go miał.

– A dzieci?

– Biorą młodszego syna, żeby się tam uczył, a starszy już dorosły, zostanie – ma tu swoje życie. No i teraz zapraszają na aukcję.

– Aukcję? – Marta nie rozumiała.

– Będą się pozbywać wszystkiego z tego wielkiego domu. To głównie impreza dla rodziny...

Jeszcze i taka impreza... – Marta powtórzyła w myślach, przypominając sobie „rozwód promocyjny”. – Ci ludzie wszystko potrafią zamienić w imprezę, by zabawić się na śmierć.

Wspomniała te wszystkie piękne meble, które dekorują szycowny dom Tadeuszów. I one teraz zostaną osierocone, wystawione na niepewny byt, zbyteczne.

Więc może też i „niekonieczne” – pomyślała.

I postanowiła pójść na tę aukcję.

* * *

Tymczasem na Pogodnej gruchnęła wieść, że jest spodziewany rychły przyjazd pana Janka, syna pani Maszy. Zaalarmowany wieściami o złym samopoczuciu matki, miał przybyć z zagranicy, gdzie pracuje na co dzień jako muzyk w orkiestrze. Wszyscy pokładali w tej wizycie wiele ufności i nadziei. Wiadomo bowiem było, że jest on wielką chlubą pani Maszy.

– Janek skądś się dowiedział, że podczas jego obecności u nas będzie retransmitowany jeden z koncertów tej jego zagranicznej orkiestry – zakomunikowała dumna matka po którejś telefonicznej rozmowie z nim.

Niepodobna było zgadnąć, jakim sposobem wieść ta tak szybko wydostała się z domu trzech sióstr, ale już wkrótce potem dom ten nawiedziła ciotka Adela.

– Nie dość więc, że Pogodna ma gościć słynnego wirtuoza, to jeszcze nadarza się okazja, aby podziwiać jego sztukę – oświadczyła podniosłym głosem.

I ruszyła do działania.

Bo ciotka Adela nie byłaby ciotką Adela, gdyby tego nie wykorzystała, nadając mu światowy rozmach. Wszystkimi dostępnymi sobie kanałami błyskawicznie powiadomiła ludzi o propozycji, aby w wielkiej świetlicy w Janosikowie zebrać się i wspólnie obejrzyć transmisję. Nawet przed Grupą Wsparcia powiesiła odręcznie przez siebie napisaną karteczkę o terminie, miejscu i celu spotkania, informując równocześnie, że swoją obecnością zaszczycić ma ich sam maestro. To był błąd, bo zgody pana Janka przed jego przyjazdem otrzymać nie mogła, ale miała nadzieję na szczęśliwy obrót spraw.

Gdy rozeszła się wieść, że pan Janek z rodziną przybył do domu babki, ciotka Adela pognęła tam z zaproszeniem, a raczej z listem wiernopoddańczym. Kieszenie kubraka wypchane miała notatkami, co będzie chciała powiedzieć, gdy stanie przed majestatem mistrza.

Pan Janek, siedzący w salonie za stołem, gdy tam się zjawiała, z całą prostotą ją powitał, wysłuchał egzaltowanej laudacji i na wszystko się zgodził. Okazał się on dobrodusznym, łagodnym człowiekiem. Pulchny, okrągły, mięciutki, misiowaty, ani trochę nie wyglądał na ekstrawaganckiego artystę. Nie miał też długich, chudych palców pianisty, lecz pulchne buły. Nikt by nie powiedział, że to wirtuoz. A jednak... do orkiestry symfonicznej o międzynarodowej sławie, która gra pod najsłynniejszymi dyrygentami, nie przyjmują przecież byle „pałkarza”. Jego żona, pani Margarete, chuda z kolei jak instrument, na którym gra – jest flecistką, też bez monarszej wyniosłości przyjęła propozycję. Najwięcej spodziewanej wyniosłości miał ich dwunastoletni syn, który – jak się zdawało – w oczach ma dwie filmowe kamery rejestrujące bez wyrazu wszystko, co się dzieje. Był w tym trochę podobny do Kacpra, ale tamten miał w oczach tajemnicę, ten chłód maszyny.

Gospodynie domu trzech sióstr nie protestowały. Adela wyposażyła je zresztą w liczne karteczki, na których były zanotowane korzyści wynikające z takiej integracji lokalnej. I że muszą uświetnić, bo to doda imprezie splendoru.

* * *

Było wczesne niedzielne popołudnie. Choć transmisja miała się rozpocząć o piętnastej, już przed pierwszą zaczęli przychodzić do sali dyskotekowej w Janosikowie pierwsi goście. Wybierali się wszyscy, tłum więc z wolna gęstniał, zgiełk rozmów narastał. Niektórzy zajmowali zawczasu strategiczne pozycje przy ekranie telewizyjnym, inni pogadywali ze znajomymi, jak na przykościelnym parkingu. Ale wszyscy, nie wyłączając klienteli Grupy Wsparcia, która też przybyła tu bez wyjątku, byli skupieni i poważni. Mieli w końcu zetknąć się ze sztuką najwyższego lotu, transmitowaną z prestiżowej sali koncertowej. Z drugiej zaś strony nie wyczuwało się kompleksów wobec wielkiego świata. To on miał teraz popisywać się i wkładać w łaski publiczności. Pogodna znała swoją wartość. Sam Rubinstein musiałby się tu postarać.

Zgodnie z regułami gatunku najpóźniej zjawił się na sali bohater spotkania z towarzyszącym mu orszakiem – rodziną, gospodyniami domu trzech sióstr, księdzem Antonim, serdecznie witany przez wikarego, z którym miał dobre relacje, i liczną reprezentacją starych znajomych pani Weroniki, też przecież, jak było Marcie wiadomo po jej urodzinach, wrażliwych na muzykę. Na znak ciotki Adeli urządzono panu Jankowi stosowną owację, a on – zakłopotany tym entuzjastycznym przyjęciem, jakby tu przyszedł z Bóg raczy wiedzieć jakim recitalem – kłaniał się i dziękował.

Wszyscy zajęli miejsca tam, gdzie to było możliwe. Ci, dla których zabrakło krzeseł, przysiedli na stołach, dzieci usadzono sobie na kolanach, a młodzież podpierała ściany lub tkwiła w drzwiach wejściowych, jak na dyskotekach.

Wkupi się czy nie wkupi w łaski ulicy Pogodnej? – zastanawiała się Marta, obserwując gości, którzy wyglądali teraz jak jakaś rada plemienna.

I oto transmisja się rozpoczęła. Dyrygent, witany w sali koncertowej jak pan Janek w Janosikowie, dał batutą znak i zabrzmiały pierwsze akordy. Orkiestra zagrała, muzyka

popłynęła łagodną falą, realizatorzy pokazali plan ogólny, zbliżenie na dyrygenta, grupę instrumentów smyczkowych, grupę instrumentów dętych, nawet zasłuchanych widzów, ale pana Janka, bębniarza, nie było. Trwało to minutę, dwie, pięć – słowem – wieczność, a bohatera wieczoru nie było widać. Dzieci zaczęły się niecierpliwić, ale dyrygent, jakby wyczuwając spadek koncentracji u słuchaczy w Janosikowie, energiczniej uniósł batutę i naraz obecnych zaatakowała potężna fala dźwięków. Dzieci zamarły struchlałe. Ale potem znowu zrobiło się ciszej, więc nawet dorośli zaczęli się już kręcić, a pana Janka jak nie było, tak nie było. Ktoś ośmielił się nawet na stronie zacząć szeptać, gdy naraz ciotka Adela wrzasnęła na cały głos:

– Jest!

W sali natychmiast zrobiło się cicho. A na ekranie pan Janek, w eleganckim fraku, stał przez chwilę z rękami uniesionymi nad wielkim kotłem, a następnie jednostajnymi uderzeniami wybił rytm.

Zaraz potem telewizyjni realizatorzy pokazali już kogoś innego. W pokoju tymczasem wciąż panowała cisza.

– Bum, bum, bum, bum – odezwał się raptem pięcioletni synek kogoś z sąsiedztwa.

– Bum, bum, bum, bum – powtórzyło inne dziecko.

Zaraz potem rozległ się śmiech. Śmiali się wszyscy, cała Pogodna się śmiała.

Tylko pani Weronika zamarła bez ruchu, a na twarzy pani Maszy malowało się strapienie. Marta w popłochu spojrzała na pana Janka. Ten siedział spokojnie, jakby lekko rozbawiony.

Teraz już niepodobna było utrzymać gości w ryzach. Transmisja koncertu trwała, ale nikt już jej nie śledził.

– To po to on się uczył pięć lat? – ktoś skomentował to i powtórzył: – Bum, bum, bum, bum.

Pan Janek z ekranu wykonał to samo, tylko w przyspieszonym tempie.

– To nasz Józek bez szkół przebiera palcami na skrzypkach jak wirtuoz, a słuchają go tylko w Grupie Wsparcia albo na cmentarzu – odezwał się niezbyt grzecznie Duży Jurek.

– Jest tu jakiś skrzypek? – spytał naraz pan Janek, wyrósłszy za plecami plotkarzy.

– Józek, pan cię woła! – krzyknął ktoś, nie bacząc na transmisję telewizyjną.

Mały Józek nie krył zdziwienia, że chce z nim rozmawiać muzyk grający w wielkich salach koncertowych, z wyższym wykształceniem i umiejący zagrać z nut: „bum, bum, bum, bum”.

– Może chce pan posłuchać, jak my gramy – odezwał się zniecierpliwiony Duży Jurek, obrawszy rolę menedżera. – Prosimy do naszego baru, tam sobie pomuzykujemy, bo tam są nasze instrumenty.

– To pan też muzyk? – spytał nie bez zdziwienia pan Janek.

– Lubię sobie pograć – odrzekł Jurek.

– Świetnie, to chodźmy – przystał na propozycję pan Janek, wyraźnie zadowolony ze zmiany konwencji tego spotkania na mniej oficjalną.

Na wieść o tym, że pojawił się pomysł przemarszu do baru, wszyscy ruszyli w stronę knajpy, pozostawiając za plecami sztywną salę koncertową. Uczyniła to nawet pani Weronika, zaskoczona decyzją wnuka i rozbawiona przebiegiem zdarzenia. Jej córki też postanowiły popatrzeć, co się będzie działo. A że i Matylda uczestniczyła dziś w tym

święcie, pobiegła przodem, aby przygotować przyjęcie i przygarnąć wszystkich w Grupie Wsparcia.

Marta oczywiście również była w tym gronie. Musiało to z zewnątrz zabawnie wyglądać – pustymi uliczkami Pogodnej maszerowało coś na kształt pochodu, korowodu czy demonstracji.

Tak chyba to widział zdumiony niezwykłą sceną Mateusz, który pojawił się w pewnej chwili na wprost idącej gromady. Zatrzymał się, przeczekał czoło pochodu, wyraźnie wypatrując kogoś w tłumie.

– Marta, co się dzieje? – spytał, gdy w końcu się na nią natknął.

Zatrzymali się, choć tłum nadal parł do przodu. Marcie, zaskoczonej jego widokiem, na dłuższą chwilę odebrało mowę. A Mateusz śledził mijających go ludzi.

– Przyjechałem – powiedział po chwili – i zastałem Pogodną tak wyludnioną i bezdzwięczną jak po jakiejś katastrofie nuklearnej. Ludzi nie ma, zostały tylko miejsca po nich. Głucho jak w leju. Strasznie dziwne to wrażenie. Skąd to wszystko?

– Będzie muzykowanie w Grupie Wsparcia – wydobyła w końcu z siebie jakiś pomruk Marta.

– A cóż to za okazja, żeby temu towarzyszyły aż takie tłumy?

Podczas gdy Marta informowała Mateusza o zdarzeniach, gromada zdołała już zniknąć na zakręcie, aby za chwilę wziąć szturmem bar Matyldy. Zrobiło się ciszej. Marta spojrzała teraz na okolicę oczami Mateusza, Pogodna była rzeczywiście kompletnie wyludniona i jakaś głucha.

– Przyznasz, że świat, który sobie wybudowaliśmy, nawet tak pogodny jak Pogodna, bez naszej obecności jest jak krajobraz księżycowy. Muszą się ludzie krzątać, psuć, brudzić i zasmradzać, bo inaczej ich dzieło sobie nie radzi.

– W filozoficznym jesteś nastroju – skomentowała Marta.

– Taki mam zawód – odparł Mateusz z uśmiechem.

I pogłaskał ją po policzku.

– Stęskniłem się – powiedział.

Chyba bardzo chciała to usłyszeć.

– Chodźmy – rzuciła zmieszana.

I ruszyli do Grupy Wsparcia. A tam ludzie poupychali się, gdzie tylko się dało, wypełniając szczelnie każdy zakamarek. Najlepsze miejsce przypadło pani Weronice i jej córkom, które chyba po raz pierwszy gościły w tych niskich progach. Przy oknie zaś na podwyższeniu uczynionym z drewnianych paneli stał już Mały Józek, do którego od strony zaplecza przeciskał się Duży Jurek, trzymający nad głową stary futerał. Mateusz chwycił Martę za rękę i ruszył za Jurkiem, żeby znaleźć się jak najbliżej estrady.

– Z żadną kobietą nie byłem tak długo jak z tymi skrzypcami! – wykrzyknął Mały Józek, przejmując i demonstrując wszystkim obecnym pomarszczony futerał, z którego po chwili wyjął skrzypce pobrudzone kalafonią.

Pana Janka poproszono bliżej.

Mały Józek drżącymi z przejęcia rękami przyłożył smyczek do instrumentu. Dźwięk, który się z niego wydobył, był chrapliwy i nieprzyjemnie ostry.

– Ja już swój wstyd przeżyłem, teraz pańska kolej – z figlarnym uśmiechem powiedział pan Janek, wyraźnie gotów stanąć w szranki.

W oczach Małego Józka też dostrzec można było w tym momencie wojowniczy błysk.

I zagrał. Dzieci zaczęły zakrywać uszy na znak, że tego nie da się słuchać.

– To nie muzyka, to rzępolenie – bąknął ktoś stojący za Martą.

Panie z domu trzech sióstr też zdawały się zniesmaczone.

A pan Janek słuchał ze wzrastającą uwagą.

Mały Józek rozgrzał się już. Jego muzyka nabierała animuszu. Grał całą swą skromną sylwetką, wymachując smykem w płasach i zawijasach. Nie popisывał się. Widać było, że tak jak teraz grał całe swoje życie. I że ta gra to całe jego życie. Było coś natchnionego w tych dźwiękach, choć z pozoru nie dało się w tym odnaleźć żadnego porządku.

W końcu wszyscy, nawet dzieci, zamilkli. Nikt nie ośmielił się łyknąć piwa.

A kobiety z domu trzech sióstr i ich goście patrzyli raz na grajka, a potem na swego Janka, z niemym pytaniem: co o tym sądzić.

A ten stał jak zamurowany.

Jakiś czas wybrzmiewała ta transowa muzyka w wykonaniu Małego Józka. Gdy skończył, zapadło całkowite milczenie. I naraz w tej ciszy rozległo się klaskanie. To klaskał pan Janek. Wszyscy inni, spojrzawszy po sobie, uczynili to samo. Rozległy się gromkie brawa.

Mały Józek stał ze skrzypcami w jednej i smykem w drugiej ręce. W oczach miał łzy.

– Jest pan świetnym muzykiem – głośno powiedział pan Janek, gdy brawa wybrzmiały.

I podszedł do niego, aby uścisnąć mu dłoń.

Wszyscy czekali, co teraz nastąpi.

– Czy mogę? – spytał tymczasem pan Janek, wskazując instrument.

Mały Józek podał mu skrzypce.

I ten wybitny specjalista od „bum, bum, bum, bum” po krótkim namyśle zagrał na nich.

Nie od początku szło mu dobrze. Zawahał się raz i drugi, próbował, mylił się. Aż w końcu zabrzmiał Mozart – fragment *Koncertu skrzypcowego G-dur*.

Ludzi zamurowało. Wszyscy stali jak zaczarowani, wsłuchani w piękne brzmienie skrzypiec. Gdyby ktoś z zewnątrz znalazł się w tym momencie na Pogodnej, nie uwierzyłby w to, co się działo. W brzydkiej budzie Grupy Wsparcia rzesza skromnych ludzi była zasłuchana w muzykę Mozarta. W ciszy, która potem zapanowała, gdy dźwięk skrzypiec ucichł, słysząc było wyraźnie szum skrzydeł anioła!

– To dlaczego pan w orkiestrze nie gra na skrzypcach? – zapytał w końcu ktoś z tłumu.

– Bo gram na perkusji – wyjaśnił pan Janek – co nie znaczy, że nie umiem na skrzypcach.

Podszedł do Małego Józka, żeby mu oddać instrument.

– Proszę coś jeszcze zagrać – zwrócił się do niego.

– O, teraz to już nie będę miał śmiałości – odparł grajek.

– To zagramy wspólnie – dało się naraz słyszeć.

To Duży Jurek przebijał się znów przez tłum, niosąc z zaplecza jeszcze dwie pary skrzypiec (jasne było, że i tu przechowywał swoje zdobycze z Allegro). Po chwili w Grupie Wsparcia grało już trzech muzyków. Zaczął Mały Józek jakąś skoczną nutę i był już potem za „prymistę”. Duży Jurek, zgrany z Józkiem – jak widać teraz było – nie tylko

w chwytaniu za kufle, zaczął mu „sekundować”. Pan Janek chwilę się przysłuchiwał, po czym wdał się w muzyczny dialog z tamtymi. Nie znał tego, co oni grali, ale znał technikę grania na tyle, że harmonijnie wpasował się w brzmienie ich skrzypiec. Pogodna zawyła z radości! Pękły wszystkie bariery i pan Janek został zaakceptowany.

A że muzyka była taneczna, aż się prosiło, by ruszyć do tańca. No i znalazła się chętna – Śmiertka zaczęła pląsać i wywijać niezgrabne hołubce, ciągle objijając się o kogoś w tym tłumie.

Mateusz, stojący tuż za Martą, nie bacząc na to, co ludzie powiedzą, położył jej głowę na ramieniu.

– Przejechałem dziś ponad sześćset kilometrów i jestem dziko zmęczony, więc znikam – wyszeptał.

Cóż miała powiedzieć, pokiwała tylko głową.

I przyłączyła się do reprezentacji domu trzech sióstr.

– To naprawdę wybitny skrzypek – powiedział o Małym Józku pan Janek, gdy wkrótce potem wracali, pozostawiwszy w barze wielu innych rozbawionych ciągle jeszcze muzyką – rękę ma już niepewną ze starości i z alkoholu, ale muzycznego ducha za stu!

Marcie te słowa utkwily w pamięci.

– A ja idę o zakład, że teraz cała Pogodna polubi poranki symfoniczne w telewizji – skomentowała całe to zdarzenie pani Masza, dumna z edukacyjnego aspektu wizyty syna na Pogodnej – i będą wypatrywać zbliżeń perkusisty we fraku, który stoi nad wielkim bębniem i robi: „bum, bum, bum, bum”.

* * *

W domu trzech sióstr długo jeszcze komentowano wydarzenie dnia. Pan Janek nie krył uznania dla samorodnego talentu Małego Józka. A że znalazł się tu też ksiądz Antoni, wyszło na jaw, że pełni on wobec Małego Józka funkcję anioła stróża. Gdy ktoś przy stole zastawionym smakołykami westchnął, że grzech marnować talent, topiąc go w gorzałce, ksiądz dobrodziej zaprotestował.

– Nagrzeszył wcześniej – oznajmił – a teraz to dla niego czas pokuty. W najlepszym momencie swego życia, gdy go wszędzie proszono na granie, spotkał kobietę fatalną, która sprawiła, że porzucił dla niej rodzinę. Tę historię opowiedziała mi kiedyś jego córka, która wprawdzie go odnalazła i za moim pośrednictwem roztoczyła nad nim dyskretną opiekę, ale widzieć go nie chciała. Wedle jej relacji pewnego dnia, wyjeżdżając na jakieś wesele, zostawił na stole w domu list do jej matki, w którym napisał, że nie potrafi już dłużej być z dala od tej, którą naprawdę i jedynie kocha, i żeby mu wybaczyć – „wrażliwemu artyście” – jak sam siebie określał. Jego zniknięcie nie było ostatnim dramatem – kontynuował swą opowieść dobrodziej. – Wkrótce potem porzucona żona zmarła po udarze mózgu. Panowała powszechna opinia, że przyczyną była jego zdrada, strach przed samotnym wychowywaniem trójki dzieci i wstyd przed całą wsią, w której mieszkali. Inni mówili, że umarła z miłości do męża, wybitnego wiejskiego muzykanta, który na skrzypcach potrafił wygrywać cuda. Dzieci obwinały ojca o tę śmierć i znienawidziły go. Córka opowiadała mi, że w dzień pogrzebu matki w ataku hysterii podała wszystkie jego fotografie, nawet ich ślubną wiszącą nad łóżkiem.

Wszyscy słuchali, a ksiądz, popijając herbatę, opowiadał dalej.

– Dzieci trafiły do starej babki, która je potem utrzymywała ze swej renty. A Józek zajęty swą muzyką i swą muzą nie interesował się tymi, których porzucił. O przedwczesnej śmierci żony przez lata nic nie wiedział. Cud, że te dzieciaki wyszły na ludzi. Dwójka poszła do miasta, a najstarsza została na tym lichym gospodarstwie, które przypadło jej po matce i babce, i do dziś ledwo przedzie. Nic dziwnego więc, że gdy po latach Józek naraz zjawił się, rozpytując o rodzinę, córka przegoniła go na cztery wiatry. On twierdził, że chce się ustatkować, ale był już wówczas zmarnowanym życiem pijanicą. Nie znalazłszy pomocy u córki, przywłókł się w nasze okolice, gdzie schronienie dała mu z litości rodzina jego brata. Tyle że trzymają oni go teraz w strasznych warunkach, w piwnicznej izbie swojej dużej chałupy. Córka jakoś się o tym dowiedziała, trochę ruszyło ją sumienie i przysłała z tym do mnie. – Nic mnie nie obchodzi jego życie – powiedziała – tak jak jego kiedyś nie obchodziło nasze życie, ale gdyby już na niego naszła jakaś straszna bieda, to niech ksiądz zawiadomi. I dała jakąś kwotę na ofiarę, prosząc, aby mu chleba nie zabrakło, ale aby też tego, co daje, nie przepił. No to go nasze siostry zakonne z Janosikowa żywią, a jak mu się kiedyś zdarzyło poważnie zachorować, to i opiekę medyczną mu zagwarantowały.

– A co znaczy, że żyje w piwnicznej izbie? – spytał pan Janek, zaciekawiony tą opowieścią.

– Jak pan chce, to możemy go odwiedzić. Ale uprzedzam, że to niskie progi.

Janek chciał. Chciała też przysłuchująca się tej opowieści Marta.

Następnego dnia wybrali się tam we trójkę. Mimo protestów pani Maszy zazdrosnej o to, że jakiś stary pijak kradnie synowi czas, który miał być poświęcony tylko jej.

Wkrótce potem znaleźli się przy furtce solidnie wyglądającego domu. Tu mieszkała rodzina Józkowego brata. Brama natychmiast otworzyła się przed księdzem, a on wszedł jak do siebie i skierował się w głąb posesji, po drodze pozdrowiwszy gospodarzy, którzy wyjrzeni przez okno na parterze. Machnął do nich na powitanie, widać było, że często zdarza mu się tu bywać. A że był z jakimiś ludźmi, nikogo nie dziwiło, pewnie potraktowano ich jako jakichś urzędników z opieki społecznej.

Z tyłu domu znajdowało się ukryte w gęstych krzakach wejście do piwnicy. Trzeba było zejść schodami kilka stopni w dół. Za drzwiami panował nieopisany zaduch i smród. Wnętrze wyglądało jak komórka na narzędzia. Ściany były osmalone, zamiast podłogi klepisko, i jasne było, że nikt od dawna tu nie sprzątał. Z jednej strony była kotłownia, wypełniona miałem węglowym i porąbanym drewnem, a z drugiej – w pierwszej chwili niewidoczne z powodu panującego tu półmroku – kolejne drzwi. Ksiądz zapukał w nie raz, ale odpowiedziała mu cisza. Gdy jednak ponowił próbę, rozległ się jakiś zwierzęcy bełkot. Po chwili otworzył im kompletnie pijany Mały Józek. Ksiądz Antoniego poznał od razu i bardzo się stropił.

– Proszę wybaczyć, proszę księdza – wybełkotał – ale po wczorajszym przyszedł kolega i żeśmy się trochę zasiedzieli.

– A o której przyszedł, skoro teraz pora obiadu?

– Strasznie mi wstyd – polubownie odezwał się Józek, licząc pewnie na powszechnie znaną pobłażliwość kapłana.

– A ja ci, Józek, przyprowadziłem gości – powiedział dobrodziej, z trudem ukrywając obrzydzenie.

– O Jezus! – jęknął Józek na widok pana Janka i Marty, odruchowo próbując uładzić potargane resztki włosów.

– Ty nie wzywaj, chłopie, Pana Boga nadaremnie! – huknął groźnie ksiądz.

– Dziś nie, proszę! Przyjdźcie jutro! – starając się opanować bełkot, poprosił Józek.

Marta przez ramię księdza dostrzegła jakiś barłóg, na którym leżały sterty szmat przypominające pościel, na stole zaś widoczne były ślady libacji.

– Tak chyba będzie lepiej – przyznał ksiądz, zwracając się do towarzyszy – żebyśmy dziś mu odpuścili.

I zrobił w tył zwrot. Marta i pan Janek bez słowa ruszyli za nim. Odprowadzały ich krzyki Józka:

– Ale przyjdźcie jutro koniecznie! Od czwartej będę czekał! Obiecuje dobrodziej?!

Gdy po chwili z ulgą wydobyli się z tych piwnicznych mroków, zobaczyli twarz Józka w małym brudnym okienku. Machał do nich, powtarzając: „Przyjdźcie!”.

Pan Janek był poruszony tym, co zobaczył.

– Przyjdźmy jutro – powiedział tylko.

Ksiądz Antoni dał znak gospodarzom, że wizyta się nie udała. Ze zrozumieniem pokiwali głową.

– Pytałem ich, czy nie mogliby go tutaj trzymać w lepszym pomieszczeniu, ale powiedzieli, że nie mają miejsca. Może to i prawda – westchnął dobrodziej, który wyraźnie był z tych, którzy lubią widzieć ludzi lepszymi, niż są. – A z tym pić to nie jest aż tak źle, jak mogłoby wyglądać. On nie pije dużo – piwo po robocie, trochę zagęszczone czymś mocniejszym. Tylko czasem jeszcze zagalopuje się tak jak dziś, ale to z powodu wczorajszych emocji.

Rozstali się z hasłem: do jutra.

– Powinniśmy przyjść – zaapelował jeszcze ksiądz Antoni – bo na jutro to on na pewno się przygotowuje.

I rzeczywiście, gdy przyszli następnego dnia o czwartej, znaleźli go niecierpliwie wyglądającego przez okno. Na pierwszy rzut oka widać było zmianę.

– Nawet okulary założył, żeby przyzwoicie wyglądać – bąknęła Marta zaskoczona.

– Tak się bałem, że nie przyjdziecie – odezwał się Józek, otwierając im drzwi.

Zachowywał się jak skarcony sztubak.

Był w białej koszuli, ogolony, okulary dodawały mu nieco powagi i dostojeństwa. Tylko skarpetki miał dziurawe, ale starał się to ukryć. Wokół też było wysprzątane. Barłóg zasłany, na stole przygotowane herbatniki i szklanki z wsypaną już kawą.

– Pooglądajcie te foldery – powiedział, podając zawczasu przygotowane druki – a ja zagotuję wodę.

Wśród zdjęć było i takie, na którym pręży się Józek otoczony przez członków swej kapeli.

– Występowaliśmy wtedy we Francji – wyjaśniał, krzątając się – a potem zaprosili nas nawet do Lourdes. To były najpiękniejsze dni w moim życiu.

No i na co ci przyszło – pomyślała Marta, porównując wielką estradę, na której stoją na zdjęciu, i ten loch, w którym żył teraz. Bo jego wysiłki, aby wokół było porządnie, unaocznily całą nędzę, w jakiej się znalazł: zamiast naczyń plastikowe kubeczki i talerze, słoiki, stara kuchenka, a na ścianie obok upstrzonych przez muchy świętych obrazów liczne dyplomy i wyróżnienia na konkursach i festiwalach.

Temu przyjrzał się pan Janek ze szczególną uwagą.

– Trochę nagród się zebrało, trochę świata się widziało – nieco chełpliwym tonem przemówił Józek, z wyraźnym zadowoleniem przyjmując zainteresowanie muzyka.

– A jak można panu pomóc? – spytał pan Janek, gdy po chwili usiedli za stołem, żeby wypić przygotowaną kawę z fusami i zjeść po herbatniku.

Niepodobieństwem było odmówić poczęstunku, choć ta uczta u wszystkich wzbudziła lekkie obrzydzenie.

– Mnie nie trzeba więcej niż to, co mam – odparł Mały Józek – „na kieliszek chleba”, jak to się mówi, starczy. Byleby móc jeszcze czasem zagrać dla ludzi.

Znów staremu grajkowi zaszklily się oczy.

– Jak ja kocham grać – westchnął – bo Boga doświadcza się oczami w bardzo rzadkich momentach mistycznych uniesień, dostępny On jest natomiast przez uszy. Możemy słyszeć Boga, o wiele rzadziej Go oglądać. Prawda? – zwrócił się do pana Janka jak do swojego.

A ten oniemiał z wrażenia. Ksiądz Antoni pokiwał głową z zadowoleniem.

Chyba to on pozwolił Józkowi uświadomić sobie tę prawdę – pomyślała Marta. Zawstydzony Józek zamilkł.

Nie siedzieli już długo. Cóż bowiem więcej można było powiedzieć. Ci dwaj panowie muzycy, dla których to spotkanie urządzono, nie mieli ze sobą wiele do gadania. Ale zagrać mogliby niejedno...

Na pożegnanie pan Janek wyciągnął dłoń do Józka. Uścisnęli sobie ręce dwaj muzycy; każdy z nich znał swoją wartość i cenił drugiego. Józkowi większego prezentu pan Janek zrobić nie mógł.

– I jak tu starego winić, że młody narozrabiał – powiedział ksiądz Antoni, gdy wyszli wkrótce potem z Józkowej piwnicznej izby.

– A taki to uzdolniony człowiek – dodał pan Janek, wyraźnie poruszony tym spotkaniem i mizérią życia Małego Józka.

* * *

Tymczasem, głównie dzięki staraniom Kacpra, „mostek kapitański” na stryszku powoli stawał się zdalny do użytku. Ten chłopak powinien się znaleźć w domu trzech sióstr o wiele wcześniej, bo nie tylko książki go fascynowały, ale też dla niego cała ta graciarnia, którą nieustannie było to miejsce, była prawdziwą wyspą skarbów. Uwielbiał znikać w różnych zakamarkach, w tych licznych „zapomnianych pokojach”. A z nich najatrakcyjniejszy okazał się właśnie „mostek kapitański”. Bo jeśli w innych pomieszczeniach podłoga zawałona była papierzyskami, bibelotami i pamiątkami, to ten stryżek był prawdziwie „chłopaćką” przygodą. Był to niegdyś schowek nieżyjącego już brata pani Weroniki, który był zapalonym majsterkowiczem i trzymał zawsze miliony jakichś części czegoś, czego dawno już nie było, „bo może się jeszcze przydać”. Kacper miał więc teraz używanie, bo w gąszczu różnych śrubek, sprężyn i gwoździków pani Weronika nie miała najmniejszego zamiaru sprawować nadzoru właścicielskiego. No i dokonywał różnych dziwnych odkryć. Jak choćby wtedy, gdy pokazał domownikom rozsypujące się stare tekturowe pudło, w którym były zgromadzone w wielkiej ilości czarne paskudztwa.

– Co to jest, na Boga! – wrzasnęła na ten widok pani Masza.

– Proszę się nie bać – cicho oznajmił chłopak, zanurzając dłoń w kłębowisku obrzydliwych gadów – to nieprawdziwe.

Były to gumowe zabawki imitujące różne żaby, węże i pająki. A wszystko jak żywe.

– Nie było odpustu, żeby mój brat dla swoich dzieci nie kupił takiej paskudy – wyjaśniła spokojnie pani Weronika, też grzebiąc w tym zbiorze.

Wszystko to oddała Kacprowi.

Skarbami dla niego były też stare modele samochodów, które zbierał w dzieciństwie pan Janek, albo bardzo leciwy ołowiany żołnierz, któremu jako jedynemu udało się przeżyć wszystkie wojenne zawieruchy.

Dostawał wszystko, o co prosił. Zwłaszcza pani Masza, zgodnie z oczekiwaniami Marty, zagięła na niego swój profesorski parol, dostrzegłszy chyba w chłopaku „edukacyjny potencjał”.

I tak pomалу – zbierając, sortując, wyrzucając – Kacper w duecie z Martą stworzyli „na mostku” przedpole dla remontowej ekipy Józefa Ziutka. Na swój specyficzny sposób zaprzyjaźnili się też trochę ze sobą. Marta polubiła obecność Kacpra. Teraz podobało jej się to, co tak raziło ją na początku – powaga chłopaka, jego niedziecięca powściągliwość i dobre współdziałanie. I to, że oboje lubili Mateusza.

A jego znów nie było. Martę kusiło, by zapytać o niego Kacpra, ale się wstydziła. Chyba oboje trochę go wypatrywali. Ale żadne się nawet nie zająknęło.

Józef Ziutek wspierany przez Grupę Wsparcia wszedł do pokoiku na pięterku z frontem robót. Gdy zatriumfował pędzel i kielnia, a dziury w dachu zostały zaszpuntowane jakimiś gipsami i betonami, Marta w asyście trzech gospodyń ponownie i na dobre zawiesiła na ścianie swój ulubiony obraz, symbolicznie wchodząc w posiadanie tego wnętrza.

– Proszę się tu czuć jak u siebie w domu – z ciepłym uśmiechem oświadczyła pani Weronika – bo też jest tu już pani na prawach domownika. Jakkolwiek pani by to miejsce nazywała, dla mnie jest ono już i będzie „pokoikiem pani Marty”.

Dalszym ciągiem ceremoniału było wniesienie – za pozwoleniem gospodyni – wybranego przez Martę ze Sklepu Rzeczy Niekoniecznych starego drewnianego łóżka, do którego pasowały wyłącznie poduszki z gęsiego puchu i pierzyna. Znalazły się i one. Potem pod okienkiem stanęło małe biurczko i fotelik. Jeszcze półka na książki i pięknie zdobiona stara skrzynia drewniana na ubrania. O większej ilości rzeczy Marta nie chciała słyszeć, wszystkie inne bowiem jej proponowane w ogromnej obfитоści uznała nie tylko za niekonieczne, ale nawet niepotrzebne.

Gdy po części oficjalnej wszyscy udali się do swoich zadań, Marta zatrzymała się tutaj w nabożnym skupieniu. Ten maleńki skrawek przestrzeni ciągle jeszcze nie był jej miejscem, był „dzierżawiony”, ale tylko jej poświęcony.

Usiadła na łóżku. Zaskrzypiało przyjaźnie. Położyła się. Sprężyny z cichym skrzypieniem uległy ciężarowi i Marta zapadła się lekko w dół. Pierzyna przytuliła się do niej, otaczając po bokach. Spojrzała na obraz. W półmroku, który tu teraz panował, nie było widać pokoju ani dziewczyny siedzącej na pierwszym planie, tylko świetlistą poświatę majaczącą na końcu korytarza, w którą wpatrzona była postać. Marta też się w tę świetlistość zapatrzyła.

I wtedy skrzypiec zaczęły schody prowadzące na „mostek kapitański”, a po chwili, poprzedzany przez Kulasa, jak zwykle nie wiadomo skąd, zjawił się Mateusz.

– To twój pokój? – spytał, rozglądając się wokół.

– Od tej chwili – przytaknęła Marta.

– Jestem pierwszym gościem?

– No tak.

– No, to witaj na Pogodnej. – Mateusz przysiadł na krześle i spojrzał w okno. – I jakie krajobrazy – dodał, spoglądając w przesłonięty gałęziami widok łąki i lasu na horyzoncie.

Marta spostrzegła, że będąc teraz „na swoim”, zyskuje pewność siebie.

– Znów byłem w drodze – oznajmił.

– Nie musisz się tłumaczyć – odparła Marta, nie ruszając się z łóżka.

– Ale przyjdź dziś wieczorem – zaproponował – bo odbędzie się inauguracja sezonu jesiennego.

– To znaczy?

– Na stacji po raz pierwszy po lecie zapłonie kominek.

– To takie wielkie halo? – W głosie Marty można było chyba wyczuć chłód.

– Przyjdź, to zobaczysz – rzucił Mateusz i ruszył do wyjścia.

Nie wysilił się z tym zaproszeniem – po jego wyjściu pomyślała Marta.

Uważała, że może nie powinna iść, bo nie można lecieć tak na pierwsze lepsze gwizdnięcie. Ale poszła.

I zastała nietypową imprezę. Stroje obowiązywały osobliwe. We wnętrzu stacji zobaczyć można było trzech kotlarzy czy kominiarzy, od stóp do głów pokrytych sadzą. W półmroku, który jak zwykle tu panował, widać było tylko białka ich oczu, reszta wtapiała się w tło. A byli to – od największego do najmniejszego: Cholewa, Mateusz i Kacper, wszyscy trzej zaangażowani w uzdatnianie przez miesiące nieczynnego kominka, którego niedrożność spowodowała totalne zapylenie. Tylko Kulas, choć też się tu krzątał, jak mógł, nie zmienił koloru i był jak zawsze czarny niczym diabeł.

– Dobrze, że jesteś – odezwał się Mateusz na widok Marty – to nam potrzywasz szlauch, żebyśmy się umyli.

Wyszli do zapuszczonego ogrodu, pełnego przekwitających badyli, aby w ich gąszczu poszukać końcówki zapodzianej gdzieś gumowej rury. A gdy ją znaleźli i odkręcili kurek z wodą, pomału spływać z nich zaczęła czarna barwa. Towarzyszyły temu piski Kacpra, prychnania Mateusza i dudnienie Cholewy. Przemarzli przy tym, a i Marta, usługując im, też zmoczyła się trochę, gdy więc po tych ablucjach mokrzy wrócili do domu, przylgnęli do kominka, który niespiesznie, ale coraz gorliwiej zaczął świecić i grzać. Do ratowania się przed chłodem posłużyła też niewyczerpująca się chyba nigdy butla z winem, od którego wymówił się tylko Cholewa. Marta bohatercko uruchomiła maszynkę, aby przygotować coś ciepłego do picia. Nie tylko znalazła czajnik, ale nawet gwizdek, który nałożyła mu na dziób.

Przy kominku zapanował błogostan. Wszyscy zlegli w pozach dowolnych i grzali się.

Dla Kacpra znalazły się jakieś herbatniki. Były bardzo pokruszone.

– Przydałby się do nich jakiś lekarz, bo nie obejdzie się bez szycia – zadudnił Cholewa, wykładając je na talerz.

I rozłożył się na podłodze, z której natychmiast poderwał się z krzykiem, aby po chwili z kieszeni wilgotnych jeszcze spodni wyjąć pomiętą i zamoczoną książkę.

– Ale się źle obszedłem z Dobrą Nowiną! – zagrzmiął, starając się wyprostować stronicę książki. – Miałem ją wysuszyć, a zamoczyłem.

Nikt nie rozumiał, o czym on mówi.

– Dziś przed południem, jak wracałem na piechotę od twego ojca – zwrócił się Cholewa do Kacpra – zobaczyłem zawieszoną na płocie jak garnek gliniany książkę,

zdeformowaną już od wilgoci, z powyginaną okładką, na której widniał tytuł: *Jezus cię kocha*. Nie wiem, kto tę wiadomość zawiesił tak na płocie, nie wiem, do kogo była ona skierowana, ale uznałem, że jeszcze chwila i książczyna zmarnuje się na amen, więc ją wziąłem, żeby teraz podniszczyć jeszcze bardziej.

To był *Katechizm dla dzieci* ozdobiony rysunkami.

– Trzeba ją podłożyć pod inne, to się wyprostuje – zaproponował Kacper, przejmując książkę, i zniknął w tej zacienionej części domu, która wypełniona stertami tomów zwana była biblioteką.

Kominek cicho i ciepło płonął.

Naraz rozległ się dźwięk gwizdka, który zawiadomił, że woda się zagotowała. Marta rzuciła się w stronę czajnika z zamiarem wyciszenia go.

– Nie można tak od razu lecieć, jak tylko na ciebie zagwizdzą – skarcił ją Cholewa, przeciągając się leniwie.

Dziś już o tym myślałam – przypomniała sobie Marta.

– Tym bardziej że chyba nikt nie będzie pił herbaty – dodał Mateusz, popijając wino.

Cholewa chciał.

– A dlaczego na tej fotografii jest z tyłu napisane: „Puszczykowi tata”? – spytał raptem Kacper, który wychynął na powrót z mroku, trzymając w garści skromnie oprawioną fotografię, która musiała gdzieś stać wśród książek.

Cholewa wyciągnął po nią dłoń, aby przyjrzeć się wizerunkowi, a potem podał ją Marcie. Na zdjęciu, dość konwencjonalnym, widoczny był dojrzały mężczyzna i chłopak mniej więcej w wieku Kacpra. Obaj z powagą patrzyli w obiektyw.

Zapadła pełna oczekiwania cisza. Wszyscy czekali na to, co Mateusz powie, o ile w ogóle odpowie.

– Ale to wielka tajemnica, którą mogę powierzyć tylko przyjaciółom – oznajmił w końcu. – Czy jesteście moimi przyjaciółmi?

– Taaak – za wszystkich zadudnił Cholewa, jak prymus w szkole.

– Trzeba się cofnąć w odległe czasy – cichym głosem rozpoczął opowieść Mateusz.

– W naszej rodzinnej pamięci zachowała się opowieść o dziadku Kalinowskim. Był on śledczym. To za jego sprawą przestępcy trafiali do więzienia.

– Detektyw? – dopytał Kacper.

– Tak – potwierdził Mateusz. – No i razu pewnego na podstawie dowodów zgromadzonych przez dziadka Kalinowskiego wsadzono do ciupy pewnego złodzieja. A ten poprzysiągł zemstę. „Ucieknę stąd! – krzyczał jeszcze podczas rozprawy w sądzie, zwracając się w stronę dziadka – i cię zabiję”. Dziadek, nawykły w swej pracy do słuchania takich pogroźek, spokojnie wrócił do domu, gdzie czekała na niego babcia Kalinowska i cały zwierzyniec. Bo trzeba wam wiedzieć, że dziadek Kalinowski bardzo kochał zwierzęta. Miał psy i koty, ale najosobliwszym stworzeniem był puszczyk.

– Puszczyk – powtórzył Kacper, który tylko na to czekał.

– A puszczyk to co to takiego? – belferskim tonem spytał Kacpra Cholewa.

– Ptak – odpowiedział chłopak.

– A coś więcej?

Kacper nie wiedział.

– No to poszukaj – Mateusz też wszedł w rolę nauczyciela.

Kacper bez wahania podszedł do jednej ze stert i po chwili miał już w garści atlas ptaków, w którym odnalazł wizerunek puszczyka i króciutki opis:

– *Najczęściej występująca sowa. Ptak ten żyje samotnie, nie w stadach, prowadzi nocny tryb życia, odzywa się donośnym hukaniem. Żywi się myszami.*

– Ja też lubię nocne życie i czasami pohukuję na ludzi – z uśmiechem skomentował Mateusz – ale wracając do opowieści: ktoś kiedyś przyniósł do dziadka znalezione w lesie pisklaka. Wszyscy w okolicy znali bowiem miłość dziadka do zwierząt. Cudem udało się odratować ptaka. I oto dziki puszczyk zaprzyjaźnił się z dziadkiem Kalinowskim. A była to przyjaźń tak wielka, że nie rozstawali się ze sobą nawet nocą.

– Spali razem? – spytało zdziwione dziecko.

– Tak – potwierdził Mateusz.

– Jak to możliwe?

– Otóż puszczyk sypiał... na głowie dziadka Kalinowskiego. A żeby nie wczepiał się pazurami w resztki włosów dziadka i w jego łysinę, babcia Kalinowska uszyła dziadkowi specjalną szlafmycę, taką czapkę do snu, na której ptaszysko przysiadło. Nieraz zdarzyło się zresztą, że puszczyk zrobił kupę na głowę dziadka, co dzięki szlafmycy było łatwiejsze do zniesienia.

– I to nazywasz przyjaźnią? – zapytał nieufnie Kacper.

– Tak – potwierdził z powagą Mateusz. – Przecież ptak nie wie, co to ubikacja.

– No tak – zgodziło się wielkodusznie dziecko.

– Tymczasem – kontynuował Mateusz – zbrodniarz osądzony na podstawie dowodów dziadka nie zrezygnował z zemsty. I oto pewnego razu udało mu się zgodnie z obietnicą uciec z więzienia. Pierwsze kroki skierował do domu dziadka Kalinowskiego. Każdy bowiem w mieście wiedział, gdzie mieszka sędzia śledczy.

Kacper aż przysiadł, zafrapowany opowieścią.

– Była letnia noc, dziadek spał na parterze swego domku, a okno jego sypialni wychodzące na ogród było otwarte. Tam właśnie zakradł się przestępca, zdecydowany za swoje krzywdy zabić dziadka Kalinowskiego. Starał się podejść do okna bez szmeru i skradał się tak cicho, że człowiek by go nie usłyszał. Ale puszczyk nie człowiek, ptak rejestrujący w nocy najdrobniejsze sygnały przebudził się, uniósł skrzydła i zaczął pohukiwać.

– I co było potem? – zapytał podniecony Kacper.

– Prerażony zbrodniarz rzucił się do ucieczki – odrzekł Mateusz – a obudzony przez puszczyka dziadek zaczął go gonić. Tak więc puszczyk, ostrzegając dziadka przed niebezpieczeństwem, uratował mu życie.

Kacper był pod wrażeniem opowieści. Ale i pozostali też przysłuchiwali się tej historii z wielką uwagą.

– Wieść niesie – dodał Mateusz po chwili – że ten niedoszły zabójca dziadka zwariował później i opowiadał, że diabeł mieszka w głowie dziadka Kalinowskiego, ma kształt straszliwego ptaszyska, a jak stamtąd wyskakuje, to potwornie huczy.

Zapadła cisza.

– Czy ciebie nazywają „Puszczykiem”, bo uratowałeś komuś życie? – zapytał w końcu Kacper, przerywając milczenie.

– Bo ja wiem – zagadkowo odpowiedział Mateusz i szybko wrócił do opowieści. – Byłem mniej więcej w twoim wieku, kiedy tę historię opowiedział mi mój ojciec. Wkrótce potem zapytano mnie na zbiórce harcerskiej, jak wyobrażam sobie prawdziwego

przyjaciela. Wszyscy chłopcy opowiadali o swoich kolegach albo o bohaterach literackich, a ja opowiedziałem historię o dziadku Kalinowskim i puszczyku. Koledzy wyśmiali mnie. Najbardziej zabawne w tej opowieści wydało im się, że ptak robił kupę na głowę dziadka. No i przewali mnie Puszczyk. Najpierw bardzo się tego wstydziłem, potem zacząłem być dumny.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Ale posłuchajcie, jaki był koniec tej historii. Dziadek Kalinowski zmarł pierwszy. Gdy to się stało, puszczyk przefrunął na piec, usiadł na nim i zmarł w bezruchu. Wszyscy domownicy starali się skłonić go, aby coś zjadł. Na próżno. Ptak, który pozwalał się dotąd karmić tylko dziadkowi, teraz od nikogo innego nie chciał przyjąć jedzenia. I tak po kilku dniach nieruchomego tkwienia na piecu puszczyk zmarł z głodu.

Kacper, słuchając zakończenia tej historii, odruchowo przytulił się do Cholewy.

Przez chwilę wszyscy trwali bez ruchu, po czym Mateusz zabrał się do podrzucania drewna do kominka.

– No, była już bajka na dobranoc, a teraz czas spać – bardzo cicho jak na siebie oznajmił Cholewa i zaproponował, że swym dracznym motocyklem odwiezie chłopca do domu, co pozwoli rozproszyć smutek tej opowieści.

Marta też zaczęła zbierać się do wyjścia, gdy naraz poczuła dłonie Mateusza na swoich ramionach.

– Zostań, proszę, jest noc, więc puszczyk musi sobie upolować jakąś myszkę.

* * *

Rano, po gorącej nocy, powiało chłodem.

– Dziś w nocy wyjeżdżam, i to tym razem na dłużej, bo prawie na miesiąc – oświadczył Mateusz, krzątając się przy jajecznicy. – Zostawię Pogodną pod twoją opieką.

– Jasne – przyjęła do wiadomości Marta i straciła ochotę na jedzenie.

Dziś miała blisko do pracy, ale nie był to tak radosny marsz jak poprzednio. Zaskoczył ją chłód komunikatu o wyjeździe. Nie było wyjaśnień, nie było tłumaczeń, tylko rzeczowy ton. Wszystko to mocno kontrastowało z czułością i żarem, jakiego doświadczyła wcześniej. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć, a jeśli chodzi o uczucia, była zdezorientowana.

Pogoda smuciła się razem z nią, pochmurna, kapiąca drobinkami okropnego jesiennego kapuśniaczku.

Mateusz jest jakiś nierzeczywisty – pomyślała ze smutkiem – bo jak uwierzyć w realność człowieka, który co jakiś czas tylko pojawia się i znika, nie wyjawiając przy tym swych intencji.

„Wolność niech się wolnością odciska” – chciała zakrzyknąć, parafrazując wieszczka, ale nie wiedziała, co by to miało w tej sytuacji znaczyć, więc postanowiła nie analizować tego stanu rzeczy.

Na szczęście czekało na nią dużo pracy i zgiełk rozmów prowadzonych przez domowników i pracowników.

Grupa Wsparcia – pomyślała Marta, spoglądając na nich z wdzięcznością, i z pasją zabrała się do roboty.

Gdy dzień pracy dobiegł końca, zdała sobie sprawę, że za żadne skarby nie chce wracać do domu i do Stefana. Zadzwoiła więc do niego i skłamała, że jest w podróży i przewozi jakieś meble ze sklepu. Był to mimowolny odwet, choć nie było jej intencją karanie Stefana za wszystkie jego „delegacje służbowe”. Nie chciała tylko go widzieć.

I tak po raz pierwszy została na noc na „mostku kapitańskim”.

Mała żarówka rozświetliła wnętrze, za oknem deszcz rozpadał się na dobre, dudniąc o nieprzeciekający już dach, a Marta zapakowała się do skrzypiącego łóżka z książką, którą już jakiś czas temu odłożyła z puli książek dla dzieci, aby w wolnej chwili do niej wrócić – z *Doliną Muminków w listopadzie*. Dawno do tej książki nie zaglądała, ale teraz wiedziała, czego szuka:

Któraś wczesnego ranka w Dolinie Muminków Włóczykij obudził się w swoim namiocie i poczuł, że nadeszła jesień i czas ruszyć w drogę[9] – przeczytała.

W książce było tak samo pochmurno jak na dworze, a także w jej duszy.

Są tacy, co zostają w domu, i tacy, co odchodzą. Zawsze tak było. Każdy może sam wybrać, ale musi to zrobić, póki jeszcze czas, i w żadnym razie nie rozmyślić się – czytała dalej.

Cholera – pomyślała, czując, że do oczu zaczynają napływać jej łzy – dlaczego zawsze znajdzie się jakiś facet, przez którego muszę płakać.

A potem przez te łzy starała się przeczytać ten fragment, który zawsze tak lubiła:

Ostatni dom stał całkiem samotnie pod ciemnozieloną ścianą świerkowego lasu i tu naprawdę zaczynało się pustkowie. Włóczykij szedł coraz szybciej, prosto w stronę lasu. Wtedy w ostatnim domu ktoś uchylił trochę drzwi i bardzo stary głos zawołał: – Dokąd idziesz? – Nie wiem – odpowiedział Włóczykij. Drzwi zamknęły się i Włóczykij wszedł w las. Miał przed sobą sto mil ciszy.

Łzy nie pozwoliły jej czytać dalej. Zamknęła oczy, co dla łez nie stanowiło przeszkody, bo wciąż płynęły. Wsłuchiwała się w szum deszczu.

Mnie jest ciepło i smutno – westchnęła w duchu – a jemu?

I zaczęła rozmyślać o Mateuszu, o tym, czego o jego życiu udało jej się dowiedzieć, a przecież nie było tego wiele. No i o sensie opowieści o Puszczyku.

On chyba jest takim ptaszyskiem, które nie tak szybko chce komukolwiek wejść na głowę – pomyślała w końcu, gdy naraz na dole, choć był już późny wieczór, usłyszała szuranie, otwieranie drzwi, a po chwili kroki na zewnętrznych schodach prowadzących do jej „mostku” i ciche pukanie.

To była pani Olga z parasolem w dłoni i w pelerynie narzuconej na szlafrok. W rękę trzymała strojny bukiet kwiatów.

– Przesyłka dla pani.

– Jak to? – zdziwiła się Marta.

– Tu jest wizytówka, na której widnieje pani imię – wyjaśniła pani Olga. – Ktoś zadzwonił do furtki, a gdy tam podeszłam, nikogo już nie było, tylko na ziemi leżał ten bukiet.

– Bardzo panią przepraszam, to przecież czyste szaleństwo nachodzić ludzi o tej porze! – bąknęła Marta zakłopotana.

Jej pierwsza noc w domu trzech siostr i od razu skandal.

– Przecież to nic złego otrzymać taki piękny bukiet – odparła pani Olga, wyrozumiale się uśmiechając – a ja w takiej sprawie zawsze gotowa jestem zostać posłańcem.

I zniknęła, życząc dobrej nocy.

Marta spojrzała na dołączony do kwiatów bilecik. Po jednej stronie widniało jej imię. Po drugiej nazwa firmy: Nocne Pogotowie Ogrodnicze.

Wiedziała już, kto był darczyńcą. Odzyskała pogodny nastrój. Weszła do łóżka, które zaskrzypiało gościnnie, wtuliła się w pierzynę i wróciła do lektury.

Teraz nadszedł czas, żeby powstała piosenka o deszczu. Włóczyki nasłuchiwał i czekał. Ale pięć taktów nie przychodziło. Czekał dalej, wcale się nie niepokojąc, bo wiedział, jak to jest z melodiami. Słyszał tylko słaby szum deszczu i ściekającej wody. Pomalu zrobiło się całkiem ciemno. Wyjął fajkę i zaraz schował ją z powrotem. Zrozumiał, że te pięć taktów zostało w Dolinie Muminków i że ich nie znajdzie, dopóki tam nie wróci.

* * *

Stary grajek nie mógł umrzeć lepiej – spokojnie, przy piwie w Grupie Wsparcia. Znacznie gorzej niż on znieśli to jego przyjaciele.

– Pił, a potem runął na ziemię – opowiadał potem Marcie jego najserdeczniejszy druh, Duży Jurek. – Strasznie zbladł, nie było z nim żadnego kontaktu. Matylda zadzwoniła na pogotowie. Rozmowa z dyspozytorką trwała dłużej niż jego umieranie. Leon trochę się temu umieraniu poprzyglądał, a potem wyciągnął lusterko i podstawił Józkowi pod nos. „On nie żyje” – stwierdził. „Zaczekajmy na pogotowie” – powiedziałem ja niemądrze, bo to zabrzmiało tak, jakbym prosił Józka, żeby wstrzymał się z tym umieraniem. Byłem w szoku. Nigdy jeszcze nie byłem świadkiem śmierci. „To takie proste?” – zdziwiłem się. W końcu pogotowie przyjechało. Stwierdzono zgon. Zawał. Józkowi pękło to jego muzykalne serce. A kilka godzin wcześniej kopaliśmy w ziemi doły, żeby zarobić na piwo po robocie. Furman załatwił nam „jesienne poszukiwanie szkodników wtórnych”, tośmy w tych dołach potem zbierali poczwarki i larwy. I Józek też grzebał się w ziemi, i zbierał. A teraz to jego grzebać będziemy. Mój Boże! – westchnął Jurek głęboko poruszony śmiercią przyjaciela.

Na Pogodnej miał być pogrzeb. Cóż, leży ona na skrzyżowaniu z Cmentarną.

Dzień był piękny, słoneczny, cichy, choć już nieco mroźny.

Marta nieco spóźniona wybiegała z domu trzech siostr, aby zdążyć do kościoła na nabożeństwo, a dzwony oznajmiały ponuro, że oto kolejna osoba jest właśnie umieszczana na taśmociągu do wieczności.

Przy bramie jak zwykle kłębiły się tłumy. Żałobnicy mieszały się z przekupniami. Handlowcy z rozmachem prezentowali ofertę, wypełniając wielkie plastikowe siaty już to donicami z kwieciami, już to dziesiątkami wielkich strojnych zniczy, obowiązkowo z centralnie umieszczonym znakiem Męki Pańskiej. Ich klienci, objuczeni, wkraczali na cmentarz tak, jakby właśnie wychodzili z hipermarketu.

Tylko pani Zosi nie było dziś w jej salonie. Zrobiła sobie wolne, aby pożegnać Józka.

Gdy Marta dochodziła do kościoła, msza trwała już w najlepsze. Informowały o tym głośniki umieszczone na zewnątrz. Można więc było uczestniczyć w nabożeństwie, nie wchodząc do świątyni. Tak czynili handlarze, także ten, który tuż przy bramie kościelnej miał stoisko z grillem. Z głębi słychać było właśnie „Alleluja” zapowiadające Ewangelię,

a tu – smakowite niczym kadzidlane dymy unoszące się znad rusztu, na którym się smażyły – kielbaski, kaszaneczki, karkóweczki.

– Słowa Ewangelii według świętego Jana – rozległa się zapowiedź z megafonu.

Marta nie była pewna, ale wydało jej się, że przedsiębiorca od grilla pod nosem wyszeptał: „Chwała Tobie, Panie”. I pomyślała, że mógł teraz zostać zacytowany ustęp o wypędzeniu przekupniów ze świątyni, którego by na zewnątrz wysłuchano w nabożnym skupieniu, nie przerywając handlu. I byłoby powiedziane tak: *W świątyni napotkał siedzących za stołami bankierów oraz tych, którzy sprzedawali woły, baranki i gołębie*[10].

Ale nie to było dziś czytane.

– *Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam* – brzmiał z megafonu głos kapłana – *Jeżeli ziarno pszenicy spadnie w ziemię nie obumrze, zostanie tylko samo, ale jeżeli obumrze, przynosi plon obfity*[11].

Marta weszła do kościoła dopiero wtedy, gdy wierni usiedli, aby słuchać słów kazania.

– Spośród niezliczonych przeżytych chwil to właśnie ostatnie chwile mają wyjątkowy i niepowtarzalny charakter – mówił ksiądz Antoni, który miał w tej parafii monopol na wszystkie doniosłe ceremonie z ulicy Pogodnej. – W pewnym sensie są one kulminacyjnym momentem naszego życia. Łacińskie słowo *culmen* oznacza szczyt, wierzchołek góry. Jest to zatem takie miejsce, z którego roztacza się rozległy widok. Można więc powiedzieć, że właśnie z perspektywy umierania i śmierci najlepiej widać sens i znaczenie ludzkiego życia.

Słuchali go w skupieniu wszyscy żałobnicy. Nie było ich wielu, ale byli wierni Małemu Józkowi tak bardzo, że go nie opuścili aż do śmierci. Wystrugali mu prostą, drewnianą trumienkę, taką akuratną na jego skromny wzrost, i poawanturowali się, aby im proboszcz pozwolił, by zamiast karawanu trumnę wiózł wóz drabiniasty Furmana, którego dziś stosownie było znów nazwać Furmanem Śmierci. Proboszcz tylko na jedno zgodzić się nie zechciał – na szkapinę Furmana, twierdząc, że to nieobyczajne wpuszczać zwierzę na cmentarz.

– Konie mechaniczne mogą wjeżdżać, a żywina nie – skomentowano to niezbyt przychylnie.

I pociągnięto wóz z Józkiem siłą ludzkich mięśni. Jeszcze raz zadziałała Grupa Wsparcia. Przydał się też Cholewa ze swą niepospolitą posturą i siłą. I tak żałobnicy Józka ciągnęli wóz drabiniasty, mijając na dziedzińcu kościelnym szykowną limuzynę z napisem www.apokalipsa.pl, która właśnie podjechała, aby dokonać w kościele zmiany warty. Gdy Józek z przyjaciółmi ruszył alejką cmentarną, dzwony znów zaczęły bić – na jego pożegnanie i na kolejne powitanie, bo czterech roślących jeźdźców www.apokalipsa.pl wносиło właśnie do kościelnego wnętrza następnego nieboszczyka. A żałobnicy szli, szli, szli... Jeden kondukt uformował się już, aby ruszyć za trumną Józka, drugi gromadził się wokół kościoła w oczekiwaniu na początek ceremonii.

– To zupełnie tak samo jak „jesienne poszukiwanie szkodników wtórnych” – westchnął pan Leon na widok wykopanego grobu gotowego na przyjęcie trumny.

Kilka chwil trwała krzątania grabarzy, a wszyscy obecni przyglądali się ich wysiłkom w milczeniu. Nie znalazł się śmiałek, który by przemówił nad grobem starego grajka. Naraz jednak pogrzebową ciszę przerwał dźwięk skrzypiec.

To grał Duży Jurek, trochę fałszując, bo brakło mu mistrza, ale z wielkim zapałem.

Potem wszyscy zebrani ruszyli – jakżeby inaczej – do Grupy Wsparcia. Wytoczono niejedną beczkę. Początkowa powaga z wolna ustępowała miejsca coraz bardziej ożywionym rozmowom. Jurek znów zaczął grać. Nikogo nie dziwiło, że na stypie grajka gra muzyka.

Niespodziewanie, ku zdziwieniu wszystkich, do sali weszła... panna młoda. Światło było niezbyt mocne, nie od razu więc dało się poznać, kto to taki. Drobna, smukła sylwetka, na niej pięknie udrapowana, delikatna suknia bogato zdobiona koronką, welon, a na drobnych nóżkach małe białe pantofelki. Ruch na sali zamarł, rozmowy ucichły. Wszyscy wpatrywali się w sunącą tanecznym krokiem zjawę. Ona tymczasem zaczęła płasać, przekrzywiając wdzięcznie, dziewczęco głowę. Dopiero po chwili stało się jasne, że ową panną młodą była Śmiertka, stara pijaczka, która Józkowi przygrywała czasem na bębnie. Dziś musiała uznać, że to absolutnie wyjątkowa okazja, i wyciągnęła ze starego kufra to, co miała najcenniejszego, bo suknia naprawdę była pięknie zdobiona i pięknie też układała się na jej starej, lecz smukłej sylwetce.

Wesele Śmierci – pomyślała natychmiast Marta, która w tym gronie też jadła i piła – prawdziwej oblubienicy Józka.

Stara, zasuszona „panna młoda”, powabnie płasająca wśród knajpianych stolików, wprowadziła wszystkich w osłupienie. Tym bardziej że w jej oczach podczas tego tańca można było dostrzec łzy. Nie wiadomo było, czy śmiać się z tego widowiska, czy płakać. Powrócił smutek i melancholia, a wieczór skończył się szybciej niż zwykle.

Tydzień później na adres domu trzech sióstr dotarła przesyłka od pana Janka, syna pani Maszy. To były skrzypce dla Józka, znak pamięci i uznania od tego, który niegdyś, konkurując w Grupie Wsparcia z wiejskim muzykantom, popisowo zagrał *Koncert skrzypcowy D-dur* Wolfganga Amadeusza Mozarta.

* * *

Ale życie na Pogodnej domagało się swoich praw, konkurując ze śmiercią. Oto dnia pewnego do sklepu Marty, która nie narzekała raczej na nadmiar interesantów, wtargnęła świetna klientka, oznajmiając, że szykuje się wesele, będzie więc potrzebować wielu rzeczy „niekoniecznych”. Głównie do wypożyczenia, a nie do kupienia, ale każda transakcja przynosiła chlubę i przedsiębiorstwu, i pracownikowi.

W ten sposób Marta poznała wreszcie bliżej żonę Józefa Ziutka, która sama o sobie mówiła: „Ziutkowa”, i miała temperament Włoszki. Była ruchliwa, gadatliwa, pyskata i bardzo bezpośrednia.

– Będzie chyba z setka ludzi, wezmę więc od pani wszystkie sztucce, choćby i blaszane – oznajmiła od progu. – Ale szukam też i innych rzeczy, więc pochodzę sobie i popatrzę.

– A które dziecko się żeni? – spytała Marta, która pamiętała jeszcze z festynu liczną rodzinę Józefa.

– Jakie dziecko? – zdziwiła się klientka. – To będzie moje wesele. Chcemy się pobrać w rocznicę naszego ślubu.

– Aha – zdziwiła się Marta.

– Nasz ślub cywilny odbył się ćwierć wieku temu – wyjaśniła Ziutkowa, chyba domyślając się, że może nie wszystko jest jasne – i srebrne wesele postanowiliśmy uczcić ceremonią ślubną.

Spojrzała na Martę, jakby chciała się upewnić, czy zrozumiała. Była całkiem poważna, tylko w oczach dostrzec można było figlarne błyski.

I znikła wśród zgromadzonych rupieci.

– Dwadzieścia pięć lat temu byłam już w ciąży z Jerzykiem – gdzieś zza szaf i komód dobiegł jej głos. – O ceremonii kościelnej wtedy mowy być nie mogło, bo moja rodzina była przeciwna związkowi z Józkiem. Konflikty rodzinne sprawiły, że nie odbył się także chrzest. No i potem jakoś tak się złożyło, że przestaliśmy bywać w kościele. Dopiero gdy Jerzyk miał pięć lat, powstał problem. Któregoś dnia dziecko wróciło z przedszkola zapłakane. Jeden z maluchów powiedział, że nie wolno mu bawić się z nim, bo ani Jerzyk, ani jego rodzice nie chodzą na msze. A że ja wtedy byłam już w ciąży z Mańką, szykował się kolejny problem.

Głos Ziutkowej dobiegał z coraz to innej części sklepu, ale cały czas był donośny i dobrze słyszalny.

– „Nikt mi nie będzie podpowiadał, jak mam czcić Pana Boga” – złościł się wtedy mój Józek, ale ja tłumaczyłam, że dziecko tego nie zrozumie, tylko będzie się czuło obco. Po wielu kłótniach z mężem uzyskałam w końcu jego pozwolenie na ochrzcenie chłopaka. Czekala mnie jeszcze przeprawa z ówczesnym proboszczem naszej parafii, który niechętnie odnosił się do spóźnionego chrztu syna pary, która nie ma ślubu kościelnego. Argumentem przetargowym była Mańka.

Ziutkowa przerwała monolog, wychylając się zza jakiegoś mebla, żeby się zorientować, czy słuchaczka nadaża.

– Mańka? – spytała Marta, nie nadażając.

– Moja córka, wtedy jeszcze w brzuchu – wyjaśniła Ziutkowa, przeglądając obrusy. – Zaproponowałam dobrodziejowi, żeby sprawę załatwić hurtem i ochrzcić też maleństwo, jak tylko wychynie na ten świat. To był dobry argument. Co dwie duszyczki, to nie jedna. „Cóż to stworzenie jest winne, że rodzice chcą tkwić w grzechu?” – westchnął wtedy księżulo, przyzwalając na ceremonię. No i odbyła się ona jakby chyłkiem, przy okazji mszy, na której prawie nie było parafian. Ze względu na opory męża nie było też rodziny poza rodzicami moimi i Józka. „Ale teraz trzeba będzie uczestniczyć we mszach świętych” – powiedział proboszcz po zakończeniu i jak dzieciom pogroził nam palcem. Józek się wściekł, że „nigdy w życiu!”. No i biegałam sama z dziećmi. Nawet to polubiłam. Jerzyk też. Zaczęłam z chłopakiem rozmawiać o sprawach wiary. Jednego tylko pojąć nie umiał: dlaczego nie może o tym rozmawiać z ojcem. A Józek tkwił w uporze.

Dopiero gdy pojawił się w naszej parafii nasz ksiądz Antoni, coś się zmieniło. Józefa ujęło, jak świetny kontakt Antoni nawiązał z naszym Antkiem.

– Antek... – powtórzyła Marta, znów się gubiąc.

– Mamy trójkę – jak dziecku wyjaśniła Ziutkowa – trzeci jest Antek. On jest opóźniony w rozwoju. „Głupie dziecko”, jak w swym cudnym wierszu mówi ksiądz Twardowski. No i z tym głupim Antkiem nasz stary Antoni wszedł w taką komitywę jak nikt inny. Było to oczywiście możliwe dzięki papieskim kremówkom. Obaj je bardzo lubią, więc Antoni bez przerwy wysyła Antka do cukierni, a potem pałaszują je razem i o czymś tam gadają.

Ziutkowa kilka obrusów zdążyła już wybrać i odłożyć na bok.

– Mój Józus najpierw do Antoniego podchodził jak pies do jeża – kontynuowała opowieść. – „Ależ my nie mamy ślubu kościelnego” – wyznał już na wstępie. „Ja też nie

mam ślubu kościelnego, a to mi nie przeszkadza żarliwie wierzyć w Pana Boga” – zażartował wtedy ksiądz Antoni. Potem jednak stał się cud i mój mąż nabrał ochoty, aby chodzić do kościoła. Mieliśmy już wtedy trójkę ochrzczonych dzieci, więc powodów, żeby tam bywać, zawsze się trochę znalazło – chrzty, komunie, bierzmowania, wreszcie ślub naszego Jerzyka. Tyle że my starzy nie spowiadaliśmy się i nie przystępowaliśmy do komunii.

Żeby klientce było wygodniej i żeby nie musiała podnosić głosu, gdy przechodzi w odleglejsze rejony sklepu, Marta podążała już teraz krok w krok za Ziutkową, słuchając jej opowieści.

– Zaczęło się zbliżać nasze srebrne wesele – kontynuowała klientka. – Rozpoczęły się narady, jak najlepiej uczcić ten jubileusz. Pierwszym pomysłem była egzotyczna wycieczka, rodzina już chciała zrobić składkę, ale wtedy nasze dzieci wymyśliły ten ślub. Ile to się Józek nazłościł, zanim się zgodził! A ja, szczerze mówiąc, od początku uznałam, że nie może być lepszego pomysłu na tę rocznicę. Na wieść o tym zrobiło się w naszej rodzinie pospolite ruszenie. Przyjechać mają wszyscy, nawet z dalekiej zagranicy. Będzie młyn nad młyny, ale ludzie tak się na to cieszą, że grzech (znów ten grzech!) byłoby im odmówić.

Na chwilę zapadła cisza, bo Ziutkowa upatrzyła sobie komplet starych kieliszków, którym przyglądać się zaczęła z wielkim upodobaniem.

– A jeszcze śmiesznie było – dodała po chwili – jak mąż powiadomił o naszym zamiarze księdza Antoniego. To było akurat wtedy, gdy odbywały się równocześnie chrzciny naszego drugiego wnuka Michasia i bierzmowanie najmłodszego syna Antka. Ksiądz zaproszony przy tej okazji do naszego rodzinnego grona radośnie zacierał ręce. „Pełno mam z wami roboty! I weź się w tym wszystkim połap – tu jeszcze dzieci, tu już wnuki”. „No to ja mam jeszcze coś dla księdza – odezwał się wtedy mój mąż z tajemniczą miną. – Co by ksiądz powiedział na to, gdybym dziś poprosił o rękę moją żonę?”. W pierwszej chwili ksiądz Antoni nie zrozumiał. „Chciałbym zalegalizować nasz związek przed Panem Bogiem” – wyjaśnił Józek, figlarnie uśmiechając się do proboszcza. Ksiądz rozpromienił się, zrozumiał sens komunikatu, ale nabrał ochoty na przekomarzanki. „No nie wiem – powiedział – czy można udzielić sakramentu tym, którzy żyją w grzechu od dwudziestu pięciu lat. Proszę spojrzeć – dodał, wskazując nasze dzieci i wnuki zgromadzone przy stole – na owoce tego grzechu!”. A owoce jak na komendę rozpromieniły się w uśmiechu. Dopięły swego.

No i teraz potrzeba dużo talerzy, kieliszków i sztućców.

* * *

Marta na dobre była już z Pogodnej. I tylko czasem jeszcze w całym tym zgiełku docierały do niej dalekie echa „tamtego świata”. Jak choćby telefon od Anki, która osobiście zaprosić chciała Martę na aukcję organizowaną w ich domu.

– Czy Stefan powiadomił cię o tym? – spytała Anka.

– Dora mi coś wspominała – odrzekła Marta zaskoczona telefonem.

Nigdy z Anką nie były blisko, jako że w gronie przyjaciół Stefana uważano Martę tylko za „osobę towarzyszącą” i „osobiście” nie zapraszano. Teraz raptem została „upodmiotowiona”.

– Zależy mi na tym, aby się z tobą zobaczyć – usłyszała. – Przecież to może być ostatnia okazja – dodała Anka łamiącym się głosem.

Chyba naprawdę obawia się tej emigracji, bo też to wielka odmiana losu – pomyślała Marta.

I postanowiła pójść.

Trafili tam ze Stefanem oddzielnie. Gdy Marta zjawiała się u Tadeuszów w niedzielne przedpołudnie, jej mąż już tam był. Wszędzie kłębił się tłum.

– Nie wiedziałam, że macie aż tak liczną rodzinę – powiedziała Marta, witając się z gospodarzami.

– Ja też nie wiedziałam – mruknęła Anka ponuro. – Sępy się zleciały. Wymyśliłam tę aukcję trochę jak oryginalny raut, który ma trwać cały dzień, a gości chciałam wyposażyć w „fanty”, żeby nas dobrze wspominali, ale nie przewidziałam, że to przysporzy mi tylu cierpień. I to nie dlatego, że krewni gotowi są rzucić się na to wszystko jak hieny, ale dlatego, że cała ta ceremonia najbardziej przypomina stypę po pogrzebie. Ciągle dziś słyszę teksty brzmiące tak, jakby mnie i Tadeusza już nie było.

– Mam nadzieję, że potem nie będę żałował, ale teraz jesteśmy przerażeni, że „lepsze jest wrogiem dobrego” – westchnął pan domu, podszedłszy do nich.

– A nie możesz się wycofać? – spytała Marta.

– Nie mogę się wycofać z czegoś, o co tak bardzo walczyłem.

– No i co było robić – Anka wróciła do tłumaczenia się z pomysłu aukcji – dom jest u pośrednika, zostanie albo wynajęty, albo sprzedany, a z rzeczami trzeba coś zrobić. My tego ze sobą nie zabierzemy.

Jak do trumny – dodała Marta w myślach.

– Rozejrzyj się – poprosiła Anka – może znajdziesz coś do swojego sklepiku.

Marta podobnie jak inni zaczęła się zatem rozglądać, choć przedmioty tu zgromadzone były w ogromnej mierze pomnikiem nowoczesności, a więc do jej staroci nie pasowały.

Z początku goście byli powściągliwi. Głupio im trochę było wyciągnąć rękę po jakiś przedmiot. Ale zachęceni przez gospodynię coraz śmielej zaglądali do różnych zakamarków willi.

– Tę kanapę załatwiłem im u hurtownika – usłyszała Marta, mijając jakąś grupę krewnych. – Pamiętam, jak się z niej cieszyli, bo to był jeden z pierwszych sprzętów w tym domu.

– Tę szafę wieźli, pamiętam, aż z Zamościa – wspominał ktoś inny. – Ania z tej okazji urządziła grilla, żeby ją nam zaprezentować.

– A to fotel znaleziony na jakimś śmietniku – dodał ktoś. – Za jego renowację zapłacili majątek!...

Gospodarze przemykali między gośćmi jak widma, ale usłudze – z kawą, z drinkami. Mówiono nawet ciszej, jak w domu żałoby, pewnie dlatego, że goście byli mocno zmieszani osobliwością tej sytuacji i czuli się skrępowani. Nie przestali jednak między sobą ustalać dalszych losów rzeczy po nich.

– Jeśli ta lodówka nikomu z was się nie przyda – oznajmił ktoś – to ją wywieziemy do nas na działkę.

– A ten telewizorek z kuchni może by był dla naszego Mikusia? – dopytywała się jakaś kuzynka w imieniu swojego synka.

– Jeśli ta lampa nie zmieści się u was w sypialni, to chętnie wezmę ją do salonu – dodał ktoś inny.

I tak dalej.

Nagle w jakimś kątku Marta rozpoznała głos swojego męża. Jakiejś młodej, nieznannej Marcie damie opowiadał o audycji telewizyjnej, do której go zaproszono. Mówił ze swadą, miał uwodzicielski wdzięk.

– I żadna kobieta nie ma wstępu do twojego serca? – spytała pretensjonalna gąska, którą obdarzał uwagą.

– Nie – odparł Stefan, nie widząc Marty, a prawdę mówiąc, nie widząc niczego poza błękitem oczu rozmówczyni. – Poeta, aby być nim naprawdę, musi być wolny i samotny. To cena, jaką trzeba zapłacić.

W ten właśnie sposób Marta dowiedziała się, że ich małżeństwo jest skończone. Nie towarzyszyły temu żadne emocje.

– Gratuluję ci, że już po wszystkim! – krzyknęła na jej widok Łucja, pierwsza żona Stefana, która wychynęła z kłębiącego się na aukcji tłumu.

– Stefan ci powiedział? – spytała Marta, zaskoczona, że może wszyscy już wiedzą, a to ona dowiaduje się ostatnia.

Przecież oficjalnie byli jeszcze mężem i żoną.

– Nie – odparła Łucja. – Dawno go nie widziałam. Ale on teraz nie wychodzi ze studia telewizyjnego. Występuje jako ekspert od wszystkiego – komentuje sytuację polityczną, analizuje błędy reformy szkolnictwa, a ostatnio wystąpił nawet w jakimś popularnym show w roli degustatora dań gotowanych na ekranie. Widzę, że zapamiętałaś moje słowa: Stefan jest mężczyzną, dla którego można zrobić tylko jedno: porzucić go.

Martę zaskoczyło, że słucha tego z całkowitą obojętnością. Patrząc teraz na Łucję, na Stefana, gdzieś w głębi salonu uwodzącego błękitnooką damę, na gospodarzy i gości aukcji, miała poczucie, że oddziela ją od nich gruba szyba.

Dom Tadeuszów pomału zmienił się w wielkie targowisko, gdzie towar wyłożony był w coraz większym nieładzie. Nie tylko meble były do wzięcia. Także ubrania, buty, garnki, kosmetyki. Wszystko! A w tym zamożnym domu było tego co niemiara.

– Strasznie mi będzie was brakować! – dawało się słyszeć z różnych stron, choć brzmiało to obłudnie.

– Gdzie my teraz będziemy urządzać sylwestra? – przytomnie zauważyła obecna tu oczywiście Dora, która podobnie jak Marta tylko śledziła tę ekstrawagancką imprezę.

Rozpoczęły się pożegnania. Goście umawiali się na termin odbioru wybranych sprzętów, w garściach dzierząc siatki pełne tego, co da się udźwignąć. Były łzy, uściski i konwencjonalne zawołania w stylu: „Konieczne piszcie”. Bagażniki samochodów zatrzaśniały się jeden po drugim, a silniki warczały. Jeszcze ten czy ów rzucił do kuzyna, którego tu widział po raz pierwszy od dawna, że muszą się koniecznie zobaczyć, pobiesiadować razem, umówić na wspólny wypad za miasto.

– Nas już się nie uwzględnia w tych planach – gorzko zauważyła Anka, stojąc przy furcie.

Tłum zniknął, a z gości zostały tylko Marta i Dora. Dom wyglądał jak po najeździe barbarzyńców.

– Tyle lat pielęgnowałam to gniazdko – westchnęła Anka na ten widok.

Marta odruchowo chciała zacząć sprzątać.

– To nonsens – zachnęła się Anka.

I zaprosiła je na drinka. A ponieważ wszędzie zalegały rupiecie, usiedli na podłodze.

– Ostatni raz piliśmy tak na parapetówkach, gdyśmy się wprowadzali do naszych skromnych mieszkańek – wspominał Tadeusz.

Zamilkli.

– Jezu, jaka cisza – szepnęła po chwili Anka.

Gdy Marta wychodziła od Tadeuszów (Stefan wyszedł wcześniej, nie powiadamiając jej o tym), obejrzała się jeszcze i zobaczyła dwoje małżonków siedzących w centrum salonu jak w grobowcu. Panował tu bałagan jak po wybuchu bomby.

W takiej samej ruinie jak ich dom jest moje małżeństwo – pomyślała.

* * *

Wtedy na dobre postanowiła zamieszkać na Pogodnej. Zaproponowała oficjalny wynajem „mostku kapitańskiego”, wymyśliwszy, że zaoferuje część pensji jako zapłatę za czynsz, ale gospodynie domu trzech sióstr nie chciały o tym słyszeć. Była już w ich mniemaniu domownikiem i tak też się czuła, związana silnie z tym miejscem i z tą gromadką starszych pań, które nad wyraz pogodnie wiodły życie, unikając zwad i zatargów, głównie dlatego, że każda z nich umiała sama organizować sobie samodzielne aktywności. A Marta potrafiła być użyteczna i chętnie uczestniczyła w życiu domu.

Ale nie była u siebie. Tyle że u Stefana miała na to życie z nim „papiery”, a tu nie. Z tymczasowości tamtego etapu przez długi czas nie zdawała sobie sprawy, a tu owszem, nawet gdyby miała tak żyć do śmierci, byłaby na chwilę. Nie czuła się z tym dobrze.

Teraz, gdy już zawsze zostawała tu po pracy, miała dla siebie dużo czasu. Coraz dłuższe jesienne wieczory skłaniały do zakopywania się w ciepłej pościeli z lekturą w rękę. Biblioteka domu trzech sióstr wypełniona była zaległymi lekturami. Martę jednak też gdzieś gnało. Nabrała ochoty na jakąś włóczęgę i swoje „sto mil ciszy”.

Ktoregoś dnia, wstając z łóżka, spojrzała na swój ulubiony obraz i pomyślała, że pora wyruszyć korytarzem poza obręb tego wnętrza, w którym znajduje się sportretowana kobieta i ona sama. Wzięła wolne, o co w domu trzech sióstr nie było trudno, i wyruszyła przed siebie. Najpierw pieszo, potem autobusem, a potem pociągiem, który zatrzymywał się na małych stacjach. Jedna z nich usytuowana była wśród łagodnych, niskich pagórków. Marta uznała, że czas wysiadać. Podeszła do drzwi wagonu, ale wydawało się, że pociąg wcale się tu nie zatrzyma. Dopiero po chwili zaczął hamować, jakby chciał Martę zapytać, czy na pewno ma ochotę wysiąść na tym końcu świata.

Wysiadła. I poszła z plecaczkiem, wypełnionym jakimś prowiantem, przed siebie.

Polna droga, którą wybrała, zawiodła ją do lasu. Ponieważ na drzewach umieszczono oznaczenia szlaków turystycznych, Marta bez wahania ruszyła przed siebie w poczuciu, że to ją musi gdzieś zaprowadzić.

Szła długo, najpierw wtapiając się w otoczenie, patrząc, słuchając i wachając, a potem w jej początkowo uwolnionej od myśli głowie zaczęły się one na nowo roić. Postanowiła więc je zbierać.

I uświadomiła sobie, że etapami, pomalutku odchodząc od Stefana, z wolna traciła też pewność siebie. Najpierw, gdy zaczęły się zmiany w jej życiu, sądziła, że sama je sobie zaprojektowała i że wszystko przebiega po jej myśli. Odejście ze starej pracy, znalezienie nowej, wejście w środowisko innych ludzi, stopniowa rezygnacja ze

wszystkiego, co urozmaica „tamten świat”, i wreszcie uwolnienie się od przemożnego wpływu męża początkowo jej służyło. Teraz, po miesiącach, zaczęły się objawiać konsekwencje tych decyzji. Była sama, nie na swoim, zdana na innych, bez poczucia stabilizacji, bezpieczeństwa. Przedtem doskwierał jej spokój, teraz niepewność.

Czy warto było? – pytała samą siebie, z wysiłkiem podchodząc pod wyższe od innych wzniesienie. No i do czego to wszystko zmierza?

Gdyby to Stefan zdecydował o rozpadzie ich związku, mogłaby powiedzieć, że nie miała wyjścia, ale obecna sytuacja była wynikiem jej wyborów. Nie musiała trafić na Pogodną, do domu trzech sióstr, nie musiała ryzykować znajomości z Mateuszem, którego zachowań nie potrafiła zrozumieć, któremu nie umiała zaufać i do którego tęskniła.

Słowem, nigdy dotąd nie czuła się tak wolna i nigdy dotąd tak bardzo się nie bała.

Dotarła na szczyt wzgórza. Na rozległej łące, która się tu znajdowała, pełno było jesiennych barw. Promienie słońca próbowały się przebić przez zamglone niebo i rozświetlić sterczące wszędzie piękne rude badyle, wśród których ukryta była drewniana zadaszona wiata, świetne miejsce na popas. Marta usiadła. Miała prawo sądzić, że jest tu zupełnie sama. Ale po jakimś czasie na szlaku pojawił się oryginalnie wyglądający wędrowiec. Niemłody, nędznie odziany, z tobołkiem na plecach i psem u nogi. W pierwszym odruchu Marta trochę się przestraszyła, ale gdy mężczyzna podszedł, nabrała dziwnej ufności.

Przybysz przysiadł pod wiatą bez powitania, z tobołka wyjął chleb i scyzoryk, wielką pajdę posmarował pasztetową, podzielił ją na pół, jedną część zaczął jeść sam, drugą oddał psu.

Skąd przychodził, kto go znał – zabrzmiał jej w głowie tekst piosenki. – Kto mu rękę podał kiedy / Nad rowem siadał, wyjmował chleb / Serem przekładał i dzielił się z psem / Tyle wszystkiego, co z sobą miał / Majster Bieda[12].

Tylko że tamten z piosenki milczał, a ten po chwili zagadał. Smarując pasztetową kolejną pajdę, powiedział:

– Zgnębiona pani, widać, że zgnębiona.

– Po czym poznać? – spytała Marta, od razu wdając się w rozmowę.

– Po sylwetce. Siedzi pani taka skulona, jakby się bała jakiegoś ciosu.

– Jest coś na rzeczy – przyznała.

Majster Bieda, bo tak go już Marta zaczęła w myślach nazywać, znów chleb z pasztetową podzielił i połówkę dał psu. Spojrzała na niego uważnie. Zapadło milczenie.

Kim ty jesteś? – pomyślała Marta, bacznie mu się przyglądając. – Pewnie i tobie kiedyś coś w życiu zawirowało?

Ale Majster Bieda w najmniejszym stopniu nie wyglądał na nieszczęśliwego. Najadł się już, z plastikowej butelki popijał wodę źródlaną, a jego pies ułożył łeb na stopie pana – zakochany kundel. W obu, i w człowieku, i w psie, był tak ogromny spokój jak w całym otoczeniu – słonecznym i bezwietrznym.

– Świat nie istnieje, niestety, po to, aby spełniać nasze życzenia – zabrzmiało raptem w ciszy, ale ten, kto to mówił, uśmiechał się przy tym łagodnie. – Jestem szczęśliwy nie dlatego, że mam szczęście w życiu, ale dlatego, że mało od świata oczekuję.

I zaczął zbierać do tobołka resztki chleba i pasztetowej.

Pies, wpatrzony w każdy jego ruch, podniósł się niespiesznie, gotów do dalszej drogi.

Zebrał się i ruszyli w stronę lasu.

Na odchodne Majster Bieda powiedział:

– Doczekasz, dziecko, takiego błysku, który wszystko w twoim życiu uprości. I nie będziesz wtedy miała żadnych wątpliwości, co to jest – to miłość. Nie wiem, czy to będzie człowiek, czy Bóg, czy to będzie życie, czy śmierć, ale to będzie dobre. Czeka!

Kiwnął głową na pożegnanie i ruszył, a za nim ruszył pies. Marta obserwowała ich oddalających się „drogą bez końca, co przed nimi szła”, aż zniknęli za granicą lasu. Czuli się tak, jakby jej zaaplikowano solidną dawkę syropu na spokój.

* * *

Zgodnie z umową Marta podrzuciła Ziutkom w ich dzień „ślubu w srebrne wesele” coś tak cudownie „niekoniecznego” jak eleganckie srebrne koziołki pod sztucce. Gdy weszła, przywitał ją nieopisany zgiełk.

– Czy możesz, Wanda, powiedzieć Gienkowi – krzyczała do słuchawki odświętnie już ubrana Ziutkowa – że czekam na niego od godziny? Już wczoraj umawialiśmy się na poranny transport ławek.

– A czy sama nie możesz do niego zadzwonić? – padła odpowiedź w systemie głośnomówiącym.

– Nie wiesz, że dziś jestem zajęta? Jak raz wychodzę za męża.

– A ja nie rozmawiam z tym draniem, bo do dziś mi nie oddał pięciu stów.

– Gienek to szwagier, Wanda to bratowa, oni zawsze ze sobą drą koty – wyjaśnił zrelaksowany Józef Ziutek, który na widok Marty poderwał się od stołu, aby uścisnąć jej dłoń. – Witam panią – dodał – stary pan młody!

Widok był nietypowy – Józef Ziutek pod muchą i w eleganckich lakierkach.

– Jak on się do mnie pierwszy odezwie, to mu przekażę twoją prośbę – oznajmiła tymczasem przez telefon Wanda, bratowa.

– Dobra – powiedziała pani Ziutkowa i się rozłączyła.

Wystukała numer do szwagra.

– Czym mam przywieźć te cholerne ławki – usłyszała od niego na wstępie – jak mi Kazik zabrał samochód?

– Kazik to jej siostrzeniec, syn Wieśki, jej siostry – uprzejmie wyjaśnił Józek.

– Z tym szczeniakiem nie można się ostatnio dogadać – komunikowano tymczasem przez telefon.

– Kogo masz na myśli? – spytała pani Ziutkowa.

– No jak to kogo, mojego syna.

– Już z nim rozmawiałam. – W aparacie dało się teraz słyszeć głos żeński.

– To Wieśka, siostra Ziutkowej. – Gospodarza wyraźnie bawiło, że tłumaczy Marcie zawilosci ich relacji rodzinnych.

– On stoi w kolejce pod hurtownią – wyjaśniła w imieniu syna siostra Wieśka – i mówi, że ławki może przewieźć ten kretyn Marcinek od Wandy.

– Marcinek to młodszy syn jej brata – z radością komentował Józek – a kretyn, bo Kazik od Gienka i Wieśki od miesiący drze z nim koty o jedną pannę, a Wieśka bierze stronę syna.

– To będziemy siedzieć na ziemi – warknęła Ziutkowa i wyłączyła telefon.

– Ciociu – rozległo się od strony korytarza – powiedz Grubej, żeby mi oddała moją torebkę.

– Nie mów na nią Gruba – fuknęła Ziutkowa na dziecko – bo będą klapsy.

– Kamila! – krzyknęła głośniej do Grubej. – Oddawaj małej torebkę!

– Nie zabrałam żadnej torebki! – odwrzasnęła Kamila, pojawiając się w progu kuchni.

– To moja siostrzenica, a Krysią to jej młodsza siostra. – Józef Ziutek nie tracił zapалу w informowaniu Marty o koligacjach rodzinnych.

– Może być pan pewien, że już dawno się pogubiłam – przyznała Marta.

– Nie wątpię. – „Stary pan młody” uśmiechnął się radośnie.

– Ani myślę jechać z Helenką w jednym samochodzie – oznajmiła starsza pani, która właśnie pojawiła się w kuchni.

– Ale nigdzie nie ma już miejsca – jęknęła Ziutkowa.

– To pójdę na piechotę – obrażonym tonem przemówiła leciwa dama.

Józef Ziutek już nabrał powietrza, by dalej objaśniać Marcie, kto jest z kim spokrewniony i jak, gdy żona zwróciła się w jego stronę.

– Józek, znajdź coś dla babci Anielki, bo przynajmniej jej nie chcę mieć dzisiaj na głowie – rozkazała.

– Józek to ja, jej oblubieniec – z rozpędu wyjaśnił Marcie Józek.

– A czy ty mnie w ogóle słuchasz? – usłyszał na to od żony.

– Słucham, słucham – mruknął i posyłając Marcie szelmowski uśmiech, chwycił babcię Anielkę pod łokieć, by znaleźć dla niej środek transportu.

Po chwili inni członkowie rodziny wyszli w pośpiechu z kuchni, ale za to zakłębiło się na podwórku, gdzie upychano do samochodów wszystkich kuzynów i gości.

Marta położyła kozyłki gdzie popadło i ruszyła na piechotę w stronę kościoła. Wszyscy bowiem z domu trzech sióstr, miejsca pracy oblubieńca, byli zaproszeni na uroczystość.

Gdy Marta dotarła do kościoła, ledwo udało jej się wcisnąć w boczną nawę, tak nieprzebrane były tłumy, które przybyły na ślub. To, do czego nie mogła się teraz przyzwyczaić, to była nabożna cisza, jaka raptem zapanowała. Po tym jazgocie, którego świadkiem była wcześniej, teraz ta cisza aż kłuła w uszy.

– Józefie i Katarzyno! Dziś, w rocznicę waszego ślubu cywilnego sprzed dwudziestu pięciu laty, weźmiecie ślub kościelny – familiarnym tonem oznajmił ksiądz Antoni, rozpoczynając ceremonię. – Niech wszyscy tu zgromadzeni, których tak liczna obecność potwierdza dotychczasową wartość tego związku, zostaną świadkami tego ponownego zespolenia i wysłuchają brzmienia przysięgi małżeńskiej. Po dwudziestu pięciu latach jej przestrzegania...

Marta nie widziała państwa młodych stojących przed ołtarzem. Widziała natomiast seniorkę, nazywaną babcią Anielką. Ta płakała ze wzruszenia przez cały czas. Była w tym podobna do młodszego wnuka młodych, Michasia, który płakał w beciku, odkąd przestraszyły go dzwony kościelne. Wszystkich ogarnęło wzruszenie. Zwłaszcza gdy zabrzmiały słowa przysięgi małżeńskiej.

Mieli czas do namysłu nad jej treścią – pomyślała Marta i też uroniła łzę.

Bo to było wzruszające, ale też do pozazdrosczenia. Ta dwójka kolorowych ludzi – powściągliwy i ironiczny Józef Ziutek i jego temperamentna, gadatliwa kobieta – odniosła prawdziwy matrymonialny sukces. Cztery pokolenia mogły się teraz cieszyć ich

szczęściem – bo z jednej strony starzy rodzice, a z drugiej – młode i młodsze dzieci i wnuki.

To prawdziwa przypowieść o talentach, pomnożonych dobrach – przyszło do głowy Marcie.

Po zakończeniu ceremonii w wielkiej ciszy i skupieniu orszak weselny wyruszył z kościoła. Na pobliskim stawie przylegającym do plebanii rozległ się nagle wielki wrzask. Dwa samce z licznej grupy dzikich kaczek wzięły się za łby, a inne podniosły jazgotliwy rwetes. Zewsząd spływać zaczęły kolejne, kwacząc na potęgę. Straszny się zrobił na stawie gwar i zamieszanie.

To chyba kolejna impreza rodzinna – pomyślała Marta z przekąsem – ciągle wypatrując w tłumie tego, którego nie było.

* * *

Ze Stefanem nie było żadnych rozmów. Nie życzył sobie tego. Przyjmował do wiadomości decyzje Marty, jak choćby tę o wyprowadzce, ale ich nie komentował. Uważał to chyba za dowód klasy, z jaką potrafi rozstawać się z kobietami. Bez komentarza przyjął też wieść o tym, że po wielu dniach nieobecności Marta chce wpaść do mieszkania i zabrać trochę osobistych drobiazgów. Doświadczona nadmiarem ulicy Pogodnej chciała naprawdę niewiele – trochę dokumentów, trochę pamiątek, trochę ciuchów i książek, w tym tych, które Stefan opatrzył niegdyś dedykacjami. Tych paru wspólnych lat, które razem przeżyli, w żadnym razie nie miała ochoty przekreślać. Na pytanie, czy będzie w tym czasie w domu, Stefan chłodno odrzekł, że ma inne plany, co Marta przyjęła z ulgą. Wydawało się, że to rozstanie w wielkim stylu.

Jednak gdy zjawiła się tam, czekała ją niemiła niespodzianka. Niepodobna było stwierdzić, czy był to przypadek, czy świadoma demonstracja, ale gdy Marta weszła na podwórko ich domu, przy śmietniku zobaczyła sporą stertę znanych jej dobrze przedmiotów, z których największym było zdemontowane i częściowo zdemolowane ich małżeńskie łóżko.

Trzeba trafu, że dozorca domu rozmawiał akurat z jedną z sąsiadek, która wyrażała oburzenie, że nagromadziło się tu tyle śmieci.

– Już kilka dni temu zamówiłem gabaryty, żeby zabrali cały ten bałagan, ale ciągle nie przyjeżdżają – wyjaśnił.

Gabaryty – pomyślała Marta poruszona tym widokiem – przyjadą „gabaryty” i zabiorą niemego świadka naszych miłosnych uniesień, zanim trafi on na swoje cmentarzysko – wysypisko śmieci.

Ona, kustosz rzeczy pamiętających ludzi i lata minione, musiała bezradnie obserwować, jak poniewierana jest pamiątka ważnej części jej życia. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ten wyrok na małżeńskie łóżko był dowodem odwetowych działań Stefana.

Mebel skazany na banicję za moje przewiny – zauważyła ze smutkiem, mijając śmietnik.

W mieszkaniu najpierw zobaczyła to miejsce, w którym wcześniej stało owo łóżko. Teraz była tu wyrwa, wyraźny ubytek w tym od dawna urządzonym wnętrzu. Stefan wybebeszył sypialnię, a sam mieszkał w pracowni, sypiając tam i jedząc, o czym świadczyły porzucane resztki fast foodów.

Mieszkanie czekało na nową gospodynię.

Martę zdziwiło, że lustracji tego wnętrza nie towarzyszyły żadne emocje. Może gdyby wszystko było tak jak wcześniej, pojawiłby się smutek. Ale to rozprawienie się ze śladami obecności Marty w mieszkaniu i zamiana ich w „gabaryty” zapewniły przed nim skuteczną ochronę.

Marta wzięła to, po co przyszła, a następnie na świstku papieru napisała: „Klucz pod wycieraczką”. A potem, po namyśle, dopisała: „Wszystkiego dobrego”.

Wyszła z jedną walizką, zamknęła drzwi. Dźwięk, który temu towarzyszył, brzmiał tak, jakby ktoś odetchnął z ulgą. Ona też odetchnęła. Ten świat, jak te drzwi, był już zamknięty. Wyszła na podwórko, gdzie „gabaryty” sterczały przy śmietniku jak komitet pożegnalny.

A gdy wkrótce z jedną walizką znalazła się na Pogodnej, już z dala dostrzegła przed domem trzech sióstr paskudnie zabłocony samochód Mateusza. Serce zabiło jej mocniej.

Wszedłszy do domu, rozejrzała się, ale nikogo nie zobaczyła. Ruszyła więc w stronę sklepu. Czekał tam na nią. A że Gołębiarz wyprowadzał właśnie na spacer ptaki, Mateusz wpatrywał się w skrzydlate widowisko.

– No, nareszcie jesteś – powiedział, usłyszawszy jej kroki.

Kto tu na kogo dłużej czekał? – pomyślała.

Spostrzegł, że jest nadąsana. Uśmiechnął się.

– A ta walizka? – spytał, widząc, co trzyma w garści.

– Ja też jestem z dalekiej podróży – odrzekła.

– Wyjeżdżałaś? – zdziwił się.

– Przyjechałam – odpowiedziała po krótkim namyśle.

– Ja też.

Stali tak naprzeciwko siebie, oboje nieco skrepowani. Marta tuż obok podwyższenia, na którym znajdowały się zrobione właśnie niedawno przez Józefa Ziutka schody prowadzące na projektowaną antresolę, więc na tym podwyższeniu usiadła. Mateusz podszedł do niej i usiadł obok. A potem leniwie przeciągnął się na znak, że jest bardzo zmęczony, i położył się, kładąc głowę na jej kolanach.

Ona zamarała w bezruchu.

– Połóż mi, proszę, rękę na czole – poprosił.

Ręka jej drżała, gdy spełniła jego prośbę. On chwycił ją w swoją, pocałował i zamknął oczy. Milczeli. Po dłuższej chwili Marta zorientowała się, że Mateusz... zasnął.

Nie poruszyła się, nie chcąc go obudzić. Jego sen był jak zawierzenie.

Siedząc tak ze śpiącym Mateuszem na kolanach, Marta rozejrzała się wokół. Ze wszystkich ścian sklepu, oblepionych licznymi obrazami, fotografiami, oleodrukami, spoglądali na nich martwi świadkowie tej sceny. Nie pierwszy raz doznała uczucia, że na Pogodnej bez ustanku żywi mieszają się z wizerunkami nieżyjących i wzajemnie się sobie przyglądają. Spora liczba wiszących tu (jak zwykle w nadmiarze) obrazów inspirowana była Pismem Świętym, a wśród nich niemałą część stanowiły obrazy Matki Świętej. Albo była to Madonna z Dzieciątkiem, albo pieta. I w jednym, i w drugim przypadku trzymała Ona swego Syna na kolanach. Jak teraz Marta Mateusza.

Tak się „sen świata” objawia na ziemi – pomyślała.

Miała na myśli to, o czym mówił Majster Bieda, to, co przedstawiały – lepiej lub gorzej – wszystkie wizerunki Matki Świętej, a także to, co sama teraz czuła.

Zauważyła, że jej dłoń spoczywająca na czole Mateusza znów drży lekko. I pomyślała, że tak, jak jest teraz, mogłoby już być wiecznie.

Ale proza życia wkroczyła raptem w ten podniosły nastrój, rozległo się bowiem dość prostackie w swym brzmieniu chrapnięcie. W pierwszej chwili Marta pomyślała z rozczuleniem, że to Mateusz zasnął aż tak głęboko. Ten dźwięk wydał jednak z siebie śpiący w nieodległym zakamarku Kulas. I jemu, po miesięcznej podróży, tylko głęboki sen był w głowie.

* * *

Tej nocy pochrapywali już we trójkę na stacji. Rano Mateusz oznajmił, że żadnej dalszej trasy nie projektuje, bo chce pomieszkać na Pogodnej. Dla Marty oznaczało to życie w dwóch nie swoich miejscach naraz.

I tak zaczął wolno i kojąco płynąć czas na jesiennej Pogodnej. W dzień Mateusz często znikał, przyjmując różne drobne zlecenia, ale pod wieczór zjawiał się w domu trzech sióstr, by zabrać Martę na stację. A gdy czasem zdarzało się, że nie wracał na noc, Marta pozostawała na „mostku kapitańskim”, bo bez Mateusza stacja nie nadawała się na miejsce do zamieszkania. To wciąż była poczekalnia. Można stąd było wyjechać w każdą stronę świata, można się też było tutaj schronić po powrocie, ale miejsce to nie było wypełnione żadną jednobrzmiącą stałą treścią. Nieobecność Mateusza pozbawiała je sensu.

Robiło się coraz chłodniej, coraz trudniej więc było nagrzać tę wielką pustą przestrzeń. Kominek wymagał nieustannej uwagi, a ciepło z niego płynące starczało na krótko. Pojawiła się też staroświecka koza, którą Mateusz przywłókł z jednej z wypraw zamówionych u niego przez wikarego, ale i ją trzeba było wiecznie dokarmiać węglem, co było zajęciem i fatygującym, i nieczystym. Słowem, w tej przestrzeni źródłem ciepła było dla Marty co innego – obecność Mateusza.

Na Pogodnej wszyscy z wolna zaczęli już o nich mówić: „wy” i do tego znacząco się uśmiechali. Ale z tym „wy” to nie była do końca prawda. Marta szybko zauważyła, że Mateusz okazał się bardzo słaby z emocjonalnej gramatyki i w ogóle nie używał pierwszej osoby liczby mnogiej. Nie pytał rano: „Co dziś robimy?”, tylko oznajmiał, co on zamierza, na przykład: „Chcę dziś wpaść do Cholewy”. A jeśli uwzględniał w tych planach Martę, opatrywał to osobnym komunikatem: „Może miałabyś ochotę mi towarzyszyć?”. Nie mówił: „Zjedzmy coś”, tylko: „Jestem strasznie głodny”. Nie proponował wreszcie: „Chodźmy się położyć”, tylko oznajmiał: „Idę do łóżka. Przyjdiesz?”.

Na początku wydawało się to Marcie naturalne, tak jak częste i raptowne: „No to ja jadę”, oznaczające po prostu powrót do zadań zawodowych, ale po jakimś czasie zaczęło ją to „ja” uwierać, bo było jak nachalna manifestacja niezależności, budowanie dystansu, wreszcie oschłość. „My” ociepla relacje, a ona chciała, żeby było ciepło.

Ale nie interweniowała. Nie miała śmiałości. Ich relacje nie były aż tak bliskie, by czuła się upoważniona do robienia Mateuszowi scen. Dopiero po jakimś czasie nieśmiało rozpoczęła akcję edukacyjną. Wzięła na siebie rolę pani od polskiego, która poprawia wypowiedzi ucznia.

– Po południu muszę umyć samochód – powiadał ją na przykład Mateusz.

– A czy mogę ci pomóc? – pytała wtedy ona.

I gdy on przytakiwał z entuzjazmem, powtarzała belferskim tonem:

– A więc po południu umyjemy samochód.

Mateusz jednak zdawał się nie rozumieć, o co jej chodzi.

– Ja, ty, my... my umyjemy – dopowiadała.

– Ty nie musisz – padała odpowiedź.

Nie rozumiał czy nie chciał zrozumieć?

To było powodem rosnącej niepewności. Marta nigdy nie wiedziała, co się stanie za chwilę, nie mogła snuć planów, choćby to był pomysł na wspólne zjedzenie obiadu. Z drugiej strony ta samoistność Mateusza wydawała się Marcie niezwykle pociągająca.

Zaczęła stosować tę samą metodę.

– Idę na spacer. Pójdiesz ze mną? – pytała.

Chciał.

– Idę się położyć – oznajmiała. – Przyjdiesz do mnie?

Przychodził.

W końcu wyszło na jaw, że on wie, co w tej „pierwszej osobie liczby pojedynczej” Martę drażniło. Pewnego razu leżeli już na tym jego przytulnym barłogu, ogień w kominku buzował, węgiel w kozie skwierczał, Kulas, leżąc u siebie, nie spuszczał z nich oczu, udając, że śpi, a Mateusz oznajmił leniwie:

– Gdybyśmy używali liczby mnogiej, łatwo mogłoby dojść do kłótni. A w przypadku liczby pojedynczej sprawa nie jest już taka prosta. Wyobraź sobie naszą kłótnię. Musiałbym najpierw zapowiedzieć, że chcę się z tobą pokłócić, potem musiałbym cię zapytać, czy zechciałabyś mi w tym towarzyszyć, i cierpliwie czekałbym na odpowiedź. Ty po zastanowieniu pewnie byś się zgodziła, byle tylko uchronić naszą chwiejną wspólnotę. I jaka by z tego kłótnia wyszła?

No i jak się w nim nie kochać – pomyślała z rozrzewnieniem Marta, przytulając się do Mateusza.

A on uśmiechnął się do niej najcieplejszym ze swoich uśmiechów i cicho dodał:

– Kocham cię.

Znowu w pierwszej osobie liczby pojedynczej.

* * *

– Irina przyjechała! – rozległ się pewnego poranka okrzyk pani Olgi.

Wkrótce potem w drzwiach sklepu prowadzących do wnętrza domu ukazała się dama, która energicznie wtargnęła do środka.

– Kolejna graciarnia – powiedziała na wstępie.

Jej wejście natychmiast ustawiło Martę do pionu.

– Witam – zwróciła się do niej Irina, mocno ściskając dłoń.

Następnie ruszyła po alejkach sklepu.

– Mydło i powidło! – powtarzała co chwila.

Poruszała się sprężystym krokiem kobiety interesu, która przywykła do nadzorowania. Marta ścierpła. Pojęła, że oto pojawiła się w jej nowym życiu kolejna szefowa z powołania.

Czyżby jakiś klon Królowej Kier? – pomyślała z przerażeniem.

Stała zmieszana i rozmyślała, czy za chwilę jej ledwo zaczęta przygoda na Pogodnej zakończy się rafą, której na imię Irina.

Drugiej Królowej Kier nie zniosę – pomyślała w popłochu.

– To wszystko domaga się rzetelnego biznesplanu – oznajmiła w końcu tamta, przemaszerowawszy po całym sklepie, i podeszła do skulonej ze strachu Marty.

– Cuda tu o pani opowiadają! – pochwaliła i zaczęła ją całować z dubeltówki.

W ten sposób Marta otrzymała naraz dwie dobre wiadomości: że Irina to nie Królowa Kier, a także, że jej matka i siostry dobrze oceniają jej pracę i obecność w domu trzech sióstr.

Kamień spadł jej z serca.

– Czy może być pani moim przewodnikiem? – spytała Irina. – Zobaczyłam już to, co wyrwano chaosowi, a teraz czeka mnie to, w czym ja powinnam dążyć.

Ruszyły w stronę pozostałych „zapomnianych pokojów”, z których jeden może wkrótce stanie się jej królestwem.

Marta wiedziała od pani Olgi, że pani Irina, najbardziej dotąd oporna wobec idei domu trzech sióstr, z wolna zaczęła rozważać jako wariant w jakiejś mglistej, odległej przyszłości, zainstalowanie się tutaj. Widać było gołym okiem, że się tego bała. Można to było poznać choćby po nerwowej reakcji na dźwięk zatraskujących się drzwi, które nagle gwałtownie się zamknęły. Tak jakby Irina się zlekła, że klamka zapadła, pozbawiając ją drogi ucieczki. A przecież ona była tu tylko na chwilę. Pani Olga szepnęła Marcie na stronie, że Irina przyjechała tu z wizytą przedświąteczną, ze sporym wprawdzie wyprzedzeniem i z pomysłem, aby doczekać aż do Nowego Roku, ale o powrocie na stałe na razie mowy być nie mogło. Wiadomo było tylko, że zwija powoli swoje biznesy lub ceduje na innych, ale żadnych ostatecznych decyzji podejmować jeszcze nie zamierzała.

Do pochodu w stronę „zapomnianych pokojów” dołączyła też pani Masza. Marta po raz pierwszy widziała razem trzy siostry. Były podobne i bardzo różne. Pani Olga – „mamuśka” – ciepła, poczciwa, koncyliacyjna; pani Masza – surowa, kostyczna, depresyjna; i pani Irina – energiczna, aktywna, konkretna. Dom trzech sióstr miał się teraz stać poligonem dla tych odmiennych temperamentów i różnych systemów wartości. Marta miała być w tym laboratorium czynnikiem wywołującym reakcje.

Gdy obchód się zakończył, siostry udały się do matki, a Marta wróciła do sklepu, by jak zwykle oddzielać mak od popiołu. Wezwano ją do salonu dopiero w porze podwieczorku. A tam zgromadziło się już sporo ludzi. Były wszystkie siostry i ich matka, był stały domownik, ksiądz Antoni, skuszony obietnicą czegoś słodkiego, była ciotka Adela, na życzenie gospodyń przyprowadzona tu przez Kacpra z Janosikowa, był stary oblubieniec Józef Ziutek i stary fotograf pan Leon. Przedmiotem debaty był zbiór wyjątkowych fotografii przywieziony przez panią Irinę (jakby tego towaru zbywało w domu trzech sióstr i na całej Pogodnej!...). Cały stół był nimi zavalony, ustąpić im miejsca musiały nawet filiżanki z herbatą i ciastka, do których wzdychali i ksiądz Antoni, i Kacper. Zdjęcia leżały też na biurku i łóżku, dominując nawet nad całym królestwem bibelotów pani Weroniki. Były to statyczne portrety, z pozoru bardzo konwencjonalne, ale przykuwające uwagę.

– Ten zbiór oddała mi przed śmiercią sąsiadka, wnuczka przedwojennego fotografa, który na rynku w małym miasteczku miał swoje atelier – wyjaśniła pani Irina. – Wykonywał tradycyjne fotografie ślubne czy komunijne, ale po pracy chodził też po starych chałupach i we wnętrzach robił zdjęcia ich właścicieli.

Marta spojrzała na kolekcję wprawnym okiem. Od razu rzucało się w oczy, że portretowani byli ludzie biedni, tacy, których na pewno w tamtych czasach nie stać by było na usługę fotografa. Otoczenie też było liche – albo skrajnie ubogie, albo pretensjonalne, pełne taniego odpustowego blichtru i kiczu. Autor tych zdjęć miał świetny zmysł dokumentalisty i nieoceniony zamiar, by uwiecznić to, co niewidoczne dla innych.

By to jednak było możliwe, musiał zdobyć zaufanie portretowanych ludzi, by nie wstydzieli się swego ubóstwa. Udało mu się, bo w uwiecznionych na fotografiach twarzach było wiele ufności. Wszyscy patrzyli z odwagą prosto w obiektyw. Ulokowani na pokrzywionych zydlach lub na skraju łóżek zakrytych lichą pościelą, siedzieli tak całymi rodzinami lub tylko małżonkowie albo w pojedynkę. Byli młodzi, starzy, a wszyscy skupieni, spokojni, jakby to, że ktoś chce ich uchwycić na fotografii, przydawało im wartości.

Na Pogodnej znowu zagościła atmosfera wzniosłości. Nic więc dziwnego, że ciotka Adela postanowiła uczynić z tego zbioru wydarzenie sezonu i zaproponowała, by posortować fotografie, powybierać co lepsze eksponaty, a potem urządzić wystawę w Janosikowie. Kacprowi poleciła na piśmie, żeby zgromadził wszystkie wizerunki dzieci, panie domu odkładać miały na osobny stosik fotografie rodzinne, a Marcie zleciła wybranie wszystkich ujęć, na których widoczne były pary małżeńskie. Ona sama miała zaś to wszystko skrupulatnie opisać i ponazywać, konsultując się z Leonem. Na koniec Józef Ziutek miał oprawić wybrane eksponaty w ramki i powiesić. Nikt nie ośmielił się zaprotestować. W salonie zafurczało od pracy. Każdy znalazł swój rewir, gdzie gromadził zbiory – trzy siostry przy stole, Kacper na biurku, a Marta układała swoich małżonków na łóżku. Tylko pani Weronice i księdzu Antoniemu udało się wymknąć spod kontroli ciotki Adeli, by w kuchni ukradkiem zjeść parę ciasteczek.

Leon zaś, stary fotograf, z uznaniem przyglądając się dziełu starszego kolegi, nadzorował pracę jak ekonom, doglądając wszystkiego.

Niech pan nam zrobi zdjęcie – zwróciła się raptem do niego pani Irina.

Z torebki, która leżała na komodzie, wyciągnęła wysokiej jakości lustrzanekę. Leon, widząc to cudo nowoczesności, wpatrzył się w aparat jak w obraz, zapominając o bożym świecie. A potem, tracąc zainteresowanie starymi fotografiami, zaczął pstrykać na próbę.

– Oto Moskwa trzech sióstr. – Pani Irina zatoczyła rękami krąg, wskazując wnętrze salonu. – Niech pan to koniecznie sfotografuje.

Poprosiła, aby zrobił im trzem, siedzącym za stołem, serię zdjęć pod wspólnym tytułem: *Powrót trzech sióstr*.

Leon popatrzył na zdjęcie sprzed lat, gdy we trzy siedzą za stołem młode dziewczyny. Popatrzył i na tę fotografię ze stypy po ojcu, gdy są już u progu starości, ale ciągle jeszcze skądinąd – z duńskiego domu, ze szkoły, z biznesu. A potem tak długo kadrował, aż zmieścił w obiektywie opowieść o melancholii towarzyszącej odjazdowi i melancholii towarzyszącej powrotom. Za sprawą sprytnego usytuowania starej fotografii w jego obiektyw patrzyło teraz w sumie sześć par oczu – trzy pary młode i trzy stare.

Marta tymczasem, siedząc na łóżku, otoczona była wzrastającą liczbą wizerunków par małżeńskich, ze szczególną atencją odnosząc się do portretów ludzi starszych. Ich poorane głębokimi bruzdami oblicza, mimo całej mizერი wokół, miały w sobie jakiś majestat. W takim otoczeniu zastał ją Mateusz, gdy – podobnie jak w dniach poprzednich – pojawił się z podróży, by zabrać ją do siebie na stację. Stare fotografie na nim również zrobiły wrażenie, przysiadł więc przy Marcie i wpatrzył się w te minione twarze, spoglądające na niego tak jak on na nie.

– Zobacz – odezwał się naraz.

Marta, sądząc, że coś go zaintrygowało na zdjęciu, które trzymała, spojrzała w jego stronę. Tymczasem Mateusz wskazał stare porysowane lustro, będące częścią szafy, która znajdowała się dokładnie naprzeciwko nich. Odbite w nim były obie ich sylwetki.

Siedzieli tak samo jak ludzie ze starego zdjęcia, które Marta trzymała na kolanach. Teraz patrzyli w lustro tak jak tamci w obiektyw.

– Nie ruszać się – zaordynował raptem pan Leon kategorycznym tonem pracownika przychodni rentgenowskiej.

I skierował na nich obiektyw lustrzanki pani Iriny.

Tak długo się przymierzał, aż wyszło mu kolejne niezwykle zdjęcie. Zarys ciemnych postaci na pierwszym planie i ich lustrzane, trochę zamglone odbicie. Oboje patrzą w lustro i zarazem w obiektyw. A poniżej, jakby odbita w tafli wody, stara fotografia trzymana przez Martę, która wygląda tak, jakby to była jakaś wersja ich samych, wydobyta z przeszłości.

– *Potrójne odbicie* – mruknął stary fotograf z zadowoleniem.

Tego popołudnia w ciszy i ciepłe długo jeszcze konferowano w salonie pani Weroniki.

A za oknem zaczął padać pierwszy śnieg.

Urósł.

Przypisy

- [1] Julian Tuwim, *Scherzo*. [w:] *Poezja polska okresu międzywojennego*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1987.
- [2] Leconte de Lisle, *Ostatnie wspomnienie* [w:] *Poezje*, PIW, Warszawa 1980.
- [3] Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, *Miłość*, [w:] *Wybór poezji*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1972.
- [4] Sully Prudhomme, *Pęknięty wazon*, przeł. Jadwiga Dackiewicz [w:] *Francuska poezja miłosna*, ABC Future, 1997.
- [5] Munro Leaf, *Fernando*, przeł. Irena Tuwim, Biblioteka Jagiellońska [dostęp 2010-08-30].
- [6] Dżem, *Do kołyski*: Maciej Balcar, muzyka: Jerzy Styczyński, z albumu: *30 urodziny*.
- [7] Cytaty z *Hamleta* Williama Shakespeare'a w tłumaczeniu Józefa Paszkowskiego [w:] William Shakespeare, *Dzieła dramatyczne w dwunastu tomach*, Gebethner i Wolff, Warszawa 1912-1919.
- [8] Michael Ende, *Nie kończąca się historia*, tłum. Sławomir Błaut, Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 2010.
- [9] Cytaty z *Doliny Muminków w listopadzie*, Tove Jansson, tłum. Teresa Chłapowska, Nasza Księgarnia, Warszawa 2010.
- [10] *Ewangelia według świętego Jana*, 2,14, Biblia Tysiąclecia, Poznań, Wydawnictwo Pallotinum, 2003.
- [11] Tamże, 12, 24.
- [12] Wolna Grupa Bukowina, *Majster Bieda*, słowa: Wojciech Bellon, muzyka: Wojciech Bellon, Wojciech Jarociński.